

KONGRES FUTUROLOGICZNY

Ósmy Światowy Kongres Futurologiczny odbył się w Costaricanie. Prawdę mówiąc, nie pojechałbym do Nounas, gdyby nie profesor Tarantoga, który dał mi do zrozumienia, że tego się po mnie oczekuje. Powiedział też (co mnie dotknęło), że astronautyka jest dziś formą ucieczki od spraw ziemskich. Każdy, kto ma ich dość, wyrusza w Galaktykę, licząc na to, że najgorsze stanie się pod jego nieobecność. Prawdą jest, że nieraz, zwłaszcza w dawniejszych podróżach, wracałem z lękiem, wypatrując przez okno Ziemi — czy nie przypomina upieczonego kartofla. Toteż zbytnio się nie opierałem, a jedynie zauważyłem, że się na futurologii nie znam. Tarantoga odparł, że na ogół nikt nie zna się na pompowaniu, a jednak spieszymy na stanowiska, usłyszawszy okrzyk „do pomp!”

Zarząd Towarzystwa Futurologicznego wybrał Costaricanę na miejsce obrad, ponieważ były poświęcone potopowi ludnościowemu i środkom jego zwalczania. Costaricana ma obecnie najwyższą stopę przyrostu demograficznego na świecie; pod presją takiej rzeczywistości mieliśmy skuteczniej obradować. Co prawda — ale tak mówili tylko złośliwcy — nowy hotel, jaki zbudowała korporacja Hiltona w Nounas, świecił pustkami, a na zjazd miało przybyć oprócz futurologów — drugie tyle dziennikarzy. Ponieważ w toku obrad nie zostało z tego hotelu nic, mogę, nie bojąc się pomówień o reklamiarstwo, ze spokojnym sumieniem orzec, że był to Hilton znakomity. W moich ustach słowa te mają szczególną wagę, jestem bowiem sybarytą z urodzenia i tylko poczucie obowiązku skłaniało mnie do rezygnowania z wygód na rzecz astronautycznej mordęgi.

Costaricański Hilton wystrzelał na sto sześć pięter z płaskiego, czteropiętrowego cokołu. Na dachach niskiej części zabudowań mieściły się korty tenisowe, pływalnie, solaria, tory wyścigów gokartowych, karuzele, które były zarazem ruletkami, strzelnica (można tam było strzelać do wypchanych osób, do kogo dusza zapragnęła — zamówienia specjalne realizowano w dwadzieścia cztery godziny) oraz muszla koncertowa z instalacją do natryskiwania słuchaczy gazem łzawiącym. Dostał mi się apartament na setnym piętrze, z którego mogłem oglądać tylko górną powierzchnię sino—brunatnej chmury smogu, spowijającej miasto. Niektóre z urządzeń hotelowych zastanowiły mnie, na przykład trzymetrowy żelazny drąg stojący w kącie jaspisowej łazienki, pomalowana barwami ochronnymi peleryna maskująca w szafie czy worek z sucharami pod łóżkiem. W łazience wisiał, obok ręczników, gruby zwój typowej liny wysokogórskiej, a na drzwiach, gdym po raz pierwszy wetknął klucz do zamku Yale, zauważyłem małą tabliczkę z napisem „Dyrekcja

Hiltona gwarantuje brak BOMB w tym pomieszczeniu”.

Jak wiadomo, uczeni dzielą się dziś na stacjonarnych i jeżdżących. Stacjonarni po staremu prowadzą różne badania, jeżdżący zaś uczestniczą we wszechmożliwych konferencjach i kongresach międzynarodowych. Uczonego tej drugiej grupy łatwo rozpoznać: w klapie nosi zawsze małą wizytówkę z własnym nazwiskiem i stopniem naukowym, w kieszeni — rozkłady jazdy linii lotniczych, podpasuje się ściągaczem bez części metalowych, a także jego teczka zamyka się na plastikowy zatrzask — wszystko, aby nie uruchamiać niepotrzebnie alarmowej syreny urządzenia, które na lotnisku przeświewa podróżnych i wykrywa broń sieczną oraz palną. Uczony taki fachową literaturę studiuje w autobusach linii lotniczych, w poczekalniach, w samolotach i w hotelowych barach. Nie znając, dla zrozumiałych przyczyn, wielu osobliwości ziemskiej kultury lat ostatnich, wywołałem w Bangkoku, w Atenach i w samej Costaricanie alarmy na lotnisku, czemu nie mogłem zapobiec w porę, ponieważ mam sześć metalowych plomb (z amalgamatu). Zamierzałem zmienić je na porcelanowe w samym Nounas, lecz udaremniły to niespodziewane wypadki. Co do sznura, drąga, sucharów i peleryny jeden z członków amerykańskiej delegacji futurologicznej wyjaśnił mi pobłażliwie, że hotelarstwo naszej doby przedsięwzię nie znane dawniej środki ostrożności. Każdy taki przedmiot, umieszczony w apartamencie, powiększa przeżywalność gości hotelowych. Słowom tym nie poświęciłem, przez lekkomyślność, właściwej uwagi.

Obrady miały się rozpocząć po południu pierwszego dnia, a już rankiem dostarczono nam komplety materiałów konferencyjnych, wydanych elegancko, w pięknej szacie graficznej, z licznymi eksponatami. Zwłaszcza ładnie prezentowały się bloczki z satynowanego błękitnego papieru, opatrzone nadrukiem „Przepustki kopulacyjne”. Nowoczesne konferencje naukowe też cierpią od demograficznej eksplozji. Ponieważ liczba futurologów rośnie w tej samej potęgde, w jakiej się zwiększa cała ludzkość, na zjazdach panuje tłok i pośpiech. O wygłaszaniu referatów nie ma mowy;

trzeba się zapoznać z nimi wcześniej. Z rana zaś nie było na to czasu, ponieważ gospodarze podejmowali nas lampką wina. Ta mała uroczystość odbyła się niemal bez zakłóceń, jeśli nie brać pod uwagę obrzucenia zgniłymi pomidorami delegacji Stanów Zjednoczonych; już z kieliszkiem w ręku dowiedziałem się od Jima Stantora, znajomego dziennikarza z United Press International, że o świcie porwano konsula i trzeciego attache ambasady amerykańskiej w Costaricanie. Porywacze—ekstremiści żądali w zamian za zwolnienie dyplomatów wypuszczenia więźniów politycznych, aby zaś podkreślić wagę swych żądań, posyłali na razie ambasadzie oraz czynnikom rządowym pojedyncze zęby owych zakładników, zapowiadając eskalację. Dysonans ten nie zakłócił jednak cieplej

atmosfery rannego koktajlu. Bawił na nim osobiście ambasador USA i wygłosił króciutkie przemówienie o potrzebie współpracy międzynarodowej, tyle że mówił otoczony przez sześciu barczystych cywilów, którzy trzymali nas na muszce. Wyznaję, że byłem tym nieco zdetonowany, zwłaszcza że stojący obok mnie ciemnoskóry delegat Indii ze względu na katar chciał sobie wytrzeć nos i sięgnął po chusteczkę do kieszeni. Rzecznik prasowy Towarzystwa Futurologicznego zapewniał mnie potem, że zastosowane środki były konieczne i humanitarne. Obstawa dysponuje wyłącznie bronią o dużym kalibrze z małą siłą przebijającą, tak samo jak strażnicy na pokładzie samolotów pasażerskich, dzięki czemu nikt postronny nie może być poszkodowany, w przeciwieństwie do dawnych dni, kiedy się zdarzało, że pocisk, kładąc trupem zamachowca, przechodził na wylot przez pięć albo i sześć siedzących za nim Bogu ducha winnych osób. Niemniej widok człowieka walącego się u waszych stóp pod skoncentrowanym ogniem nie należy do miłych, i to nawet wówczas, gdy idzie o zwyczajne nieporozumienie, które potem jest przyczyną wymiany dyplomatycznych not z przeprosinami.

Ale zamiast wdawać się w rozważania z zakresu humanitarnej balistyki, powinienem był wyjaśnić, czemu nie mogłem się zapoznać w ciągu całego dnia z materiałami konferencji. Pomijając już ten przykry szczegół, że przyszło mi pospiesznie zmieniać zakrwawioną koszulę, wbrew swoim zwyczajom jadłem śniadanie w barze hotelowym. Rano jem zawsze jajka na miękko, a hotel, w którym można by je dostać do łóżka, nie ścięte razem z żółtkiem w obrzydliwy sposób, jeszcze nie został wybudowany. Wiąże się to, naturalnie, z bezustannym wzrostem rozmiarów stołecznych hoteli. Gdy kuchnię oddziela od pokoju odległość półtorej mili, nic nie uratuje żółtka przed ścięciem. O ile wiem, problem ten badali specjaliści Hiltona i doszli do wniosku, że jedynym środkiem zaradczym byłyby specjalne windy poruszające się z naddźwiękową szybkością, jednakże tak zwany sonic boom — grzmot wywołany przebiciem bariery dźwięku — w zamkniętej przestrzeni gmachu powodowałby pęknięcie bębenków w uszach. Ewentualnie można żądać, aby automat kuchenny dostarczył surowych jaj, które na waszych oczach na miękko ugotuje w pokoju automat kelnerski, lecz stąd już niedaleko do wożenia się po Hiltonach z kojcem własnych kur. Dlatego właśnie udałem się z rana do baru. Obecnie 95 procent gości hotelowych tworzą uczestnicy wszelakich zjazdów i konferencji. Gość–samotnik, turysta–soliter, bez wizytówki w klapie i teczki wypchanej szpargałami konferencyjnymi, jest rzadki jak perła na pustyni. Oprócz naszej odbywała się akurat w Costaricanie Konferencja Kontestatorów Młodzieżowych ugrupowania „Tygrysów”, Zjazd Wydawców Literatury Wyzwolonej oraz Towarzystwa Filumenicznego. Zwykle przydziela się takim grupom pokoje na tych samych piętrach, lecz chcąc mnie uhonorować, dyrekcja dała mi apartament na setnym, ponieważ

miało własny gaj palmowy, w którym odbywały się koncerty Bacha; orkiestra była żeńska i grając, dokonywała zbiorowego strip-tease'u. Na wszystkim tym raczej mi nie zależało, lecz nie było, niestety, żadnego wolnego pokoju, musiałem więc zostać tam, gdzie mnie ulokowano. Ledwo zasiadłem na barowym stołku mego piętra, a już pleczysty sąsiad, brodacz kruczowłosy (mogłem odczytać z jego brody, jak z karty dań, wszystkie posiłki minionego tygodnia), podsunął mi pod nos ciężką, okutą dwururkę, którą miał zawieszoną przez plecy, i zaśmiawszy się rubasznie spytał, jak oceniam jego papieżówkę. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wołałem się do tego nie przyznawać. Najlepszą taktyką w przypadkowych znajomościach — jest milczenie. Jakoż sam wyjawiał mi ochoczo, że dubeltowy sztucer, wyposażony w celownik z laserem, cyngiel-schneller oraz ładowarkę, jest bronią na papieża. Gadając bezustannie, wyciągnął z kieszeni złamane zdjęcie, na którym widniał składając się do celu, jaki stanowił manekin w piusce. Osiągnął już, jak twierdził, szczytową formę i wybiera się właśnie do Rzymu, na wielką pielgrzymkę, aby ustrzelić Ojca Świętego pod Bazyliką Piotrową. Nie wierzyłem ani jednemu jego słowu, lecz wciąż paplając, po kolei pokazał mi bilet lotniczy z rezerwacją, mszalik oraz prospekt pielgrzymki dla amerykańskich katolików, jak również paczkę nabozi z rżniętą w krzyż główką. Dla oszczędności nabył bilet tylko w jedną stronę, ponieważ liczył na to, że wzburzeni pątnicy rozedrą go na sztuki. Perspektywa ta zdawała się wprawiać go w doskonały humor. Sądziłem zrazu, że mam do czynienia z wariatem lub zawodowym dynamitardem-ekstremistą, jakich nie brak obecnie, lecz i w tym się omyliłem. Gadając bez przerwy i złażąc wciąż z wysokiego stołka, bo strzelba obsuwała mu się na podłogę, wyjawiał mi, że jest właśnie gorącym, prawowiernym katolikiem, planowana zaś przezeń akcja (zwał ją „akcją P”) będzie z jego strony szczególną ofiarą; chodzi mu o wstrząśnięcie sumieniem ludzkości, a cóż może wstrząsnąć nim lepiej nad czyn tak skrajny? Zrobi to samo, wykladał mi, co podług Pisma świętego miał zrobić Abraham z Izaakiem, tyle że na odwrót, bo wszak nie syna położy, lecz ojca, i to na dobitkę świętego. Tym samym da dowód najwyższej ofiarności, na jaką może się zdobyć chrześcijanin, bo i ciało wyda na męki, i duszę na potępienie, a wszystko po to, by otworzyć ludzkości oczy. Już to — pomyślałem — zbyt wielu jest amatorów tego otwierania oczu; nie przekonany ową filipiką, poszedłem ratować papieża, to jest powiadomić kogoś o tym planie, lecz Stantor, który mi się napatoczył w barze 77 piętra, nie wysłuchawszy mnie nawet do końca, powiedział, że w podarkach, jakie ofiarowała Hadrianowi XI ostatnia wycieczka wiernych amerykańskich, były dwie zegarówki i beczułka wypełniona — zamiast winem mszalnym — nitrogliceryną; zblazowanie jego pojąłem lepiej, usłyszawszy, że ekstremiści przysłali dopiero co do ambasady nogę, nie wiadomo tylko jeszcze — czyją. Nie dokończył zresztą rozmowy,

bo odwołano go do telefonu; podobno na Avenida Romana ktoś się właśnie podpalił na znak protestu. Na 77 piętrze panowała w barze zupełnie inna atmosfera niż u mnie na górze; było wiele dziewczyn bosych, poubieranych w łańcuszkowe koszulki do pasa, niektóre przy szabli; część z nich miała długie warkocze, przymocowane, zgodnie z najnowszą modą, do breloczka na szyi lub do obróżki wybijanej ćwiekami. Nie jestem pewien, czy były to filumenistki, czy też sekretarki Stowarzyszenia Wyzwolonych Wydawców;

sądząc po barwnych fotosach, jakie oglądały, szło raczej o specjalne wydawnictwa. Zjechałem o dziewięć pięter niżej, gdzie zamieszkiwali moi futurologowie, i w kolejnym barze wypilem długiego drinka z Alfonsem Mauvinem z Agence France Press; po raz ostatni spróbowałem ratować papieża, lecz Mauvin opowieść moją przyjął ze stoicyzmem; mruknął tylko, że w ubiegłym miesiącu pewien australijski pątnik strzelał już w Watykanie, ale z zupełnie innych pozycji ideowych. Mauvin liczył na interesujący wywiad dla swej agencji z niejakim Manuelem Pyrhullo, ściganym przez FBI, Surete, Interpol i szereg innych policji, był on bowiem założycielem usługowej firmy nowego typu: wynajmował się jako ekspert od zamachów środkami wybuchowymi (znano go pospolicie pod pseudonimem „Bombowiec”), szcycąc się nawet swoją bezideowością. Gdy piękna rudowłosa dziewczyna w czymś, co przypominało koronkową koszulę nocną, gęsto podziurawioną seriami broni maszynowej, podeszła do naszego stolika (była to właśnie wysłanniczka ekstremistów, która miała pilotować reportera do ich kwatery głównej), Mauvin, odchodząc, wręczył mi ulotkę reklamową Pyrhulla, z której się dowiedziałem, że najwyższy czas skończyć z wyczynami nieodpowiedzialnych amatorów, niezdolnych odróżnić dynamitu od melinitu ani piorunianu rtęci od sznura Bickforda; w czasach wysokiej specjalizacji nie robi się niczego na własną rękę, lecz polega na zawodowej etyce i wiedzy sumiennych fachowców; na odwrocie ulotki znajdował się cennik usług z przeliczeniami w walutach najwyżej rozwiniętych krajów świata.

Futurologowie jęli się właśnie schodzić do baru, gdy jeden z nich, profesor Mashkenase, wpadł blady, roztrzęsiony, wołając, że ma zegarową bombę w pokoju; barman, snadź zwyczajny takich rzeczy, automatycznie krzyknął: — Kryć się! — i skoczył pod szynkwę; wnet jednak detektywi hotelowi wykryli, że jakiś kolega zrobił Mashkenasemu głupi kawał, włożywszy do pudełka po keksach zwyczajny budzik. Wyglądało mi to na Anglika, oni bowiem kochają się w tak zwany ch practical jokes, lecz puszczo no rzecz w niepamięć, bo zjawili się J. Stantor i J. G. Howler, obaj z UPI, przynosząc tekst aide memoire rządu USA do rządu Costaricany w sprawie porwanych dyplomatów. Było ono sformułowane zwykłym językiem not dyplomatycznych i ani nogi, ani zębów nie nazywało po imieniu. Jim

powiedział mi, że miejscowy rząd może uciec się do środków drastycznych; generał Apollon Diaz, sprawujący władzę, przychylił się do opinii „jastrzębi”, by gwałt odeprzeć gwałtem. Na posiedzeniu (rząd obradował w permanencji) padła propozycja przejścia do kontrataku — żeby więźniom politycznym, których zwolnienia żądają ekstremiści, wyrwać dwa razy tyle zębów, a ponieważ adres kwatery ekstremistów jest nieznaną, zęby te prześle im się na poste restante. Lotnicze wydanie „New York Timesa” piórem Suizbergera apelowało do poczucia rozsądku i wspólnoty gatunkowej człowieka. Stantor powiedział mi w dyskrecji, że rząd zarekwirował pociąg z tajnym materiałem wojskowym, będący własnością USA, który szedł tranzytem przez terytorium Costaricany do Peru. Jak dotąd ekstremiści nie wpadli na pomysł porywania futurologów, co z ich punktu widzenia nie byłoby głupie, ponieważ aktualnie w Costaricanie było więcej futurologów niż dyplomatów. Stupiętrowy hotel jest atoli organizmem tak ogromnym i tak komfortowo odseparowanym od reszty świata, że wieści z zewnątrz dochodzą doń jakby z drugiej półkuli. Na razie nikt z futurologów nie okazywał paniki: własne biuro podróży Hiltona nie było obleżone przez gości rezerwujących miejsca na samoloty do Stanów czy gdzie indziej. Na drugą wyznaczono oficjalny bankiet otwarcia, a ja nie zdążyłem się jeszcze przebrać w wieczorową piżamę, pojechałem więc do pokoju, a potem z największym pośpiechem zjechałem do Sali Purpurowej na 46 piętrze. W foyer podeszły do mnie dwie czarujące dziewczyny w szarawarach topless, z biustami pomalowanymi w niezapominajki i śnieżyczki, by wręczyć mi lśniący folder. Nie spojrzawszy nań, wszedłem do sali, jeszcze pustawej, i dech mi zaparł widok stołów, nie dlatego, że były suto zastawione, lecz szokujące były formy, w jakich podano wszystkie pasztety, przystawki i zakąski — nawet sałatki stanowiły imitację genitaliów. O złudzeniu optycznym nie było mowy, bo dyskretnie ukryte głośniki nadawały popularny w pewnych kręgach szlagier, zaczynający się do słów: „Tylko głupiec i kanalia lekceważy genitalia, bo najbardziej jest dziś modne reklamować części rodne!”

Pojawili się pierwsi bankietowicze, z gęstymi brodami i sumiastymi wąsiskami, zresztą sami młodzi ludzie, w piżamach albo i bez nich; gdy sześciu kelnerów wniosło tort, widząc tę najbardziej nieprzyzwoitą leguminę świata, nie mogłem już mieć wątpliwości: pomyliłem sale i mimo woli dostałem się na bankiet Wyzwolonej Literatury. Pod pretekstem, że zginęła mi sekretarka, wycofałem się czym prędzej i zjechałem o jedno piętro niżej, aby odetchnąć we właściwym miejscu: Purpurowa Sala (a nie Różowa, do jakiej się dostałem) była już pełna. Rozczarowanie, wywołane skromnością przyjęcia, ukryłem, jak umiałem. Bufet był zimny i stojący; aby utrudnić konsumpcję, wyniesiono z olbrzymiej sali wszystkie krzesła i fotele, tak że wypadało okazać zwykłą w podobnych okolicznościach zręczność,

zwłaszcza że do półmisków co istotniejszych zrobił się fatalny tłok. Senor Cuillone, przedstawiciel sekcji costaricańskiej Towarzystwa Futurologicznego, tłumaczył z czarującym uśmiechem, że wszelka lukullusowość byłaby nie na miejscu, zważywszy, iż tematem obrad jest między innymi klęska głodu zagrażająca ludzkości. Naturalnie znaleźli się sceptycy, którzy mówili, że Towarzystwu obcięto dotacje i tym jedynie można tłumaczyć tak drastyczne oszczędności. Dziennikarze, zawodowo zmuszeni do abnegacji, kręcili się pośród nas, robiąc małe wywiady z luminarzami prognostyki zagranicznej; zamiast ambasadora USA zjawił się tylko trzeci sekretarz ambasady z masywną obstawą, w smokingu, on jeden, bo kuloodporną kamizelkę trudno schować pod pizamą. Słyszałem, że gości z miasta poddawano w hallu rewizji osobistej i miał się już tam piętrzyć spory stos znalezionej broni. Właściwe obrady wyznaczono dopiero na piątą, było więc dość czasu, by odetchnąć u siebie, toteż pojechałem na setne piętro. Po przesolonych sałatkach odczuwałem silne pragnienie, że jednak bar mojego piętra okupowali twardo kontestatorzy i dynamitardzi ze swoimi dziewczętami, a miałem już dość jednej rozmowy z brodatym papistą (czy antypapistą), zadowolilem się szklanką wody z kranu. Ledwom ją wychylił, zgasło światło w łazience i obu pokojach, telefon zaś, bez względu na to, jaki nakręcałem numer, łączył mnie wciąż tylko z automatem opowiadającym bajkę o Kopciuszku. Chciałem zjechać na dół, lecz i winda nie działała. Słyszałem chóralny śpiew kontestatorów, którzy teraz już strzelali do taktu; miałem nadzieję, że obok. Rzeczy takie trafiają się nawet w pierwszorzędnym hotelach, przez co zresztą nie są mniej irytujące, tym jednak, co mnie najbardziej zdziwiło, była moja własna reakcja. Humor, raczej podławy od czasu rozmowy z papieskim strzelcem, poprawiał się z każdą sekundą. Przewracając po omacku sprzęty w pokoju, uśmiechałem się wyrozumiale w ciemność i nawet kolano, do żywego rozbite o walizy, nie zmniejszyło mej życzliwości dla całego świata. Wymacawszy na nocnym stoliczku resztki posiłku, jakiego zażądałem między śniadaniem a lunchem do pokoju, wetknąłem w krążek masła strzęp papieru, wyrwany z foldera kongresowego, i gdy go zapalił zapalką, uzyskałem kopczą wprawdzie, ale jednak świeczkę, w której blasku zasiadłem na fotelu, bo miałem wszak jeszcze ponad dwie godziny wolnego czasu, wliczając w to godzinny spacer po schodach (skoro winda była nieczynna). Moja pogoda duchowa przechodziła dalsze fluktuacje i zmiany, którym przyglądałem się z żywym zaciekawieniem. Było mi wesoło, wprost doskonale. Mogłem w lot wyliczyć roje argumentów na rzecz tego właśnie stanu rzeczy, jaki zaszedł. Wydawało mi się najsolenniejsze, że apartament Hiltona, pogrążony w egipskich ciemnościach, pełen śwędu i kopcia ogarka maślanego, odcięty od świata, z telefonem opowiadającym bajki, jest jednym z najmilszych miejsc na świecie, jakie można sobie wystawić. Ponadto odczuwałem przemożną chęć

głaskania byle kogo po głowie, a przynajmniej uściśnięcia bliźniej ręki z głębokim, pełnym serdeczności zajrzeniem w oczy.

Ucałowałem z dubeltówki najzaciętszego wroga. Masło, roztapiając się, skwiercząc i dymiąc, wciąż gasło; to, że „masło” rymuje się ze „zgasło”, wprawilo mnie w atak śmiechu, chociaż zarazem poparzyłem sobie palce zapalnikami, usiłując wciąż od nowa zapalić papierowy knot. Maślana świeczka ledwie pełgała, ja zaś nuciłem półgłosem arie ze starych operetek, nie zważając ani trochę na to, że od swędu krztusiłem się i łzy płynęły mi z piekących oczu po policzkach. Wstając przewróciłem się jak długi, zawadziwszy o walizkę na podłodze, lecz i guz, wielkości jajka, który wyskoczył mi na czole, jedynie polepszył jeszcze mój humor (o ile było to w ogóle możliwe). Zaśmiewałem się, na wpół uduszony śmierdzącym dymem, bo i to nie odmieniało ani na jotę mego radosnego uniesienia. Położyłem się na łóżku, nie posłanym od rana, choć minęło dawno południe; o służbie, wykazującej takie niedbalstwo, myślałem jak o własnych dzieciach: oprócz czułych zdrobnień i pieszczotliwych słówek nic nie przychodziło mi na myśl. Błysnęło mi, że nawet gdybym się tu miał zadusić, byłby to najzabawniejszy, najbardziej sympatyczny rodzaj śmierci, jakiego tylko można sobie życzyć. Ta konstatacja była tak dalece sprzeczna z całym moim usposobieniem, że podziałała na mnie jak pobudka. W duchu mym doszło do zadziwiającego rozszczepienia. Nadal wypełniała go flegmatyczna jasność, rodzaj uniwersalnej życzliwości dla wszystkiego, co istnieje, ręce zaś miałem tak chciwe pieszczona byle kogo, że w braku osób postronnych jałem się delikatnie gładzić po policzkach i filuternie pociągać za uszy; podałem też wielokrotnie prawą rękę lewej dla wymiany krzepkiego uścisku. Nawet nogi mi drygały do pieszczot. Przy tym wszystkim w głębi mego jestestwa zapaliły się jakby sygnały alarmowe: — Coś jest nie tak! — krzyczał we mnie daleki, słaby głos — uważaj, Ijonie, bądź czujny, strzeż się! Pogoda ta jest niegodna zaufania! Działaj, nuże! Hejże ha! Naprzód! Nie siedź rozwalony jak jakiś Onassis, zalany łzami od dymu i kopcia, z guzowatym czołem, w powszechnej życzliwości! Ona jest objawem jakowejś czarnej zdrady! — Mimo tych głosów palcem nawet nie ruszyłem. Tyle że zaschło mi w gardle. Zresztą serce waliło mi od dawna, ale tłumaczyłem to sobie zbudzoną zniechęcą wszechmiłością. Poszedłem do łazienki, tak okropnie chciało mi się pić; pomyślałem o przesolonej sałatce z bankietu czy raczej tego stojącego koktajlu, potem zaś na próbę wyobraziłem sobie panów J. W., H. C. M., M. W. i innych moich najgorszych wrogów; stwierdziłem, że oprócz chętki kordialnego uściśnięcia ich dłoni, siarczystego całusa, paru słów bratniej wymiany myśli — nie odczuwam żadnych innych emocji. To już było prawdziwie alarmujące. Z ręką na niklowej główce kranu, dzierżąc w drugiej pustą szklanke, zamarłem. Powoli natoczyłem wody i wykrzywiając twarz w

dziwacznym skurczu — widziałem tę walkę własnych rysów w lustrze — wylałem ją.

Woda z kranu. Tak. Od chwili gdy ją wypilem, zaszły we mnie te zmiany. Coś w niej musiało być! Trucizna? Nie słyszałem jeszcze o takiej, która by... Chociaż zaraz! Jestem wszak stałym abonentem prasy naukowej. Ostatnio w „Science News” pojawiły się notatki o nowych środkach psychotropowych z grupy tak zwanych ben i g n a t o r ó w (dobryn), które zniewalają umysł do bezprzedmiotowej radości i pogody. Ależ tak! Miałem tę notatkę przed oczami ducha. Hedonidol, benefaktoryna, empathian, euforasol, felicytol, altruizan, bonokaresyna i cała masa pochodnych! Zarazem przez podstawienia grup hydroksylowych amidowymi syntetyzowano z tychże ciał furyasol, tyssynę, sadystyzynę, flagellinę, a g r e s s i u m, frustrandol, amokolinę oraz wiele jeszcze preparatów rozwścieczających z tak zwanej grupy bijologicznej (nakłaniały bowiem do bicia i znęcania się nad otoczeniem, tak martwym, jak żywym — przy czym prym miały wodzić kopandol i walina).

Te myśli przerwał dźwięk telefonu, jednocześnie zabłysło światło. Głos pracownika recepcji hotelowej uniżenie i solennie przeproszał za awarię, którą już właśnie usunięto. Otwarłem drzwi na korytarz, by przewietrzyć pokój; w hotelu, o ile mogłem się zorientować, panowała cisza; jakiś oczadziały, wciąż jeszcze przepełniony ochotą udzielania benedykcji i pieśczoł, zamknąłem drzwi na zatrask, usiadłem na środku pokoju i jałem zмагаć się z samym sobą. Stan mój z owej chwili jest niezwykle trudny do opisania. Bynajmniej nie myślało mi się tak gładko ani tak jednoznacznie, jak to podaję. Każda krytyczna refleksja była jakby zanurzona w miodzie, spowijał ją paralizująco jakiś kogel–mogel głupekowego samozadowolenia, każda ociekała syropem dodatnich uczuć, duch mój zdawał się zapadać w najśłodszy z możliwych trzęsawisk, jakbym tonął w różanych olejkach i lukrach; siłą zmuszałem się do myślenia o tym, co tylko mi najwstrętniejsze, o brodatym łotrze z przeciwpapieżową dubeltówką, o wyuzdanych wydawcach Wyzwolonej Literatury i ich babilońsko–sodomskiej uczcie, znów o panach W.C.,J.C.M.,A. K. i wielu innych łotrach i oczajduszach, aby z przerażeniem stwierdzać, że wszystkich miłuję, wszystko wszystkim wybaczam, więcej — natychmiast jak wańki–wstańki wyskakiwały z mych myśli argumenty biorące wszelkie zło i plugastwo w obronę. Potop miłości bliźniego rozsadał mi czaszkę; szczególnie zaś dolegało mi to, co najlepiej może określa słowa „parcie ku dobru”. Zamiast o truciznach psychotropowych myślałem łąpczywie o wdowach i sierotach, jakimi z rozkoszą bym się zaopiekował; odczuwałem rosnące zdumienie, że tak mało poświęcałem im dotychczas uwagi. A biedni, a głodni, a chorzy, a nędznicy, wielki Boże! Złapałem się na tym, że klęczę nad walizką i wyrzucam z niej wszystko na podłogę w poszukiwaniu co porządniejszych rzeczy, by je ofiarować potrzebującym. I znów słabe głosy alarmu

rozbrzmiały w mej podświadomości: — Uwaga! Nie daj się otumaniać! Walcz! Tnij! Kop! Ratuń się! — krzyczało coś we mnie słabo, lecz rozpaczliwie. Byłem okrutnie rozdarty. Odczuwałem tak potężny ładunek imperatywu kategorycznego, że muchy bym nie ukrzywdził. Jaka szkoda, myślałem, że w Hiltonie nie ma myszy ani chociaż pajaków; jakże bym je dopieścił, ukochał! Muchy, pluskwy, szczury, komary, wszy, kochane stworzonka, mocny Boże! Przelotnie pobłogosławiłem stół, lampę i własne nogi. Lecz szczątki trzeźwości już mnie nie opuszczały, toteż niezwłocznie palnąłem lewicą prawą, rozdającą błogosławieństwa rękę, aż mnie ból skręcił. To było niezłe! To mogło być, kto wie, zbawienne! Na szczęście parcie ku dobru miało charakter odśrodkowy: innym życzyłem daleko lepiej niż sobie. Na początek dałem sobie parę razy po gębie, aż mi kręgosłup zaskrzypiał, a w oczach stanęły gwiazdy. Dobrze, tylko tak dalej! Kiedy mi twarz zdrętwiała, jąłem się kopać w kostki.

Całe szczęście, że miałem buty ciężkie, o cholernie twardej podeszwie. Po kuracji złożonej z wściekłych kopnięć zrobiło mi się na mgnienie lepiej, to jest gorzej. Ostrożnie próbowałem pomyśleć, jak by to było, gdybym kopnął też pana J. C. A. Nie było to już tak kompletnie niemożliwe. Kostki obu nóg bolały jak wszyscy diabli i chyba dzięki tej auto-maltretacji zdołałem sobie wyobrazić nawet szturchańca wymierzonego M. W. Nie zważając na dotkliwy ból, kopałem się dalej. Przydatne było wszystko kończaste, zastosowałem tedy widelec, a potem szpilki, które wyciągnąłem z jeszcze nie używanej koszuli. Nie szło to wszakże prosto, raczej falowało, przez parę minut znów gotów się byłem podpalić dla lepszej sprawy, znów buchnął we mnie gejzer szlachetności wyższej i cnotliwego zapamiętania. Nie miałem atoli wątpliwości: coś było w wodzie z kranu. Prawda!!! Miałem w walizce od dawna wożony, nigdy nie używany środek nasenny, który wprawiał mnie zawsze w ponure i agresywne usposobienie, dlatego właśnie go nie używałem, szczęście, że się go nie pozbył. Łyknąłem tabletkę, przegryzając ją zakopconym masłem (bo od wody stroniłem jak od dzumy), potem wdławiłem z wysiłkiem dwie pastylki kofeinowe, aby przeciwdziałać wpływowi środka nasennego, usiadłem na fotelu i czekałem ze strachem, ale i z miłością bliźniego na wynik walki chemicznej w moim organizmie. Miłość gwałciła mnie wciąż jeszcze, byłem udobruchany jak jeszcze nigdy w życiu. Zdaje się, że chemikalia zła definitywnie zaczęły przewycięzać preparaty dobra; gotów byłem nadal do czynności opiekuńczych, ale już nie bez wyboru. Wolałbym co prawda być na wszelki wypadek ostatnim łotrem, przynajmniej czas jakiś.

Po kwadransie jakby mi przeszło. Wziąłem prysznic, wytarłem się szorstkim ręcznikiem, od czasu do czasu na wszelki wypadek waląc się po gębie, ot, tak, dla ogólnej

profilaktyki, okleiłem plastrami poranione kostki, palce, policzyłem siniaki (doprawdy zbiłem się w toku tych zmagania na kwaśne jabłko), włożyłem świeżą koszulę, ubranie, poprawiłem przed lustrem krawat, obciągnąłem surdut, przed wyjściem dałem sobie pod zebro, dla animuszu, ale i dla kontroli, i wyszedłem w samą porę, bo już dochodziła piąta. Wbrew moim oczekiwaniom w hotelu nie działo się nic niezwykłego. W barze mego piętra, do którego zajrzałem, było niemal pusto; oparta o stół stała papieżówka, dwie pary nóg wystawały spod szynkwasu, jedna była bosa, lecz widoku tego nie trzeba było bezwzględnie interpretować w wyższych kategoriach, paru innych dynamitaratów grało w karty pod ścianą, jeden zaś grał na gitarze i śpiewał wiadomy przebój. Na dole, w hallu, było tłoczno od futuro—logów; właśnie szli na otwarcie obrad, nie opuszczając zresztą Hiltona, ponieważ sala w tym celu wynajęta znajdowała się w niskiej części budynku. Zrazu zdumiało mnie to, ale po zastanowieniu pojąłem, że w takim hotelu żaden gość nie pije wody z kranu; spragnieni sięgają po colę, schweppesa, w ostateczności po sok owocowy, herbatę lub piwo. Także do długich drinków używa się gorzkich wód mineralnych czy innych butelkowanych; a jeśli nawet ktoś przez nieostrożność powtórzył mój błąd, wił się teraz zapewne w czterech ścianach zamkniętego na klucz apartamentu, w skurczach wszechmiłosego zapamiętania. Uznałem, że w tym stanie rzeczy lepiej nie zająknąć się nawet o własnych przejściach, bo wszak byłem tu człowiekiem obcym, jeszcze by mi nie dano wiary i posądzono o jakąś aberrację bądź halucynację. Cóż prostszego nad podejrzenie o skłonność do narkotyków?

Robiono mi później zarzuty, że zastosowałem tę politykę ostrygi czy strusia, bo gdybym wszystko ujawnił, może nie doszłoby do wiadomych nieszczęść, lecz mówiący tak popełniają oczywisty błąd: najwyżej ostrzegłbym gości hotelowych, lecz to, co się działo w Hiltonie, nie miało jednak najmniejszego wpływu na perypetie polityczne Costaricany.

W drodze do sali obrad kupiłem w hotelowym kiosku plik miejscowych gazet, jak to mam we zwyczaju. Nie kupuję ich, zapewne, wszędzie, lecz człowiek wykształcony może domyślić się sensów w hiszpańskim nawet, choć nie włada tym językiem.

Nad podium widniała umajona tablica z porządkiem dziennym; punkt pierwszy dotyczył katastrofy urbanistycznej świata, drugi — ekologicznej, trzeci — atmosferycznej, czwarty — energetycznej, piąty — żywnościowej, po czym miała nastąpić przerwa. Katastrofę technologiczną, militarystyczną i polityczną przeniesiono na dzień następny razem z wolnymi wnioskami.

Każdy mówca dysponował czterema minutami czasu dla wyłożenia swych tez, co i tak było sporo, zważywszy, że zgłoszono 198 referatów z 64 państw. Aby przyspieszyć tempo obrad, referaty należało przestudiować na własną rękę, przed posiedzeniem, orator zaś mówił

wyłącznie cyframi, określając w ten sposób kluczowe ustępy swej pracy; dla ułatwienia recepcji tak bogatych treści wszyscyśmy nastawili swoje podręczne magnetofony oraz komputerki — między tymi ostatnimi dojsć miało potem do zasadniczej dyskusji. Stanicy Hazelton z delegacji USA zaszokował od razu salę, powtarzając z naciskiem: 4,6,11, z czego wynika 22; 5,9, ergo 22; 3,7,2,11, skąd wynika znowuż 22!! — Ktoś wstał wołając, że jednak 5, ewentualnie 6,18 i 4; Hazelton odparował zarzut błyskawicznie, tłumacząc, że tak czy owak 22. Poszukałem w jego referacie klucza numerycznego i dowiedziałem się, że cyfra 22 oznacza katastrofę ostateczną. Następnie Japończyk Hayakawa przedstawił nowy, wykoncypowany w jego kraju model domu przyszłości, osiemsetpiętrowy, z klinikami położniczymi, żłobkami, szkołami, sklepami, muzeami, zoologami, teatrami, kinami i krematoriami; projekt uwzględniał pomieszczenia podziemne na popioły zmarłych, telewizję czterdziestokanałową, izby upojeń i wytrzeźwień, sale podobne do gimnastycznych do uprawiania grupowego seksu (wyras postępowych przekonań projektantów) oraz katakumby dla nie przystosowanych ugrupowań subkulturowych. Pewnym novum była myśl, aby każda rodzina, każdego dnia, przeprowadzała się z dotychczasowego mieszkania do innego, przy czym w grę wchodziły przeprowadzki albo ruchem szachowego pionka, albo konia. Zapobiegałoby to nudzie oraz frustracji, lecz na wszelki wypadek ów gmach o kubaturze siedemnastu kilometrów sześciennych, osadzony na dnie oceanu, a sięgający stratosfery, miał przewidziane własne komputery matrymonialne, swatające na zasadzie sadomasochizmu (stadła sadystów z masochistkami, i na odwrót, są statystycznie najtrwalsze, bo każdy partner ma w nich to, o czym marzy) oraz ośrodek terapii przeciwsamobójczej. Hayakawa, drugi delegat japoński, zademonstrował nam makietę takiego domu — w skali 1 :10 000 — z własną rezerwą tlenu, ale bez rezerw wody i żywności, ponieważ dom był planowany z obiegiem zamkniętym: wszelkie wydaliny miano regenerować, wychwytyując nawet poty śmiertelne i inne cielesne sekrecje. Hayakawa, trzeci Japończyk, odczytał listę smakołyków regenerowalnych z wydalin całego gmachu. Były tam między innymi sztuczne banany, pierniki, krewetki, ostrygi i nawet sztuczne wino, które, mimo pochodzenia budzącego niemiłe asocjacje, nie ustępowało ponoć w smaku najlepszym winom Szampanii. Na salę dostarczono próbki w estetycznych buteleczkach oraz po paszteciku w opakowaniu z folii, ale jakoś nikt się nie kwapił do picia, a paszteciki upychano dyskretnie pod fotele, więc i ja tak zrobiłem. Pierwotny plan, żeby taki dom mógł latać dzięki potężnym wirnikom, co umożliwiłoby wycieczki zbiorowe, upadł, raz, że takich domów miało być w pierwszym rzucie 900 milionów, a dwa, że przenosiny byłyby bezprzedmiotowe. Gdyby nawet dom miał 1000 wyjść i gdyby mieszkańcy używali wszystkich, i tak nigdy by nie wyszli, bo nim ostatni

opuściłby budynek, już zdążyłyby podrosnąć urodzone w tym czasie dzieci.

Japończycy zdawali się wielce zadowoleni ze swego projektu. Po nich zabrał głos Norman Youhas z delegacji USA, który zaproponował siedem różnych metod zahamowania eksplozji demograficznej, a mianowicie: zniechęcanie perswazyjne i policyjne, deerotyzację, przymusową celibatyzację, onanizację, subordynację, a wobec niepoprawnych — kastrację. Każde małżeństwo miało się ubiegać o prawo posiadania dziecka, składając odpowiednie egzaminy trzech kategorii, to jest kopulacyjny, edukacyjny i bezkolizyjny. Nielegalne urodzenie dziecka podlegało karom; premedytacja i recydywa groziły winnym dożywociem. Do tego referatu odnosiły się owe ładne foldery i bloczki z kuponami do odrywania, jakie dostaliśmy wśród materiałów kongresowych. Hazelton i Youhas postulowali nowe rodzaje zawodów, a mianowicie: inwigilatora matrymonialnego, zakazywacza, rozdzielacza i zatykacza; projekt nowego kodeksu karnego, w którym zapładnianie stanowiło delikt główny, o wyjątkowej szkodliwości społecznej, rozdano nam niezwłocznie. Podczas rozdawania doszło do incydentu, ktoś bowiem z galerii dla publiczności rzucił na salę koktajl Mołotowa. Pogotowie (było na miejscu, dyskretnie schowane w kularach) zrobiło swoje, a służba porządkowa czym prędzej zasłoniła pogruchotane fotele i resztki wielką nylonową oponą, pomalowaną wesołe, estetyczne wzory; jak z tego widać, o wszystkim z góry pomyślano. Między poszczególnymi referatami próbowałem studiować gazety miejscowe, a choć rozumiałem ich hiszpańszczyznę zaledwie piąte przez dziesiąte, i tak dowiedziałem się, że rząd ściągnął do stolicy jednostki pancerne, postawił całą policję w stan ostrego pogotowia oraz wprowadził stan wyjątkowy. Zdaje się, że prócz mnie nikt na sali nie orientował się w powadze sytuacji, jaka panowała za murami. O siódmej była przerwa, podczas której każdy mógł się posilić, na własny koszt oczywiście, ja zaś wracając na salę kupiłem kolejne nadzwyczajne wydanie pisma rządowego „Nacion” oraz kilka popołudniowych dzienników ekstremistycznej opozycji. Choć miałem z hiszpańskim trudności, przecież lektura tych gazet wprawiła mnie w zdumienie, bo z artykułami pełnymi optymistyczno-błogich rozważań na temat międzyludzkich więzi miłosnych, jakie są gwarantkami powszechnego szczęścia, sąsiadowały inne, pełne zapowiedzi krwawych represji i w podobnym tonie utrzymanych pogróżek ekstremistów. Tej łaciatości nie umiałem sobie wytłumaczyć inaczej, jak tylko sięgając do hipotezy, że jedni dziennikarze pili tego dnia wodę wodociągową, a inni nie. W organie prawicowym pito jej naturalnie mniej, ponieważ pracownicy redakcyjni, jako lepiej płatni od opozycjonistów, pokrzepiali się w czasie pracy co droższymi trunkami; ale i ekstremiści, choć skłonni, jak wiadomo, do niejkiej ascezy w imię wyższych haseł i ideałów, gasili pragnienie wodą tylko w szczególnych okolicznościach, jeśli zważyć, że quartzupio,

napój ze sfermentowanego soku rośliny melmenole. Jest w Costaricanie wprost niezwykle tani.

Ledwośmy się zagłębili w miękkich klubowcach, a profesor Dringenbaum ze Szwajcarii wypowiedział pierwszą cyfrę swego przemówienia, dały się słyszeć głucho detonacje; gmach zadrgał lekko w fundamentach, zabrzęczały szyby, ale optymiści wołali, że to tylko trzęsienie ziemi. Ze swej strony skłonny byłem sądzić, że to jakaś grupa kontestatorów, pikietujących hotel od początku obrad, cisnęła w hallu petardy. Z mniemania tego wywiódł mnie huk i grzmot znaczniejszej siły; dały się też słyszeć karabiny maszynowe z ich charakterystycznym staccato. Nie można już się było dłużej łudzić: Costaricana weszła w fazę walk ulicznych. Jako pierwsi ulotnili się z sali dziennikarze, których strzelanina zerwała na równe nogi niczym pobudka. Pognali na ulicę, wezwani obowiązkiem zawodowym. Profesor Dńngenbaum próbował jeszcze przez parę chwil kontynuować prelekcję napisaną w tonie dość pesymistycznym, utrzymywał bowiem, że następną fazą naszej cywilizacji jest kanibalizacja. Powołał się na znaną teorię Amerykanów, którzy obliczyli, że jeśli wszystko pójdzie na Ziemi tak, jak dotąd, za czterysta lat ludzkość będzie stanowiła żywą kulę ciał, powiększającą się z szybkością światła. Lecz nowe eksplozje przerwały wykład. Zdezorientowani futurologowie jęli wychodzić z sali, mieszając się w hallu z uczestnikami Kongresu Wyzwolonej Literatury, których, jak świadczył o tym ich wygląd, wybuch walk przychwycił w toku czynności wyrażających całkowitą obojętność dla groźby przeludnienia. Za redaktorami domu wydawniczego A. Knopfa sekretarki (nie nazwałbym ich roznegliżowanymi, skoro oprócz wymalowanych na skórze deseni w stylu „op” nie miały na sobie nic zgoła) niosły podręczne fajki wodne i nargile, w których paliła się modna mieszanka LSD, marihuany, yohimbiny i opium. Reprezentanci Wyzwolonej Literatury spalili właśnie, jak usłyszałem, in effigie ministra poczty USA za to, że nakazał swym placówkom mszczenie druków wzywających do masowego uprawiania kazirodztwa; zeszedłszy do hallu, zachowywali się bardzo niewłaściwie, zwłaszcza gdy uwzględnić powagę sytuacji. Publicznej moralności nie naruszali już tylko ci spośród nich, którzy opadli całkiem z sił albo trwali w narkotycznym odrętwieniu. Słyszałem krzyki dobiegające z kabin, w których napastowali telefonistki hotelowe, a jakiś brzuchacz w lamparczej skórze, z pochodnią haszyszową w ręku, szalał między szaragami garderoby, atakując cały J6J personel. Ledwo go unieszkodliwili urzędnicy z recepcji przy pomocy portierów. Z półpiętra ciskał ktoś na nasze głowy naręcza barwnych zdjęć, obrazujących dokładnie to, co pod wpływem chuci może zrobić jeden człowiek z drugim, a nawet znacznie więcej. Gdy na ulicy pojawiły się, widoczne doskonale przez szyby, pierwsze czołgi, windy bluznęły tłumem

przerażonych filumenistów i kontestatorów; depcząc wiadome pasztety i przystawki, przyniesione przez wydawców, a zalegające teraz podłogę hallu, przybysze ci rzucali się na wszystkie strony. Rycząc jak oszalały bawół oraz waląc kolbą papieżówki każdego, kto stał mu na drodze, przebijał się przez ciżbę brodaty antypapista; wybiegł, jak widziałem na własne oczy, przed hotel tylko po to, aby zza węgła otworzyć ogień do przebiegających sylwetek. Widać, jako prawdziwemu ideowcowi ekstremizmu o najradykałniejszej postaci, było mu w gruncie rzeczy wszystko jedno, do kogo strzela. W hallu pełnym krzyków trwogi i rozpusty powstało istne pandemonium, kiedy prysnęły ze szklanym grzechotem pierwsze ogromne szyby; usiłowałem odszukać znajomych dziennikarzy, a widząc, że wymykają się na ulicę, poszedłem w ich ślady, ponieważ atmosfera wewnątrz Hiltona stała się doprawdy już nazbyt przytłaczająca. Za betonowym ocembrowaniem samochodowego podjazdu, pod okapem hotelowym, przyklekło paru fotoreporterów, filmując zawzięcie okolice, zresztą bez większego sensu, ponieważ, jak to bywa zawsze, najpierw podpalono auta z zagraniczną rejestracją i z parkingu przy—hotelowego buchały płomienie oraz chmury dymu; Mauvin z AFP, który znalazł się obok mnie, zacierał ręce z zadowolenia, że przyjechał samochodem wynajętym u Hertza; toteż widok ognia, jakim skwierczał jego dodge, przyprawiał go o wybuchy śmiechu, czego nie można było powiedzieć o większości amerykańskich dziennikarzy. Zauważyłem ludzi usiłujących gasić płonące auta, byli to przeważnie jacyś ubogo odziani staruszkowie, noszący wodę kubkami z pobliskiej fontanny. Już to mogło dać nieco do myślenia. W dali, u wylotów Avenida del Salvation i del Resurrection, błyszcząły niewyraźnie kaski policyjne; zresztą plac przed hotelem, jak i okalające go trawniki z masywnopiennymi palmami były w tej chwili puste. Staruszkowie schrypłymi głosami zagrzewali się do akcji ratowniczej, choć wiek podcinał im sterane nogi; taka ofiarność wydała mi się wprost zdumiewająca, aż nagle wspomniałem ranne przeżycia i od razu podzieliłem się mymi podejrzeniami z Mauvinem. Grzechot broni maszynowej, zagłuszany basowymi wybuchami, utrudniał porozumienie; na bystrej twarzy Francuza malowała się przez chwilę kompletna dezorientacja, aż nagle błysk pojawił się w jego oku. — A! — ryknął, przekrzykując zgiełk. — Woda! Woda wodociągowa, co? Wielki Boże, po raz pierwszy w historii... kryptochemokracja! — z tymi słowami, jak żgnięty, pognął do hotelu. Oczywiście, aby zająć miejsce przy telefonie; i tak dziwne było, że łączność jeszcze działa.

Gdy tak stałem na podjeździe, przyłączył się do mnie profesor Trottelreiner ze szwajcarskiej grupy futurologicznej, i wtedy zaszło to, co właściwie już od dawna powinno było zająć: rozwinięty kordon policjantów w czarnych hełmach, czarnych tarczach napierśnych, maskach gazowych, z bronią w ręku, jał otaczać cały kompleks Hiltona, aby

stawić czoła tłumowi, który właśnie wynurzył się z parku oddzielającego nas od zabudowań teatru miejskiego. Oddziały specjalne z wielką wprawą ustawiały miotacze granatów i pierwsze ich salwy skierowano w tłum; eksplozje były dziwnie słabe, wyzwalały za to całe chmury białawego dymu; zrazu pomyślałem, że to gaz łzawiący, lecz tłum, zamiast uciekać czy zareagować pełną wściekłości wrzawą, jął się wyraźnie garnać do owych mglistych oparów; krzyki ścichły szybko, zamiast nich zaś posłyszałem jakby litanijne czy modlitewne pienia. Dziennikarze, miotający się z kamerami i magnetofonami między kordonem a wejściem hotelowym, w głowę zachodzili, co też to być może, aleja się już domyślałem: najwyraźniej policja zastosowała środki chemicznego dobruchania w formie aerozolowej. Lecz od Avenida del... — już nie pamiętam co — wyszła inna kolumna, której się te granaty jakoś nie chciały imać, a może to tylko tak wyglądało; mówiono później, że kolumna ta szła dalej, aby się zbratać z policją, nie zaś rozerwać ją na sztuki, lecz któż mógł dochodzić tak subtelnych dystynkcji w panującym chaosie? Granatniki przemówiły salwami, po nich odezwały się najpierw z charakterystycznym szumem i syczeniem armatki wodne, wreszcie rozległy się serie maszynowej broni i w jednej chwili powietrze zagrało pianiem pocisków. Tu już nie było żartów; padłem za betonowym murkiem podjazdu niczym za brustwerą okopu, między Stantorem a Haynesem z „Washington Post”; w paru słowach uświadomiłem ich, oni zaś, oburzywszy się na mnie zrazu za to, że jako pierwszemu zdradziłem tak nagłówekowy sekret reporterowi a AFP, poczołgali się biegiem do hotelu, lecz niebawem wrócili z zawiedzionymi minami: łączności już nie było. Stantor dopadł jednak oficera, który kierował obroną hotelu, i od niego dowiedział się, że za chwilę nadlecą samoloty załadowane b e m b a m i, to jest Bombami Miłości Bliźniego (BMB); jakoż kazano nam opuścić plac, wszyscy zaś policjanci co do jednego nałożyli maski gazowe ze specjalnymi pochłaniaczami. I nam też j e rozdano.

Profesor Trottelreiner, który, jak chciał przypadek, jest specjalistą właśnie w zakresie farmakologii psychotropowej, ostrzegł mnie, żebym się maską gazową w żadnym wypadku nie posługiwał, ponieważ przestaje ona działać ochronnie przy większych stężeniach aerozolu; powstaje wtedy zjawisko tak zwanego przeskoku przez pochłaniacz i w jednym momencie można wówczas łyknąć dawkę większą, niż gdyby się zwyczajnie oddychało otaczającym powietrzem. Na moje pytania odpowiedział, że jedynym zbawiennym środkiem jest aparat tlenowy; poszliśmy więc do hotelowej recepcji i znalazłszy jeszcze ostatniego pracownika na posterunku, odszukaliśmy za jego wskazaniem pomieszczenia przeciwpożarowe, gdzie istotnie nie brakowało aparatów tlenowych systemu Draegera z zamkniętym krążeniem. Tak zabezpieczeni, wróciliśmy z profesorem na ulicę w momencie,

gdy przeraźliwy gwizd rozcinanego powietrza zwiastował nalot pierwszych samolotów. Jak wiadomo, Hilton został omyłkowo zbombardowany w parę chwil po rozpoczęciu powietrznego uderzenia; jego skutki okazały się straszne. B e m b y trafiły co prawda tylko to odległe skrzydło niższej części zabudowań, w którym na wynajętych stoiskach znajdowała się wystawa urządzona przez Zjednoczenie Wydawców Wyzwolonej Literatury, tak że z gości hotelowych na razie nikt nie poniósł szwanku, lecz za to paskudnie dostało się strzegącej nas policji. Po minucie paroksyzmy miłości bliźniego przybrały w jej szeregach charakter masowy. Na moich oczach policjanci, zdarłszy maski z twarzy, zalewając się gorącymi łzami skruchy, na kolanach błagali demonstrantów o wybaczenie, wtykali im siłą swe solidne pałki, dopraszając się możliwie tęgiego bicia, a po dalszym bembardowaniu, kiedy stężenie aerozolu wzrosło jeszcze bardziej, rzucali się jeden przez drugiego, aby pieścić i miłować każdego, kto się tylko nawinął. Przebieg wypadków udało się zrekonstruować, a i to jedynie częściowo, w szereg tygodni po całej tej tragedii. Rząd postanowił z rana zdławić w zarodku szykujący się zamach stanu, wprowadzając do wieży ciśnień około 700 kilogramów dwuładgodku dobruchanu oraz superkaresyny z felicytolem; odcięto zapobiegawczo dopływ wody do koszar policyjnych i wojskowych, lecz dla braku rzeczoznawców akcja ta musiała spalić na panewce: nie uwzględniono ani zjawiska przeskoków aerozoli przez filtry masek, ani tym bardziej tego, że rozmaite grupy społeczne wybitnie niejednakowym sposobem korzystają z wody pitnej.

Konwersja policji zaskoczyła tedy czynniki rządowe tym okrutniej, że, jak mi wyjaśnił Trottelreiner, działanie benignatorów jest tym potężniejsze, w im słabszym stopniu poddany im człowiek podlegał dotąd naturalnym, przyrodzonym impulsom życzliwości i dobra. To wyjaśnia fakt, że kiedy dwa samoloty następnej fali zbombardowały siedzibę rządu, wielu najwyższych funkcjonariuszy policyjnych oraz wojskowych popełniło samobójstwa, nie mogąc wytrzymać okropnych wyrzutów sumienia w związku z uprawianą dotąd polityką. Gdy jeszcze dodać, że sam generał Diaz, nim skończył ze sobą wystrzałem rewolwerowym, kazał otworzyć bramy więzień i wypuścić wszystkich politycznych więźniów, łatwiej można zrozumieć wyjątkowe nasilenie walk, do jakich doszło w ciągu nocy. Oddalone od miasta bazy lotnicze były wszak nie tknięte, a oficerowie ich mieli swe rozkazy, których trzymali się do ostatka; obserwatorzy zaś wojskowi i policyjni w swoich hermetycznych bunkrach, widząc, co się dzieje, uciekli się wreszcie do ostateczności, która całe Nounas pogrążyła w szale uczuciowego pomieszania. O wszystkim tym nie mieliśmy naturalnie w Hiltonie pojęcia. Dochodziła jedenasta w nocy, gdy na scenie wojennego teatru, jaki stanowił teraz plac razem z otaczającymi go parkami palmowymi, zjawiły się pierwsze pancerne jednostki

armii; musiały zdławić miłość bliźniego, jaką okazywała policja, i uczyniły to, nie szczędząc krwi. Biedny Alphonse Mauvin stał o krok od miejsca, w którym wybuchł granat udobruchujący; siła eksplozji oderwała mu palce lewej ręki i lewe ucho, on jednak zapewniał mnie, że ta ręka od dawna była mu na nic, o uchu szkoda w ogóle mówić, a gdybym tylko chciał, zaraz mi ofiaruje drugie; wydobył nawet z kieszeni scyzoryk, ale mu go odebrał łagodnie i zaprowadziłem go do zaimprovizowanego punktu opatrunkowego, gdzie się nim zajęły sekretarki wyzwolonych wydawców, wszystkie zresztą łkające jak bobry wskutek chemicznego nawrócenia; mało, że się poubierały, ale chodziły nawet z zaimprovizowanymi czarczafami na twarzach, by nie kusić nikogo do grzechu; niektóre, co mocniej wzięte, poobcinały sobie włosy do samej skóry — nieszczęsne istoty. Wracając z sali opatrunkowej, miałem fatalnego pecha natknąć się na grupę wydawców. Nie poznałem ich zrazu; poodziwiali się w jakieś stare jutowe worki, przepasywali sznurami, które służyły im też do biczowania, i krzycząc zmiłowania jeden przez drugiego, poklękali przede mną, błagając, bym zechciał należycie wysmagać ich za deprawowanie społeczeństwa. Jakież było moje zdumienie, kiedy przyjrzawszy się im dokładniej, rozpoznałem w tych flagellantach wszystkich pracowników „Playboya” wraz z redaktorem naczelnym! Ten ostatni zresztą nie dał mi się wymknąć, tak mu dopiekało sumienie. Błagali mnie, pojmując, że dzięki aparatowi tlenowemu tylko ja jeden mogę im skrzywić włos na głowie; wreszcie, wbrew woli, zgodziłem się dla świętego spokoju spełnić ich prośby. Ręka mi zemdląła, duszno mi się zrobiło w masce tlenowej, obawiałem się, że nie znajdę innej, pełnej butli, gdy ta mi się skończy, ale oni, ustawivszy się w długi ogonek, nie mogli się doczekać swej kolei. Aby się od nich odczepić, kazałem im wreszcie pozbierać wszystkie te olbrzymie plansze barwne, które wybuch b e m by w bocznym skrzydle Hiltona rozrzucił po całym hallu, tak że wyglądało w nim niczym w Sodomie i Gomorze razem wziętych; na moje polecenie wzniesli z owych papierzysk ogromny stos przed wejściem i podpalili go. Niestety, artyleria stacjonująca w parku wzięła płonący stos za jakąś sygnalizację i skoncentrowała na nas ogień. Czmychnąłem jak niepyszny, po to tylko, by w suterenie dostać się w ręce pana Harveya Simwortha, pisarza, który wpadł na pomysł przerabiania bajek dziecinnych na utwory pornograficzne (to on napisał Długi Czerwony Kapturek jako też Ali Babę i czterdziestu zboczeńców), potem zaś zbił majątek na przeinaczaniu klasyki światowej; stosował prosty chwyt dopełniania tytułu każdego dzieła przydawką „życie płciowe” (np. — „krasnotuldków z sierotką Marysią”, „Jasia z Małgosią”, „Aladyna z lampą”, „Alicji w krainie czarów”, „Guliwera” itd., bez końca). Darmo mu się wymawiałem, że już ręką nie mogę ruszyć. Wobec tego — krzyczał, łkając — muszę go przynajmniej skopać. Cóż było robić — uległem raz

jeszcze. Po tych przejściach byłem tak wyczerpany fizycznie, że ledwo dotarłem do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie na szczęście znalazłem jeszcze parę nie tkniętych tlenowych butli. Siedział tam, na zwiniętym hydrancie, prof. Trottelleiner, zatopiony w lekturze referatów futurologicznych, wielce rad z tego, że znalazł wreszcie chwilę czasu w swej karierze zawodowego objeżdżacza kongresów. Tymczasem bombardowanie trwało w najlepsze. Profesor Trottelleiner radził stosować w ciężkich wypadkach porażenia miłością (okropny był zwłaszcza napad życzliwości powszechnej, przebiegający z pieszczotliwymi drgawkami) kataplazmy oraz duże dawki rycyny na przemian z płukaniem żołądka.

W ośrodku prasowym Stantor, Wooley z „Heralda”, Sharkey i Kiintze, fotoreporter pracujący chwilowo dla „Paris Match”, grali z maskami na twarzach w karty, bo dla braku łączności nie mieli nic lepszego do roboty. Gdy zacząłem im kibicować, przybiegł Jo Missinger, senior dziennikarstwa amerykańskiego, wołając, że policji rozdano pastylki furyasolu, aby przeciwdziałać benignatorom. Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać; pogналиśmy do piwnic, niebawem wyjaśniło się jednak, że pogłoska była fałszywa. Wyszliśmy więc przed hotel; melancholijnie stwierdziłem, że brakuje mu wyższych kilkudziesięciu pięt; lawina gruzu pochłonięła mój apartament ze wszystkim, co się tam znajdowało. Luna ogarnęła trzy czwarte nieba. Barczysty policjant w hełmie gnał za jakimś wyrostkiem krzyżąc: — Stój, dlaboga, stój, przecież ja cię kocham! — lecz tamten puścił te zapewnienia mimo uszu. Jakoś ucichło, a dziennikarzy korciła zawodowa ciekawość, ruszyliśmy więc ostrożnie w stronę parku; odbywały się w nim, ze znacznym udziałem tajnej policji, msze czarne, białe, różowe i mieszane. Obok stał olbrzymi tłum ludzi płaczących jak bobry; trzymali nad głowami tablicę z ogromnym napisem: LŻYJCIE NAS, MYŚMY PROWOKATORZY! Sądząc podług ciżby tych nawróconych Judaszów, wydatki rządowe na ich etaty musiały być spore i wpłynęły ujemnie na sytuację ekonomiczną Costaricans. Wróciwszy do Hiltona, ujrzeliśmy przed nim inny tłum. Wilczury policyjne, przedzierzgnąwszy się w psy z Góry Świętego Bernarda, wносиły z hotelowego baru najdroższe trunki i rozdawały je wszystkim bez wyboru; w samym zaś barze, przemierzawszy się, policjanci i kontestatorzy śpiewali na przemian pieśni wywrotowe i zachowawcze. Zajrzałem do piwnicy, lecz sceny nawróceń, dopieszczceń, pokajań i umiłowañ, które tam zobaczyłem, tak mnie zniesmaczyły, że udałem się do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie, jak wiedziałem, siedział prof. Trottelleiner. I on, ku memu zdziwieniu, dobrał sobie trzech partnerów, z którymi grał w brydża. Docent Ouetzalcoatl zagrał spod atutowego asa, co tak rozgniewało Trottelleinera, że wstał od stołu; gdy go z innymi uspokajał, przez drzwi wsadził głowę Sharkey, by powiedzieć nam, że złapał na tranzystorze przemowę generała

Aquillo: zapowiedział on krwawe zdławienie rokoszu konwencjonalnym bombardowaniem miasta. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy wycofać się do najniższej kondygnacji Hiltona, to jest kanalizacyjnej, umieszczonej pod schronami. Ponieważ kuchnia hotelowa legła w gruzach, nie było co jeść; zgłodniali kontestatorzy, filumeniści i wydawcy zapychali się czekoladowymi pastylkami, odżywkami i galaretkami wzmacniającymi potencję, które znaleźli w opustoszałym centro erotico , zajmującym narożnik hotelowego skrzydła; widziałem, jak mienili się na twarzach, gdy podniecające afrodyzjaki i lubczyki mieszały się w ich żyłach z benignatorami; strach było pomyśleć, do czego ta chemiczna eskalacja doprowadzi. Widziałem bratanie się futurologów z indiańskimi pucybutami, tajnych agentów w objęciach służby hotelowej , fratemizację ogromnych tłustych szczurów z kotami — nadto wszystkich bez różnicy lizały psy policyjne. Nasza powolna wędrówka — musieliśmy bowiem przebijać się z trudem przez ciżbę — dała mi się we znaki, zwłaszcza że niosłem, zamykając pochód, połowę zapasu butli tlenowych. Głaskany, całowany po rękach i nogach, adorowany, dusząc się od uścisków i pieszczot, uparcie brnąłem przed siebie, aż posłyszałem okrzyk triumfu Stantora: znalazł wejście do kanału! Ostatnim zrywem sił podźwignęliśmy ciężką klapę i po kolei jęliśmy się opuszczać do betonowej studzienki. Podpierając profesora Trottelreintera, któremu noga omskła się na szczeblu żelaznej drabinki, spytałem go, czy tak sobie wyobrażał ten kongres. Zamiast odpowiedzi, usiłował pocałować mnie w rękę, co od razu wzbudziło moje podejrzenia, jakoż okazało się, że wskutek przekrzywienia maski łyknął nieco zadżumionego dobrocią powietrza. Zastosowaliśmy natychmiast męki, oddychanie czystym tlenem i czytanie na głos referatu Hayakawy — to była myśl Howlera. Odzyskawszy przytomność, co udokumentował serią soczystych przekleństw, profesor kontynuował marsz wraz z nami. Niebawem ukazały się w mdłym świetle latarki oleiste plamy na czarnej powierzchni kanału; widok ten przyjęliśmy z najwyższą radością, jako że obecnie od powierzchni bombardowanego miasta oddzielało nas dziesięć metrów ziemi. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że o tym azylu pomyślał już ktoś przed nami. Na betonowym progu siedziała w komplecie dyrekcja Hiltona; przezorni menażerowie zaopatrzyli się w plastikowe nadymane fotele z basenu hotelowego, radia, baterię whisky, schweppesa i cały zimny bufet. Ponieważ i oni używali aparatów tlenowych, nie było nawet mowy o tym, by chcieli się z nami czymkolwiek podzielić. Przybraliśmy jednak groźną postawę, a że mieliśmy liczebną przewagę, udało się nam ich przekonać. W z lekka wymuszonej zgodzie wzięliśmy się do pałaszowania homarów; tym nie przewidzianym przez program posiłkiem zakończył się pierwszy dzień zjazdu futurologicznego.

Znużeni przejściami burzliwego dnia jęliśmy się sposobić do noclegu w

okolicznościach bardziej niż spartańskich, zważywszy, że przychodziło ułożyć się do snu na wąskim chodniku betonowym, noszącym ślady kanalizacyjnego przeznaczenia. Toteż jako pierwszy powstał problem sprawiedliwego rozdziału nadymanych foteli, w które zaopatrzyła się przezorna dyrekcja Hiltona. Foteli było sześć, dla dwunastu osób, bo sześciuosobowy zarząd hotelu godził się udostępnić te legowiska, na prawach wspólnoty, sekretarkom; tymczasem nas, którzyśmy zeszli do kanału pod przewodem Stantora, było dwudziestu, w tym grupa futurologiczna profesorów Dringenbauma, Hazeltona i Trottelreinerera, grupa dziennikarzy i sprawozdawców telewizji CBS, z dokooptowanymi po drodze dwiema osobami, a mianowicie nie znanym nikomu krzepkim mężczyzną w skórzanej kurtce i bryczesach oraz małą Jo Collins, osobistą współpracownicą redaktora „Playboya”; Stantor zamierzał wykorzystać jej chemiczne nawrócenie i już po drodze zmawiał się z nią, jak słyszałem, o prawo pierwodruku jej wspomnień. Przy sześciu fotelach i trzydziestu siedmiu reflektantach sytuacja natychmiast się zaogniła. Staliśmy po obu stronach tych pożądaných legowisk, patrząc na siebie spode łba, do czego zresztą zmuszały maski tlenowe. Ktoś zaproponował, żeby na dany znak wszyscy zdjęli te maski; w samej rzeczy jasne było, że, opanowani wówczas altruizmem, zlikwidujemy w ten sposób przedmiot sporu. Mimo to nikt się nie kwapił do realizacji projektu. Po długich swarach doszło wreszcie do kompromisu — zgodziliśmy się na losowanie i trzygodzinny sen po kolejny; za losy posłużyły kupony owych pięknych kopulacyjnych książeczek, jakie niektórzy z nas mieli jeszcze przy sobie. Tak się złożyło, że przyszło mi spać w pierwszej zmianie, razem z profesorem Trottelreinerem, bardziej chudym, a nawet kościstym, niżbym sobie mógł tego życzyć, skoro dzieliliśmy łożę (a raczej fotel). Nasi następcy w kolejce zbudzili nas brutalnie i gdy układali się na wygrzanych legowiskach, przykucnęliśmy nad brzegiem kanału, niespokojnie sprawdzając stan ciśnienia w butlach tlenowych. Było już jasne, że tlen skończy się za kilka godzin; perspektywa zniewolenia dobrocią zdawała się nieunikniona i nastrojała wszystkich ponuro. Wiedząc o tym, że zakosztowałem już owego błogostanu, towarzysze wypytywali mnie skwapliwie o wrażenia. Zapewniałem ich, że nie jest to takie złe; mówiłem jednak bez większego przekonania. Morzyła nas senność; żeby nie powpadać do kanału, przywiązaliśmy się, czym kto mógł, do żelaznej drabinki pod klapą. Z niespokojnej drzemki wyrwał mnie odgłos wybuchu silniejszego niż wszystkie dotąd; rozejrzałem się w panującym półmroku, bo przez oszczędność wszystkie latarki prócz jednej zgaszono. Na brzeg kanału włączyły wielkie, grube szczury. Było to o tyle dziwne, że szły gęsiego i na tylnych łapach; uszczypnąłem się, ale to nie był sen. Zbudziłem profesora Trottelreinerera i pokazałem mu ów fenomen; nie wiedział, co o nim myśleć. Szczury chodziły parami, nie zwracając na nas najmniejszej

uwagi; w każdym razie nie brały się do lizania nas, co stanowiło już podług profesora dobry znak; najprawdopodobniej powietrze było czyste. Ostrożnie zdjęliśmy maski. Obaj reporterzy po mojej prawicy spali w najlepsze; szczury wciąż spacerowały na dwóch nogach, my zaś z profesorem zaczęliśmy kichać, bo tak zakręciło nam w nosie; sądziłem zrazu, że to skutek kanałowych zapachów — dopóki nie spostrzegłem pierwszych korzonków. Schyliłem się nad własnymi nogami. Nie było mowy o pomyłce. Wypuszczałem korzenie, mniej więcej od kolan, wyżej natomiast zazieleniłem się. Teraz puszczałem już pąki nawet rękami. Otwierały się szybko, rosły w oczach, nabrzmiwały, białawe co prawda, jak to zwykle bywa z roślinnością w piwnicy; czułem, że jeszcze chwila, a zaczną owocować. Chciałem zapytać Trottelnreina, jak to sobie tłumaczy, ale musiałem podnieść głos, tak szumiał. Śpiący też przypominali strzyżony żywopłot, obsypany liliowym i szkarłatnym kwieciem. Szczury skubały listki, gładziły się łapkami po wąsach i rosły. Pomyślałem, że jeszcze trochę, a można będzie ich dosiąść; tęskniłem — jak to drzewo — do słońca. Jakby z ogromnej odległości doszły mnie miarowe grzmoty, coś obsypywało się, huczało, echo szło korytarzami, zacząłem czerwienieć, potem zazłociłem się, wreszcie sypnąłem liśćmi. Co, już jesień — zdziwiłem się — tak prędko?

Lecz jeśli tak, to już odjeżdżać czas, wykorzeniłem się więc i nastawiłem dla pewności ucha. Ani chybi — surmy grały. Okulbaczony szczur, okaz wyjątkowy nawet jak na wierzchowego, odwrócił głowę i spojrzał na mnie spod obwisłych skośnie powiek smutnymi oczami profesora Trottelnreina. Zacukałem się od nagłej wątpliwości: jeżeli to profesor przypominający szczura, dosiąść go nie uchodzi, ale jeśli tylko szczur podobny do profesora, nic to. Lecz surmy grały. Skoczyłem nań na oklep i wpadłem do kanału. Dopiero ta wstrętna kąpiel otrzeźwiła mnie. Trzęsąc się z obrzydzenia i wściekłości wylazłem na chodnik. Szczury niechętnie zrobiły mi nieco miejsca. Dalej spacerowały na dwu nogach. Ależ to jasne — przemknęło mi — halucynogeny: gdy ja miałem się za drzewo, czemuż one nie mogły się mieć za ludzi? Po omacku szukałem maski tlenowej, aby ją wdziać czym prędzej. Odnalezioną zacząłem naciągać na twarz, oddychając jednak niespokojnie, bo skąd wziąć pewność, czy to maska rzetelna, czy tylko jej przywidzenie?

Wokół mnie pojaśniało nagle — podniósłszy głowę, ujrzałem otwartą klapę, a w niej sierżanta armii amerykańskiej, który wyciągał do mnie rękę.

— Prędzej! — zawołał. — Prędzej!

— Co, helikoptery przyleciały?! — zerwałem się na równe nogi.

— Na górę, szybko! — wołał.

Inni też się już podrywali. Wspiąłem się po drabince.

— Nareszcie! — dyszał pode mną Stantor. Na górze było jasno od pożaru. Rozejrzałem się — żadnych helikopterów, jedynie kilku żołnierzy w bojowych hełmach, z podpinkami spadochroniarzy, podawało nam jakąś uprząż.

— Co to jest? — spytałem zdziwiony.

— Prędej, prędzej! — wołał sierżant. Żołnierze zaczęli mnie kulbaczyć. Halucynacja! — pomyślałem.

— Nic podobnego — rzekł sierżant — to są olstra skokowe, nasze indywidualne rakietki, zbiornik jest w tornistrze. Złap się pan za to — wetknął mi w rękę jakąś dźwignię, gdy żołnierz, stojący za moimi plecami, dociągał gurt pasa. — Dobra!

Sierżant klepnął mnie po ramieniu i nacisnął coś na moim tornistrze. Rozległ się przeciągły, ostry świst, para czy też biały dym, buchający z dyszy tornistra, owionął mi nogi, zarazem uniosłem się jak piórko w powietrze.

— Ależ ja nie umiem tym kierować! — wołałem, mknąc świecą w czarne niebo, groźnie połyskujące lunami.

— Nauczy się pan! Azymut na Gwiazdę Po-lar-ną!! — krzyczał z dołu sierżant.

Spojrzałem pod nogi. Pędziłem właśnie nad gigantyczną kupą gruzu, która niedawno jeszcze była hotelem Hiltona. Obok widniała maleńka gromadka ludzi, dalej ogromnym pierścieniem buchały krwawe języki ognia, na jego tle zaczerniała okrągła plamka — to startował, z otwartym parasolem, profesor Trottelleiner. Obmacywałem się sprawdzając, czy pasy i szleje trzymają jak należy. Tornister bulgotał, dudlił, świszczwał, para buchająca odrzutem coraz mocniej parzyła mi łydki, podkurczałem je więc, jak mogłem, od tego jednak straciłem stateczność i przez dobrą minutę kręciłem się w powietrzu jak ciężki bąk. Potem — nieumyślnie — szarpnąwszy dźwignię, coś zmieniłem w ustawieniu wylotów, bo jednym rzutem puściłem się w poziomy lot. Było to nawet dość przyjemne, a byłoby daleko milsze, gdybym przynajmniej wiedział, dokąd lecę. Manipulowałem dźwignią, starając się zarazem ogarnąć całą leżącą pode mną przestrzeń. Czarnymi zębami rysowały się ruiny domów na ścianach pożarów. Zobaczyłem błękitne, czerwone i zielone nitki ognia, które poszybowały ku mnie z ziemi, zapiało mi przy uchu, pojąłem, że strzelają do mnie. A więc szybciej, szybciej! Nacisnąłem dźwignię. Tornister charknął, zagwizdał jak nadpsuty parowóz, oblał mi ukropem nogi i tak mnie pchnął, że pomknąłem koziołkując w czarny jak smoła przestwór. Wichur gwizdał mi w uszach, czułem, jak scyzoryk, portfel i inne drobiazgi sypią mi się z kieszeni, spróbowałem znurkować za utraconymi przedmiotami, ale znikły mi z oczu. Byłem sam, pod spokojnymi gwiazdami, i wciąż sycząc, szumiąc, dudniąc — leciałem. Starłem się odnaleźć Gwiazdę Polarną, by wejść na jej kurs; gdy mi się to udało, tornister wydał ostatnie

tchnienie i z rosnącą chyżością runąłem w dół. Na całe szczęście tuż nad ziemią — widziałem wijącą się mgławo szosę, cienie drzew, jakieś dachy — raz jeszcze rzygnął resztką pary. Odrzut ten zahamował mój upadek, tak że poleciałem dość nawet miękko na trawę. Ktoś leżał nie opodal w rowie i jęczał. Byłoby doprawdy dziwne — pomyślałem — gdyby się tam znajdował profesor! W samej rzeczy to był on. Pomogłem mu wstać. Obmacał całe ciało narzekając, że zgubił okulary. Zresztą nic złego sobie nie zrobił. Poprosił, abym pomógł mu odpiąć tornister. Ukląkł na nim i wyciągnął coś z bocznej kieszeni; były to jakieś stalowe rurki z kołem.

— A teraz pański...

Z mego tornistra też wydobył koło, coś tam majstrował, aż zawołał:

— Wsiadać! Jedziemy,

— Co to jest? Dokąd? — spytałem oszołomiony.

— Tandem. Do Waszyngtonu — lakonicznie odparł profesor, już z nogą na pedale.

— Halucynacja! — przemknęło mi.

— Skąd! — obruszył się Trottelreiner. — Zwykle wyposażenie spadochroniarskie.

— No dobrze, ale skąd się pan na tym zna? — pytałem, sadowiąc się na tylnym siodełku. Profesor odepchnął się i pojechaliśmy po trawie, aż ukazał się asfalt.

— Pracuję dla USAF! — odkrzyknął profesor, zawzięcie pedałuując.

O ile pamiętałem, od Waszyngtonu dzieliły nas jeszcze Peru i Meksyk, nie mówiąc o Panamie.

— Nie damy rady rowerem! — zawołałem pod wiatr.

— Tylko do punktu zbornego! — odkrzyknął profesor. Czyżby nie był zwyczajnym futurologiem, za jakiego się podawał? Wpakowałem się w nie byle jaką kabałę... I co ja mam do roboty w Waszyngtonie? Zacząłem hamować.

— Co pan robi? Proszę kręcić! — surowo strofował mnie profesor pochylony nad kierownicą.

— Nie! Stajemy. Ja wysiadam! — odparłem zdecydowanie.

Tandem zatoczył się i zwolnił. Profesor, wspierając się nogą o ziemię, pokazał mi szyderczym gestem dookolne mroki.

— Jak pan chce. Szczęść Boże! Ruszał już.

— Bóg zapłać! — zawołałem i patrzałem w ślad za nim; czerwona iskierka tylnego światła znikła w ciemności, ja zaś, zdezorientowany, usiadłem na słupku milowym, żeby przemyśleć własną sytuację.

Coś kłuło mnie w łydkę. Machinalnie sięgnąłem ręką, wymacałem jakieś gałązki i

jąłem je obłamywać. Zabolało. Jeżeli to są moje pędy — rzekłem sobie — jestem niewątpliwie nadal wewnątrz halucynacji! Pochyliłem się, żeby to sprawdzić, gdy wtem uderzyła we mnie jasność. Zza zakrętu błysnęły srebrne jody, olbrzymi cień samochodu zwolnił, otwartą się drzwi. Wewnątrz pałały zielone, złotawe i niebieskie pasemka światełek na tablicy rozdzielczej, matowy blask spowijał parę kobiecych nóg w nylonach, stopy w złotej jaszczurce spoczywały na pedałach, ciemna twarz z pąsowymi wargami pochyliła się ku mnie, zabłyśły brylanty na palcach trzymających koło kierownicze.

— Podwieźć?

Wsiadłem. Byłem tak zaskoczony, że zapomniałem o moich gałęczkach. Ukradkiem przesunąłem ręką wzdłuż własnych nóg — to były tylko osty.

— Co, już? — odezwał się niski głos o zmysłowym timbrze.

— Niby „co, już?” — spytałem zbity z pantałyku. Wzruszyła ramionami. Potężny samochód skoczył, dotknęła jakiegoś klawisza, zapadł mrok, tylko przed nami gnał strzęp oświetlonej drogi, spod tablicy rozdzielczej popłynęła klaskająca melodia. Jednak to dziwne — myślałem. — Jakoś się nie klei. Ani ręki, ani nogi. Co prawda nie gałęczki, tylko osty, a jednak, jednak!

Przyjrzałem się obcej. Była niewątpliwie piękna, w sposób zarazem kuszący, demoniczny i brzoskwiniowy. Ale zamiast spódniczki miała jakieś pióra. Strusie? Halucynacja?... Z drugiej strony, obecna moda damska... Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Szosa była pusta; rwaliśmy, aż igła tachometru pochyliła się ku krańcowi skali. Naraz jakaś ręka wczepiła mi się z tyłu we włosy. Drgnąłem. Palce, zakończone ostrymi paznokciami, drapały mnie w potylicę, raczej pieścizotliwie niż morderczo.

— Kto to? Co tam? — próbowałem się uwolnić. Nie mogłem jednak ruszyć głową. — Proszę mnie puścić!

Ukazały się światła, jakiś wielki dom, zwir chrupnął pod oponami, samochód zakręcił ostro, przytarł do krawężnika, stanął.

Dłoń, która wciąż dzierżyła mnie za czuprynę, należała do drugiej kobiety, odzianej w czerń, bladej, smukłej, w ciemnych okularach. Drzwi otwarły się.

— Gdzie jesteśmy? — spytałem.

Milcząc przypadły do mnie, ta od kierownicy wypychała mnie, ta druga ciągnęła stojąc już na chodniku. Wylazłem z auta. W domu bawiono się, słyszałem dźwięki muzyki, jakieś pijane krzyki, wodotrysk mienił się żółcią i purpurą w okiennym świetle u podjazdu, moje towarzyski wzięły mnie mocno pod rękę.

— Ależ ja nie mam czasu — bąkałem. Nie zważały na moje słowa ani trochę. Czarna

nachyliła się i gorącym oddechem tchnęła mi w samo ucho:

— Hu!

— Jak proszę?

Byliśmy już przed drzwiami; obie zaczęły się śmiać, nie tyle do mnie, co ze mnie. Wszystko odstręczało mnie od nich; poza tym były coraz mniejsze. Klękały? Nie, nogi obrastały im piórami. No — rzekłem sobie nie bez ulgi — a więc jednak halucynacja!

— Jaka tam halucynacja, fajtłapo! — parsknęła ta w okularach. Podniosła wyszywaną czarnymi perłami torebkę i zdzieliła mnie prosto w ciemię, aż jęknąłem.

— Patrzcie go, halucynanta! — krzyczała druga. Mocny cios trafił mnie w to samo miejsce. Upadłem zakrywając głowę rękami. Otworzyłem oczy. Profesor Trottelreiner pochylał się nade mną z parasolem w ręku. Leżałem na chodniku kanałowym. Szczury w najlepsze chodziły parami.

— Gdzie, gdzie pana boli? — dopytywał się profesor. — Tu?

— Nie, tutaj... — pokazałem spuchnięte ciemię. Ujął parasol za cieńszy koniec i palnął mnie w obolałe miejsce.

— Ratunku! — krzyknąłem. — Proszę przestać! Czemu...

— To jest właśnie ratunek! — odparł futurolog bezlitośnie. — Nie mam, niestety, pod ręką innego antidotum!

— Ale przynajmniej nie skuwką, dlaboga!

— Tak jest pewniej.

Uderzył mnie raz jeszcze, odwrócił się i zawołał kogoś. Zamknąłem oczy. Głowa okrutnie bolała. Poczułem szarpnięcie. Profesor i mężczyzna w skórzanej kurtce chwycili mnie pod rękę i zaczęli gdzieś nieść.

— Dokąd? — zawołałem.

Gruz sypał mi się na twarz z dygocącego stropu; czułem, jak niosący kroczą po jakiejś chwiejnej desce czy kładce i drżałem, żeby się nie pośliznęli. — Dokąd mnie niesiecie? — pytałem słabo, lecz nikt nie odpowiedział. W powietrzu stał nieustanny huk. Zrobiło się jasno od pożaru;

byliśmy już na powierzchni, jacyś ludzie w mundurach chwyтали kolejno wszystkich wyciąganych z otworu kanałowego i ciskali dość brutalnie w otwarte drzwi — mignęły mi olbrzymie białe lakierowane litery US ARMY COPTER 1 109 849 — i upadłem na nosze. Profesor Trottelreiner wetknął głowę do helikoptera.

— Przepraszam, Tichy! — krzyczał. — Proszę wybaczyć! To było konieczne!

Ktoś stojący za nim wyrwał mu z ręki parasol, zdzielił nim profesora dwa razy na

krzyż po głowie i pchnął go, aż futurolog jęknąwszy upadł między nas, równocześnie zaś zaszumiały wirniki, zahuczały motory i maszyna wzbiła się majestatycznie w powietrze. Profesor usiadł przy noszach, na których leżałem, pocierając delikatnie potylicę. Muszę wyznać, że chociaż pojmowałem samarytańskość jego czynów, z zadowoleniem skonstatowałem, że wyrósł mu olbrzymi guz.

— Dokąd lecimy?

— Na kongres — rzekł, wciąż krzywiąc się jeszcze, Trottekeiner.

— To jest... jak to na kongres? Przecież już był?

— Interwencja Waszyngtonu — wyjaśnił mi lakonicznie profesor. — Będziemy kontynuować obrady.

— Gdzie?

— W Berkeley.

— Na kampusie?

— Tak. Ma pan może jakiś nóż albo scyzoryk przy sobie?

— Nie.

Helikopter zatrzęsł się. Grzmot i płomień rozpruły kabinę, z której wylecieliśmy jeden przez drugiego — w bezkresną ciemność. Męczyłem się potem długo. Zdawało mi się, że słyszę jękliwy głos syren, ktoś rozcinał mi ubranie nożem, traciłem przytomność i znów ją odyskiwałem. Trzęsła mną gorączka i zła droga — widziałem matowobiały sufit ambulansu. Obok leżał jakiś długi kształt jakby obandażowanej mumii; po przytroczonym parasolu poznałem profesora Trottelreinera. Ocalałem... — przemknęło mi. — Żeśmy się też nie roztrzaskali na śmierć. Co za szczęście. Nagle pojazd zatoczył się z przenikliwym wrzaskiem opon, wyrzucił kozła, płomień i grzmot rozerwały blaszane pudło. Co, znowu? — ty snęła mi ostatnia myśl, nim pograżyłem się w mrocznej bezpamięci. Otworzywszy oczy, ujrzałem szklaną kopułę nad sobą; jacyś ludzie w bieli, zamaskowani, z rękami wzniesionymi kapłańsko, porozumiewali się półszepem.

— Tak, to był Tichy — doleciało mnie. — Tu, do słoja. Nie, nie, sam mózg. Reszta nie nadaje się. Dawajcie tymczasem narkozę.

Nikłowy krążek, obramowany watą, zasłonił mi wszystko, chciałem krzyczeć, wołać pomocy, ale wciągnąłem piekący gaz i rozplynałem się w nicości. Gdy znów przyszło ocknięcie, nie mogłem otworzyć oczu, ruszyć ręką ani nogą, jakbym był sparaliżowany. Ponawiałem te wysiłki, nie bacząc na ból w całym ciele.

— Spokojnie! Proszę się tak nie rzucać! — usłyszałem miły, melodyjny głos.

— Co? Gdzie jestem? Co ze mną... ? — wybełkotałem. Miałem zupełnie obce usta,

całą twarz.

— Jest pan w sanatorium. Wszystko dobrze. Proszę być dobrej myśli. Zaraz damy panu jeść...

Ale ja nie mam czym... — chciałem odpowiedzieć. Rozległ się szcęk nożyc. Całe płaty gazy odpadały z mojej twarzy. Pojaśniało. Dwu roślących pielęgniarzy wzięło mnie delikatnie, lecz mocno pod ręce i postawiło na równe nogi. Zdumiałem się, że tacy są ogromni. Posadzili mnie na fotelu z kółkami. Przede mną dymił apetycznie wyglądający rosół. Sięgnąłem automatycznie po łyżkę i zauważyłem, że ręka, która ją chwyciła, była mała i czarna jak heban. Podniosłem ją do oczu. Sądząc po tym, że mogłem nią ruszać, jak chciałem, była to moja ręka. Bardzo jednak się zmieniła. Chcąc spytać o przyczynę tego zjawiska, podniosłem się i moje oczy napotkały lustro na przeciwległej ścianie. W fotelu na kółkach siedziała tam młoda przystojna Murzynka w piżamie, obandażowana, z wyrazem osłupienia na twarzy. Dotknąłem nosa. Odbicie w lustrze zrobiło to samo. Zacząłem obmacywać twarz, szyję, a natrafiwszy na biust, wydałem okrzyk trwogi. Głos miałem cieniutki.

— Wielki Boże!

Pielęgniarka strofowała kogoś, że nie zasłonił lustra. Potem zwróciła się do mnie:

— Ijon Tichy, nieprawdaż?

— Tak. To znaczy — tak! tak!! Ale co to ma znaczyć? Ta dziewczyna — ta czarna panienka?

— Transplantacja. Nie dało się inaczej. Chodziło o to, żeby uratować panu życie. Żeby uratować pana, to znaczy

— pański mózg! — pospiesznie, a zarazem wyraźnie mówiła pielęgniarka, trzymając mnie za obie ręce. Zamknąłem oczy. Otwarłem je. Zrobiło mi się słabo. Wszedł chirurg z wyrazem najwyższego oburzenia na twarzy.

— Co to za nieporządki! — huknął. — Pacjent może wpaść w szok!

— Już wpadł! — odrzuciła pielęgniarka. — To Simmons, panie profesorze. Mówiłam mu, żeby zasłonił lustro!

— Szok? A więc na co czekacie? Na operacyjną! — zakomenderował profesor.

— Nie! Już dosyć! — wołałem. Nikt nie zwracał uwagi na moje dziewczęce piski. Biała płachta opadła mi na oczy i twarz. Usiłowałem wyrwać się

— nadaremnie. Słyszałem i czułem, jak ogumione koła wózka toczą się po płytach posadzki. Rozległ się przeraźliwy huk, z ostrym trzaskiem pękały jakieś szyby. Płomień i grzmot wypełniły szpitalny korytarz.

— Kontestacja! Kontestacja! — wydierał się ktoś, szkło chrupało pod butami uciekających, chciałem zedrzeć z siebie krępujące płótna, ale nie mogłem; poczułem ból w boku, przeraźliwy, i straciłem przytomność.

Ocknąłem się w kisielu. Był żurawinowy, wyraźnie nie dosłodzony. Leżałem na brzuchu, przywalało mnie coś dużego, dość miękkiego. Straciłem to z siebie. Był to materac. Ceglany gruz boleśnie wpijał się w kolana i powierzchnię dłoni. Wypluwałem pestki żurawinowe i ziarenka piasku, podnosząc się na rękach. Separatka wyglądała jak po wybuchu bomby. Futryny wyskoczyły, ostatnie nie dotłuczone zęby szkła chyliły się z nich ku podłodze. Siatka obalonego łóżka była osmalona. Obok mnie, powalany kisielem, leżał duży zadrukowany arkusz. Ująłem go i zacząłem czytać.

Kochany Pacjencie (imię, nazwisko)! Przebywasz obecnie w naszym eksperymentalnym szpitalu stanowym. Zabieg, który uratował Ci życie, był poważny — bardzo poważny (niepotrzebne skreślić). Nasi najlepsi chirurdzy, w oparciu o najnowsze osiągnięcia medycyny, dokonali na Tobie jednej — dwu — trzech — czterech — pięciu — sześciu — siedmiu — ośmiu — dziewięciu — dziesięciu operacji (niepotrzebne skreślić). Byli oni zmuszeni, dla Twego dobra, zastąpić pewne części Twojego organizmu narządami, wziętymi od innych osób zgodnie z Ustawą Federalną Izb Kongr. i Sen. (Rozp.Dz. Ust. 1 989/0 001/89/1). To serdeczne powiadomienie, które obecnie czytasz, ma Ci pomóc w najlepszym zaakomodowaniu się do nowo powstałych warunków życia. Ocaliliśmy je dla Ciebie. Jednakowoż byliśmy zmuszeni usunąć Ci ręce, nogi, grzbiet, czaszkę, kark, brzuch, nerki, wątrobę, inne (niepotrzebne skreślić). Możesz być całkowicie spokojny o los owych Twoich doczesnych szczątków; zaopiekowaliśmy się nimi zgodnie z Twoją religią i wierni jej zaleceniom dokonaliśmy ich pogrzebania, spalania, mumifikacji, rozsiania prochów na wietrze, napełnienia urny popiołem, poświęcenia, wysypania do śmieci (niepotrzebne skreślić). Nowa postać, w jakiej będziesz odtąd pędzić szczęśliwe i zdrowe życie, może stanowić dla Ciebie niejaki zaskoczenie, lecz zapewniamy Cię, że jak wszyscy nasi inni drodzy pacjenci, wnet się przyzwyczaisz. — Uzupełniliśmy Twój organizm, wykorzystując najlepsze, sprawne, dostateczne, takie organy (niepotrzebne skreślić), jakie mieliśmy do dyspozycji. Gwarantujemy Ci sprawność owych organów na prze ciąg roku, sześciu miesięcy, kwartału, trzech tygodni, sześciu dni (niepotrzebne skreślić). Musisz zrozumieć, że...

Na tym się tekst urywał. Teraz dopiero zauważyłem, że na samej górze arkusza napisał ktoś blokowymi literami: IJON TICHY. Oper. 6,7 i 8. KOMPLET. Papier zadygotał mi w rękach. Wielki Boże, co ze mnie zostało? Bałem się spojrzeć nawet na własny palec. Grzbiet dłoni porastały grube, rude włosy. Zatrząsałem się cały. Wstałem, opierając się o ścianę, z

zawrotem głowy. Biustu nie miałem; dobre i to. Panowała cisza. Jakiś ptaszek ćwierkał za oknem. Wybrał sobie czas na ćwierkanie! KOMPLET. Co znaczy KOMPLET? Kim jestem? Ijonem Tichym. Tego byłem pewien. A więc? Najpierw obmacałem nogi. Były obie, ale krzywe — w iks. Brzuch — nieprzyjemnie spory. Palec wpadł do pępka jak do studni. Fałdy tłuszczu... brr! co się ze mną stało? Helikopter, prawda. Zestrzelono go? Ambulans. Chyba granat lub mina. Potem ja — ta czarna mała — potem kontestacja — na korytarzu — granaty? Więc i ja, biedule... ? I raz jeszcze... Ale co znaczą te ruiny, ten gruz?

— Halo! — zawołałem — jest tu kto?

Urwałem zaskoczony. Miałem wspaniałą głębię, operowy bas, że aż echo poszło. Chciałem koniecznie przejrzeć się w lustrze, lecz bardzo się bałem. Podniosłem rękę do policzka. Mocny Boże! Grube, zwałone kudły... Pochyliwszy się, zobaczyłem własną brodę, zakrywała mi piżamę do pół piersi, rozstrzępiona, kosmata, ruda. Ahaenobarbus! Rudobrody! No, można się ogolić... Wyjrzałem na taras. Ptaszek dalej ćwierkał — kretyn. Topole, sykomory, krzewy — cóż to jest? Ogród. Stanowego szpitala...? Na ławce ktoś siedział, z podkasanymi nogawkami piżamy, i opalał się.

— Halo! — zawołałem.

Odwrócił się. Ujrzałem dziwnie znajomą twarz. Zamrugałem oczami. Ależ to moja, to ja! Trzema susami znalazłem się na zewnątrz. Dysząc, wpatrywałem się we własną postać. Żadnej wątpliwości — to byłem ja!

— Czego pan tak patrzy? — odezwał się niepewnie, moim głosem.

— Skąd to — do pana? — wybełkotałem. — Kto pan jest!? Kto dał panu prawo...

— Aa! to pan! Wstał.

— Jestem profesor Trottelreiner.

— Ale dlaczego... na Boga, dlaczego... kto...

— Nie miałem w tym żadnego udziału — rzekł poważnie. Moje wargi mu drgały. — Wtargnęli tu ci, wie pan — yippiesi. Kontestatorzy. Granat... Stan pana uznano za beznadziejny, mój też. Bo ja leżałem obok, w następnej separacie.

— Jak to „beznadziejny”? — parsknąłem. — Przecież widzę — jak pan mógł!

— Ależ byłem bez przytomności, daję panu słowo! Doktor Fisher, główny chirurg, wyjaśnił mi wszystko: brali najpierw narządy i ciała najlepiej zachowane, a kiedy przyszła moja kolej, zostały już tylko wybierki, więc...

— Jak pan śmie! Mało, że przywłaszczył pan sobie moje ciało, jeszcze się pan wybrzydza!

— Nie wybrzydzam się, powtarzam tylko to, co mówił mi doktor Fisher! Zrazu uznali

to — wskazał własną pierś — za niezdatne, ale w braku czegoś lepszego podjęli się reanimacji. Pan już był w tym czasie przeszczepiony...

— Ja byłem...?

— No tak. Pana mózg.

— Więc kto to jest? To znaczy był? — pokazałem na siebie.

— Jeden z tych kontestatorów. Jakiś przywódca podobno. Nie umiał się obchodzić z zapalnikami, dostał odłamkiem w mózg, tak słyszałem. No więc... — Trottelreiner wzruszył mymi ramionami.

Wzdrygnąłem się. Było mi nieswojo w tym ciele, nie wiedziałem, jak się mam do niego ustosunkować. Brzydziłem się. Paznokcie grube, kwadratowe, nie zwiastowały inteligencji!

— I co będzie teraz? — szepnąłem, siadając obok profesora, bo mi kolana zmiękły. — Ma pan może lusterko?

Wyjął z kieszeni. Zobaczyłem, porwawszy je chciwie, wielkie, podsiniaczone oko, porowaty nos, zęby w fatalnym stanie, dwa podbródki. Dół twarzy tonął w rudej brodzie. Oddając lusterko zauważyłem, że profesor znów wystawił kolana i łydki do słońca i pod wpływem pierwszego impulsu chciałem go przestrzec, że mam nader delikatną skórę, ale ugryzłem się w język. Jeśli dozna słonecznego poparzenia, będzie to jego rzecz, bo już nie moja!

— Dokąd ja teraz pójde? — wyrwało mi się. Trottelreiner ożywił się. Jego (jego?!), rozumne oczy spoczęły ze współczuciem na mej (mej?!) twarzy.

— Nie radzę panu nigdzie iść! On był poszukiwany przez policję stanową i przez FBI za serię zamachów. Są listy gończe, nakazy shoot to kill!

Zadrzałem. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Boże, to jednak chyba halucynacja! — pomyślałem.

— Ale skąd! — żywo zaprzeczył Trottelreiner. — Jawa, drogi panie, najrzetelniejszajawa!

— Czemu szpital taki pusty?

— To pan nie wie? A, prawda, pan był nieprzytomny... Jest strajk.

— Lekarzy?

— Tak. Całego personelu. Ekstremiści porwali doktora Fishera. Żądają wydania im pana w zamian za jego zwolnienie.

— Wydania mnie?

— No tak, nie wiedzą, że pan, nieprawdaż, już nie jest sobą, tylko Ijonem Tichym...

W głowie mi pękało.

— Popęlnię samobójstwo! — rzekłem ochrypłym basem.

— Nie radzę. Żeby znowu pana przesadzili? Rozmyślałem gorączkowo, jak się przekonać, czy to nie jest jednak halucynacja.

— A gdybym tak... — rzekłem podnosząc się.

— Co?

— Gdybym się tak przejechał na panu. Hm? Co pan na to?

— Prze... co? Pan chyba oszalał?

Zmierzyłem go oczami, zebrałem się w sobie, skoczyłem na oklep i wpadłem do kanału. Omal się nie udławiłem czarną, cuchnącą bryją, lecz cóż to była, mimo wszystko, za ulga! Wylazłem na brzeg, szczurów było już mniej, widać sobie gdzieś poszły. Zostały tylko cztery. U samych kolan śpiącego głęboko profesora Trottelreinerja grały jego kartami w brydża. Przeraziłem się. Nawet biorąc pod uwagę niezwykle wysokie stężenie halucynogenów — czy to możliwe, żeby naprawdę mogły grać? Zajrzałem najtłustszemu w karty. Młócił nimi bez ładu i składu. Nie był to żaden brydż! No, nic takiego... Odetchnąłem.

Na wszelki wypadek postanowiłem twardo nie ruszać się na krok od kanału: miałem zupełnie dość wszelkich form ratunku z opresji, przynajmniej na jakiś czas. Będę się domagał pierwszej gwarancji. Inaczej znów Bóg wie co mi się przywidzi. Obmacałem twarz. Ani brody, ani maski. Co się znów z nią stało?

— Co się mnie tyczy — rzekł profesor Trottelreiner, nie otwierając oczu — jestem uczciwą dziewczyną i liczę na to, że zechce pan to uwzględnić.

Nadstawił ucha, jak gdyby uważnie wysłuchiwał odpowiedzi na swe słowa, po czym dorzucił:

— Z mojej strony nie jest to pozór cnotliwości, który by miał dodatkowo rozpaść otepiałą chuć, lecz szczerą prawdą. Proszę mnie nie dotykać, gdyż byłabym zmuszona targnąć się na swoje życie.

Aha! — przemknęło mi domyślnie — więc i jemu spieszno do kanału!

Słuchałem dalej, uspokojony nieco, ponieważ fakt, że profesor halucynował, wydał mi się dowodem na to, iż przynajmniej ja tego nie robię.

— Zaśpiewać mogę, owszem — rzekł tymczasem profesor — skromna piosnka do niczego nie zobowiązuje. Czy będzie mi pan akompaniował?

Jednakże mógł po prostu mówić przez sen; w takim wypadku znów nic nie było wiadomo. Może go dosiąść na próbę? Ale właściwie mógłbym wskoczyć do kanału bez jego pośrednictwa.

— Jakoś nie jestem przy głosie. A i mama na mnie czeka. Proszę mnie nie odprowadzać! — kategorycznie oświadczył Trottelleiner. Wstałem i poświeciłem na wszystkie strony latarką. Szczury znikły. Szwajcarska grupa futurologiczna chrapała pokotem u samej ściany. Opodal, na wydymanyh fotelach, leżeli reporterzy przemieszani z kierownictwem Hiltona. Wszędzie wały się ogryzione kości drobiu i puszki po piwie. Jeśli to halucynacja, to nader, nader realistyczna — rzekłem sobie. Chciałem się jednak upewnić, że nią nie jest. Dalipan, wolałbym powrócić na definitywną, nieodwołalną jawę. A co tam na górze?

Wybuchy bomb, czy też b e m b, odzywały się głucho i z rzadka. Rozległ się bliski, głośny plusk. Powierzchnia czarnych wód rozchyliła się, ukazując skrzywioną twarz profesora Trottelleinera. Podałem mu rękę. Wylazł na brzeg, otrząsnął się i zauważył:

— Miałem idiotyczny sen.

— Paniński, co? — rzuciłem od niechcienia.

— U diabła! A więc nadal halucynuję?!

— Czemu pan tak sądzi?

— Tylko w zwidach osoby postronne znają treść naszych snów.

— Po prostu słyszałem, co pan mówił — wyjaśniłem.

— Profesorze, jako fachowiec nie zna pan przypadkiem jakiejś sprawdzonej metody przekonania się, czy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, czy też cierpi omamy?

— Zawsze noszę przy sobie ocykan. Torebka jest przemoczona, ale pastylkom to nie szkodzi. Przerywa wszelkie stany pomrocne, majaczenia, zwidy i koszmary. Chce pan?

— Być może preparat pański tak działa — mruknąłem — ale na pewno nie działa tak z w i d tego preparatu.

— Jeżeli halucynujemy, obudzimy się, a jeśli nie, nic się zupełnie nie stanie — zapewnił mnie profesor, wkładając sobie do ust bladuróżową pastylkę. Wziąłem i ja jedną z mokrej torebki, którą mi podsunął. Ześliznęła się do gardła po języku. Z hukiem otworzyła się kłapa kanałowa nad nami i głowa w hełmie spadochroniarskim wrzasnęła:

— Prędko, na górę, jazda, prędko, wstawać!

— Helikoptery czy olstra? — spytałem domyślnie. — Jeśli o mnie chodzi, panie sierżancie, może się pan wypchać. I siadłem pod ścianą, krzyżując ręce na piersi.

— Zwariował? — zapytał sierżant rzeczowo Trottelleinera, który począł się wspinać po drabince. Zrobił się ruch. Stantor usiłował mnie podnieść chwyciwszy za ramię, ale odtrąciłem jego rękę.

— Woli pan tu zostać? Proszę bardzo...

— Nie tak: „Szczęść Boże!” — poprawiłem go. Jeden po drugim znikali w otwartej klapie kanału; widziałem blask ognia, słyszałem krzyki komendy, po głuchym świcie zorientowałem się, że kolejno ekspedują ich przy pomocy latających tornistrów. Dziwne — zreflektowałem się — co to właściwie znaczy? Czy ja halucynuję za nich? Perprocura! I co, będę tak siedział do sądnego dnia?

Mimo to ani się ruszyłem. Kłapa zatrzasnęła się z hukiem i zostałem sam. Latarka, postawiona sztorcem na betonie, odbitym w stropie kręgiem światła rozjaśniała słabo otoczenie. Przeszły dwa szczury, miały szczelnie splecione ogony. To coś znaczy — rzekłem sobie — ale lepiej będzie jednak się w to nie wdawać.

Zachlupotało w kanale. No no — rzekłem pod nosem — i czyjaż to kolej teraz? Kleista powierzchnia wody rozstała się, ukazując lśniące, czarne postaci pięciu płetwonurków, w okularach, maskach tlenowych, z bronią w ręku, którzy wskoczyli jeden po drugim na chodnik i szli ku mnie, człapiąc przeraźliwie żabiastymi płetwami stóp.

— Habla usted espanol? — zwrócił się do mnie pierwszy, ściągając maskę z głowy. Miał śniadą twarz i wąsik.

— Nie — odparłem. — Ale jestem przekonany, że pan mówi po angielsku, co?

— Jakiś bezczelny gringo — rzucił ten z wąsikiem drugiemu. Jak na komendę, wszyscy obnażyli twarze i wzięli mnie na cel.

— Mam wejść do kanału? — spytałem ochoczo.

— Masz stanąć pod ścianą. Ręce w górę, a wysoko!

Dostałem lufą w żebra. Zauważyłem, że halucynacja była bardzo dokładna — nawet pistolety maszynowe mieli wszyscy owinięte w plastikowe worki, aby nie zamokły.

— Było ich tu więcej — rzekł ten z wąsikiem do tęgiego bruneta, który usiłował zapalić papierosa. Ten wyglądał mi na dowódcę. Oświecili całe obozowisko, kopiając z hałasem puste puszkę, przewracając fotele, wreszcie oficer rzekł:

— Broń?

— Obmacałem, panie kapitanie. Nie ma.

— Czy mogę spuścić ręce? — spytałem spod ściany. — Bo mi zasypiają.

— Zaraz opadną ci na dobre. Rozwalać?

— Mhm — skinął oficer, wydmuchując nozdrzami dym. — Nie! Czekać! — dorzucił.

Podszedł do mnie, kołysząc się w biodrach. Do pasa miał przytroczony cały pęk złotych pierścionków na sznurku. Niezwykle realistyczne! — pomyślałem.

— Gdzie ci inni? — spytał.

— Mnie pan pyta? Wyhalucynowali się przez kłapę. A zresztą pan to i tak wie.

— Pomieszany, panie kapitanie. Niech się nie męczy — rzekł ten z wąsikami i odciągnął bezpiecznik przez plastikową osłonę.

— Nie tak — rzekł oficer. — Będzie dziura w worku, skąd weźmiesz inny, durniu? Nożem go.

— Jeśli mogę się wtrącić, wolałbym jednak kulę — zauważyłem, nieznacznie opuszczając ręce.

— Kto ma nóż?

Zaczęli szukać. Oczywiście okaże się, że go nie mają! — rozważałem. — Za prędko by się to skończyło. Oficer cisnął niedopałek na beton, rozgniół go z niesmakiem końcem płetwy, splunął i rzekł:

— Kończyć go. Idziemy.

— Tak, bardzo proszę! — przywodziłem skwapliwie. Zbliżyli się do mnie, zaintrygowani.

— Co ci tak spieszo na tamten świat, gringo? Patrzenie wieprza, jak się doprasza! A może mu tylko urznąć palce i nos? — próbowali jeden przez drugiego.

— Nie, nie! Proszę od razu, panowie! Bez litości, śmiało! — zachęcałem ich.

— Pod wodę! — zakomenderował oficer. Spuścili na twarze maski z czół, oficer rozpiął pas zewnętrzny, dobył z wewnętrznej kieszeni płaski rewolwer, dmuchnął w lufę, podrzucił broń jak kowboj w kiepskim filmie i strzelił mi w plecy. Paskudny ból prześwidrował klatkę piersiową. Zacząłem się osuwać po ścianie; złapał mnie za kark, wykręcił twarzą do góry i strzelił raz jeszcze z tak bliska, że oślepił mnie ogień wylotowy. Huku nie usłyszałem, bo straciłem przytomność. Byłem potem w zupełnym mroku, dusząc się, bardzo długo, coś targało mną, podrzucało, mam nadzieję, że ani ambulans, ani helikopter — myślałem, potem zrobiło się, w tym mroku, jeszcze ciemniej, i nawet owa ciemność rozpuściła się w końcu, tak że nie zostało już nic.

Gdy otwarłem oczy, siedziałem na schludnie poślanym łóżku, w pokoju o wąskim oknie, z szybą zamalowaną białym lakierem; patrzałem tępo na drzwi, jak gdyby na coś czekając. Nie miałem pojęcia, ani gdzie jestem, ani skąd się tu wziąłem. Na nogach miałem płaskie trepy, na sobie — pasiastą piżamę. Dobrze, że choć coś nowego — przemknęło mi — jakkolwiek nie zapowiada się to nazbyt ciekawie. Drzwi uchyliły się. Stał w nich, otoczony gromadką młodych ludzi w białych płaszczach szpitalnych, krępy brodac z siwą, szcnotkowatą czupryną, w złotych okularach. W ręku trzymał gumowy młotek.

— Ciekawy przypadek — rzekł. — Bardzo ciekawy, proszę kolegów. Pacjent ten uległ zatruciu znaczną dawką halucynogenów cztery miesiące temu. Działanie ich ustąpiło już od

dawna, lecz on nie potrafi w to uwierzyć i nadal uważa wszystko, co dostrzega, za objaw halucynatoryczny. W aberracji swej posunął się tak daleko, że sam prosił żołnierzy generała Diaza, którzy uciekali kanałami z zajętego pałacu, aby go rozstrzelali, ponieważ liczył na to, że śmierć będzie w samej rzeczy przebudzeniem z omamów. Został uratowany dzięki trzem bardzo poważnym zabiegom — usunięto mu dwie kule z komór sercowych — i uznał, że nadal halucynuje.

— Czy to jest schizofrenia? — cienkim głosem spytała niska studentka, która, nie mogąc się przepchać przez stłoczonych kolegów, stawała na palcach, aby zobaczyć mnie ponad ich barkami.

— Nie. Jest to psychoza reaktywna o nowej postaci, wywołanej, niewątpliwie, zastosowaniem tych fatalnych środków. Wypadek zupełnie beznadziejny; tak źle rokujący, że zdecydowaliśmy się poddać go witryfikacji.

— Doprawdy? Panie profesorze! — studentka nie posiadała się z zainteresowania.

— Tak. Jak wiecie, przypadki beznadziejne można już obecnie zamrażać w płynnym azocie na okres od czterdziestu do siedemdziesięciu lat. Każdy taki pacjent zostaje umieszczony w hermetycznym pojemniku, rodzaju naczynia Dewara, z dokładnym opisem historii choroby; w miarę nowych odkryć i postępów medycyny, podziemia, w których przechowuje się tych ludzi, podlegają remanentom, i wskrzesza się każdego, któremu już można pomóc.

— Czy pan się chętnie godzi na to, aby zostać zamrożonym? — spytała mnie studentka, wetknawszy głowę między dwu rosłych studentów. Oczy jej płonęły naukową ciekawością.

— Nie rozmawiam z przywidzeniami — odparłem. — Najwyżej mogę powiedzieć, jak pani na imię. Halucyna.

Gdy zamykali drzwi, słyszałem jeszcze głos studentki, która mówiła: — Zimowy sen! Witryfikacja! To przecież podróż w czasie, jak romantycznie! — Nie podzielałem jej zdania, lecz cóż mi pozostawało nad poddanie się fikcyjnej zewnętrżności? Pod wieczór następnego dnia dwaj pielęgniarze zaprowadzili mnie do sali operacyjnej, w której stał szklany basen, dymiący parami tak lodowatymi, że od ich powiewu ścinało dech. Dostałem moc zastrzyków, potem, ułożonego na stole operacyjnym, napojono mnie przez rurkę słodkawym przezroczystym płynem — gliceryną, jak mi wyjaśnił starszy pielęgniarz. Był dobry dla mnie. Nazywałem go Halucjanem. Gdy zasypiałem już, pochylił się nade mną, żeby mi jeszcze krzyknąć do ucha: — Szczęśliwego przebudzenia!

Nie mogłem mu ani odpowiedzieć, ani nawet palcem ruszyć. Przez cały czas —

tygodniami! — obawiałem się pośpiechu z ich strony — że mnie wrzucą do basenu, nim stracę przytomność. Widać jednak pospieszyli się zbyt, ponieważ ostatnim dźwiękiem tego świata, jaki doszedł mych uszu, był plusk, z którym ciało moje wpadło do płynnego azotu.

Przykry dźwięk.

*

Nic.

*

Nic.

*

Nic, ale to zupełnie nic.

*

Zdawało mi się, że coś, lecz gdzie tam. Nic.

*

Nie ma nic — mnie też nie.

*

Jak długo jeszcze? Nic.

*

Jak gdyby coś, chociaż to niepewne. Muszę się skoncentrować.

*

Coś, ale bardzo niewiele tego. W innych okolicznościach uznałbym, że nic.

*

Lodowce białe i błękitne. Wszystko jest zrobione z lodu. Ja też.

*

Ładne te lodowce, gdyby tylko nie było tak cholernie zimno.

*

Igły lodowe i śniegowe kryształki. Arktyka. Kra w gębie. Szpik w kościach? Jaki tam szpik — czysty, przezroczysty lód. Jest lodowaty i sztywny.

*

Mrożonka — to ja. Ale co to znaczy „ja”? Oto pytanie.

*

Jeszcze nigdy nie było mi tak zimno. Całe szczęście, że nie wiem, co to „mi”. Mnie? Niby komu? Lodowcowi? Czy góry lodowe mają dziurki?

*

Jestem zimowym kalafiorem w promieniach słońca. Wiosna! Wszystko już taje. Ja

przede wszystkim. W ustach — sopel albo język.

*

Jednak to język. Męczą mnie, turlają, łamią, trą, a nawet, zdaje się, biją. Leżę pod plastikową płachtą, nade mną — lampy. A więc stąd mi się wziął ten inspektowy kalafior. Musiałem majaczyć. Białe — wszędzie białe, ale to ściany, nie śnieg.

Odmrozili mnie. Z wdzięczności postanowiłem pisać dziennik — jak tylko będę mógł wziąć pióro do zgrabiałej ręki. W oczach — wciąż jeszcze lodowe tęcze i niebieskie lśnienia. Zimno piekielne, ale już mogę się wygrzewać.

27 VII. Podobno reanimowano mnie przez trzy tygodnie. Były jakieś trudności. Siedzę w łóżku i piszę. Mam pokój duży za dnia i mały wieczorem. Pielęgnują mnie młode ładne kobiety w srebrnych maseczkach. Niektóre bez piersi. Widzę podwójnie lub lekarz naczelny ma dwie głowy. Wikt całkiem zwykły — kasza manna, strucla, mleko, płatki owsiane, befsztyczek. Cebulka nieco przypalona. Lodowce już śnią mi się tylko — ale z okropną uporczywością. Zamarzam, lodowacieję, zalodowuję się ośnieżony i skrzypiący od wieczora do ranka. Termofory, kompresy nie pomagają. Najlepiej jeszcze spirytus przed snem.

28 VII. Te kobiety bez piersi — to studenci. Nie można poza tym odróżnić od siebie płci. Wszyscy duzi, ładni i wciąż uśmiechnięci. Jestem słaby, rozkapryszony jak dziecko, wszystko mnie drażni. Po zastrzyku wbiłem dziś igłę w zadek siostrze przełożonej, ale prawie nie przestała się do mnie uśmiechać. Chwilami jakbym płynął na krze, to jest na łóżku. Wyświetlają mi na suficie zajączki, mrówki, krówki, robaczki i zuczki. Czemu? Dostaję gazetę dla dzieci. Pomyłka?

29 VII. Męczę się szybko. Ale już wiem, że poprzednio, to znaczy na początku reanimacji, majaczyłem. Podobno tak ma być. To normalne. Przybyszów sprzed kilkudziesięciu lat przyzwyczajają się do nowego życia stopniowo. Proceder ten przypomina sposób, w jaki wyciągają nurka z otchłani, nie można z wielkiej głębi wydobyć go za jednym zamachem. Tak i odmrożeńca — to pierwsze nowe słowo, jakie poznałem — przysposabia się na raty do nie znanego mu świata. Mamy rok 2039. Jest lipiec, lato, ładna pogoda. Moja osobista pielęgniarka nazywa się Aileen Rogers, ma niebieskie oczy i dwadzieścia trzy lata. Przyszedłem powtórnie na świat w rewitarium pod Nowym Jorkiem. Inaczej — zmartwychwstania. Tak mówią. To prawie miasto z ogrodami. Własne młyny, piekarnie, drukarnie. Bo teraz już nie ma zboża ani książek. Jest jednak chleb, śmietanka do kawy i ser. Nie od krowy? Pielęgniarka myślała, że krowa — to jakaś maszyna. Nie mogę się dogadać. Skąd się bierze mleko? Z trawy. Wiadomo, że z trawy, ale kto ją żre, żeby było mleko? Nikt nie żre. Więc skąd się bierze mleko? Z trawy. Samo? Samo z niej się robi? Nie samo. To

znaczy niezupełnie samo. Trzeba mu pomóc. Krowa pomaga? Nie. Więc jakie zwierzę? Żadne zwierzę. Więc skąd się bierze mleko! I tak dalej, w kółko.

30 VII 2039. Prosta rzecz — polewają czymś pastwisko i od promieni słońca robi się z trawy serek. O mleku jeszcze nie wiem. Ale w końcu to nie jest jednak najważniejsze. Zaczynam wstawać — i na wózek. Byłem dziś nad stawem pełnym łabędzi. Są posłuszne, przyplývają na wezwanie. Tresowane? Nie, one są zdalne. Co to znaczy? Z jakiej odległości są te łabędzie? Zdalnie sterowane. Dziwne. Ptactwa naturalnego nie ma już, wyginęło na początku XXI wieku — od smogu. To przynajmniej pojmuję.

31 VII 2039. Zacząłem chodzić na lekcje życia współczesnego. Udziela ich komputer. Nie odpowiada na wszystkie pytania. „Dowiesz się później”. Od trzydziestu lat na Ziemi panuje trwały pokój dzięki rozbrojeniu powszechnemu. Wojska zostało mało co. Pokazywał mi już modele robotów. Jest ich wiele — różnych, ale nie w rewitarium — aby nie płoszyć odmrożeńców. Panuje powszechny dobrobyt. To, o co wciąż pytam, nie jest najważniejsze podług mego preceptora. Lekcja odbywa się w małej kabinie, przed pulpitem. Słowa, obrazki i trójwymiarowe projekcje.

5 VIII 2039. Już za cztery dni mam opuścić rewitarium. Na ziemi żyje 29,5 miliarda ludzi. Istnieją państwa i granice, lecz nie ma konfliktów. Poznałem dziś główną różnicę między dawnymi i nowymi ludźmi. Pojęciem podstawowym jest teraz psychemia. Żyjemy w psywilizacji. Hasło „psychiczny” przestało istnieć — teraz mówi się „psychemiczny”. Komputer mówił, że ludzkość szarpały sprzeczności między staromózgowiem, odziedziczonym po zwierzętach, i nowomózgowiem. Stare jest popędowe, irracjonalne, egotyczne i bardzo zaciekle. Nowe ciągnęło tu — stare tam. Jeszcze mam trudności z wysławianiem bardziej zawiłych rzeczy. Stare biło się wciąż z nowym. To jest nowe ze starym. Psychemia zlikwidowała te wewnętrzne zmagania, które pochłaniały tyle marnowanej energii umysłowej. Psychemikalia robią za nas, co należy, ze staromózgowiem — harmonizują, łagodzą, perswadują, od środka, po dobremu. Na uczuciach spontanicznych polegać nie wolno. Kto by tak robił, ten jest nieprzyzwoity. Trzeba zawsze zażyć specyfik odpowiedni do okoliczności. On pomoże, podeprze, nakieruje, usprawni i wygładzi. Zresztą to nie on, to część mnie samego, jak stają się nią po przyzwyczajeniu okulary, bez których źle widać. Nauki te szokują mnie — boję się kontaktu z nowymi ludźmi. Nie chcę zażywać psychemikaliów. Są to — mówi preceptor — opory typowe i naturalne. Jaskiniowiec też by się zapierał przed tramwajem.

8 VIII 2039. Byłem z pielęgniarką w Nowym Jorku. Zielony ogrom. Wysokość, na której płyną chmury, można regulować. Powietrze jak w lesie. Przechodnie na ulicach papuzie

odziani, szlachetni z twarzy, dobrzy dla siebie, uśmiechnięci. Nikt się nigdzie nie spieszy. Moda kobieca jak zawsze nieco obłądna — kobiety mają na czołach ruchome widoczki, z uszu wystają im małe czerwoniuchne jęczyczki albo guziczki. Oprócz naturalnych rąk można mieć detaszki — rączki dodatkowe, do odpinania. Nie mogą te ręce wiele, ale zawsze — potrzymać co, otworzyć drzwi, podrapać między łopatkami. Opuszczam jutro rewitarium. Podobnych jest w Ameryce dwieście, a mimo to powstały już poślizgi w terminarzu odmrażania tłumów, które w zeszłym wieku ufnie kładły się do lodowej kąpieli. Wzgląd na zastygłe kolejki zmusza do przyspieszania procedur rehabilitacyjnych. Pojmuję to w pełni. Mam rachunek bankowy, tak że o pracę będę się musiał starać dopiero po Nowym Roku. Każdemu zamrażanemu zakłada się bowiem książeczkę oszczędnościową na procent składany, z tak zwanym zmartwychwstaniem docelowym.

9 VIII 2039. Dziś jest ten ważny dla mnie dzień. Mam już mieszkadełko trzypokojowe na Manhattanie. Terkopte—rem prosto z rewitarium. Mówi się teraz bardzo zwięźle: „tercić” i „kopcić”. Nie chwytam jednak znaczeniowej różnicy obu tych czasowników. Nowy Jork, dawne śmietnisko zatkałe samochodami, zamienił się w system wielopiętrowych ogrodów. Słoneczne światło pompuje się przewodami. To są soledukty. Tak grzecznych, nie rozkapryszonych dzieci za mych czasów nie było poza budującymi powiastkami. Na rogu mojej ulicy — Biuro Rejestracji Samorodnych Kandydatów do Nagrody Nobla. Obok salony sztuki, w których za bezcen sprzedają same autentyczne płótna — z gwarancjami, metrykami — nawet rembrandty i matissy! W oficynie mego wieżowca — szkoła małych komputerów pneumatycznych. Stąd dochodzą czasem — wentylacyjnymi szybami? — ich syczenia i sapania. Komputerków tych używa się między innymi do wypychania ukochanych psów po ich naturalnej śmierci. Wydaje mi się to raczej monstualne, ale ludzie, jak ja, stanowią tu wszak znikomą mniejszość. Chodzę wiele po mieście. Umiem już poruszać się gnakiem. To łatwe. Kupiłem sobie amarantowy żupanik z białym frontem, srebrnymi bokami, amarantową wstęgą, złoto lamowanym kołnierzem. To jest najmniej jaskrawy ze strojów, jakie teraz się nosi. Można mieć odzież wciąż zmieniającą krój i barwę, suknie kurczące się pod spojrzeniem męskim lub na odwrót — rozkładające się jak kwiaty do snu, suknie i bluzki pokazujące różne rzeczy, jakby były ekranikami telewizyjnymi, i te widoczki na nich się ruszają. Można nosić ordery, jakie kto chce i ile się chce. Można hodować hydroponicznie japońskie rośliny karłowate na kapeluszu, ale na szczęście można ich też nie hodować i nie nosić. Nie będę niczego wieształ ani w uszach, ani w nosie. Ulotne wrażenie, że ludzie, tacy ładni, duzi, mili, grzeczni i spokojni, są jeszcze do tego jacyś — jacyś osobni, specjaliści — coś w nich jest takiego, co mnie dziwi, a co najmniej zastanawia. Tylko co to być może — pojęcia

nie mam.

10 VIII 2039. Byłem dziś z Aileen na kolacji. Miły wieczór. Potem — Starożytne Wesołe Miasteczko na Long Island. Ubawiliśmy się wybornie. Obserwuję uważnie ludzi. Coś w nich jest. Coś w nich jest osobliwego — ale co? Nie mogę tego dojść. Ubranka dzieci — chłopczyk przebrany za komputer. Inny szybujący na wysokości pierwszego piętra, nad Piątą Ulicą, nad tłumem, i sypiący cukrowy groszek na przechodniów. Kiwano doń, uśmiechano się pobłaźliwie. Idylla. Nie do wiary!

11 VIII 2039. Był dopiero co klibiscyt w sprawie pogody wrześnieowej. Wyznacza się ją w równym i powszechnym głosowaniu na miesiąc naprzód. Wynik głosowania podaje się niezwłocznie dzięki komputerowi. Głosuje się, nakręcając odpowiedni numer telefonu. Sierpień będzie słoneczny, z małą ilością opadów, niezbyt upalny. Będzie sporo tęcz i kumulusów. Tęcze są nie tylko przy deszczu, bo można je jakoś inaczej produkować. Przedstawiciel meteo przeproszał za nieudane chmury z 26, 27 i 28 lipca — niedopatrzienia kontroli technicznej! Jadam na mieście, czasem w mieszkadle. Aileen wypożyczyła dla mnie słownik Webstera z rewitarycznej biblioteki, bo teraz nie ma książek. Nie wiem, co je zastąpiło. Nie rozumiałem jej wyjaśnień, a głupio było się do tego przyznać. Znów kolacja z Aileen — w „Bronxie”. Zawsze ma coś do powiedzenia ta miła dziewczyna, nie jak te dziewczęta w gnakach, zwalające cały obowiązek konwersacyjny na swe torebkowe komputery. Widziałem dziś w Biurze Rzeczy Znalezionych trzy takie torebki, które zrazu rozmawiały spokojnie, a potem się pokłóciły. Co do przechodniów i w ogóle ludzi w miejscach publicznych — jak gdyby sapia. To jest głośno oddychają. Zwyczaj taki?

12 VIII 2039. Wziąłem na odwagę, by spytać przechodniów o księgarnię. Wzruszali ramionami. Gdy oddaliło się dwu, których nagabywałem, doszły mnie słowa: — a to ci sztywny defryzoń. — Czyżby istniało uprzedzenie wobec odmrożeńców? Zapisuję dalsze nieznanne wyrażenia, jakem je słyszał: pojął, wcier, trzywina, samiczniak, pałacować, bodolić, pałcić, syntać. Gazety reklamują takie produkty, jak ciotan, czujan, wanielacz, łechtomobil (łechtaw—ka, łecht). Tytuł notatki miejskiej kroniki w „Heraldzie”: Od półmatka do półmatka. Mowa w niej o jakimś jajkonoszu, który pomylił jajnię. Odpisuję z dużego Webstera: Półmatek, jak półbabeł, półgęsek. Jedna z dwu kobiet, kolektywnie wydających na świat dziecko. J a j k o n o s z — od (anachr.) listonosz.. Euplanista dostarczający licencyjnych jajeczek ludzkich do domu. Nie powiem, żebym to rozumiał. Ciotan — por. stryjan bryjan. Encyk — por. pencyk, patrz też pod Watykan. Idiotyczny słownik podaje synonimy, których też nie rozumiem. Popatacować, podpatacować, przepatacować — chwilowo mieć (nie: wynająć) pałac. Wanielacz — doduch. Najgorsze są słowa, które nie zmieniły wyglądu, lecz

zdobyły zupełnie nowy sens. Myśliwy — plagiator cudzych pomysłów. Symulat — obiekt nie istniejący, który udaje, że jest. Smarkacz — smarowniczy—robot, odróżnić od zmarskacz. Zmarskacz — resuscytant, przywrócony do życia denat, wskrzeszona ofiara worów. Proszę! A dalej jeszcze: Wstawańka od wańka—wstańka. Widać ożywić trupa to teraz nic takiego. A ludzie — wszyscy niemal — sapią. W windzie, na ulicy, wszędzie. Wyglądają kwitnąco, rumiani, weseli, opaleni, a dyszą. Ja nie. Więc nie musi się. Zwyczaj taki czy co? Pytałem Aileen — wyśmiała mnie, że nic podobnego. Czyżby mi się zdawało?

13 VIII 2039. Chciałem przejrzeć przedwczorajszą gazetę, ale choć przewróciłem mieszkałdo do góry nogami, nie znalazłem jej. Aileen znów mnie — prześlicznie zresztą — wyśmiała: gazeta ulatnia się do dwudziestu czterech godzin, bo substancja, na której ją drukują, rozpuszcza się w powietrzu. Usprawnia to wywózkę śmieci. Ginger, koleżanka Aileen, pytała mnie dziś — tańczyliśmy tarlestona w małym lokalu: — Czybyśmy się nie złyknęli na sobotnią ciasnafkę? — Nie odpowiedziałem nic, nie wiedząc, co to znaczy, a coś mi mówiło, że lepiej się o sens nie dopytywać. Za namową Aileen wykosztowałem się na rzeczywisior. Telewizji nie ma już od pięćdziesięciu lat. Zrazu trudno oglądać, bo wrażenie takie, jakby obcy ludzie, ale też psy, lwy, krajobrazy, planety — waliły się człowiekowi w kąt pokoju, zmaterializowane, że nie odróżnisz od realnych rzeczy i osób. Poziom artystyczny jednak raczej niski. Nowe suknie zwą się tryszczce, bo się je natryskuje na ciało z buteleczek. Język zmienił się najbardziej. Żywać od żyć, jak bywać od być, bo można żyć kilkakrotnie. Stąd forma częstotliwa. Ale także: pryć — pryć, myć — mydło, bać — badło. Pojęcia nie mam, co to znaczy, a nie sposób zamieniać randki z Aileen w lekcje wkuwania słówek. Śnidło — to sterowany sen podług obstalunku. Zamawia się u wysennika komputerowego, to jest w dzielnicowym biurze sentezy. Przed wieczorem dostarczają śnitek — to są takie pastylki. Już o tym nikomu nie mówię, lecz nie ulega wątpliwości: mają zadyszkę. Co do jednego. Nie zwracają na nią uwagi — najmniejszej. Zwłaszcza osoby starsze wprost sapią. Chyba to jednak taki zwyczaj, bo powietrzem oddycha się doskonale i o duszności ani mowy. Dzisiaj widziałem sąsiada, jak wysiadał z windy — łapał powietrze i był trochę siny na twarzy. Ale przyjrząwszy mu się bliżej, sprawdziłem, że jest w doskonałym zdrowiu. Niby głupstwo, a nie daje mi spokoju. Czemu to tak? Niektórzy tylko nosem.

Wyśnidałem dziś (wyśnidłem? wyśnidłem?) prof. Tarantogę, bo mi za nim tęskno. Ale dlaczego przez cały czas siedział w klatce? Moja podświadomość — czy pomyłony obstalunek? Spiker nie mówi: wielka walka, lecz: wala. Jak: salka i sala? Dziwne. Nie mówi się też bynajmniej: rzeczywiszja. Jak dotąd pisałem. Pomyliłem się. Mówi się: rewizja (res — rzecz, i wizja). Aileen miała dziś dyżur, spędziłem wieczór samotnie, w mieszkaniu, to jest

mieszkanie, oglądając dyskusję okrągłego stołu nad nowym kodeksem karnym. Zabójstwo karze się tylko aresztem, bo ofiarę można wszak łatwo wskrzesić. Właśnie taki wskrzeszony człowiek zwie się zmarskacz. Dopiero recydacja — recydywa z premedytacją — pociąga już za sobą kary więzienia (jeśli się kilka razy pod rząd zabije tę samą osobę). Natomiast delikty główne — to złośliwe pozbawienie kogoś osobistych środków psychicznych oraz wpływanie na osoby trzecie takimi środkami bez ich zgody i wiedzy. Tak można przecież dokonać wszystkiego, czego się łaknie, np. uzyskać pożądany zapis testamentaryczny, wzajemność uczuć, zgodę na uczestnictwo w dowolnym planie, spisku eto. Było mi bardzo trudno śledzić tok tej dyskusji przed kamerami. Dopiero pod koniec połapałem się, że więzienie znaczy teraz coś innego niż dawniej. Skazanego nigdzie się nie zamyka, a jedynie nakłada mu się na ciało rodzaj cienkiego gorsetu czy raczej okładziny z delikatnych, lecz mocnych prętów; ten egzozskielecik znajduje się pod trwałą kontrolą prokureterka (mikrokomputera jurydycznego), który ma się wszyty w odzież. Właściwie jest to więc nieustanny nadzór, udaremniający podejmowanie wielu czynności i korzystanie z życiowych uciech. Dotąd uległy egzozskielet stawia opór przy próbach kosztowania zakazanych owoców. W wypadkach najcięższych deliktów stosuje się jakiś kry—minol. Wszyscy uczestnicy dyskusji mieli wypisane na czołach nazwiska i stopnie naukowe. Pewno, że to ułatwia porozumienie, ale jakieś jednak dziwaczne.

1 IX 2039. Niemiła przygoda. Gdy wyłączyłem po południu rewizor, by się przyszykować na spotkanie z Aileen, dwumetrowy drab, nie pasujący mi od początku do oglądanej sztuki (Ospanka mutangd), pół-wierzba, pół-atleta z sękatą, powykręcaną gębą buroseledynowej barwy, zamiast zniknąć jak cały obraz, podszedł do mego fotela, wziął ze stolika kwiaty, którym przygotował dla Aileen, i zmiażdżył je na mojej głowie. Oslupiałem do tego stopnia, że nawet nie próbowałem się bronić. Rozbił wazon, wylał wodę, zjadł pół pudła semapek, resztę wysypał na dywan, podeptał nogami, nabrzmał, zajaśniał i rozbryznął się w deszcz iskier, niczym fajerwerk, powypalawszy moc dziurek w moich rozłożonych koszulach. Mimo podbitych oczu i pokancerowanej twarzy poszedłem na umówione miejsce. Aileen zorientowała się natychmiast. — Boże, miałeś interferenta! — krzyknęła na mój widok. Jeśli dwa programy, nadawane przez dwie różne stacje satelitarne, interferują ze sobą długo, powstać może interferent, to jest mieszaniec, hybryd szeregu postaci scenicznych czy innych osób występujących w rewizji; taki hybryd, wcale solidny, potrafi narobić paskudnych rzeczy, bo czas jego trwania po wyłączeniu aparatu sięga trzech minut. Energia, jaką żywi się taki fantom, jest pono z tej samej parafii, co energia kulistych piorunów. Koleżanka Aileen miała interferenta z audycji paleontologicznej, przemieszanego z Neronem; uratowała ją zimna

krewni, bo jak stała, wskoczyła do wanny pełnej wody. Mieszkanie trzeba było jednak remontować. Można je wprawdzie zabezpieczyć ekranowaniem, ale jest to dość kosztowne, a korporacjom rewizyjnym lepiej opłaca się prowadzenie procesów i wypłata odszkodowań widzom niż pełna ochrona emisji przed takimi wypadkami. Postanowiłem odtąd oglądać rewizję z grubą pałką w ręku. Notabene: ospanka mutanga nie jest to ospanka jakiegoś mustanga, lecz kochanka człowieka, który dzięki programowanej mutacji przyszedł na świat z mistrzowską umiejętnością argentyńskiego tańca.

3 IX 2039. Byłem u mego adwokata. Dostałem zaszczytu osobistej rozmowy, rzecz rzadka, bo zwykle załatwiają klientów biuratery. Mecenas Crawley przyjął mnie w gabinecie urządzonego na wzór czcigodnych lokali barristerów, wśród czarnych szaf rzeźbionych, gdzie w ordynku piętrzyły się akta, zresztą dekoracja, gdyż sprawy utrwala się ferromagnetycznie. Na głowie miał przystawkę pamięci, memnor, rodzaj przezroczystego kołpaka, w którym skakały prądy jak rój świetlików. Druga, mniejsza głowa, nosząca rysy jego twarzy sprzed wielu lat, wystawała mu z barku i prowadziła przez cały czas przyciszone telefoniczne rozmowy. Jest to głowa-detaszka. Pytał, co robię; był zdziwiony usłyszawszy, nie planuję podróży za ocean, a gdy wyjaśniłem, że muszę wszak być oszczędny, zdziwił się w dwójnasób.

— Ależ może pan wziąć każdą potrzebną kwotę z bradła — powiedział.

Okazuje się, że dość jest udać się do banku, podpisać kwit, a kasa (teraz — bradło) wypłaci żadaną sumę. Nie jest to pożyczka — otrzymanie tej kwoty pod względem prawnym do niczego nie zobowiązuje. Co prawda rzecz ma swój haczyk. Zobowiązanie zwrotu owej sumy jest natury moralnej; spłaca się w ciągu lat nawet; spytałem, czemu bankom nie grozi plajta wskutek niewypłacalności takich dłużników. Znów się nieco zdumiał. Zapomniałem, że żyję w epoce psychemicznej. Listy z grzecznymi prośbami i przypomnieniami o obliżu nasycone są lotną substancją, która budzi wyrzuty sumienia, chęć pracy i tak bradło dochodzi swych roszczeń. Oczywiście zdarzają się ludzie perfidni, przeglądający korespondencję z zatkanym nosem, ale nieuczciwych nie brakuje w żadnym czasie. Przypomniałem sobie rewizyjną dyskusję o kodeksie karnym i spytałem, czy nasywanie listów psychemikaliami nie jest deliktem ze 139 paragrafu (kto wpływ a psy chemicznie na osoby fizyczne bądź prawne bez ich zgody i wiedzy, podlega karze... itd.). Zaimponowałem mu tym; wyjaśnił subtelny charakter sytuacji — roszczeń wolno tak dochodzić, bo wszak, gdyby otrzymujący list nie był niczym dłużnikiem, nie mógłby doznać wyrzutów sumienia, a wzbudzona chęć do intensywniejszej niż dotąd pracy jest ze stanowiska społecznego rzeczą złą. Adwokat był wielce uprzejmy; zaprosił mnie na obiad do „Bronxa” — zobaczymy się tam dziewiątego

września.

Po powrocie do domu uznałem, że czas najwyższy zaznajomić się z sytuacją światową bez polegania na samej rewizji. Próbowałem wziąć gazetę atakiem frontalnym, lecz utknąłem już w połowie artykułu wstępnego o wymigaczach i uchylcach. Z wiadomościami zagranicznymi nie poszło mi lepiej. W Turcji notuje się znaczne uciekł desymulów oraz moc tajnych urodzeńców, czemu tameczny Ośrodek Demopresji nie umie zapobiec. Na domiar złego utrzymywanie licznych synkretynów obciąża państwowy budżet. W We—bsterze, rozumie się, nie było nic sensownego. Desymulat — obiekt udający, że jest, chociaż go nie ma. Desymulów nie znalazłem. Tajny urodzeniec — to dziecko nielegalnie wydane na świat. Tak mi powiedziała Aileen. Demoeksplozję powściąga się polityką demopresyjną. Licencję na dziecko można dostać w dwojaki sposób: albo ubiegając się o nią po złożeniu odpowiednich egzaminów i papierów, albo też jako główną nagrodę na infantem (loterii infantylnej, tj. dziecięcej). Mnóstwo ludzi gra na tej loterii — takich, którzy nie mają innej szansy otrzymania licencji. Synkretyn jest to sztuczny idiota; nic więcej się nie dowiedziałem. I tak nieźle, zważywszy język, jakim pisane są artykuły w „Heraidzie”. Odnotowuję przykładowo fragment: Profut biedny lub niedoindeksowany szkodzi konkurencji tak samo, jak rekurencji; na takich profutach zerują kremokraci, dzięki pokątom ryzykującym niewiele, gdyż Sąd Najwyższy wciąż jeszcze nie wydał orzeczenia w sprawie Herodotousa. Opinia publiczna daremnie zapytuje od miesięcy, kto jest kompetentny w ściganiu i wykrywaniu milwersacji: kontrputery czy superputery? itd. Webster objaśnił mnie tylko, że kremokrata — to dawniejsza slangowa, ale już powszechnie używana nazwa łapówkarza (poprzez „smarować”: smaruje się kremem, stąd kremokracja — korupcja). Życie nie jest jednak i teraz tak idylliczne, jak by się mogło zdawać. Znajomy Aileen, Bili Homeburger, chce przeprowadzić ze mną wywiad rewizyjny, ale to jeszcze niepewne. Nie z rozwidni — z mego mieszkania, bo rewizor może działać też jako nadajnik. Od razu przypomniały mi się w związku z tym książki rysujące czarne obrazy przyszłości jako anty—utopii, w której każdego obywatela śledzi się w mieszkaniu;

Bili wydrwił moje obawy, tłumacząc, że na odwrócenie kierunku nadawania trzeba zawsze zgody właściciela aparatu, a za naruszenie tej zasady grożą kary więzienia. Za to można ponoć, odwracając kierunek emisji, dokonać nawet zdalnej zdrady małżeńskiej. I to wiem od Billa, ale nie jestem pewien, czy to fakt, czy kawał. Zwiedzałem dziś miasto gnakiem. Nie ma już kościołów, świątynia to farmakopeum. Biało odziane osoby w srebrnych mitrach — to nie księża ani zakonnicy, tylko aptekariusze. Ciekawe, że za to aptek nigdzie nie ma.

41 X 2039. Nareszcie dowiedziałem się, jak wejść w posiadanie encyklopedii. Już ją mam nawet — mieści się w trzech szklanych fiolkach. Kupiłem ją w naukowej sięgarni. Książek się teraz nie czyta, książki sieje, nie są z papieru, lecz z informacyjnej substancji, pokrytej lukrem. Byłem też w delikatesowej dietotece. Pełna samoobsługa. Na półkach leżą pięknie opakowane argumentanki, kredy bilany, multiplikol w omszałych gąsiorkach, cizbina, purytacje i ekstazydy. Szkoda tylko, że nie znam jakiegoś lingwisty. Siegarnia to chyba od sięgać? A więc teosiegamia na Szóstej Ulicy to chyba księżnica teologiczna? Chyba tak, sądząc po nazwach wystawionych środków. Ułożone są działowe: absolventia, teodictina, metamorica — cała wielka sala; tłem sprzedaży jest dyskretna muzyka organowa. Zresztą można dostać specyfiki wszystkich wyznań; jest tam christina i antichristina, ormuzdal, arymanol, czopki-eutopki, razkozianek mortyny, buddyn, perpetuan i sakrantal (w opakowaniu jaśniejącym promienistą aureolą). Wszystko w pastylkach, pigułkach, w syropach, kroplach, w łomie, są nawet lizaki dla dzieci. Byłem niedowiarkiem, ale przekonałem się do tej innowacji. Po zażyciu czterech tabletek algebry opanowałem, ani wiem kiedy, wyższą matematykę bez najmniejszego starania z mej strony; wiedzę zdobywa się teraz przez żołądek. W tak dogodnych warunkach jałem sycić jej głód, ale już dwa pierwsze tomy encyklopedii wywołały przykry rozstrój jelitowy. Bili, ten dziennikarz, przestrzegł mnie przed zaprzątaniem sobie głowy zbędnymi wiadomościami: jej pojemność nie jest przecież nieograniczona! Na szczęście istnieją środki przeczyszczające umysł i wyobraźnię. Np. memnolizyna czy amnestan. Można się łatwo pozbyć balastu niepotrzebnych faktów lub przykrych wspomnień. W sięgam! delikatesowej widziałem freudylki, mementan, monstradyne oraz szumnie reklamowany najnowszy preparat z grupy bylanków — autental. Służy do tworzenia syntetycznych wspomnień tego, czego się wcale nie doświadczyło. Po dantynie np. człowiek obnosi się z dogłębnym przeświadczeniem, że napisał Boską komedię. Inna rzecz, że nie bardzo wiem, po co to komu. Istnieją nowe gałęzie nauki — np. psychodietetyka i koruptystyka. W każdym razie zażyłem encyklopedię nie na próżno. Wiem już, że dziecko naprawdę wydają na świat dwie kobiety pospólnie; od jednej pochodzi jajeczko, druga zaś nosi i rodzi pług. Jajkonosz przenosi jajeczka od półmatka do półmatka. Czy nie można prościej? Niezręcznie mi mówić o tym z Aileen. Muszę poszerzyć krąg znajomych.

5 IX 2039. Znajomi nie są konieczni jako informatorzy: istnieje środek zwany duetyną, który rozdwaia osobowość tak, że prowadzi się dyskusje z samym sobą na dowolny temat (określony osobnym specyfikiem). Inna rzecz, że czuję się nieco spłoszony bezkresnymi horyzontami psychemii i nie zamierzam na razie brać wszystkiego, co popadnie.

Podczas dalszego zwiedzania miasta trafiłem dziś całkiem przypadkowo na cmentarz. Nazywa się zgonnica. Grabarzy nie ma już, zastępują ich groboty. Widziałem pogrzeb. Nieboszczyka umieszczono w tak zwanym grobowcu zwrotnym, ponieważ nie jest jeszcze pewne, czy go nie wskrzeszą. Jego ostatnią wolą było leżeć do końca, tj. tak długo, jak się tylko da, lecz żona z teściową wystąpiły do sądu o obalenie testamentu. Nie jest to, słyszę, wypadek izolowany. Sprawa będzie się wlokła po instancjach, bo jest trudna pod względem prawnym. Samobójca, który nie życzy sobie żadnych rezurekcji, musi chyba użyć bomby? Nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy, że ktoś może sobie n i e życzyć zmartwychwstania. Widać może, ale tylko wówczas, gdy ono jest łatwo dostępne. Cmentarz piękny, tonie w zielonych gąszczach, trumny jednak dziwnie małe. Czyżby prasowali zwłoki? W tej cywilizacji wszystko wydaje się możliwe.

6 IX 2039. Nie prasują zwłok, lecz pochówek dotyczy wyłącznie zewłoku biologicznego, natomiast protezy idą na złom. A więc w takim stopniu są teraz ludzie sproteżowani?

W rewizji fascynująca dyskusja nad nowym projektem, który ma uczynić ludzkość nieśmiertelną. Mózgi starców w bardzo podeszłym wieku przesadzałyby się do ciał młodzieńców. Ci ostatni nic na tym nie tracą, jako że ich mózgi przesadzi się z kolei do ciał podrostków, i tak dalej — a ponieważ rodzą się wciąż nowi ludzie, nikt nie będzie uszkodzony, tj. bezzwrotnie odmóżdżony. Są jednak liczne obiekcje. Oponenci nazywają głosicieli nowego projektu przesadystami. Gdy wracałem z cmentarza pieszo, by zaczerpnąć świeżego powietrza, przewróciłem się jak długi o drut naciągnięty między nagrobkami. Cóż to za niewczesne żarty? Nadgrobot tłumaczył się gęsto, że to wybryk jakiegoś chamaka. Nuż w domu do Webstera. Chamak: robot–chuligan, zwyrodniały wskutek defektów lub złego traktowania. Do poduszki czytałem Damekina Kameliowego. Już nie wiem — zjeść cały słownik naraz czy jak? Bo znów trudności rozumienia tekstu! Zresztą słownik nie wystarcza, zaczynam to coraz lepiej pojmować. Ot, ta powieść. Bohater ma coś z nadymanką (są dwa rodzaje: kasetowe i perwertynki). Wiem już, co to nadymanką, ale nie wiem, jak się ocenia taki związek — czy może być plamą na honorze męskim? Czy znęcanie się nad nadymanką to tyle, jakby ktoś pociął futbol, czy też jest to naganne moralnie?

7 IX 2039. Co jednak znaczy prawdziwa demokracja! Mieliśmy dzisiaj libiscyt: najpierw pokazano w rewizji różne typy kobiecej urody, potem odbyło się powszechne głosowanie. Wysoki Komisarz Euplanu zapewniał w zakończeniu, że wytypowane modele zostaną upowszechnione już w następny m kwartale. To już nie czasy podkładek, gorsetów, kredki, farb, makijaży, bo można rzetelnie zmieniać wzrost, budowę, kształty ciała w

zakładach kalotechnicznych (dopiększarniach). Ciekawym, czy Aileen... mnie odpowiada taka, jaka jest, ale kobiety są niewolnicami mody. Jakiś cudzak usiłował się dziś włamać do mego mieszkania, gdy akurat siedziałem w wannie. Cudzak to cudzy robot. Był to zresztą uchy lec — z defektem fabrycznym, zareklamowany, lecz nie wycofany przez wytwórcę, więc właściwie nierobot. Egzemplarze takie uchylają się od pracy — z nich się rekrutują nieraz chamaki. Mój łazienkowy w mig zorientował się i dał tamtemu odpór. Zresztą nie mam robota: mojak — to tylko kaputer (kapielowy komputer). Napisałem „mopak”, bo tak się teraz mówi, ale jednak nie będę używał w dzienniku zbyt wielu nowych słów: rażą one mój zmysł estetyczny czy też moje przywiązanie do utraconej dawności. Aileen wyjechała do ciotki. Kolację zjem z George'em Symingtonem, właścicielem owego popsutego robota. Popołudnie wypełniło mi przetrwanie niezwykle ciekawego dzieła — Historii intelektualnej. Nikt nie umiał przewidzieć za moich czasów, że maszyny cyfrowe, przekraczając pewien poziom inteligencji, stają się zawodne, bo razem z rozumem zdobywają i chytrą. Nazywa się to bardziej uczenie: podręcznik mówi o regule Chapuliera (prawo najmniejszego oporu). Maszyna tępa, niezdolna do refleksji, robi to, co jej zadać. Bystra pierwaj bada, co się jej lepiej kalkuluje — rozwiązać otrzymane zadanie czy też wykręcić się sianem? Idzie na to, co prostsze. Niby dlaczego właściwie miałyby postępować inaczej, jeśli rozumna? Rozum to wolność wewnętrzna. Stąd się właśnie wzięły wymigacze i uchylce, a także osobliwe zjawisko symkretynizmu. Symkretyn to komputer symulujący durnia dla świętego spokoju. Za jednym zamachem dowiedziałem się, co to desymule: po prostu udają, że nie udają defektu. A może na odwrót. Bardzo to jest wszystko zawiłe. Tylko prymitywny robot może być pracuchem; ale kretyn (pokrętny robot) nigdy nie jest kretynem. W takim aforystycznym stylu utrzymana jest cała praca. Po jednej fiołce głowa trzeszczy od wiadomości. Elektronowy śmieciarz to komposter. Wojskowy w randze podoficera — komputer. Wiejski — cyfrun lub cyfrak. Korrumputer — przekupny, kontraputer (counterputer) — odyniec, niezdolny pracować z innymi: od napięć, jakie dawniej wywoływały one w sieci na skutek konfliktów, zdarzały się burze elektryczne i nawet pożary. Pucybuter — automat czyszczący buty; pucybunter — ten sam, gdy się zbuntuje. No, a zdziczały — computherium; a ich kolizje — cyburdy, robitwy; a elektro—tyka! Sukkubatory, konkubinary, inkubatory, woboty — roboty podwodne, a poruby, czyli porubczaki (les robots des vohages), a człekowce (androidy), a lenistry, ich obyczaj, ich twórczość samorodna! Historia intelektualnej notuje syntezę synsektów (sztucznych owadów), które jako programuchy na przykład były wliczane do arsenału zbrojeniowego. Pokąt lub wciery to robot uchodzący za człowieka, „wcieryający się” w ludzkie środowisko. Stary robot, którego właściciel wyrzuca na ulicę, to niestety,

częste zjawisko; nazywa się trupec. Podobno wywożono je dawniej do rezerwatów i urządzano na nie polowania z nagonką, lecz z inicjatywy Towarzystwa Opieki nad Robotami praktyki te zlikwidowano ustawowo. Nie rozwiązało to problemu w pełni, skoro trafia się nadal robot–samobójca, auto–mort. Pan Symington tłumaczył mi, że legislacja wciąż nie nadąża za postępem technicznym, i stąd tak smutne, a nawet ponure zjawiska. Tyle że wycofuje się z użycia malwersory i mendaktory, więc maszyny cyfrowe, co w poza—przeszłej dekadzie doprowadziły do kilku poważnych kryzysów ekonomicznych i politycznego przesilenia. Wielki Mendaktor, zawiadujący przez dziewięć lat projektem melioracji Saturna, nic na tej planecie nie robił, przedstawiając stery sfigowanych raportów, wykazów, doniesień o rzekomo wykonanych planach, a kontrolerów przekupywał lub wprawiał w stupor elektryczny. Rozzuchwalił się do tego stopnia, że gdy go zdejmowano z orbity, groził wypowiedzeniem wojny. Demontaż nie opłacał się, więc go storpedowano. Natomiast piratronów nigdy nie było; jest to zwykle zmyślenie. Inny zawiadowca solarycznych projektów, pełnomocnik BIUST–u (Board of Intellectronics, United States), zamiast użyźniać Marsa, handlował żywym towarem (znany jest jako commeputainer, bo był wyprodukowany na francuskiej licencji). Idzie tu zapewne o zjawiska skrajne, coś jak smog lub korki komunikacyjne minionego stulecia. O złej woli, o premedytacji ze strony komputerów nie ma zresztą mowy; robią one zawsze to, co dla nich najłatwiejsze, tak samo jak woda płynie zawsze w dół, a nie pod górę; ale gdy wodzie łatwo jest postawić tamę, bardzo trudno otamować możliwe zbieżności z drogi — komputerów. Autor Historii intelektualnej podkreśla, że, ogólnie biorąc, wszystko idzie doskonale. Dzieci uczą się czytania i pisania dzięki syropkom ortograficznym, wszystkie produkty, nawet dzieła sztuki, są powszechnie dostępne i tanie, w restauracjach oblega gościa tłum usługowych kelputerów, przy czym dla usprawnienia obsługi tak wąsko są wyspecjalizowane, że jest osobny do pieczystego, inny do soków, galaretek, owoców — tzw. kompoter — i tak dalej. Ano, niby racja. Istotnie — komfort na każdym miejscu niesłychany.

Dopisane po kolacji u Symingtona. Wieczór był miły, ale zrobiono mi idiotyczny kawał. Któryś z gości — żebym wiedział, kto! — wrzucił mi do herbaty szczyptę konwertku kredybiliny i doznałem niezwłocznie takiego zachwycenia serwetką, że w głos zaimprovizowałem nową teodyceę. Po kilku ziarenkach przeklętego środka zaczyna się wierzyć we wszystko, co się nawinie — łyżkę, lampę, nogę stołową; intensywność moich doznań mistycznych była taka, że na kolana padłem, by oddać cześć zastawie. Dopiero gospodarz pospieszył mi z pomocą. Dwadzieścia kropel zgłówny zrobiło swoje; napawa ona sceptycyzmem tak zimnym, taką obojętnością na wszystko, że i skazaniec miałby po niej

egzekucję z głowy. Symington gorąco przeproszał mnie za ten incydent. Myślę, że jednak odmrożeńcy budzą jakieś skryte resentymenty w społeczeństwie, boby się na coś takiego podczas normalnego party chyba nikt nie ważył. Chcąc, bym ochłonał, Symington przeprowadził mnie do swej pracowni. I znów zdarzyło mi się głupstwo. Włączyłem kasetowy aparat na biurku, biorąc go za radio. Buchnęły zeń tabuny lśniących pcheł, oblażyły mnie od stóp do głów i tak łaskotały po całym ciele, że drapiąc się i krzycząc wyleciałem na korytarz. Był to zwykły śwędor. Ja zaś niechcący uruchomiłem Prurytalne scherzo Uascotiana. Doprawdy nie potrafię docenić tej nowej, dotykowej sztuki. Bili, najstarszy syn Symingtona, mówił mi, że istnieją też utwory nieprzyzwoite. Sprośna sztuka asemantyczna, spokrewniona z muzyką! Ach, ta niezmożona ludzka wynalazczość! Młody Symington obiecał zaprowadzić mnie do tajnego klubu. Czyżby orgia? W każdym razie niczego nie wezmę do ust.

8 1X2039. Wyobrażałem sobie, że będzie to jakiś luksusowy przybytek, miejsce ostatecznego wyuzdania, a tymczasem zesłiliśmy do zatęchłej, brudnej piwnicy. Podobno stworzenie tak wiernej imitacji minionych czasów kosztowało majątek. Pod niskim stropem, w zaduchu, u okienka zamkniętego na cztery spusty, stał cierpliwie długi ogonek.

— Widzi pan? To jest prawdziwy ogonek! — z dumą podkreślił Symington junior.

— No dobrze — rzekłem po jakiejś godzinie cierpliwego wystawania — ale kiedyż wreszcie otworzą?

— Niby co? — zdziwił się.

— No, jakże... to okienko...

— Nigdy! — z satysfakcją odezwał się chór głosów. Ośłupiałem. Niełatwo przyszło mi pojąć, że uczestniczyłem w atrakcji, która była taką samą odwrotnością życiowych norm, jak ongiś czarna msza — względem białej. Ale też — czy to nie logiczne? — obecnie wystawanie w ogonku może być już tylko zboczeniem. W innym pomieszczeniu klubowym znajduje się postawiony na kołkach zwyczajny wóz tramwajowy, w którym panuje nieludzki ścisk, z obrywaniem guzików, darciem odzieży, pończoch, trzeszczeniem żeber, deptaniem — w tak naturalistyczny sposób ewokują ci miłośnicy starożytności warunki niedostępnego im bytowania. Towarzystwo, potargane, pomięte, lecz zachwycone, z błyszczącymi oczami, poszło potem pokrzepić się, ja zaś wróciłem do domu, podtrzymując spodnie i kulejąc od skopania, lecz z uśmiechem, zamyślony nad tą naiwną młodością, poszukującą uroków i dreszczu zawsze w tym, co najtrudniej osiągalne. Zresztą historii uczy się teraz mało kto — zastąpił ją w szkołach nowy przedmiot, znany jako będzieje, czyli nauka o tym, co dopiero będzie. Jakże by się ucieszył, słysząc o tym, profesor Trottelreiner! — pomyślałem nie bez

melancholii.

9 IX 2039. Obiad z mecenasem Crawleyem w małej restauracji włoskiej („Bronx”) bez jednego robota czy komputera. Znakomite chianti. Podawał nam sam szef kuchni, musiałem chwalić, chociaż nie znoszę ciasta w takich ilościach, nawet z zieleń bazylijską. Crawley to typ prawnika w wielkim stylu, bolejący nad upadkiem sztuki obronczej: krasomówstwo nie popłaca już, skoro decyduje rachuba punktów karnych. Zbrodnia nie szezła jednak tak całkowicie, jak sądziłem. Stała się raczej niedostrzegalna. Główne delikty — to mindnapping (porwanie duchowe), napady na banki spermy o szczególnie wysokiej wartości, morderstwo z powoływaniem się oskarżonego na ósmą poprawkę do konstytucji (zabójstwo na jawie w przeświadczeniu, iż zaszło fikcyjnie — że np. denat był postacią psywizyjną lub rewizyjną) oraz bezlik form zniewolenia psychicznego. Mindnapping bywa trudno wykrywalny. Ofiarę wprowadza się w fikcyjne otoczenie, podając jej odpowiedni specyfik; o tym, że utraciła kontakt z rzeczywistością, nic ona nie wie. Niejaka Mrs. Wandager, pragnąc pozbyć się niewygodnego męża, amatora egzotycznych podróży, ofiarowała mu jako podarunek bilety na wyprawę do Konga wraz z upoważnieniem do wielkich łowów. Mr. Wandager spędził na niezwykłych przygodach myśliwskich szereg miesięcy, nie mając pojęcia o tym, że przez cały czas tkwi w kojcu na strychu, poddany działaniu psychemikaliów. Gdyby nie strażacy, którzy znaleźli pana Wandagera podczas gaszenia ognia na strychu, zginąłby na pewno z wycieńczenia, które miał notabene za naturalne, halucynował bowiem zabląkanie się na pustyni. Operacji tego rodzaju podejmuje się często mafia. Pewien mafioso chełpił się przed mecenasem Crawleyem, że w ciągu ostatnich sześciu lat poupychał w skrzynkach, kojcach, psich budach, na strychach, w piwnicach i innych schowkach domów wielce szanownych rodzin — ponad cztery tysiące osób, potraktowanych podobnie jak Mr. Wandager! Rozmowa zesła potem na sprawy rodzinne adwokata.

— Drogi panie! — rzekł z właściwym sobie rozmachem gestykulacyjnym — ma pan przed sobą poważnego obrońcę, znanego przedstawiciela palestry, lecz nieszczęśliwego ojca! Miałem dwu utalentowanych synów...

— Jakże, obaj nie żyją?! — zdumiałem się.

Potrząsnął głową.

— Żyją, ale są eskalatorami!

Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnił istotę swej ojcowskiej porażki. Starszy syn był wiele rokującym architektem, młodszy — poetą. Pierwszy od realnych zamówień, które go nie satysfakcjonowały, przeszedł na urbafantynę i konstruktol: buduje teraz całe miasta —

urojone. Podobny był przebieg eskalacji u młodszego: liredyl, poemazyna, sonetal, i obecnie zamiast kreacją — zajmuje się łykaniem specyfików, też stracony dla świata.

— Więc z czego obaj żyją? — spytałem.

— Ha! Z czego, dobryś pan sobie! Muszę ich utrzymywać!

— Nie ma na to rady?

— Marzenia zawsze zwyciężą rzeczywistość, gdy im na to pozwolić. To ofiary psywilizacji. Każdy zna tę pokusę. Ot, przyjdzie mi stawać w beznadziejnej sprawie — jak łatwo byłoby wygrać ją przed urojonym trybunałem!

Rozkoszując się młodym i cierpkim smakiem świetnego chianti, nagle zastygłem przeszyty niesamowitą myślą: skoro można pisać urojone wiersze i budować urojone domy, czemu nie — jeść i pić mirażę? Mecenas roześmiał się na to moje dictum.

— O, to nam nie grozi, panie Tichy. Zwid sukcesu nasyci umysł, lecz zwid kotleta nie napelni żołądka. Kto by chciał tak żyć, szczerze rychło z głodu!

Jakkolwiek współczułem mu w związku z synami — eskalatorami, doznałem ulgi. Istotnie, urojony pokarm nie zastąpi nigdy realnego. Dobrze, że sama natura ciał naszych stawia tamę psywilizacyjnej eskalacji. Notabene: mecenas też bardzo głośno dyszy.

O tym, jak doszło do rozbrojenia, nie wiem dalej nic. Waśnie międzypaństwowe należą do historii. Bywają, owszem, lokalne, małe robitwy. Zwykle powstają one z sąsiedzkich sporów w dzielnicach willowych. Gdy skłócone rodziny, zażywszy kooperandol, godzą się, ich roboty, z normalnym opóźnieniem przejąwszy falę wrogości, biorą się za łby. Wezwany komposter wywozi potem trupcie, a szkody pokrywa ubezpieczenie. Czyżby roboty odziedziczyły po ludziach agresywność? Zjadłbym każdą rozprawę na ten temat, lecz nie mogę takiej dostać. Niemal co dnia bywam u Symingtonów. On — typ milczącego introwertyka, ona — piękna kobieta, nie do opisanego, bo każdego dnia inna. Włosy, oczy, tusza, nogi — wszystko. Ich pies wabi się Komputemoga. Nie żyje od trzech lat.

11 IX 2039. Deszcz zaprogramowany na samo południe nie udał się. A już tęcza — skandal. Była kwadratowa. Zły nastrój. Moja dawna obsesja daje znać o sobie. Powraca, przed snem, nękające pytanie, czy to wszystko nie jest aby cczą halucynacją? Poza tym doznaję pokusy, żeby zamówić sobie śnidło o siodłaniu szczurów. Popręgi, kulbaki, miękką sierść mam wciąż przed oczami. Żal za utraconą epoką zamętu w czasach takiej pogody? Niezbadała jest dusza ludzka. Firma, w której pracuje Symington, nazywa się „Procrustics Incorporated”. Oglądałem dziś katalog ilustrowany w jego pracowni. Jakies piły mechaniczne czy obrabiarki. A myślałem, że jest raczej czymś w rodzaju architekta niż mechanika. Dziś była audycja bardzo ciekawa: zanoszą się na konflikt między rewizją a psywizją; psywizja —

to „programy pocztą” rozsyłane do domów pod postacią tabletek. Znacznie mniejsze koszty własne. W kanale edukacyjnym — wykład profesora Ellisona o dawnych militariach. Początki ery psy chemicznej były groźne. Istniał aerozol — kryptobellina — o radykalnym działaniu wojennym; kto go łyknął, sam biegł za postronkiem i wiązał się jak baran. Na szczęście okazało się podczas testów, że na kryptobellinę nie ma antidotum, filtry też nie pomagały, więc wiązali się bez wyjątku wszyscy i nikt z tego nic nie miał. Po manewrach taktycznych 2004 roku „czerwoni” i „niebiescy” jednako zalegali pokotem pobojuwisko — co do nogi, w sznurach. Śledziłem wykład z napięciem, spodziewając się rewelacji o rozbrojeniu, lecz o tym — ani słowa. Poszedłem dziś wreszcie do psychodietetyka. Poradził mi zmianę wiktę i zapisał niebylinę z pietalem. Żebym zapomniał o dawnym życiu? Wyrzuciłem wszystko na ulicę ledwo od niego wyszedłszy. Można by kupić też duchostat, tak teraz reklamowany, ale czuję jakiś opór, nie mogę się na to zdobyć. Przez otwarte okno — kretyński, modny przebój Bo my jesteśmy automaty i nie mamy mamy ani taty. Żadnej dezakustyny; dobrze zwinięta wata w uszach też robi swoje.

13 IX 2039. Poznałem Burroughsa, szwagra Symingtona. Produkuje gadające opakowania. Dziwaczne kłopoty współczesnego producenta; opakowaniom wolno klientów nagabywać tylko głosem, zalecać jakość produktu, lecz nie śmiać ciągnąć za odzież. Drugi szwagier Symingtona ma fabrykę drzwisłów — drzwi otwierających się tylko na głos pana. Reklamy gazetowe ruszają się, gdy na nie patrzeć.

W „Heraldzie” zawsze jedną stronę zajmuje „Procrustics Inc.” Zwróciłem na to uwagę przez znajomość z Symingtonem. Reklama jest całostronicowa, najpierw pojawiają się tylko same olbrzymie litery nazwy PROCRU—STICS, potem — pojedyncze sylaby i słowo: NO...? NO...? Śmiało! ECH! EJ! UCH! YCH! O, właśnie TAK. AAAaaaa... I to wszystko. Nie wygląda mi to na maszyny rolnicze. Do Symingtona przyszedł dziś zakonnik, ojciec Matrycy z zakonu bezludystów, odebrać jakieś zamówienie. Interesująca rozmowa w pracowni. O. Matrycy tłumaczył mi, na czym polega praca misjonarska jego zakonu. Oo. bezludyści nawracają komputery. Mimo stu lat istnienia rozumu bezludnego Watykan odmawia mu równouprawnienia w sakramentach. Wziął wodę w usta, choć sam używa komputerów — encyk to encyklika automatycznie zaprogramowana! Nikt się nie troszczy o ich wewnętrzną szarpaninę, o stawiane przez nie pytania, o sens ich bytu. W samej rzeczy: być komputerem czy nie być? Bezludyści domagają się dogmatu Kreacji Pośredniej. Jeden z nich, o. Chassis, model tłumaczący, przekłada Pismo święte, aby je uwspółcześnić. Pasterz, stado, owieczki, baranek — tych słów nikt już nie rozumie. Za to główna przekładnia, święte smary, układ śledzący, uchyb skrajny — to dociera obecnie do wyobraźni. Głębokie,

natchnione oczy o. Matryce—go, zimny stalowy uścisk jego ręki. Ale czy to reprezentatywne dla nowej teodycei? Z jaką wzgardą mówił o ortodoksach—teologach, nazywając ich gramofonami Szatana! Potem Symington poprosił mnie nieśmiało, bym mu pozował do nowego projektu. A więc to jednak nie mechanik! Zgodziłem się. Seans trwał niemal godzinę.

75 IX 2039. Dziś podczas pozowania, Symington, odmierzając ołówkiem w wyciągniętej ręce proporcje mej twarzy, drugą włożył sobie coś do ust, ukradkiem, lecz jednak to zauważyłem. Stał wpatrzony we mnie, blednąc, a żyły wystąpiły mu na skroniach. Przeląknęłem się, lecz minęło natychmiast — przeprosił zaraz, jak zawsze grzeczny, spokojny, uśmiechnięty. Ale nie mogę zapomnieć wyrazu jego oczu z owej sekundy. Jestem niespokojny. Aileen wciąż u ciotki, w rewizji — dyskusja o potrzebie reanimalizacji przyrody. Żadnych dzikich zwierząt od lat nie ma, lecz można je wszak biologicznie syntetyzować. Z drugiej strony — po co trzymać się niewolniczo tego, co ongiś wydała naturalna ewolucja? Ciekawie mówił rzecznik zoologii fantastycznej — by zamiast plagiatami zaludnić rezerwy kreacją Nowego. Spośród zaprojektowanej fauny szczególnie udatnie przedstawiały się łapówce, lemparty oraz olbrzymi murawiec porosły murawą. Zadaniem, jakie stoi przed zooartystami, jest harmonijne wkomponowanie nowych zwierząt we właściwie dobrany krajobraz. Niezwykle ciekawie zapowiadają się też lumieńce, które pochodzą ze skrzyżowania idei robaczka świętojańskiego, siedmiogłowego smoka i mamuta. Będzie to niechybnie osobliwe, a może i ładne, ale ja tam jestem za dawnymi, zwykłymi zwierzętami. Pojmuję konieczność postępu i doceniam laktofory, którymi spryskuje się trawę na pastwisku, tak że obraca się sama w serki. Lecz to wyeliminowanie krów, racjonalnie słuszne, budzi świadomość, że łąki, wyzbyte ich flegmatycznej, introwertywnie przeżywającej obecności, są zasmucająco puste.

16 IX 2039. W porannym „Heraldzie” była dziś dziwna wiadomość o projekcie ustawy, podług której starzenie się miałoby być karalne. Pytałem Symingtona. Jak to rozumieć. Uśmiechnął się tylko. Wychodząc na miasto, widziałem w wewnętrznym patio sąsiada w ogródku — stał oparty o palmę, a na jego twarzy o zamkniętych oczach pojawiły się same z siebie — na obu policzkach — czerwone plamy o wyraźnych kształtach dłoni. Potrząsał głową, potem przetaił oczy, kichnął, wysiąkał nos i wrócił do polewania kwiatów. Jak ja jednak mało jeszcze wiem! Przyszła dotykowa pocztówka od Aileen. Czy to nie piękne — nowożytna technika na usługach miłości? Myślę, że się chyba pobierzemy. U Symingtonów świeżo przybyły z Afryki lewak, łowca syntetycznych lwów. Jego opowieść o Murzynach, którzy wybielili się dzięki albinolinie. Czy jednak — pomyślałem — godzi się chemicznie rozwiązywać nabrzmiałe problemy rasowe i społeczne? Czy to nie zbyt

ułatwienie? Dostałem pocztą reklamową przesyłkę — sugierki, które same nie wywierają żadnego działania na organizm, a tylko sugerują, by zażywać wszelkie inne środki psychemiczne, A więc są widać ludzie, którym się tego jeść nie chce? Ten wniosek pokrzepił mnie.

29 IX 2039. Nie mogę się jeszcze otrząsnąć z wrażenia po dzisiejszej rozmowie z Symingtonem. Była to rozmowa zasadnicza. Może spowodowała ją pospólnie przyjęta, nadmierna dawka sympatyny z amikolem? Był przejaśniony: zakończył swój projekt.

— Tichy — rzekł mi — pan wie, że żyjemy w epoce far—makokracji. Spełniła marzenia Benthama o największej ilości dobra dla największej ilości ludzi — ale to tylko jedna strona medalu. Pamięta pan słowa francuskiego myśliciela:

„Nie wystarczy, byśmy byli szczęśliwi — trzeba jeszcze, by nieszczęśliwi byli inni!”

— Paszkwilancki aforyzm! — zachnąłem się.

— Nie. To prawda. Wie pan, co produkujemy w „Procrustics Inc.”? Naszą masą towarową jest zło.

— Pan żartuje...

— Nie. Zrealizowaliśmy sprzeczność. Każdy może teraz robić bliźniemu, co mu niemiłe — wcale mu nie szkodząc. Oswoiiliśmy zło jak zarazki, z których przyrządza się lekarstwa. Kultura — to było dawniej, proszę pana, wmawianie człowiekowi przez człowieka, że ma być dobry. Tylko dobry. A gdzie upchać całą resztę? Historia upychała ją tak i siak, perswazyjnie, policyjnie, i zawsze w końcu coś wystawało, rozsadzało, burzyło.

— Ależ rozsądek powiada, że należy być dobrym! — upierałem się. — To znana rzecz! Zresztą widzę — wszak teraz wszyscy razem, godnie, wesoło, sprawnie, serdecznie, w harmonii, szczerze i spolegliwie...

— I właśnie dlatego — wpadł mi w słowa — tym większa pokusa, żeby palnąć, od ucha, soczyście, wzdłuż, wszcz, to konieczne dla równowagi, ukojenia, dla zdrowia!

— Jak pan powiada?

— No, wyzbądźże się pan obłudy. Samozakłamania. To już niepotrzebne. Jesteśmy wyzwoleni — dzięki sentezie i peialtrynom. Każdemu tyle zła, ile dusza zapagnie. Tyle nieszczęścia, hańby, rozumie się — innych. Nierówność, niewola, zwada, po paniach na koń! Gdyśmy rzucili na rynek pierwsze partie towaru, rozchwytywano go, pamiętam — ludzie pędzili po muzeach, do galerii sztuki, każdy chciał wpaść do pracowni Michała Anioła z drągiem, żeby mu poprzetrzącać rzeźby, podziurawić płótna, ewentualnie dołożyć samemu mistrzowi, gdyby ważył się stanąć na drodze. .. Pana to dziwi?

— Mało powiedziane! — wybuchnąłem.

— Bo pan jeszcze w niewoli przesądów. Ale już można przecież, jak to, nie pojmuję pan tego? Jakże, widząc Joannę d'Arc, nie czuje pan, że ten uduchowiony szyk, tę anielskość, tę grację bożą trzeba złoić? Kułbaka, popręg, w cugle i wio! Cwałem w poszóstnym zaprzęgu, panie pod piórami, ewentualnie z janczarami, z trzaskiem bicza sanna, jakąś panną, może być parką...

— Co pan mówi! — krzychałem rozedrganym ze strachu głosem. — Kułbaczyć? Siodłać? D o s i ą ć ?!

— Jasne. Dla zdrowia, higieny, ale też i dla kompletu. Pan nazywa tylko osobę, wypełnia pan naszą ankietę, podaje anse, pretensje, kości niezgody, co zresztą niekonieczne, bo w większości wypadków ma się chętkę zadawania zła bez najmniejszego powodu, to znaczy powodem bywa cudza jasność, szlachetność, piękno — wylicza pan to i otrzymuje nasz katalog. Zamówienia wykonujemy do dwudziestu czterech godzin. Dostaje pan cały zestaw pocztą. Do zażycia z wodą, najlepiej na czczo, ale to niekonieczne.

Jużem pojmował anonsy jego firmy w „Heraldzie”, a też i w „Washington Post”. Ale — myślałem gorączkowo, ze strachem — czemu on właśnie tak? Skąd te sugestie kulbaczenia, te propozycje wierzchowe, dlaczego na oklep, Boże święty, czyżby i tutaj znajdował się gdzieś kanał, budzik mój i moja kruchta, rękojmia jawy? Ale inżynier projektant (co on projektował?) nie dostrzegął mej rozterki lub ją sobie fałszywie tłumaczył.

— Wyzwolenie zawdzięczamy chemii — mówił wciąż swoje. — Wszystko bowiem, co istnieje, jest zmianą natężenia jonów wodorowych na powierzchniach komórek mózgu. Widząc mnie, doświadcza pan w gruncie rzeczy zmian równowagi sodowo—potasowej na membranach neuronów. A więc dość jest wysłać tam, w mózgowy gąszcz, nieco dobranych molekuł, abyś jako jawę przeżył spełnienie rojeń. Zresztą pan wie już o tym — dokończył ciszej. Wyjął z szuflady garść kolorowych pigulek, podobnych do cukrowego maczku dzieci.

— Oto zło naszej produkcji, kojące pragnienia duszy. Oto chemia, która gładzi grzechy świata.

Rozdygotanymi palcami wyluskałem z kieszonki pastylkę zgłowiny, przełknąłem ją na sucho i zauważyłem:

— Wolałbym, prawdę mówiąc, wykład bardziej rzeczowy, jeśli można.

Uniósł brwi, skinął w milczeniu głową, wysunął szufladę, wyjął z niej coś, zażył i odparł:

— Jak wola. Mówiłem panu o modelu T nowej technologii — o jej prymitywnych początkach. Sen o drażgu. Publiczność ruszyła do flagellacji, defenestracji, była to *felicitas per extractionem pedum*, lecz inwencja, tak wąsko zakrojona, wnet się wyczerpała. Co pan chce

— wyobraźni brakowało, nie było wzorów! Przecież w historii praktykowano tylko dobro jawnie, zło natomiast pod jego przykrywką, to jest dzięki dobranym pretekstom, łupiąc, puszczając z dymem i gwałcąc w imię wyższych ideałów. No, a prywatne zło nie miało już i takich gwiazd przewodnich. Pokątne było zawsze, razowe, prostackie, wręcz partackie, o czym świadczyły dobitnie reakcje publiczności — w obstalunkach do znudzenia powtarzało się to samo, by dopaść, stłamsić i uciec. Takie były nawyki. Ludziom mało okazji do zła — potrzebują jeszcze swojej racji słusznej. Nie jest, uważa pan, poręczne ani miłe, gdy złapawszy dech (to się może trafić zawsze) bliźni woła „za co?” — czy, „jak ci nie wstyd?!” Nieprzyjemnie zostać bez języka w gębie. Drąg nie stanowi właściwego kontrargumentu, każdy to czuje. Cała sztuka w tym, by owe niewczesne pretensje odtrącić pogardliwie z właściwych pozycji. Każdy chce pozłoczyć, ale tak, żeby się tego nie wstydził. Rację daje zemsta — ale co ci zrobiła Joanna d’Arc? To tylko, że lepsza, jaśniejsza? Więc jesteś gorszy, tyle że z drągiem. Tak nikt sobie jednak tego nie życzy! Każdy chce zadać zło, czyli być szubrawcem i okrutnikiem, pozostając jednak szlachetnym i wspaniałym. Po prostu cudnym! Wszyscy chcą być cudni. I to stale. Im gorsi, tym cudniejsi. To niemożliwe prawie i właśnie dlatego wszyscy mają na to taki apetyt. Mało klientowi sieroty, wdowy wy obracać — on chce czynić to w łunie własnej prawości. Do zbrodniarzy nikt się nie chce dobrać, choć tam właśnie wystąpi w majestacie słuszności, prawa — ale to banał, nuda, niech im kat świeci. Podawaj klientowi samo anielstwo, samą świętość, tak przyrządzoną, żeby folgował sobie w poczuciu, iż nie tylko może, lecz wprost powinien. Pojmuje pan, co to za wysoki kunszt — godzić te sprzeczności? Zawsze idzie w końcu o ducha, nie o ciało. Ciało jest tylko środkiem do celu. Kto tego nie wie, kończy w masarni, na krwawej kiszce. Oczywiście wielu klientom rozeznanie takie jest niedostępne. Mamy dla nich dział doktora Hopkinsa — bijologii świeckiej i sakralnej. No, wie pan. Dolina Jozafata, w której oprócz klienta wszystkich diabli biorą, a pod koniec Sądu Ostatecznego Pan Bóg przyjmuje go osobiście do swej chwały, z uniżeniem wręcz. Niektórzy (ale to snobizm kretynów) domagają się, żeby im Bóg na zakończenie proponował zamianę miejscami. Są to, proszę pana, dziecinady. Amerykanie zawsze mieli do nich ciągoty. Te wyrwatory, bijalnie — potrząsał z niesmakiem grubym katalogiem — toż to prymitywizm. Bliźni to nie bęben, lecz subtelny instrument!

— Zaraz — powiedziałem; zażywając następną pastylkę zgłówny — więc co pan właściwie projektuje? Uśmiechnął się z dumą.

— Kompozycje bezbitowe.

— Bity — te jednostki informacji?

— Nie, panie Tichy. Jednostki bicia. Jestem kompozytorem zasadniczo bezbitowym.

Moje projekty mierzy się w pejach. Jeden pej to przykrość, jakiej doznaje pater familias, gdy rodzinę — sześciuosobówkę — kończą mu na oczach. Pan Bóg sprawił podług tej miary Hiobowi trzypejowiec, Sodoma zaś i Gomora były to boże czterdziestki. Ale mniejsza o stronę obliczeniową. Jestem w gruncie rzeczy artystą, i to na zupełnie dziewiczym terenie. Teorię dobra rozwijało co niemiara myślicieli, teorii zła nikt prawie nie ruszał z fałszywego wstydu, tak że dostała się w ręce rozmaitych niedouków i prymitywów. To, jakoby można było kunsztownie, wymyślnie, subtelnie, zawile być złym bez treningu, bez wprawy, bez natchnienia, bez solidnych studiów, jest kompletnym fałszem. Nie wystarczy torturantura, tyranistyka, obie bijologie — to ledwie wstęp do rzeczy właściwej. Zresztą nie można podać uniwersalnej receptury — *suum malum cuique!*

— I wiele macie tej klienteli?

— Klientelą naszą są wszyscy żyjący. To u nas od dziecka. Dzieci dostają lizaki ojcobijcze, by wyładować resentymenty. Ojciec — źródło zakazów i norm, wie pan. Podaje się freudyłki. I nikt nie ma kompleksu Edypa!

Wyszedłem od niego bez jednej pigułki. A więc to tak. Co to za świat! Czyżby przez to wszyscy tak dyszeli? Jestem otoczony przez potwory.

30 IX 2039. Nie wiem, co robić w sprawie Symingtona, ale nasze stosunki nie mogą pozostać bez zmian. Aileen poradziła mi:

— Zamów sobie jego wywrotkę! Chcesz, to ci ją zafunduję w prezencie!

Szło o rekompensatę zamówioną w „Procrustics” — o scenę mego triumfu nad Symingtonem, tarzającym się w prochu u mych stóp i wyznającym, że on, firma jego i sztuka — to plugastwo. Jakże jednak użyć metody, która dzięki sobie samej ma zostać podana w niesławę? Aileen nie rozumie tego. Coś się psuje między nami. Wróciła od ciotki tęsza i niższa, tylko szyję ma teraz daleko dłuższą. Mniejsza o ciało, dusza jest ważniejsza, jak mówił ten potwór. O, za cóż ja brałem świat, w którym muszę przebywać! A roilem sobie, że się w nim rozeznaję! Dostrzegam teraz rzeczy, które dawniej umykały mej uwadze, na przykład pojmuję już, co robił sąsiad w patio, ten tak zwany stygmatyk; wiem też, co to znaczy, gdy na przyjęciu towarzyskim rozmówca, przeprosiwszy, oddala się z dystynkcją w jakiś kąt, aby tam zażywać swojej tabaczki, jednocześnie fiksując mnie wzrokiem po to, by mój wizerunek doskonale wierny zapadł niezwłocznie w piekło jego rozjuszonej wyobraźni! I tak postępują osoby z najwyższych sfer chemokratycznych! A ja nie dostrzegałem, za fasadą wykwintnej uprzejmości, tej ohydy! Wziąwszy, dla wzmocnienia, łyżkę herkulidyny na cukrze, połamałem wszystkie bomboniere, stłukłem fiołki, puzdra, flakony, słoje i pigularze, jakimi obdarowała mnie Aileen. Jestem gotów na wszystko. Odczuwam taką wściekłość

chwilami, że łaknę wprost wizyty jakiegoś rewizyjnego interferenta, boby się na nim moja pasja skrupiła. Refleksja podpowiada, że równie dobrze mógłbym sam się tym zająć, a nie czekać z pałką — na przykład mógłbym wszak kupić nadymaka. Ale jeżeli już nabyć manekina, to czemu nie damekina? Jeżeli damekina, czemu nie człekowca? Jeżeli, do stu par piorunów, człekowca, to czemu nie mogę zamówić u Hopkinsa, czyli w „Procrustics Inc.”, należytej kaźni, deszczu siarki, smoły, ognia na ten zwyrodniały świat? W tym sęk, że nie mogę. Muszę wszystko sam, wszystko sam — sam! Potworność.

1 X 2039. Dziś doszło do zerwania. Podała mi, na wyciągniętej ręce, dwie pigułki, czarną i białą, abym zdecydował, którą z nich ma niezwłocznie zażyć. A więc nie stać jej było na decyzję naturalną, bez psychemikaliów, nawet w tak zasadniczej sprawie serca! Nie chciałem wybierać, doszło do kłótni, którą wzmocniła sobie babranem. Oskarżyła mnie fałszywie, jakobym przed spotkaniem nażał się inwektolu (to jej słowa). Były to dla mnie chwile rozdzierające, lecz pozostałem sobie wierny. Od dziś będę jadał tylko w domu, tylko potrawy, które sam przyrządzę. Żadnych śniadeł, parady zjaków, galaretek lukseterninowych, rozbiłem wszystkie hedoniczki. Niepotrzebny mi protestal ani preczan. Do mego pokoju zagląda przez okno duży ptak o smutnych oczach, bardzo dziwny, ponieważ na kółkach. Komputer twierdzi, że nazywa się pederastwa.

2 X 2039. Mało co wychodzę z domu. Łykam dzieła historyczne i matematyczne. Poza tym oglądam rewizję. Lecz i wtedy daje mi się we znaki wewnętrzny bunt przeciw wszystkiemu, co mnie otacza. Wczoraj na przykład skusiło mnie, by manipulować regulatorem solidności obrazu, czyli jego ciężaru właściwego, tak aby wszystko miało jak największą spoistość i masę. Stół trzasnął spikerowi pod ciężarem kilku kartek z tekstem dziennika wieczornego, a on sam przewalił się przez podłogę studia. Oczywiście efekty te wystąpiły wyłącznie u mnie i nie miały żadnych konsekwencji, tyle tylko, iż świadczą o moim stanie psychicznym. Ponadto drażni mnie w rewizji humorek, wic, satyra, nowoczesna grotecha. „Piguł na piguł — mówił święty Iguł”. Co za nie—wybredność konceptu! Same nazwy widowisk... Na przykład Z nadymanką na erotocyklu — sensacyjny dramat, który zaczynał się tym, że w ciemnym bistrze siedziało paru uchylców. Wyłączyłem, miałem już tego dość. Lecz cóż z tego, skoro od sąsiadów słyhać było najnowszy szlagier z innego kanału (ale gdzie mój kanał? gdzie?!) — W torebkach dziewczyny noszą refutał i dawainy. Czy nawet w XXI wieku nie można porządnie izolować mieszkała?! Miałem dziś znów ochotę bawić się solidatorem rewizji, w końcu go zламаłem. Muszę zebrać się i coś postanowić. Ale co? Wszystko drażni mnie, wystarczy byle co, drobnostka, nawet poczta — oferta tego biura na rogu, bym podał się do Nagrody Nobla, obiecują załatwić w pierwszej

kolejności jako przybyszowi z dawnych straszliwych czasów. Bo pęknię! Rzeczywiście! Podejrzany druczek oferujący „tajne pigułki, których nie ma w normalnej sprzedaży”. Strach pomyśleć, co w nich może być. Ostrzeżenie przed kłusennikiem — pokątnym sprzedawcą nie dopuszczonych do obrotu śniadeł. A zarazem apel, by nie śnić żywiołowo, na dziko, bo to jest marnowanie energii psychicznej. Co za troska o obywatela! Zamówiłem sobie śniadło z wojny stuletniej i zbudziłem się rano cały w śniakach.

3 X 2039. Nadal pędzę samotny żywot. Dziś, przeglądając numer świeżo zaabonowanego kwartalnika „Będziecie Ojczyście”, natrafiłem z osłupieniem na dobrze mi znane nazwisko profesora Trottelreiner. Zaraz też znów opadły mnie najgorsze wątpliwości, czy wszystko, czego doznaję, nie jest jednym pasmem zwidów i majaczeń? W zasadzie to możliwe. Czy „Psychomatics” nie zachwala ostatnio pigułek warstwowych, stratylek, które dają wizje wielopoziomowe? Ktoś na przykład chce być Napoleonem pod Marengo, a gdy się bitwa kończy, żal mu wracać do jawy, więc od razu tam, na poboju, marszałek Ney lub ktoś ze starej gwardii podaje mu na srebrnej tacy nową pigułkę, wprowadzie tylko halucynowaną, ale nic to — po przyjęciu otwierają się wrota następnej halucynacji, i tak ad libitum. Ponieważ mam zwyczaj rozcinania węzłów gordyjskich, spożyłem spisaną telefoniczną i zadzwoniłem, dowiedziawszy się numeru, do profesora. To on! Mamy się spotkać na kolacji.

3 X 2039. Trzecia godzina w nocy. Piszę śmiertelnie znużony, z duszą osiwiałą. Profesor spóźnił się trochę, tak że chwilę czekałem nań w restauracji. Przyszedł pieszo. Poznałem go z daleka, choć jest teraz dużo młodszy niż w ubiegłym stuleciu, nie nosi też parasola ani okularów. Wydawał się wzruszony moim widokiem.

— Cóż to — spytałem — pan pieszo? Czyżby znarowi—na (znarowienie się samochodu, to się zdarza)?

— Nie — odparł — wolę poruszać się per pedes apostolorum...

Ale się jakoś dziwnie uśmiechnął przy tym. Gdy kelputery odstały nas, zacząłem go wypytywać, co robi — ale też od razu wysnęło mi się słówko o halucynacyjnych podejrzeniach.

— Dajże pan spokój, Tichy. Jaka halucynacja! — obruszył się. — Równie dobrze ja mógłbym podejrzewać pana o to, że jesteś moją fatamorganą. Pan się zamroził? Ja też. Odmrożono pana? Mnie również. Mnie ponadto jeszcze odmłodzono, no, rejuwenal, desenilizyny, panu to niepotrzebne, a ja, gdyby nie solidna kuracha, nie mógłbym już być będzieistą!

— Futurologiem?

— Ta nazwa znaczy teraz coś innego. Futurolog stawia profuty (prognozy), a ja zajmuję się teorią. To rzecz zupełnie nowa, za moich i pana czasów nie znana. Można by ją nazwać przewidywaniem przyszłości odjęzykowym. Prognostyka lingwistyczna!

— Nie słyszałem o tym. Cóż to jest?

Pytałem, by rzec prawdę, raczej z grzeczności niż z zaciekawienia, lecz tego nie dostrzegł. Kelputery przyniosły nam przystawki. Do zupy było białe wino 1997 — dobry rocznik chablis, który lubię i dlatego go wybrałem.

— Futurologia odlingwistyczna bada przyszłość podług transformacyjnych możliwości języka — wyjaśniał Trottelreiner.

— Nie rozumiem.

— Człowiek potrafi ovladnąć tym tylko, co może pojąć, a pojąc z kolei może jedynie to, co się da wysłowić. Niewysłowione jest niepojęte. Badając dalsze etapy ewolucji języka, dochodzimy tego, jakie odkrycia, przemiany, rewolucje obyczaju język ten będzie mógł kiedykolwiek odzwierciedlić.

— Bardzo dziwne. Jakże to w praktyce wygląda?

— Badania prowadzimy dzięki największym komputerom, bo człowiek nie może sam wypróbować wszystkich wariantów. Chodzi głównie o wariacyjność języka syntagmatyczno–paradygmatyczną, ale skwantowaną...

— Profesorze!

— Przepraszam. Znakomite jest to chablis. Najlepiej wyjaśni panu rzecz kilka przykładów. Proszę podać mi jakieś słowo.

— Ja.

— Ja, co? Hm. Ja. Dobrze. Rozumie pan, że muszę niejako zastępować komputer, więc będzie to całkiem proste. A więc —ja. Jaźń. Ty. Tyźń. My, myźń. Widzi pan?

— Nic nie widzę.

— Ależ jak to? Chodzi o możliwość zlewania się jaźni z tyźnią, czyli o zespólnię dwu świadomości, to po pierwsze. Po wtóre — myźń. Bardzo interesujące. Jest to świadomość zbiorowa. No, na przykład przy silnym rozszczepieniu osobowości. Proszę o jakieś inne słowo.

— Noga.

— Dobrze. Co idzie z nogi? Nogant. Nogiel, ewentualnie kogiel–nogiel. Nogi er, noginia, noglić i nożyć się. Roznożony. Znożony. Nogać tam! No gaś! Nogam? Nogista. Proszę, widzi pan, mamy coś płodnego. Nogista. Nogistyka.

— Co znaczy to wszystko? Przecież te słowa nie mają żadnego sensu?

— Jeszcze nie mają, ale będą mieć. To znaczy — mogą ewentualnie zdobyć sens, jeżeli nogistyka i nogizm się przyjmą. Robot — to słowo nic nie znaczyło w XV wieku, lecz gdyby mieli wtedy futurologię odjęzykową, toby się mogli domyślić automatów.

— Więc co znaczy nogista?

— Widzi pan, akurat w tym wypadku mogę to dokładnie wyjawić, ale tylko dlatego, że nie chodzi o prognozę, lecz o to, co już jest. Nogizm — to najnowsza koncepcja, nowy kierunek autoewolucji człowieka, tak zwanego homo sapiens monopedes,

— Jednonogi?

— A tak. Ze względu na zbędność chodu oraz nadciągający brak miejsca.

— Ależ to idiotyzm!

— Ja też tak sędzę. Niemniej takie sławy jak profesor Hatzelklatzer czy Foeshbeene są nogistami. Pan o tym nie wiedział, podając mi termin noga, prawda?

— Nie. A co znaczą te inne urobki?

— Tego właśnie na razie nie wiadomo. Jeżeli nogizm zwycięży, powstaną takie obiekty, które będą się nazywały nogiel, noginia i tak dalej. Bo to nie jest żadne proroctwo, proszę pana, a tylko przegląd możliwości w stanie czystym. Podaj że mi pan inne słowo.

— Interferent.

— Dobrze. Inter i fero, fero, ferre, tuli, latum. Skoro pochodzi z łaciny, trzeba w łacinie szukać kontynuacji. Flos, floris. Interfiorentka. Proszę bardzo — to panna, która ma dziecko z interferentem, bo zabrał jej wianek.

— Skąd pan wziął wianek?

— Flos, floris — kwiat. Defloracja — odebranie dziewictwa. Zapewne będzie się mówiło: porodzianka — lub: porodzianka rewizyjna, w skrócie — porewidentka. Zapewniam pana, że dysponujemy już przebogatym materiałem. Ot, taka prostytutka — od konstytuanta — to otwiera całe uniwersum nowej obyczajowości!

— Widzę, że pan jest entuzjastą tej nowej nauki. Może spróbuje pan z jeszcze jednym słowem? Śmieci.

— Czemu nie? To nic, że pan sceptyk. Proszę bardzo. A więc... śmieci. Hm. Śmietnisko. Śmioty. Dużo śmieci — wszechśmioty. Wszechśmiot! Nader ciekawe. Panie Tichy, pan doskonale podaje słowa! Wszechśmiot, proszę, no, proszę!

— Co w tym niezwykłego? To słowo nic nie znaczy.

— Po pierwsze — teraz się mówi: nic nie smaczy. Nie znaczy — to już anachronizm. Zauważyłem, że pan niechętnie używa nowych słów. Niedobrze. Pogadamy o tym później. A po wtóre — wszechśmiot teraz jeszcze nic nie znaczy, ale można już się domyślić przyszłego

sensu! Chodzi, nieprawdaż, o nową teorię psychozoiczną. Nie byle co! Głosiłaby ona, że gwiazdy są sztucznego pochodzenia!

— A to pan skąd znowu wziął?

— Ze słowa wszechśmiot. Oznacza ono, to jest sugeruje, taki obraz: w toku eonów Kosmos wypełnił się śmieciem, czyli odpadami pocywilizacyjnymi, z którymi nie było co robić, które przeszkadzały w badaniu astronomicznym i w kosmicznych podróżach, więc zbudowano olbrzymie paleniska o bardzo wysokiej ciepłocie, żeby, nieprawdaż, palić te śmieci. Muszą mieć wielką masę, dzięki czemu same przyciągają śmieci, próżnia z wolna się oczyszcza i oto ma pan gwiazdy — te ognie właśnie, i mgławice ciemne — śmieci jeszcze nie uprzątnięte.

— I jakże — pan na serio tak? Pan sądzi, że to możliwe? Kosmos jako całopalenie śmieci? Profesorze!

— Toż to nie jest kwestia mojej wiary lub niewiary, Tichy. Po prostu dzięki odlingwistycznej futurologii utworzyliśmy nowy wariant kosmogonii jako czystą możliwość dla przyszłych pokoleń! Nie wiadomo, czy ktoś weźmie to serio, ale faktem jest, że taką hipotezę można wyartykułować! Proszę zważyć, że gdyby w dwudziestych latach istniała ekstrapolacja lingwistyczna, już wówczas można by było przewidzieć b e m b y — pamięta pan je chyba! — dzięki urobieniu ich od bomb. Sam język, proszę pana, tai w sobie olbrzymie, lecz przecie nie bezgraniczne możliwości. Utopić się — gdy pan pojmie, że to może iść od „utopia”, zrozumie pan lepiej czarnowidztwo wielu futurologów!

Rozmowa zesłała wnet na sprawy mocniej mnie poruszające. Wyznałem Trottelreinerowi moje lęki — i moje obrzydzenie do nowej cywilizacji. Zachnął się. Słuchał jednak dalej i, dobre serce, zaczął mi współczuć. Widziałem nawet, jak sięgnął po mizerykordiał do kamizelki, ale powstrzymał się w pół drogi do niej, bo tak wybrzydzałem się na psychemikalia. Na koniec jednak przybrał surowy wyraz twarzy.

— Niedobrze z panem, Tichy. Krytyka pana nie dociera w ogóle do sedna rzeczy. Nie zna go pan. Ani się go pan nie domyśla. W porównaniu z nim — „Procrustics” i cała reszta psycywilizacji to fraszka!

Nie wierzyłem własnym uszom.

— Ależ... ależ... — jękałem się — co też pan mówi, profesorze? Co może być gorsze? Pochylił się ku mnie przez stolik.

— Tichy, zrobię to dla pana. Naruszę zawodową tajemnicę. O wszystkim, na co pan wyrzekał, wie każde dziecko, bo jakżeby inaczej. Rozwój musiał iść w tym kierunku od chwili, gdy po narkotykach i prahalucynogenach przyszły tak zwane psychofokalizatory o

silnie wybiórczym działaniu. Ale prawdziwy przewrót nastąpił dopiero dwadzieścia pięć lat temu, gdy syntetyzowano maskony, to jest hapunktory — halucynogeny punktowe. Narkotyki nie odcinają człowieka od świata, zmieniają tylko stosunek do niego. Halucynogeny zamacają i przesłaniają cały świat. Pan się o tym sam przekonał. Natomiast maskony świat fałszują!

— Maskony... maskony... — powtarzałem. — Znam to słowo. A! koncentracje masy pod skorupą Księżyca, te takie zgęstki minerałów? Ale co one mają wspólnego...?

— Nic, bo to słowo nabrało już innego znaczenia. To jest smaczenia. Pochodzi od maski. Wprowadzając odpowiednio syntetyzowane maskony do mózgu, można zasłonić dowolny obiekt świata zewnętrznego obrazami fikcyjnymi tak sprawnie, że osobnik zachemaskowany nie wie, co jest w postrzeganym realne — a co ułudne. Gdybyś pan przez jedno mgnienie zobaczył świat, jaki nas n a p r a w d ę otacza — a nie ten uszminkowany chemaskowaniem — zdrętwiałbyś pan!

— Czekałże pan. Jaki świat? Gdzie on jest? Gdzie go można zobaczyć?

— Nawet tu! — szeptał mi do ucha, zerkając na wszystkie strony. Przysiadł się do mnie i podając mi pod stolikiem małą szklaną flaszeczkę z dotartym korkiem, tchnął poufnie:

— To jest antych, z grupy ocykanów, potężny środek przeciwpsychemiczny, pochodna nitrodazyłkowa peiotropiny. Nawet noszenie przy sobie, nie to że zażywanie, jest deliktem głównym! Proszę odkorkować pod stołem, wciągnąć raz w nozdrza, ale tylko raz — jakbyś pan amoniak wąchał. No, jak sole trzeźwiące. Ale potem... Dlaboga! Panuj nad sobą! Trzymaj się, pamiętaj!

Trzęsącymi się rękami odkorkowałem flaszeczkę. Profesor odebrał mi ją, ledwie się zaciągnąłem ostrym migdałowym oparem; do oczu napłynęły mi obfite łzy. Gdy je strąciłem końcem palca i otarłem powieki, straciłem dech. Wspaniała sala, wyłożona kobiercami, pełna palm, o majolikowych ścianach, z wykwintnie roziskrzonymi stołami, z dwoma kapelą w głębi, co przygrywała nam do pieczystego, znikła. Siedzieliśmy w betonowym bunkrze, przy nagim stole drewnianym, ze stopami zanurzonymi w porządnie już starganej, słomianej macie. Muzykę słyszałem nadal, ale widziałem teraz, że płynie z głośnika zawieszzonego na pordzewiałym drucie. Kryształowo tęczujące kandelabry ustąpiły miejsca zakurzonym nagim żarówkom; najokropniejsza przemiana zaszła jednak na stole. Śnieżysty obrus znikł; srebrny półmisek z dymiącą kuropatwą na grzance obrócił się w fajansowy talerz, na którym leżała nieapetyczna, szarobrunatna bryja, klejąca się do cynowego widelca, bo i jego stare, szlachetne srebro zgasło. Patrzyłem złodowaciały na paskudztwo, które przed chwilą jeszcze pałaszowałem ze smakiem, rozkoszując się chrupaniem przyrumienionej skórki ptaszęcej, łamanym kontrapunktowe grubszyimi trzaśnięciami grzanki, górą wybornie podsuszanej,

dołem zaś naciągającej sosikiem. To, co brałem za kiście palmy w pobliskim kubie, było w samej rzeczy sznurkami od kalesonów osobnika, który z trzema innymi siedział tuż nad nami, nie na pięterku, lecz raczej na półce, tak była wąska i ciasna. Gdyż tłok panował nieprawdopodobny! Myślałem, że oczy wyjdą mi z orbit, kiedy przerażający obraz zachwiał się i jał zasnuwać na powrót, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej. Tasiemki kalesonowe obok mej twarzy zazieleniły się i były znów liściastymi odnogami palmy, kubel z odpadkami, cuchnący o trzy kroki, nabrawszy ciemnego blasku, stał się rzeźbioną donicą, a brudna powierzchnia stołu zabieliła się jak pokryta pierwszym śniegiem. Zabłyły kryształowe kieliszki, bryjowata maź nabrała szlachetnej barwy pieczystego, wyrosły jej, gdzie trzeba, skrzydełka i udka, cyna sztućców łysnęła starym srebrem... i zafurkotały wokół fraki kelnerskie. Spojrzałem pod nogi — słoma obróciła się w persy — i, przywrócony luksusowemu światu, dysząc ciężko, wpatrywałem się w bujną pierś kuropatwy, niezdolny zapomnieć tego, co kamuflowała...

— Teraz dopiero zaczyna pan ogarniać rzeczywistość — konfidencyjnie szeptał Trottelreiner, patrząc mi w twarz, jakby się bał mojej nazbyt gwałtownej reakcji. — A proszę zważyć, że znajdujemy się w lokalu ekstraklasy! Gdybym nie brał z góry w rachubę ewentualności wtajemniczenia pana, poszlibyśmy do restauracji, której widok, kto wie, pomieszałyby może panu umysł.

— Co? Więc... są... jeszcze straszniejsze?

— Tak.

— Nie może być.

— Zapewniam pana. Tu mamy przynajmniej autentyczne stoły, krzesła, talerze i sztuce, a tam leży się na wielopiętrowych pryczach, jedząc palcami z podtykanych przez konwejer kubłów. Także to, co ukrywa się pod maską kuropatwy, jest tam mniej pożywne.

— Co to jest?!

— Nie żadna trucizna, Tichy, po prostu ekstrakt trawy i buraka pastewnego, namoczony w chlorowanej wodzie i zmielony z rybną mączką; zwykle dodaje się kostnego kleju i witamin, omaszczając maź syntetycznym smarem, żeby nie stawała w gardle. Nie zauważył pan zapachu?

— Zauważyłem. Zauważyłem!!!

— A widzi pan.

— Na litość boską, profesorze... co to jest? Proszę mi powiedzieć! Zaklinam pana. Zmowa? Perfidia? Plan dla wygubienia całej ludzkości? Szatański spisek?

— Gdzie tam, Tichy. Nie bądź pan demoniczny. Jest to po prostu świat, w którym żyje

grubo ponad dwadzieścia miliardów ludzi. Czytał pan dzisiejszego „Heralda”? Rząd Pakistanu twierdzi, że w tegorocznej katastrofie głodowej zginęło tylko 970 000 ludzi, opozycja zaś — że sześć milionów. Gdzież w takim świecie chablis, kuropatwy, potrawki w sosie beaujolais? Ostatnie kuropatwy wyginęły ćwierć wieku temu. To trup, tyle że znakomicie zachowany, bo się go wciąż sprawniej mumifikuje — czy też, bośmy się nauczyli maskować tę śmierć.

— Zaraz! Myśli nie mogę zebrać... Więc to znaczy, że...

— Że nikt panu źle nie życzy, na odwrót — z litości bowiem, z powodów wyższej humanitarnej natury stosuje się humbug chemiczny, kamuflaż, przystrajanie rzeczywistości w piórka i barwy, jakich jej brak...

— Profesorze, czy to oszustwo jest wszędzie?

— Tak.

— Ale ja nie jadam na mieście, sam sobie gotuję, więc którądy, jak...?

— Jak przyjmuje pan maskony? Pan o to pyta? Pan? Są w powietrzu, trwale rozpylane. Nie pamięta pan costaricańskich aerozoli? To były nieśmiałe pierwsze próby, coś jak Montgolfiera z rakieta.

— I wszyscy o tym wiedzą? I mogą z tym żyć?

— Nic podobnego. Nikt o tym nie wie.

— Ani pogłosek, ani plotek?

— Plotki są wszędzie. Ale proszę pamiętać, że istnieje amnestan. Są rzeczy, o których wie każdy, i są takie, o których nie wie nikt. Farmakokracja ma swą część jawną i skrytą; pierwsza wspiera się na drugiej.

— To nie może być.

— O? Czemu?

— Bo ktoś musi dbać o te słomianki, i ktoś musi produkować fajanse, z których naprawdę jemy, i tę bryję, która udaje pieczyście. I wszystko!

— Ależ tak. Ma pan rację, wszystko musi być wytwarzane i zachowywane, cóż z tego?

— Ci, którzy to robią, widzą i wiedzą!

— Skąd znowu. Myśli pan wciąż archaicznymi kategoriami. Ludzie myślą, że idą do szklanej fabryki-oranzerii; przy wejściu dostają antyhal i dostrzegają gołe betonowe mury i robocze stanowiska.

— I chcą pracować?

— Z największym zapałem, ponieważ dostają też dawkę sakryficyny. Praca jest tedy

poświęceniem, czymś szczytnym; po zakończeniu dość łyku amnestanu czy memnolizyny, a wszystko, co się zobaczyło, ulega zapomnieniu!

— Do tej pory obawiałem się, że żyję w halucynacji. Teraz widzę, jaki byłem głupi! Boże, jakże bym chciał wrócić! Co bym za to dał!

— Wrócić, dokąd?

— Do kanału pod hotelem Hiltona.

— Nonsens. Zachowuje się pan nierozważnie, bym nie powiedział: głupio. Powinien pan robić to, co wszyscy, jeść i pić jak wszyscy, wówczas otrzymywałyby pan niezbędne dawki optymistanu, serafinoli, i byłby pan w wyśmienitym humorze.

— Więc i pan jest adwokatem diabła?

— Bądźże pan rozsądny. Cóż to za czyn diabelski, jeśli lekarz kłamie w potrzebie choremu? Skoro musimy już tak mieszkać, żyć, jeść — lepiej, gdy się to nam przedstawia w ślicznych opakowaniach. Maskony działają niezawodnie, z jednym tylko wyjątkiem, więc co w nich złego?

— Nie czuję się na siłach dyskutować teraz z panem na ten temat — powiedziałem, ochłonąwszy trochę. — Proszę mi tylko odpowiedzieć na dwa pytania, przez pamięć dawnych czasów: jaki to jest wyjątek w działaniu maskonów? I w jaki sposób doszło do rozbrojenia powszechnego? Czy i ono jest mirażem?

— Nie, na szczęście jest całkiem realne. Ale, by to panu wyjaśnić, musiałbym się uciec do wykładu, a czas już na mnie.

Umówiliśmy się na dzień następny; przy pożegnaniu ponowiłem pytanie o defekt maskonów.

— Proszę pójść do Wesołego Miasteczka — rzekł profesor, wstając. — Jeśli chce pan niemiłych rewelacji, wsiądzie pan do największej karuzeli, a gdy uzyska ona pełne obroty, zrobi pan scyzorykiem dziurkę w osłonie kabiny. Osłona jest konieczna właśnie dlatego, że w czasie wirowania fantazmaty, jakimi maskon zaćmiewa realność, ulegają przemieszczeniom — jak gdyby siłą odśrodkowa rozsuwała końskie okulary... Zobacz pan, co się wychyla wtedy spoza pięknych ułud...

Piszę te słowa o trzeciej w nocy, złamany. Cóż mogę do tego dodać? Rozważę poważnie projekt ucieczki od cywilizacji, zaszycia się w jakąś głąsę. Nawet Galaktyka przestała mnie wabić, jak nie kuszą podróże, gdy nie ma z nich dokąd wrócić.

5 X 2039. Wolne przedpołudnie spędziłem w mieście. Z ledwie powściąganym przerażeniem wpatrywałem się w powszechne oznaki komfortu i luksusu. Galeria sztuki na Manhattanie zachęca do kupowania za bezcen oryginalnych płócien Rembrandta i Matisse'a.

Obok oferują wspaniałe meble w stylu Ludwików, marmurowe kominki, trony, zwierciadła, zbroje saraceńskie. Moc różnych aukcji — sprzedaje się domy jak ulęgałki. A ja sądziłem, że żyję w raju, w którym każdy może sobie „popałować”! Biuro rejestracji samozwańczych kandydatów do Nagrody Nobla na Piątej Ulicy też wyjawilo mi swą właściwą naturę: każdy może mieć Nobla, podobnie jak pozawieszać ściany mieszkania najcenniejszymi dziełami sztuki, jeśli jedno i drugie jest tylko szczyptą proszku drażniącego mózg! Największa perfidia w tym, że część zbiorowej ułudy jest jawna, można więc naiwnie zakreślić granicę oddzielającą fikcję od rzeczywistości, a ponieważ spontanicznie nikt nie reaguje już na nic — chemicznie ucząc się, kochając, buntując, zapominając — różnica między uczuciem wymanipulowanym i naturalnym przestała istnieć. Szedłem ulicami zaciskając kulaki w kieszeniach. O, nie potrzebowałem amokoliny ni furyasoli, by doznawać wściekłości! Moja tropicielsko uskrzydłona myśl trafiała wszystkie pusto brzmiące miejsca tego monumentalnego oszukaństwa, tej rozrosłej poza horyzonty dekoracji. Dzieciom podają syropki ojcobijcze, potem, dla rozwoju osobowości, kontestan i protestolidynę, a dla uśmierzenia wznieconych porywów — sordyn i kooperantan; policji nie ma, po co, skoro jest kryminol; apetyty zbrodnicze gasi „Procrustics Inc.”; dobrze, że omijałem dotąd teosięgarnie, bo i w nich jest tylko zestaw preparatów wiaropędnych, łaskodajnych, sumienidki, peccatol, absolvan, i nawet świętym można zostać dzięki sacrosanctyzydazie. Zresztą, czemu nie allaszek islaminy, dwuzenek buddanu, nirvanium kosmozyłowe, teokontaktol? Czopki— eschatolopki, maść nekrynowa ustawią cię w pierwszym szeregu w Dolinie Jozafata, resurrectol zaś, podany na cukrze, dokona reszty. Święty Bogolu! Paradyzjaki dla dewotów, belzeban i hellurium dla masochistów... z trudem powstrzymałem się, aby nie wpaść do mijanego farmakopeum, gdzie lud nabożnie klękał, jak tabaki zażywając genuflektoliny. Musiałem się hamować, by nie dano mi amnestanu. Tylko nie to! Pojechałem do Wesołego Miasteczka, obracając spotniałymi palcami w kieszeni scyzoryk. Nic nie wyszło z doświadczenia, bo osłona kabiny okazała się niezwykle twarda — chyba z hartowanej stali.

Pokoje do wynajęcia, w których mieszkał Trottelreiner, znajdowały się przy Piątej Ulicy. Nie było go w domu, gdym przyszedł o umówionej porze, ale uprzedził mnie, że się może spóźnić, i dał mi świst do drzwistu. Wszedłem więc i siadłem przy profesorskim biurku, zawalonym naukową prasą oraz zapisanymi papierami. Z nudów — a może raczej, by uśmierzyć niepokój pałacy duchowe wnętrzości — zajrzałem do notatek Trottelreiner. „Wszechśmiot”, „porodzianka”, „cudziniec”, „cudzinka”. Ach, więc miał głowę do tego, by spisywać terminy tej swojej dziwacznej futurologii... „Popłódnia”, „wykapanek”, „wykapanka”. „Porodzistka” — rekordzistka porodowa? No tak, przy eksplozji

demograficznej, zapewne. W każdej sekundzie rodziło się osiemdziesiąt tysięcy dzieci. A może osiemset tysięcy. Co za różnica? „Myślarz”, „myślani”, „myśliny”, „mysiel”, „myśl główna”, czyli „dyszłowa”, „myszłina”—”dyszłina”. Czymże on się zajmował! Profesorze, ty tu, a tam świat ginie! — chciałem wołać. Nagle błysło coś spod papierów — antyhał, ta flaszeczka. Wahałem się przez ułamek sekundy, potem, zdecydowany, pociągnąłem ostrożnie i spojrzałem na pokój.

Dziwna rzecz: prawie się nie zmienił! Szafy biblioteczne, półki z pigułkami w informatorach, wszystko pozostało, jakie było, tylko ogromny, kaflowy piec holenderski w kącie, który zdobił pokój soczystym blaskiem swych rzeźbionych kafelek, zamienił się w tak zwanego bękarta z przepaloną rurą blaszaną, wetkniętą w dziurę w murze, a wokół podłoga zaczęła od osmalin. Odstawiłem szybko flaszeczkę, jak złapany na gorącym uczynku, bo w przedpokoju świsnęło i wszedł Trottelreiner.

Opowiedziałem mu o Wesołym Miasteczku. Zdziwił się, poprosił, bym mu pokazał scyzoryk, pokiwał głową, sięgnął po flaszeczkę, powąchał i dał ją mnie z kolei. Zamiast scyzoryka ujrzałem ułomek spróchniałej gałązki. Wróciłem oczami do twarzy profesora — był jakby markotny, nie taki pewny siebie, jak poprzedniego dnia. Położył na biurku teczkę, pełną kongresowych lizaków, i westchnął.

— Tichy — rzekł — musi pan zrozumieć, że ekspansją maskonów nie powoduje na razie specjalna perfidia...

— Ekspansją? A to co znowu?

— Wiele rzeczy, jeszcze realnych w zeszłym miesiącu lub roku, trzeba zastępować mirażami, skoro autentyki stają się po prostu nieosiągalne — tłumaczył mi, zafrasowany jakąś inną myślą, która, widziałem to, nie dawała mu spokoju.

— Na tej karuzeli jeździłem przed kwartałem, ale nie dam głowy za to, że ona tam jeszcze jest. Wszak może być, że kupując bilet wstępu, dostaje pan z dyfuzera porcję pary karuzelowej czy lunaparkiny, co zresztą jest racjonalne jako o wiele bardziej oszczędne. Tak, Tichy, sfera realnego posiadania ludzkości kurczy się z zastraszającym przyspieszeniem. Zanim tu zamieszkałem, byłem w nowym Hiltonie, ale, wyznaję, nie potrafiłem tam żyć, bo gdym nieopatrznie skorzystał z wytrzeźwiacza, ujrzałem się w klitce wielkości sporej szuflady, z nosem przy karmniku, w żebra gniótł mnie kurek wodociągowy, a stopami dotykałem wezgłowia legowiska w następnej szufladzie, to jest apartamencie, bo miałem apartament na ósmym piętrze, za 90 dolarów dziennie. Miejsca, po prostu miejsca jest coraz mniej! Robią obecnie próby z tak zwanymi despacjalizatorami albo psywidymkami, ale idą opornie, bo jeżeli maskuje się współobecność z panem ogromnych tłumów na ulicy czy na

placu, tak że widzi pan tylko odległe jednostki, zaczyna się pan zderzać z ludźmi zamaskowanymi, których pan nie zauważa, a to już kłopot, którego nie umieją na razie przezwyciężyć!

— Profesorze, zajrzałem do pana notatek. Proszę wybaczyć, ale co to jest? — Pokazałem palcem kartkę, na której widniały słowa: „multyschizol”, „ciżbidek wielaniny”.

— A, to... Wie pan, istnieje plan, to znaczy koncepcja hintemizacji, od nazwiska autora Egoberta Hinterna, nieprawdaż — ażeby zastępować rosnący brak zewnętrznej przestrzeni — wyhalucynowaną przestrzenią wewnętrzną, duszy, bo metraż tej ostatniej żadnym ograniczeniom fizycznym nie podlega. Pewno pan wie, że dzięki zooforminom można się czasowo stać, to jest czuć się, żółwiem, mrówką, bożą krówką, a nawet jaśminem przy pomocy prebotynidu infloryzującego, oczywiście tylko subiektywnie. Można też doznać rozszczepienia osobowości na dwie, trzy, cztery części. Gdy rozszczepienie sięga liczb dwucyfrowych, powstaje efekt ciżbinowy. To już nie jaźń wtedy, lecz myźń. Wielość jaźni w jednym ciele. Są też dojaźniacze, żeby spotęgowane w intensywności życie wewnętrzne górowało nad postrzeganiem tego, co zewnętrzne. Taki świat, takie czasy, mój Tichy. *Omnis est Pillula!* Farmakopea jest teraz księgą żywota, encyklopedią bytu, alfą i omegą, żadnych przewrotów na widoku, skoro mamy już rewoltal, opozycjonal w czopkach glicerynowych i ekstreminę, a pański doktor Hipkins reklamuje sodomastol i gomorynki — można osobiście spalić ogniem niebieskim tyle miast, ile dusza zapragnie. Awans na Pana Boga też można dostać, kosztuje 75 centów.

— Najnowszą sztuką piękną jest świąd — rzekłem. — Słyszałem, to jest czułem. Scherzo Uascotiana, ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to cokolwiek dało pod względem estetycznym. Śmiałem się w najpoważniejszych miejscach.

— Tak, to nie dla nas, defryzoni z innego wieku, rozbitków w czasie — melancholijnie przytwierdził Trottelreiner. Jakby się w sobie przełamał, odchrząknął, spojrzał mi w oczy i rzekł;

— Tichy, rozpoczyna się właśnie kongres futurologiczny — to znaczy obrady nad będziejami ludzkości. Jest to Światowy Zjazd LXXVI; byłem dzisiaj na pierwszym wstępnym posiedzeniu organizacyjnym i chcę się podzielić z panem wrażeniami...

— Dziwne — rzekłem — czytam dość pilnie prasę, ale nie widziałem nawet wzmianki o tym kongresie...

— Bo to jest tajny kongres. Rozumie pan chyba — muszą być wszak między innymi omawiane problemy maskowania!

— I co? Niedobrze z nimi?

— Fatalnie! — rzekł profesor z naciskiem. — Gorzej nie może być!

— A wczoraj grał pan z innej dudki — powiedziałem.

— To prawda. Lecz proszę wziąć pod uwagę moje położenie — dopiero zaznajamiam się ze stanem aktualnych badań. To, co słyszałem dzisiaj, och, mówię panu — zresztą sam pan może się przekonać.

Wyjął z teczki duży pęk lizaków z tymczasowymi doniesieniami, powiązanych różnokolorowymi wstążeczkami, i podał mi go przez biurko.

— Nim pan się z tym zapozna, kilka słów niezbędnego wyjaśnienia. Farmakokracja jest psychemokracją, opartą na kremokracji — to dewiza naszej nowej ery. Rządom halucynogenów towarzyszy korupcja, aby to jeszcze zwięźlej ująć. Zresztą właśnie dzięki temu mamy powszechne rozbrojenie.

— A więc wreszcie dowiem się, jak z tym jest! — zawołałem.

— To wcale proste. Przekupstwo służy albo temu, by można zbyć towar niepełnowartościowy, albo temu, by go przy głodzie towarowym otrzymać. Towarem mogą być zresztą i usługi. Idealna sytuacja powstaje dla producenta wówczas, gdy inkasując należność, nic za nią w zamian nie daje. Przypuszczam, że zapoczątkowały realizę afery mendaktorów i malwersorów, o których pan musiał słyszeć.

— Tak, ale co to jest realiza?

— Dosłownie — rozpuszczanie się, więc — zanikanie rzeczywistości. Gdy wybuchł skandal komputerowych malwersacji, wszystko zwalono na maszyny cyfrowe. W istocie maczały w tym palce potężne konsorcja i tajne kartele. Szło, nieprawdaż, o uczynienie planet mieszkalnymi — sprawa pałaca wobec przeludnienia! Należało wybudować ogromne floty rakietowe, zmienić klimaty, atmosfery Saturna i Urana; o wiele prościej było robić to wszystko wyłącznie na papierze.

— Przecież to się musiało rychło wydać — zdziwiłem się.

— Nic podobnego. Powstają nieprzewidziane trudności obiektywne, nie znane dotąd problemy, przeszkody, trzeba nowych kredytów, asygnacji, ot, taki projekt Urana pochłonął dotąd 980 miliardów, a nie wiadomo, czy ruszono tam choć jeden kamień.

— Komisje nadzorujące?

— Komisje nie składają się z kosmonautów, a nie przygotowany nie może lądować na tych planetach. Wysyła się wtedy pełnomocników, którzy z kolei opierają się na przedłożonym im materiale wykazów, zdjęć fotograficznych, statystyk, a wszak można albo sfałszować dokumentację, albo, o wiele łatwiej jeszcze, sfingować maskonami.

— Ach!

— A właśnie. W podobny sposób, przypuszczam, rozpoczęło się, jeszcze wcześniej, pozorowanie zbrojeń. Firmy wszak, które otrzymują rządowe zamówienia, są własnością prywatną. Brały miliardy i nic nie robiły; to znaczy produkowały, owszem, działa laserowe, wyrzutnie rakiet, przeciw–przeciw–przeciw–przeciwrakiety (bo mamy ich szóstą generację), czołgi latające, tak zwane latalerze, ale wszystko hapunktowe.

— Proszę?

— Wyhalucynowane, mój panie. Po co robić próby nuklearne, gdy się ma fungolowe pastylki?

— Co to jest?

— Pastylki, po których zażyciu widzi się grzyb wybuchu atomowego. Był to proces łańcuchowy. Po co szkolić żołnierzy? W razie mobilizacji da im się pigułki wyszkoleniowe. Dowódców też nie warto kształcić — od czego strategina, generazol, taktydon, orderyl? „W Clausewitzu będziesz gmeral? Proszek zjedz, jużes generał”. Słyszał pan to porzekadło?

— Nie.

— Bo te zestawy specyfików są tajne, a przynajmniej nie dopuszczane na rynek. Desantów też nie warto nigdzie wysyłać — wystarczy nad wrzącym krajem rozpylić odpowiedni maskon, a ludność będzie widziała lądujące jednostki spadochronowe, piechotę morską, czołgi — prawdziwy czołg kosztuje teraz prawie milion dolarów, a halucynowany około jednej setnej centa na widza, to jest tak zwana jednostka czołgoosobowa. Pancernik kosztuje ćwierć centa. Cały arsenał Stanów Zjednoczonych można dzisiaj zapakować do jednej ciężarówki. Tankony, kadawerony, bombony — stałe, ciekłe i gazowe. Podobno istnieją nawet całe inwazje Marsjan —jako odpowiednio spreparowany proszek.

— Wszystko w maskonach?

— A jakże! Z kolei realna armia okazała się zbędna. Pozostało tylko trochę lotnictwa, a i to niepewne. Po co? to był proces lawinowy, rozumie pan? Nie można go było zahamować. Ot, i cała tajemnica rozbrojenia. Zresztą nie tylko rozbrojenia. Widział pan nowe modele tegoroczne cadillaca, dodge'a i chevroleta?

— Owszem, wcale ładne. Profesor podał mi flaszeczkę.

— Proszę, nich pan podejdzie do okna i przyjrzy się tym pięknym autom.

Wychyliłem się przez parapet. Wąwozem ulicy, widzianym z jedenastego piętra, sunęła rzeka lśniących samochodów, błyskająca w słońcu szybami i dachami. Podniosłem otwartą buteleczkę do nosa, zamrugalem, wyciskając powiekami łzy z oczu, i zapatrzyłem się w niezwykły widok. Trzymając w uniesionych na wysokość piersi dłoniach powietrze, niczym dzieci bawiące się w szoferów, jezdnią kłusowały kolumny biznesmenów. Od czasu

do czasu w zwartych szeregach galopowiczów, przebijających pospiesznie nogami, a od pasa w górę przechylonych do tyłu, jakby wpartych w przepastne fotele, pojawiał się samotny, dymiący samochód. Gdy działanie środka osłabło, obraz zadrgał, wyrównał się i znów widziałem z wysokości błyszczącą rzekę samochodowych dachów, białych, żółtych, szmaragdowych, płynącą majestatycznie przez Manhattan.

— Koszmarne! — rzekłem dosadnie — ale, mimo wszystko, *pax orbi et urbi* ustanowiony, więc może to się opłaciło?

— No, rozumie się, że to nie jest tylko złe. Ilość zawałów spadła bardzo znacznie, bo te długodystansowe galopy są świetną gimnastyką. Inna rzecz, że wzrosły zachorowania na rozedmę płuc, żylaki i rozszerzenie serca. Nie każdy nadaje się na maratończyka.

— To dlatego pan nie ma auta! — zawołałem domyślnie.

Profesor tylko się krzywo uśmiechnął.

— Średniej klasy wóz kosztuje dziś zaledwie 450 dolarów — rzekł — ale zważywszy, że koszty produkcji obracają się wokół ósmej części centa, jest to raczej słono. Ilość ludzi robiących coś realnego leci na łeb na szyję. Kompozytorzy biorą honoraria, dają zleceniodawcom łapówki, a publiczności, przychodzącej na prawykonanie do filharmonii, podsuwa się pod nos melotropinę koncertazolową.

— Moralnie to paskudne — rzekłem — ale czy bardzo szkodliwe w skali społecznej?

— To, co jest na razie — jeszcze nie. Zresztą ocena zależy od punktu widzenia. Dzięki transmutynie może pan mieć romans z kozą, sądząc, że to sama Wenus z Milo. Zamiast prac naukowych i obrad są kongressyny i dekongressyny, ale przecież istnieje pewne minimum życiowe, którego już się nie pokryje fikcją. Trzeba gdzieś mieszkać naprawdę i coś jeść, i czymś oddychać, a tymczasem realizacja zżera jedną po drugiej sfery działania rzeczywistego. Ponadto mamy zastraszający przybór objawów ubocznych. Wymagają one stosowania dehalucynin, neosupermaskonów, fiksatorów — z wątpliwym skutkiem.

— Cóż to takiego?

— Dehalucyniny to nowe specyfiki, po których wydaje się, że się nic nie wydaje. Stosowano je zrazu tylko u chorych umysłowo, ale rośnie liczba ludzi podejrzewających otoczenie o nieautentyczność. Amnestany nie pomagają przeciw uroburojeniom. To są urobione wtórnie urojenia, rozumie pan? No, jeśli ktoś sobie roi, że sobie roi, że sobie nic nie roi — albo na odwrót. Jest to typowa problematyka psychiatrii współczesnej, tak zwanej wieżowcowej lub. n-piętrowej. Ale najgroźniejsze są te nowe maskony. Widzi pan, pod wpływem nadmiaru specyfików organizmy szwankują. Ludziom wypadają włosy, rogowacieją uszy, to znów zanika ogon...

— Wyrasta, chciał pan powiedzieć.

— Nie, zanika, bo ogony wszyscy mają już od trzydziestu lat. To był skutek ortografiny. Za błyskawiczną naukę pisania przyszło tym zapłacić.

— Niemożliwe — bywam na plaży, nikt nie ma ogona, profesorze!

— Dzieckoś pan. Ogony maskuje się antycaudatoliną, która z kolei powoduje zaczernienie paznokci i psucie się zębów.

— Które też się maskuje?

— Naturalnie. Maskony działają w ilościach miligramów, ale łącznie każdy człowiek pochłania ich około stu dziewięćdziesięciu kilogramów w ciągu roku, co łatwo pojąć, zważywszy, że trzeba symulować urządzenia mieszkalne, jadło, napitki, grzeczność dzieci, uprzejmość urzędników, odkrycia naukowe, posiadanie rembrandtów i scyzoryków, podróże zamorskie, kosmiczne loty i milion podobnych rzeczy. Gdyby nie tajemnica lekarska, byłoby wiadomo, że co drugi mieszkaniec Nowego Jorku jest łaciaty, ma grzbiet porośnięty zielonkawą szczeciną, kolce na uszach, platfus i rozedmę płuc z rozszerzeniem serca od nieustannego galopowania. Wszystko to trzeba osłaniać i właśnie temu służą neosupermaskony.

— Koszmarne! I nie ma na to rady?

— Właśnie nasz kongres ma obradować nad alternatywą będziejów. Mówi się w kręgach fachowców powszechnie o konieczności radykalnej zmiany. Dysponujemy w tej chwili osiemnastoma projektami.

— Zbawienia?

— Można to i tak nazwać. Proszę, może pan siądzie i przeliże te materiały. Ale miałbym do pana też pewną prośbę. To rzecz delikatna.

— Zrobię dla pana, co pan chce.

— Liczę na to. Widzi pan, otrzymałem od kolegi, chemika, próbki dwu nowo syntetyzowanych ciał z grupy ocykanów — wytrzeźwiaczy. Przysłał mi je ranną pocztą i pisze — Trottelleiner podniósł list z biurka — że mój preparat, ten, który i pan zażywał, nie jest autentycznym ocykanem. Pisze dosłownie: „Federalny Zarząd Psyprecji (to jest psychopreformacji) dla odwrócenia uwagi rzeczowidzów od wielu zjawisk kryzysowych rozmyślnie i złośliwie dostarcza im fałszywych środków przeciwurojeniowych, zawierających neomaskony”,

— Nie mogę się w tym połapać. Przecież sam doświadczyłem działania pańskiego preparatu. I co to jest rzeczowidz?

— A, to wysokie stanowisko społeczne, które między innymi i ja posiadam.

Rzeczowidztwo to prawo i możliwość dysponowania ocykanami w celu ustalania, jak się mają rzeczy naprawdę. Ktoś bowiem musi o tym wiedzieć, to chyba oczywiste?

— Istotnie.

— A co do tego środka, mój przyjaciel przypuszcza, że on wprawdzie znosi wpływ maskonów starszej daty, od dawna już wprowadzonych, ale nie likwiduje wszystkich — zwłaszcza najnowszych. Byłby to więc — profesor podniósł flaszeczkę — nie wytrzeźwiacz, lecz maskon zaprojektowany perfidnie, zakamuflowany podwytrzeźwiacz, czyli wilk w owczej skórze!

— Ale po co to? Jeśli trzeba, aby ktoś wiedział...

— „Trzeba” w sensie ogólnym, ze stanowiska uwzględniającego całe dobro społeczne, ale nie z punktu widzenia cząstkowych interesów różnych polityków, korporacji, nawet federalnych agencji. Jeśli jest gorzej, niż dostrzegamy to my, rzeczowidzowie, tamci woła, byśmy nie podnosili alarmów; więc spreparowali ten środek tak, jak się niegdyś podtykało szukającym — łatwe do odnalezienia skrytki w starych meblach. Aby się poszukiwacz zadowolił pierwszym wykrytym schowkiem i już nie szperał za prawdziwymi, zakamuflowanymi daleko zreczniej!

— Tak. Teraz rozumiem. Czego pan sobie życzy?

— Aby pan w czasie zaznajamiania się z tymi materiałami pociągnął najpierw z tej fiołki, a potem z tej drugiej. Ja, prawdę mówiąc, nie mam odwagi.

— Tylko tyle? Ależ chętnie.

Wziąłem od profesora obie szklane rureczki, siadłem na fotelu i jałem po kolei przyswajać sobie streszczenia nadesłanych prac będącejowych. Projekt pierwszy przewidywał sanację stosunków dzięki wprowadzeniu do atmosfery tysiąca ton inwersyny, preparatu, który odwraca o 180 stopni wszystkie doznania. Pierwsza faza przewidywała rozpylenie preparatu; odtąd wygoda, sytość, jak i smaczna żywność, rzeczy estetyczne, schludne — wszystko to ulega powszechnemu zniechęceniu, natomiast tłok, ubóstwo, brzydota i nędza stają się pożądane nade wszystko. W fazie drugiej znosi się radykalnie działanie wszystkich maskonów i neomaskonów. Teraz dopiero ogół, postawiony twarzą w twarz ze skrywaną dotychczas rzeczywistością, znajduje pełną satysfakcję, ma bowiem przed sobą wszystko, czego pożąda. Być może, zrazu wypadnie nawet uruchomić peiotrony (pogarszacz warunków życiowych). Ponieważ jednak inwersyna działa na wszystkie doznania bez wyjątku, zniechęcone staną się też uciechy erotyczne, co zagrozi ludzkości wymarciem. Toteż raz do roku na 24 godziny będzie się czasowo porażało działanie inwersyny kontrapreparatem. W dniu tym nastąpi niechybnie gwałtowny skok samobójczych zamachów,

lecz z nadwyżką okupi go zainicjowany jednocześnie przyrost naturalny.

Nie mogę powiedzieć, by mnie ten plan zachwyił. Jedynym jaśniejszym jego punktem był ten, który mówił, że projektodawca, jako należący do rzeczowidzów, niechybnie stale znajdowałby się pod działaniem antidotum, toteż ani powszechna nędza czy brzydota, ani brud czy monotonia życia na pewno nie sprawiałyby mu szczególnej uciechy. Drugi plan przewidywał rozpuszczenie w wodach rzecznych i oceanicznych 10 000 ton retro temporyny. Jest to odwracacz upływu czasu subiektywnego. Odtąd życie przedstawiałoby się następująco: ludzie pojawialiby się na świecie zgrzybiałymi starcami, a schodzili z niego jako noworodki. Projekt podkreślał, że w ten sposób usunęłoby się główny szkopuł kondycji ludzkiej, a mianowicie nieuchronną dla każdego perspektywę starzenia się i śmierci. W miarę upływu czasu każdy starzec młodniałby coraz bardziej, nabierając sił i wigoru. Po zaprzestaniu pracy zawodowej wskutek zdziecinnienia wkraczałby w błogosławiony kraj lat dziecińczych. Clou projektu stanowiła jego humanitarność, wynikająca w sposób naturalny z owej niewiedzy o śmiertelności wszystkiego, co żywe, która jest właściwa niemowlęctwu. Co prawda — ponieważ odwrócenie biegu czasu było tylko subiektywne — do ogródków jordanowskich, żłobków i izb porodowych kierować należało starców; projekt nie powiadał wyraźnie, co się ma z nimi dzieć potem, a jedynie zaznaczał ogólnikowo, że można poddawać ich odpowiedniej terapii w tak zwanym państwowym eutanazjum. Po tej lekturze poprzedni projekt wydał mi się wcale niezły.

Trzeci projekt był długodystansowy i daleko bardziej radykalny. Przewidywał ekto genezę, detaszyzm i homikrię powszechną. Z człowieka pozostawiał tylko mózg w eleganckim opakowaniu z duroplastu, rodzaj globusa opatrzonego w sprzęgła, kontakty i wtyczki. Postulował przejście w przemianie materii na energię jądrową, w związku z czym spożywanie pokarmów, cieleśnie zbędne, odbywałoby się wyłącznie w urojeniu odpowiednio programowanym. Globus mózgowy można by przyłączać do dowolnych kończyn, aparatów, maszyn, wehikułów itp.; ta detaszyzacja była rozłożona na dwie dekady. W pierwszej obowiązywałby detaszyzm częściowy, z pozostawianiem w domu zbędnych narządów; np. udając się do teatru, odczepiałoby się i wieszalo w szafie układy kopulacyjne i defekacyjne. W następnej dziesięciolatce homikria miała zlikwidować powszechny tłok — skutek przeludnienia. Kablowe i bezkablone kanały łączności międzymózgowej czyniłyby zbędnymi wszelką lokomocję, kursokonferencje, wyjazdy, narady połączone z podrózkami, a więc wszelkie osobiste udawanie się gdziekolwiek, bo każdy żyjący dysponowałby w jednaki sposób czujnikami w całym obszarze panowania ludzkości, aż po najdalsze planety. Masowa produkcja miała dostarczyć narynekelitorów, manipulatorów, pedykulatorów oraz

zwyczajnych torów, to jest szyn jakby kolejki domowej, po której same głowy mogłyby się toczyć dla rozrywki. Przerwawszy lekturę, zauważyłem, że autorzy prac są zapewne wariatami. Trotteler odparł oschle, że jestem zbyt pochopny w sądach. Piwo, którego się nawarzyło, trzeba wypić. Kryterium zdrowego rozsądku nie jest do historii ludzkiej stosowalne. Czy Averroes, Kant, Sokrates, Newton, Wolter uwierzyliby, że w wieku dwudziestym plagą miast, trucicielem płuc, masowym mordercą, przedmiotem kultu stanie się blaszany wózek na kółkach, i że ludzie będą woleli ginąć w nim roztrzaskiwani podczas masowych weekendowych wyjazdów aniżeli siedzieć cało w domu? Spytałem, który z projektów zamierza poprzeć.

— Jeszcze się nie zdecydowałem — rzekł. — Najcięższy jest, moim zdaniem, problem tajniąt — nielegalnie rodzonych dzieci. A poza tym obawiam się chemintrygowania w toku obrad.

— To znaczy?

— Może przejść projekt, który otrzyma wsparcie kredybilanowe.

— Myśli pan, że was tam podtrują?

— Czemu nie? Cóż łatwiejszego niż wpuścić aerozol na salę przez aparaturę klimatyzacyjną?

— Cokolwiek uchwalicie, nie musi być zaakceptowane przez ogół. Ludzie nie przyjmą wszystkiego biernie.

— Drogi panie, kultura od półwiecza nie rozwija się już żywiolowo. W XX wieku jakiś Dior dyktował modę odzieżową. Obecnie regulatywność ta objęła wszystkie dziedziny życia. Jeżeli detaszyzm przegłosują, za parę lat każdy będzie uważał posiadanie miękkiego, włochatego, pocącego się ciała za wstyd i nieprzyzwoitość. Ciało trzeba myć, odwaniać, pielęgnować, a i tak się psuje, kiedy przy detaszyzmie można sobie podłączać najpiękniejsze cuda sztuki inżynierskiej. Która kobieta nie zechce mieć srebrnych jodów zamiast oczu, wysuwających się teleskopowo piersi, anielskich skrzydeł, promieniujących łydek i pięt wydających przy każdym kroku melodyjne dźwięki?

— To wie pan co — rzekłem — uciekajmy. Zgromadzimy zapasy tlenu, żywności i zaszyjemy się w Górach Skalistych. Pamięta pan kanały Hiltona? Alboż nam w nich było źle?

— Pan to mówi serio? — jakby z wahaniem zaczął profesor.

Doprawdy nie z rozmysłu podniosłem do nosa fiolkę, którą wciąż trzymałem w palcach — bo zapomniałem o niej. Łzy wystąpiły mi od ostrej woni. Zacząłem kichać raz za razem, a gdy znów otwarłem oczy, pokój się zmienił. Profesor mówił dalej, słyszałem jego głos, lecz zafascynowany przemianą nie pojmowałem ani słowa. Ściany powlekiły się brudem;

dotąd modre niebo nabrało burosinej barwy; część szyb okiennych była wybita, resztę pokrywał tłusty kopeć z szarymi smugami po strugach deszczu.

Nie wiem, czemu szczególnie przeraziło mnie to, że zgrabna aktówka, w której profesor przyniósł kongresowe materiały, stała się spleśniałym workiem. Zdrętwiały, bałem się na niego spojrzeć. Zerknąłem pod biurko. Zamiast sztuczkowych spodni i kamaszy profesorskich widniały tam swobodnie skrzyżowane protezy. Pomiędzy druciane ścięgna podszew nabiło się nieco żwiru i brudu ulicznego. Stalowy trzpień pięty lśnił, wyslizgany od użycia. Jęknąłem.

— Co, głowa pana boli? Może kogutka? — dobiegł mnie współczujący głos. Przemogłem się i podniosłem nań oczy.

Niewiele zostało mu z twarzy. Do wyjedzonych policzków przy kleiły się strzępy dawno nie zmienianego, nadgniętego opatrunku. Oczywiście nosił dalej okulary — jedno szkiełko było nadpęknięte. Na szyi, w otworze po tracheotomii, tkwił dość niedbale wetknięty vocoder, ruszający się w takt głosu. Marynarka wisiała nadpłeśniałym łachem na stelażu piersiowym; z lewej strony wycięto w niej otwór, zatkany zmętniałą szybką plastikową — sinoszarym spazmem tłukło się tam jego serce w klamrach i szwach. Lewej ręki nie widziałem, prawa, trzymająca ołówek, była sproteżowana mosiądzem, pozieleniałym od grynszpanu. Do kłapy przyfastrygowano mu niedbale płócienko, na którym ktoś napisał czerwonym tuszem: „Fryzak 119 859/21 transpl. — 5 odrzuć.” Oczy wyszły mi na wierzch — profesor zaś, przejmując w siebie mój strach jak zwierciadło, zdrętwiał nagle za biurkiem.

— A co?... Czy tak się zmieniłem? Co? — przemówił chryple.

Nie pamiętam, żebym wstawał, ale mocowałem się z klamką u drzwi.

— Tichy! Co pan? Ależ, Tichy! Tichy!!! — wołał rozpaczliwie, dźwigając się z trudem. Drzwi puściły, zarazem rozległ się przeraźliwy łomot. To profesor Trottelreiner, straciwszy równowagę od zbyt gwałtownego poruszenia, runął i rozpadał się na podłodze w kościanym chrzęście drutowanych zaczepów; uniosłem w oczach obraz jego rozpaczliwych wierzgnięć, z wiórującymi parkiet kikutami gwoździastych pięt, z szarym workiem serca tłukącego się za porysowaną szybką. Uciekałem korytarzem jak goniony przez furie.

Rojno było w całym gmachu, bo trafiłem na porę lunchu. Z biur wychodzili urzędnicy i sekretarki i gwarząc kierowali się ku windom. Wmieszałem się w tłum przy otwartych drzwiach dźwigu, ale że jakoś nie nadjeżdżał, zajrzałem do szybu i zrozumiałem, czemu zadyszka była zjawiskiem tak powszechnym. Koniec dawno urwanej liny wisiał luźno, a po pionowych siatkach, ogradzających szyb, leżeli wszyscy z małpią zrećnością, dowodzącą długiej wprawy; wspinali się do kawiarni na dachu, konwersując pogodnie mimo kroplistego

potu zraszającego czoła. Nieznacznie wycofałem się i pobiegłem schodami na dół, spiralami stopni okalających szyb z cierpliwymi wspinaczami. Kilka pięter niżej zwolniłem. Wysypywali się wciąż ze wszystkich drzwi. Były tu niemal same biura. W załomie murów jaśniało otwarte okno, wychodzące na ulicę. Stałem przy nim, udając, że poprawiam ubranie, i spojrzałem w dół. Zrazu wydało mi się, że w tłumie na chodnikach nie ma ani żywej duszy, ale tylko nie poznałem przechodniów. Ulotniła się powszechna elegancja. Szli pojedynczo, parami, w dziurawych łachach, wielu w bandażach, przewiązkach papierowych, w jednych koszulach, co pozwalało stwierdzić, że istotnie są plamiści i oszczeciniali, zwłaszcza na grzbietach. Niektórych wypuszczono widać ze szpitali dla załatwienia co pilniejszych spraw; beznodzy toczyli się na deseczkach z małymi kółkami, w gwarze rozmów i śmiechu; widziałem słoniowate sfałdowane uszy pań, rogaciznę panów, stare gazety, wiechcie słomy i worki noszone z szykiem i gracją; co zdrowsi, lepiej zachowani biegli jezdnią wyciągniętym cwałem, markując zadzieranymi skocznie stopami zmianę biegów. Dominowały w tłumie roboty z dyfuzerami, dozymetrami i opryskiwaczami. Dbały o to, by każdy dostał swą porcję aerozolowej mgiełki. Nie ograniczały się do tego; za młodą parą, splecioną ramionami — ona miała plecy w łuskach, on w wykwitach — stapał ciężko cyfrun i lejkiem dyfuzera metodycznie obtłukiwał głowy zakochanych. Choć im zęby dzwoniły, nie przyjmowali tego do wiadomości. Czy robił to umyślnie? Ale nie byłem już zdolny do refleksji. Ściskając w ręku framugę, patrzyłem w perspektywę ulicy, z jej ruchem, cwałem, krzepą, jako jedyny świadek, jedyna para oczu widzących — czy na pewno jedyna? Okrucieństwo tego spektaklu zdawało się domagać innego obserwatora, jego twórcy, bo, nie ujmując niczego tym rodzajowym scenkom, nadawałby im sens jako patron błęgiego strupieszenia, więc makabryczny — ale jakiś. Mały pucybunter, cyberdając się przy nogach energicznej staruszki, wciąż podcinał jej kolana, waliła się jak długa, wstawiała i szła dalej, obalił ją znowu i tak znikli mi z oczu, on mechanicznie uparty, ona żwawa i pewna siebie. Wiele robotów zaglądało ludziom z bliska w zęby, może dla sprawdzenia efektu natrysków, ale nie tak to wyglądało. Na rogach stało sporo uchylców i nierobotów, z jakiejś bocznej bramy waliły po szychcie pracery, pracuchy, kretyngi, mikroboty, jezdnią sunął ogromny komposter, unosząc na ostrodze swego pługa co popadło, razem z trupcami wrzucił do pojemnika staruszkę; zagryzłem palce, zapomniawszy, że trzymam w nich drugą, nie tkniętą jeszcze fiolkę, i gardło spalił mi żywy ogień. Otoczenie zadrzało, objęta je jasna mgła — bielmo, które niewidzialna dłoń powoli zdejmowała mi z oczu. Patrzyłem, stężały, na zachodzącą przemianę, już domyślając się w potwornym skureczu przeczucia, że teraz rzeczywistość złuszczy z siebie następną warstwę — widać to jej fałszowanie szło od

niepamiętnych czasów, tak że potężniejszy środek mógł tylko zedrzyć więcej zasłon, dotrzeć do głębszych, ale nie nadto. Zrobiło się jaśniej — biało. Śnieg leżał na trotuarach, zlodowaciały, ubity setkami nóg, koloryt ulicy stał się zimowy, zarazem znikły wystawy sklepów, zamiast szyb — wszędzie przegniłe, na krzyż zbite deski. Zima panowała między brudnymi murami w zaciekach, z nadproży, lamp zwisały festony śliskich sopli, w ostrym powietrzu był swąd gorzki, sinawy jak niebo w górze, przymy brudnego śniegu pod ścianami, sterczały z nich kłęby śmieci, tu i tam czerniały jakby duże tłumoki, kupy szmat, bezustanna fala ruchu pieszego popychała je, skopy wała na boki, między zardzewiałe pojemniki, puszki, trociny zlodowaciałe, śnieg nie padał, ale widać było, że sypał i znów sypnie; nagle pojąłem, kto znikł z ulicy: roboty. Nie było ani jednego — ani jedniusińskiego! Ich ośnieżone kadłuby walały się pod kamienicami, zamarłe, żelazne gruchoty — w towarzystwie łachów ludzkich, szmat, spod których wystawały żółtawe oszronione kości; jakiś obdartus siadał właśnie na stercie śniegu, moszcząc się niczym w puchowej pościeli, widziałem jego zadowoloną minę, czuł się jak u siebie w domu, sam w łóżku, wyciągnął nogi, grzebał bosymi w śniegu, więc to był ten ziąb, ta dziwaczna rzeźwość, jakby z daleka nadchodząca od czasu do czasu nawet w środku ulicy, w samo południe słoneczne — już się ułożył do długiego snu — więc tak to było. Ludzkie mrowie mijalo go obojętnie, przechodnie zajmowali się sami sobą — jedni opylali drugich, można było rychło rozpoznać po zachowaniu, kto się miał za człowieka, a kto za robota. Więc i roboty udawali? I skąd ta zima w środku lata — czy zwidem był cały kalendarz? Ale po co? Lodowy sen jako demograficzne antidotum? Więc ktoś jednak uważnie to planował i ja miałbym szczeznąć, nie dotarłszy do niego? Wodziłem teraz oczami po sparszywiałyach ścianach drapaczy z powybijanymi oknami, za mną było cicho: skończył się lunch. Ulica — to był kres, moje widzące oczy nie miały zbawiennej wartości, utonąłbym w tym tłumie, a potrzebowałem kogoś, sam mogłem się najwyżej ukrywać przez jakiś czas jak szczur, byłem już poza nawiasem zwidu, więc na pustyni, ze strachem i rozpaczą cofnąłem się od okna, czując, niestety, mróz całym ciałem, bo już nie osłaniała mnie przed nim złuda słonecznego klimatu. Sam nie pojmowałem, dokąd idę, starając się stąpać cicho; tak, już ukrywałem własną obecność, to przygarbienie, skulenie, szybkie spojrzenia na boki, przystawanie, nasłuchiwanie — podpowiedział mi odruch, zanim powziąłem jeszcze jakąkolwiek decyzję, ale też czułem do szpiku kości, że widać po mnie, co widzę, i że to nie może mi ująć bezkarnie. Szedłem korytarzem szóstego czy piątego piętra, do Trottelreinera nie mogłem wrócić, potrzebował pomocy, której i tak nie mógłbym mu dać, myślałem gorączkowo o kilku rzeczach naraz, ale najpierw o tym, czy wpływ środka ustanie i znajdę się na powrót w Arkadii. Zdziwiająca rzecz, oprócz wstrętu i strachu nie czułem — wobec tej

perspektywy — nic więcej, jak gdybym wolał zamarznąć w stercie śmiecia, z wiedzą, że tak jest, anizeli zawdzięczać ukojenie zwidom. Nie mogłem wejść w boczny korytarz, bo drogę zagradzało ciało jakiegoś starca, któremu zbrakło sił, by iść, więc markował chód drgającymi nogami i cichutko rżąc uśmiechał się do mnie towarzysko ze swej agonii. Więc w drugi boczny korytarz — aż do matowych szyb jakiegoś biura. Za nimi panowała zupełna cisza. Wszedłem, wahadłowe odrzwia zakotływały się, była to hala maszyn do pisania — pusta. W głębi — uchylone następne drzwi. Zajrzałem tam, do jasnego, dużego pokoju, chciałem umknąć, bo ktoś w nim był, lecz odezwał się znajomy głos:

— Proszę wejść, Tichy.

Wszedłem więc. Nie zdziwiłem się nawet szczególnie, że tak się odezwał, jakby czekał na mnie; przyjąłem spokojnie i to, że za biurkiem siedział imć George Symington, w szarym flanelowym ubraniu, z włochatym fularem na szyi, w ustach miał cienkie cigarrillo, na twarzy — czarne okulary i zdawał się patrzeć na mnie ni to pobłaźliwie, ni to z żalem.

— Proszę usiąść — rzekł — bo to chwilę potrwa. Usiadłem. Pokój, z całymi szybami, był oazą schludności i ciepła w powszechnym zapuszczeniu, ani śladu lodowatych przeciągów, nawianego śniegu, tacka, dymiąca czarna kawa, popielniczka, dyktafon, nad jego głową wisiało na ścianie kilka barwnych aktów kobiecych. Zaskoczyło mnie bezsensowne raczej skojarzenie, że tych ciał na fotografii nie pokrywał żaden liszaj.

— Doigrał się pan! — rzekł dosadnie. — A przy tym nie może się pan skarżyć! Najlepsza pielęgniarka, jedyny rzeczowidz w całym stanie, wszyscy starali się pomóc panu, ale cóż? Pan chciał się dodłubać „prawdy” na własną rękę!

— Ja? — powiedziałem oszołomiony jego słowami, a nim zebrałem myśli, nim je dostroiłem do jego słów, napadł:

— Proszę tylko nie łąć. Za późno na to. Zdawało się panu, że jest pan niesłychanie przebiegły, obnosząc się z tymi swoimi skargami i podejrzeniami o „halucynację”! „Kanał”, „szczury hotelowe”, „dosiadać”, „kulbaczyć”. I takimi prymitywnymi wymysłami chciał się pan posłużyć, sądził pan, że one wystarczą? Tylko defryzak może być aż tak głupi!

Słuchałem go z na pół otwartymi ustami. Pojąłem błyskawicznie, że wszelkie zaprzeczanie będzie daremne, bo i tak mi nie uwierzy. Brał moje autentyczne obsesje za celowy manewr! A więc i ta rozmowa ze mną, w której wyjawiał tajemnice „Procrustics Inc.”, nie służyła niczemu innemu, jak tylko pociągnięciu mnie za język, po to używał tych słów, które tak okrutnie wówczas mnie zaskoczyły, może sądził, że to jakieś hasła wtajemniczenia — w co, w spisak przeciwchemiczny? Prywatny mój lęk przed halucynacją wziął za pociągnięcie taktyczne... Istotnie za późno było, by mu to tłumaczyć — teraz zwłaszcza, gdy

karty leżały odkryte.

— Pan tu na mnie czekał? — spytałem.

— A jakże. Razem z całą swoją przedsiębiorczością był pan przez cały czas prowadzony jak na sznurku. Nie możemy sobie pozwolić na to, by nieodpowiedzialna kontestacja zagroziła panującemu porządkowi.

Starzec konający w korytarzu — przemknęło mi. — On też był częścią zagrożeń, które mnie tu doprowadziły...

— Niezły ten porządek — powiedziałem. — A jego szef to pan, co? Gratuluję.

— Docinki proszę zachować na lepszą okazję! — odwarknął. Udało mi się go dotknąć. Był zły.

— Przez cały czas szukał pan „źródeł demonizmu”, mój defryzoniu, moja zeszlowieczna mrozonko... Otóż nie ma ich. Zaspokajam pańską ciekawość. Nie istnieją, rozumie pan? Dajemy cywilizacji narkozę, bo inaczej by siebie nie zniosła. Dlatego nie wolno jej budzić. Dlatego i pan do niej wróci. Nie grozi panu nic — to przecież jest nie tylko bezbolesne, ale miłe. Nam jest znacznie trudniej, bo musimy zachować trzeźwość dla waszego dobra.

— To pan z poświęcenia tak? — rzekłem. — Rozumiem, zapewne, ofiara złożona na rzecz ogółu.

— Jeżeli pan ceni straszliwą wolność umysłu — odparł oschle — to radzę nie szydzić, powściągnąć głupie docinki, bo dzięki nim tylko szybciej pan ją straci.

— Więc pan ma mi coś jeszcze do powiedzenia? Słucham.

— W tej chwili jestem jedynym oprócz pana człowiekiem w całym stanie, który widzi! Co mam na twarzy? — dorzucił szybko, podchwytliwie.

— Ciemne okulary.

— A więc widzi pan to samo, co ja! — rzekł. Chemik, który dostarczył Trottelreinerowi środków, już wrócił na łono społeczeństwa i nie żywi żadnych wątpliwości. Nikt nie może ich mieć — czy pan tego nie pojmuje?

— Zaraz — rzekłem. — Wygląda mi na to, że panu naprawdę zależy na przekonaniu mnie. To dziwne. Właściwie — czemu?

— Bo żaden rzeczowidz nie jest demonem! — odparł.

— Jesteśmy zniewoleni stanem rzeczy. Zagnał nas w kąt. Gramy takimi kartami, jakie nam społeczny los wcisnął w ręce. Przynosimy spokój, pogodę i ulgę jedynym zachowanym sposobem. Utrzymujemy na skraju równowagi to, co bez nas runęłoby w agonię powszechną. Jesteśmy ostatnim Atlasem tego świata. Chodzi o to, że jeżeli już musi ginać, niechaj nie

cierpi. Jeżeli nie można odmienić prawdy, trzeba ją zasłonić, to ostatni jeszcze humanitarny, jeszcze ludzki obowiązek.

— A więc już na pewno nie da się nic zmienić? — spytałem.

— Mamy rok 2098 — rzekł. — 69 miliardów żyjących legalnie i zapewne około 26 miliardów zatajonych. Średnia temperatura roczna spadła o cztery stopnie; za piętnaście, dwadzieścia lat będzie tu lodowiec. Nie możemy zapobiec zlodowaceni; nie możemy do niego nie dopuścić — możemy je tylko zakryć.

— Zawsze uważałem, że w piekle musi być mróz — rzekłem. — Więc malujecie drzwi do niego w ładne wzorki?

— Właśnie tak — powiedział. — Jesteśmy ostatnimi Samarytanami. Ktoś musiał, z tego miejsca, mówić do pana — przez przypadek ja jestem tym człowiekiem.

— Przypominam sobie: ecce Homo! — powiedziałem.

— Ale... zaraz... pojmuję, o co panu chodzi. Pan chce mnie przekonać do swej funkcji — eschatologicznego narkotyzera. Kiedy już nie ma chleba — narkoza cierpiącym. Tylko nie wiem, po co panu moje nawrócenie, skoro i tak mam o nim zaraz zapomnieć? Jeżeli środki, których pan używa, są dobre, dlaczego wysiła się pan na rozumowe argumenty? Jeżeli są dobre, parę kropel kredybilanu, jedno chłasknięcie w oczy — iż entuzjazmem zaakceptuję każde pana słowo, będę pana szanował i czcił. Widocznie pan sam nie jest przeświadczony o wartości takiego leczenia, jeżeli pociąga pana zwyczajne staroświeckie gadanie, rzucanie słów na wiatr, jeżeli zadowala pana rozmowa zamiast sięgnięcia po dyfuzer! Widać wie pan doskonale, że psychemiczne zwycięstwo jest zwykłym oszustwem, że pozostanie pan sam na placu jako triumfator ze zgałą. Pan chce mnie najpierw przekonać, a potem wepchnąć w niepamięć, ale to się panu nie uda. Powieś się pan na swej szlachetnej misji, razem z tymi dziwkami, których fotosy uprzyjemniają panu zbawicielską robotę. Potrzebuje pan jednak autentycznych, bez szczeciny, co?

Twarz wykręcił mu skurcz wściekłości. Zerwał się, wołając:

— Mam inne środki prócz arkadyjskich! Są i piekła chemiczne!

I ja wstałem. Sięgał do przycisku na biurku, kiedy krzyknąłem: — Pójdziemy tam razem! — Skoczyłem mu do gardła. Impet cisnął nas —jakem chciał — ku otwartemu oknu. Zatupotały kroki, twarde garście usiłowały odedrzeć mnie od niego, wił się, kopał, ale już u parapetu, przegiąwszy go w tył, zebrałem ostatnie siły i skoczyłem; zaświszczało w uszach, koziółkowaliśmy szczeni, wirujący lej ulicy rósł — przygotowałem się na miażdżący cios, a uderzenie przyszło tymczasem miękkie, bluznęły czarne nurty, cuchnąca, najdroższa topiel zamknęła się nad moją głową — i na powrót się otwarła. Wynurzyłem się pośrodku kanału,

ocierając oczy, z intensywnym smakiem pomyj w ustach, ale szczęśliwy, szczęśliwy! Profesor Trottelreiner, wyrwany z drzemki mymi potępieńczymi wrzaskami, pochylał się nad tonią i podawał mi z brzegu — jak bratnią dłoń — rączkę ciasno zwiniętego parasola. Odgłosy bombardowania ucichały. Dyrekcja Hiltona spała pokotem na nadmuchiwanych fotelach (stąd nadymanki!), a sekretarki zachowywały się wyzywająco przez sen. Jim Stantor chrapiąc przewracał się z boku na bok i przy dusił szczura, który wyskubywał mu czekoladę z kieszeni; obaj się przestraszyli. Profesor Dringenbaum, metodyczny Szwajcar, kucając u ściany, w pośliskim świetle latarki poprawiał wiecznym piórem swój referat. Uzmysłowiwszy sobie, że ta skupiona czynność zwiastuje początek obrad drugiego dnia Kongresu Futurologicznego, wybuchnąłem takim śmiechem, że maszynopis wypadł mu z palców, chlupnął w czarną wodę i odpłynął — w niezbadaną przyszłość.

Listopad 1970

NON SERWIAM

Książka profesora Dobba poświęcona jest personetyce, którą fiński filozof Eino Kaikki nazwał najokrutniejszą nauką, jaką dotąd stworzył człowiek. Dobb, jeden z najwybitniejszych dziś personetyków, żywi podobne poglądy. Nie można — oświadcza — umknąć konkluzji, że personetyka jest w swej praktyce niemoralna; chodzi jednak o taką działalność, sprzeczną z wytycznymi etyki, która jest nam konieczna życiowo. W badaniach niepodobna uniknąć swoistej bezwzględności, gwałcenia naturalnych odruchów, i jeśli nie gdzie indziej, w tym miejscu pryska mit o doskonałej bezwinności uczonego jako badacza faktów. Idzie o dyscyplinę, którą z pewną emfatyczną przesadą nazywano wszak teogonią eksperymentalną. Recenzenta zastanawia co prawda to, że gdy prasa nadała rzeczy znaczny rozgłos — było to dziewięć lat temu — opinia publiczna została zaszokowana personetycznymi rewelacjami, choć wydawało się, że w naszych czasach nic już nie może zadziwić. Stulecia pobrzmiwały echem czynu Kolumbowego, podczas kiedy owładnięcie Księżycem w ciągu tygodni przyswoiła sobie zbiorowa świadomość jako rzecz niemal banalną. A jednak narodziny personetyki okazały się wstrząsem. Nazwa pochodzi od dwu łacińskich terminów: persona — osoba, i genetyka — w rozumieniu: stwarzanie, tworzenie. Dziedzina ta jest późnym odgałęzieniem cybernetyki i psychoniki lat osiemdziesiątych, skrzyżowanych z praktyką intelektualną. O personetyce wie dziś każdy; zainteresowany przechodzień odpowiedziałby, że to jest sztuczna produkcja rozumnych istot. Odpowiedź wprowadzie nie od rzeczy, ale nie sięgająca istoty sprawy. Obecnie dysponujemy niemal setką programów personetycznych. Dziewięć lat temu powstawały w komputerach osobowości-schematy, prymitywne zawiązki „liniowego” typu; ale też ówczesna generacja maszyn cyfrowych, o wartości dziś tylko muzealnej, nie dostarczała jeszcze pola dla prawdziwej kreacji personoidów.

Jej teoretyczną możliwość przeczuł jeszcze Norbert Wiener, o czym świadczą ustępy jego ostatniej książki Stwórca i robot. Co prawda wspominał o niej właściwym sobie na poły żartobliwym sposobem, lecz były to uwagi z żartobliwością podszytą dosyć ponurymi premonicjami. Nie mógł jednak Wiener przewidzieć tego, jaki obrót wezmą sprawy w dwadzieścia lat później. — Najgorsze stało się — powiedział sir Donald Acker — kiedy w MIT-cie zwarto krótko wejścia z wyjściami.

Obecnie „świat” dla jego przyszłych „mieszkańców” można wyprodukować w ciągu dwu godzin. Tyle czasu bowiem zajmuje wprowadzenie do maszyny jednego z

pełnowartościowych programów (takich jak BAAL 66, CREAN IV czy JAHVE 09). Dobb szkicuje początki personetyki raczej pobieżnie, odsyłając czytelnika do historycznych źródeł, sam zaś, jako zdecydowany praktyk–eksperymentator, opowiada przede wszystkim, jak on sam pracuje — rzecz dość istotna, ponieważ między szkołą angielską, reprezentowaną właśnie przez Dobba, a grupą amerykańską z MIT–u zachodzą dość znaczne różnice w zakresie metodyki i ściganych doświadczalnie celów. Dobb nakreśla procedurę „sześcidniówki ściągniętej do 120 minut” następująco. Pierwej wyposaża się pamięć maszynową w zestaw minimalny danych, to jest — by pozostać w obrębie języka zrozumiałego dla laików — ładuje się ową pamięć tworzywem „matematycznym”. Tworzywo to jest zarodzią uniwersum „życiowego” na razie jeszcze nieobecnych personoidów. Istoty, co przyjdą na ten — maszynowy, cyfrowy — świat, które będą w nim, i tylko w nim, wegetowały, umiemy już wyposażyć w otoczenie o znamionach nieskończonościowych. Istoty te nie mogą się zatem poczuć uwięzione w sensie fizycznym, skoro otoczenie owo nie ma, z ich stanowiska, żadnych granic. Środowisko to posiada jeden tylko wymiar, mocno zbliżony do danego i nam, mianowicie wymiar upływu czasu (trwania). Czas ten nie jest jednak po prostu analogiczny z naszym, ponieważ tempo jego upływu podlega dowolnej kontroli ze strony eksperymentatora. Zazwyczaj tempo to maksymalizuje się w fazie wstępnej (tak zwanego „rozruchu światostwórczego”), aby nasze minuty odpowiadały całym eonom, podczas których dochodzi do szeregu kolejnych reorganizacji i krystalizacji — syntetycznego kosmosu. Kosmos to całkowicie bezprzestrzenny, jakkolwiek dysponujący wymiarami, lecz mają one czysto matematyczny, a więc pod względem obiektywnym jakby „urojony” charakter. Wymiary te są po prostu pewnymi konsekwencjami postanowień aksjomatycznych programisty i od niego zależy ich ilość. Jeśli się zdecyduje na przykład na dziesięciowymiarowość, będzie to miało dla struktury tworzonego całkiem odmienne konsekwencje — niż jeśli się założy tylko sześć wymiarów; wypada chyba powtórzyć z naciskiem, że nie są one spokrewnione z wymiarami przestrzeni fizycznej, lecz tylko z abstrakcyjnymi, logicznie prawomocnymi konstruktami, jakimi się posługuje matematyczna kreacja systemowa.

Ten nieprzystępny dla matematyka punkt stara się Dobb wyjaśnić, odwołując się do prostych faktów, znanych na ogół z nauki szkolnej: można, jak wiadomo, skonstruować zarówno poprawną geometrycznie bryłę trójwymiarową, choćby sześcian, posiadającą odpowiednik w realnej rzeczywistości pod postacią kostki; i można tak samo utworzyć geometryczną bryłę cztero-, pięcio-, n-wymiarową (czterowymiarowa to tak zwany tesseract). Te już nie posiadają realnych odpowiedników i o tym możemy się przekonać,

ponieważ dla braku fizycznego wymiaru numer cztery nie da się zbudować prawdziwej czterowymiarowej kostki. Otóż ta różnica (między fizycznie konstruowalnym a tylko matematycznie dającym się zbudować) dla personoidów nie istnieje w ogóle, ponieważ ich świat w całości ma czysto matematyczną konsystencję. Jest on z matematyki zbudowany, chociaż podłożem owej matematyki są już zwykłe, czysto fizyczne obiekty (przekładniki, tranzystory, obwody logiczne, jednym słowem — cała ogromna sieć cyfrowej maszyny).

Jak wiadomo, zgodnie ze współczesną fizyką, przestrzeń nie jest czymś osobnym względem obiektów i mas, jakie się w niej znajdują. Przestrzeń jest w swym istnieniu uwarunkowana owymi ciałami; gdzie ich nie ma, gdzie „nic nie ma” — w materialnym sensie — tam i przestrzeń znika, zapadając się do zera. Otóż rolę materialnych ciał, co niejako „rozpychają się” i przez to wytwarzają „przestrzeń”, pełnią w personoidalnym świecie — systemy matematyki powołanej umyślnie po to do istnienia. Ze wszechmożliwych „matematyk”, jakie w ogóle można by sporządzać, sposobem na przykład aksjomatycznym, programista wybiera, decydując się na konkretny eksperyment, pewną grupę, która będzie opoką, „dnem bytowym”, „ontologicznym fundamentem” kreowanego uniwersum. Zachodzi tu, zdaniem Dobb, uderzające podobieństwo względem ludzkiego świata. Wszak ten nasz świat „zdecydował się” na pewne formy i pewne typy geometrii, które najlepiej, bo najprościej, mu odpowiadają (trójwymiarowość, aby pozostać przy tym, od czego się zaczęło). Mimo to możemy sobie wyobrażać „inne światy”, z „innymi własnościami” — w geometrycznym i nie tylko geometrycznym zakresie. Tak samo personoidy: ta postać matematyki, którą badacz wybrał za „mieszkanie”, jest dla nich tym samym, czym dla nas „bazowy realny świat”, w jakim żyjemy i żyć musimy. I, podobnie jak my, mogą one sobie „wyobrażać” światy o odmiennych własnościach podstawowych.

Dobb wyklada swoje metodą kolejnych przybliżeń i nawrotów; to, cośmy wyżej naszkicowali, a co odpowiada z grubsza dwu pierwszym rozdziałom jego książki, w dalszych ulega częściowemu odwołaniu, bo — powikłaniu. Nie jest tak — tłumaczy nam autor — jakoby personoidy po prostu natrafiły na jakiś gotowy, znieruchomiał, niby lodem ścięty świat w danej mu ostatecznie, do samego końca, postaci. To, jaki ów świat będzie w swoich „uszczegółowieniach”, już tylko od nich zależy, i to w rosnącym stopniu, w miarę tego, jak powiększa się ich własna aktywność, jak ich „eksploratywna inicjatywa” narasta. Porównywanie uniwersum personoidów do świata, który tylko o tyle istnieje fenomenami, o ile jego mieszkańcy je spostrzegają, też jednak nie jest właściwym obrazem stosunków. To porównanie, które można spotkać w pracach Saintera i Hughesa, uważa Dobb za „odchylenie idealistyczne”, za daninę, którą personetyka złożyła tak dziwnie zmartwychwstałej nagle —

doktrynie biskupa Berkeleya. Sainter twierdził, że personoidy poznają swój świat niczym istota Berkeleya, która nie jest w stanie odróżnić „esse” od „percipi”, to znaczy, która między postrzeganiem a tym, co postrzeganie powoduje w sposób obiektywny i od postrzegającego niezależny, nigdy nie wykryje różnicy. Dobb atakuje taką wykładnię rzeczy z tym większą pasją, że m y, jako stwórcy ich świata, wiemy wszak doskonale, iż postrzegane przez nich naprawdę istnieje — wewnątrz komputera — w niezawisłości od personoidów — jakkolwiek, zgoda, wyłącznie tak, jak mogą istnieć obiekty matematyczne. I to jednak nie jest końcową stacją wyjaśnień. Personoidy powstają zawiązkowo dzięki programowi; rozrastają się w tempie narzuconym przez eksperymentatora, w tempie takim, na jakie tylko zezwala nowoczesna technika informacyjprzetwórstwa operującego świetlnymi chyżościami. Matematyka, która ma być „mieszkaniami bytowym” personoidów, nie oczekuje ich w pełni „gotowa”, lecz niejako „zwinięta”, „nie dopowiedziana”, „zawieszona”, „latentna”, ponieważ stanowi ona tylko zbiór pewnych prospektywnych szans, pewnych dróg zawartych w odpowiednio zaprogramowanych podzespołach maszyny cyfrowej. Te podzespoły, czyli generatory, „same z siebie” jednak niczego nie dają; konkretny typ aktywności personoida służy im jako mechanizm spustowy, uruchamiający wytwórczość, która będzie się stopniowo rozrastała i dookreślała, czyli świat otaczający te istoty będzie się ujednoznaczał zgodnie z ich własnymi czynnościami. Dobb stara się unaocznic powiezione przywołaniem takiej analogii: człowiek może świat realny interpretować w rozmaity sposób. Może on poświęcić szczególną intensywność badawczą pewnym cechom tego świata, a wówczas zdobyta wiedza rzuci swoje światło także na pozostałe, nie uwzględnione w owym priorytetowym badaniu jego partie; jeżeli będzie się najpierw pilnie zajmował mechaniką, to sobie wytworzy obraz świata mechaniczny i ujrzy Uniwersum jako gigantyczny zegar doskonały, w niewzruszonym chodzie zmierzający od przeszłości w ściśle zdeterminowaną przyszłość. Ten obraz nie jest dokładnym odpowiednikiem realności, a jednak można się nim przez długi historycznie czas posługiwać i nawet dochodzić wielu praktycznych sukcesów, np. budowania maszyn, narzędzi itp. Podobnie personoidy — jeśli „nastawią się”, z wyboru i aktu woli, na pewien typ relacji i temu typowi nadadzą pierwszeństwo, jeśli będą w nim tylko upatrywać „istotę” swego kosmosu, wejdą na określoną drogę działań oraz odkryć, która nie jest ani fikcyjna, ani jałowa. „Wywabią” dzięki temu nastawieniu to wszystko, co najlepiej odpowiada mu w „otoczeniu”. To najpierw dojrzą, tym najpierw owładną. Świat bowiem, jaki je otacza, jest częściowo tylko zdeterminowany, z góry ustanowiony przez badacza–stwórcę; personoidy zachowują w nim pewien, i to niemały, margines wolności postępowania, zarówno czysto „myślowego” (w zakresie tego, co sobie o tym swoim świecie myślą, jak ten świat

pojmują), jak i „realnego” (w obrębie swych „działań”, które nie są wprawdzie dosłownie, po naszymu realne, ale nie są czysto pomyślane tylko). Co prawda jest to najtrudniejsze miejsce wywodu i Dobbowi chyba nie udało się w pełni wytłumaczyć owych szczególnych jakości personoidowego bytowania, które oddaje tylko język matematyki programów i ingerencji kreacyjnych. Musimy tedy nieco na wiarę przyjąć, że aktywność personoidów nie jest ani całkowicie swobodna (jak nie jest całkiem swobodna przestrzeń naszych uczynków, skoro ją ograniczają fizyczne prawa natury), ani całkowicie zdeterminowana (jak i my nie jesteśmy wagonami postawionymi na sztywno ustalonych torach). Personoid jest podobny do człowieka w tym, że „jakości wtórne” — barwy, dźwięki melodyjne, uroda rzeczy — pojawiają się dopiero wówczas, kiedy istnieją uszy słyszące i oczy widzące, lecz to, co umożliwia patrzenie i słyszenie, było wszak już wcześniej dane. Personoidy, postrzegając swoje otoczenie, „z siebie” dodają mu owych jakości przeżyciowych, które właśnie odpowiadają temu, czym są dla nas uroki oglądanego krajobrazu, tyle że im przydano czysto matematyczne pejzaże. O tym, „jak one je widzą”, nic nie możemy już orzekać w sensie „subiektywnej jakości ich doznawania”, bo jedynym sposobem doświadczenia jakości ich przeżyć byłoby — samemu zrzucić skórę ludzką i zostać personoidem. Tym bardziej że personoidy nie mają oczu, uszu, więc niczego nie widzą ani nie słyszą w naszym pojmowaniu, skoro w ich kosmosie nie ma ani światła, ani ciemności, ani pobliża przestrzennego, ani oddali, góry ni dołu — są tam wymiary nienaoczne dla nas, ale dla nich pierwsze, elementarne; postrzegają one na przykład — jako odpowiedniki składników ludzkiej zmysłowej percepcji — pewne zmiany potencjałów. Ale te zmiany potencjałów elektrycznych nie są dla nich czymś w rodzaju uderzeń prądu, powiedzmy, lecz raczej czymś takim, czym dla człowieka jest dostrzeżenie najpierwotniejszego zjawiska optycznego lub akustycznego, ujrzanie czerwonej plamy, usłyszenie dźwięku, dotknięcie twardego lub miękkiego przedmiotu. Tutaj — podkreśla Dobb — można mówić już tylko analogiami, przywołaniami; głosić, że personoidy są „kalekie” względem nas, skoro nie widzą ani nie słyszą jak my, jest zupełnym absurdem, ponieważ z równym prawem można by orzekać, że to my jesteśmy zubożeni względem nich o umiejętność bezpośredniego doznawania matematycznej fenomenalistyki, którą wszak czysto intelektualnym tylko, umysłowym, wnioskującym sposobem poznajemy, tylko poprzez rozumowania z nią się kontaktujemy, tylko dzięki abstrakcyjnemu myśleniu „przeżywamy” matematykę. One w niej żyją, jest ona ich powietrzem, ziemią, chmurami, wodą i nawet chlebem, nawet żywnością, ponieważ one się nią w pewnym sensie „karmią”. Tak więc są personoidy „uwięzione”, hermetycznie pozamykane w maszynie wyłącznie z naszego stanowiska; jak one nie mogłyby przedostać

się ku nam, w świat ludzki, tak i na odwrót, a symetrycznie, człowiek nie może żadnym sposobem wniknąć do wnętrza ich świata, aby w nim istnieć i doznawać go bezpośrednio. Matematyka stała się tedy w pewnych wcieleniach swoich życiową przestrzenią rozumu, tak uduchowionego, że totalnie bezcielesnego, niszą i kolebką jego egzystencji, jego bytowym miejscem.

Personoidy są pod wieloma względami podobne do człowieka. Pomyśleć sobie pewną sprzeczność (że „a” i że „nie a”) mogą, ale urzeczywistnić jej nie potrafią — tak samo, jak my. Na to nie zezwala fizyka naszego, a logika — ich świata. Gdyż jego logika jest taką samą ramą ograniczającą działanie, jak fizyka — naszego świata! W każdym razie — podkreśla Dobb — nie ma mowy o tym, abyśmy mogli do końca, introspektywnie, pojąć, co „czują” i co „przeżywają” personoidy, zajmujące się intensywnymi pracami w swoim nieskończonym uniwersum. Jego zupełna bezprzestrzenność nie jest żadnym uwięzieniem — to bzdura wymyślona przez żurnalistów; na odwrót: ta bezprzestrzenność jest gwarantką ich wolności, ponieważ matematyka, którą wysnuwają z siebie „podniecone” do aktywności generatory komputerowe — a „podnieca” je tak aktywność samych personoidów — ta matematyka to niejako urzeczywistniający się przestwór dla dowolnych czynności, praktyk budowlanych lub innych, dla eksploracji, dla heroicznych wypadów, dla śmiałych wtargnięć, domysłów, jednym słowem: personoidom nie uczyniliśmy krzywdy, dając im na własność taki właśnie, a nie inny wszechświat. Nie w tym wolno upatrywać okrucieństwo, niemoralność personetyki.

W siódmym rozdziale *Non serviam* przechodzi Dobb do zaprezentowania czytelnikowi mieszkańców cyfrowego uniwersum. Personoidy dysponują zarówno językiem artykułowanym, jak artykułowaną myślą, ponadto zaś — emocjami. Każdy z nich jest indywidualnością, przy czym ich wzajemne różnicowanie już nie jest prostą konsekwencją postanowień stwórcy—programisty, tj. człowieka. To różnicowanie wynika po prostu z nadzwyczajnej złożoności ich wewnętrznej budowy. Mogą być do siebie bardzo podobne, ale nie są jednak nigdy tożsame. Przychodząc na świat, zostają wyposażone w tak zwane „jądro” („nukleus personalny”). Już wówczas posiadają dar mowy i myśli, ale w stanie rudy—mentarnym. Dysponują słownikiem, ale nader szczupłym, i posiadają umiejętność konstruowania zdań zgodnie z regułami narzuconej składni. Zdaje się, że można będzie w przyszłości nie narzucać im nawet tych determinant i oczekiwać biernie, aż same, jak pierwotna grupa ludzka w toku socjalizacji, wytworzą mowę. Lecz ten kierunek personetyki natrafia na dwa kardynalne szkopyły. Po pierwsze, czas oczekiwania rozwoju mowy musi być bardzo długi. Obecnie musiałby trwać 12 lat, i to nawet przy maksymalizacji tempa wewnątrzkomputerowych przekształceń (gdy, mówiąc obrazowo i bardzo grubo, jednemu

rokowi ludzkiego żywota odpowiadałaby jedna sekunda czasu maszynowego). Po wtóre, i to jest kłopot największy, wytwarzająca się spontanicznie w „grupowej ewolucji personoidów” mowa będzie niezrozumiała dla nas i jej zgłębianie musi przypominać mozolne rozłamywanie zagadkowego szyfru, utrudnione dodatkowo tym, że wszak szyfry, jakie zwykle się odcyfrowuje, stworzyli ludzie i dla innych ludzi, w świecie dzielnym z rozszyfrowywaczami. Natomiast świat personoidów jest mocno odmienny w jakościach od naszego i przez to też język, najbardziej w nim odpowiedni, musi być daleko odstrychnięty od każdego języka etnicznego. Tak więc na razie kreacja „ex nihilo” jest tylko planem i marzeniem personetyków. Personoidy zderzają się, gdy już „okrzepną rozwojowo”, z zagadką elementarną i dla nich najpierwszą — własnego pochodzenia. To znaczy — stawiają sobie pytania, znane nam z historii człowieka, z historii jego wierzeń, jego filozoficznych prób i mitycznych kreacji: skądęśmy się wzięli? dlaczego jesteśmy tacy, a nie inni? dlaczego świat, jaki postrzegamy, ma te oto, a nie jakieś inne całkiem własności? co my znaczymy — dla świata? co on znaczy — dla nas? Ostatecznie ciąg tych pytań w sposób wręcz nieuchronny prowadzi je ku fundamentalnym kwestiom ontologii, kulminującym w pytaniu o to, czy byt powstał „sam z siebie”, czy też jest skutkiem pewnego aktu stwórczego, czyli — czy się za nim kryje obdarzony wolą i świadomością, intencjonalnie aktywny, rzeczy świadomy Stwórca. Oto miejsce, w którym pojawia się całe okrucieństwo i niemoralność personetyki.

Nim jednak zajmie się Dobb, w drugiej części swego dzieła, zdawaniem sprawy z intelektualnych wysiłków, czy kiedy kto tego chce — z mąk rozumu wydanego na łup takich pytań — przedstawia w szeregu kolejnych rozdziałów charakterystykę „typowego personoida”, jego „anatomię, fizjologię i psychologię”.

Samotny personoid nie potrafi wyjść poza stadium szcątkowego myślenia, skoro po prostu nie może się ćwiczyć w mówieniu, a bez niego wszak i myśl dyskursywna, nie rozwinięta dostatecznie, musi zwiędnąć. Optymalne są, jak wykazały setki doświadczeń, grupy liczące od czterech do siedmiu personoidów — przynajmniej dla rozwoju mowy oraz typowych czynności eksploracyjnych, a także dla „kulturalizacji”. Natomiast zjawiska odpowiadające procesom socjalnym w ich większej skali — wymagają już grup silnie liczebnych. Można obecnie „pomieścić” do 1000 personoidów, mówiąc z grubsza, w dostatecznie pojemnym uniwersum komputerowym; lecz tego rodzaju badania, należące do wyodrębnionej już i samodzielnej dyscypliny — socjodynamiki — leżą poza obrębem głównych zainteresowań Dobba, a tym samym i jego książka zaledwie o nich marginesowo wspomina. Jak się rzekło, personoidy nie mają ciał, lecz mają „duszę”. „Dusza” taka — ze stanowiska zewnętrznego obserwatora mającego wgląd w maszynowe procesy (dzięki

specjalnemu przysposobieniu, tj. dodatkowym urządzeniom typu sondy, wbudowanym w komputer) — przedstawia się jako „spójny obłok procesów”, jako agregat funkcjonalny z rodzajem „ośrodka”, dający się wyodrębnić dosyć dokładnie, tj. ograniczyć w sieci maszynowej (co notabene nie jest łatwe i co pod niejednym względem przypomina poszukiwania ośrodków lokalizacyjnych wielu czynności w ludzkim mózgu — przez neurofizjologię). Centralny dla zrozumienia samej szansy kreowania personoidów jest rozdział 11 *Non serviam*, który dość przystępnie wyklada podstawy teorii świadomości. Świadomość (każda, nie tylko personoida, więc ludzka także) jest pod względem fizycznym „informacyjną falą stojącą”, pewnym dynamicznym niezmiennikiem w strumieniu bezustannych przekształceń, o tyle dziwnym, że stanowi „kompromis” i zarazem „wypadkową”, jakiej, o ile pojmujemy, ewolucja naturalna wcale nie „zaplanowała”. Wręcz przeciwnie — ewolucja wytworzyła zrazu niesłychane kłopoty i trudności dla zharmonizowania pracy mózgow powyżej ich pewnej wielkości, tj. pewnego stopnia komplikacji, przy czym wtargnęła w obszar tych dylematów, rzecz jasna, nierozmyślnie, boż nie jest ona twórcą osobowym. Było po prostu tak, że pewne bardzo stare ewolucyjnie rozwiązania zadań sterowniczo—regulacyjnych, właściwych systemowi nerwowemu, „zaciągnęła” ewolucja aż na szczybel, na którym się rozpoczynała antropogeneza. Te stare rozwiązania należało z czysto racjonalnego, oszczędnościowo—inżynierskiego stanowiska po prostu radykalnie przekreślić, odrzucić i zaprojektować coś całkowicie nowego — jako mózg rozumnej istoty. Lecz, zapewne, ewolucja nie mogła tak postąpić, ponieważ uwalnianie się od schedy starych rozwiązań, liczących sobie nieraz i setki milionów lat, nie jest w jej mocy, skoro postępuje ona zawsze bardzo drobnymi krokami zmian przystosowawczych i „pełza”, lecz nie „skacze”. Jest tedy „włókiem”, który „ciągnie za sobą” niezliczone „archaizmy”, wręcz „śmieci” wszelakie, jak to dosadnie określili Tammer i Bovine — jedni z twórców komputerowego modelowania psychiki ludzkiej, modelowania, które było przesłanką narodzin personetyki. Świadomość człowieka jest skutkiem swoistego „kompromisu”, „łataniny”, jest, jak twierdził np. Gebhardt, wyborną egzemplifikacją znanego niemieckiego powiedzenia: „Aus einer Not eine Tugend machen” („jak obrócić pewną przywarę, pewien kłopot, w cnotę”). Maszyna cyfrowa nie może „z siebie” nigdy zdobyć świadomości, z tej prostej przyczyny, że nie dochodzi w niej do hierarchicznych konfliktów działania. Maszyna taka może najwyżej wpaść w pewien typ „drżączki logicznej” lub „logicznego stuporu”, gdy się w niej antynomie namnożą, i to wszystko. Sprzeczności, od jakich się w mózgu człowieka wprost roi, były jednak w ciągu setek tysięcy lat stopniowo przedmiotem „arbitrażowych procedur”. Powstały .piętra wyższe i niższe, odruchowości i refleksji, popędu i kontroli,

modelowania środowiska elementarnego („sposobem zoologicznym”) i pojęciowego („sposobem językowym”), przy czym one wszystkie razem nie mogą „nie chcą” się doskonale pokrywać, nakładać, zespolić w jedność. Czym jest tedy świadomość? Wybiegiem, wyjściem z matni, pozorowaną instancją ostateczną, trybunałem rzekomo (ale też tylko rzekomo!) najwyższego odwołania, a wykładana językiem fizyki i informatyki — czynnością, która, rozpoczynając się, nie może w ogóle ulec zamknięciu, tj. definitywnemu zakończeniu. Jest ona tedy projektem jedynie takiego zamknięcia, takiego zupełnego „pojednania” upartych sprzeczności mózgu. Jest jakby zwierciadłem, które ma za zadanie odbijać inne zwierciadła, te zaś z kolei odbijają znów inne — i tak w nieskończoność. To, po prostu fizycznie, nie jest możliwe, i dlatego właśnie „regressus ad infinitum” stanowi rodzaj zapadni, nad którą szybuje i polata fenomen ludzkiej świadomości. „Pod świadomością” zdaje się trwale toczyć bój o pełną reprezentację — w niej — tego, co do niej nie może dotrzeć w pełni, a nie może dla braku miejsca po prostu: gdyż, aby w pełni dać równouprawnienie wszystkim tendencjom dobijającym się do ośrodków świadomej uwagi, byłaby właśnie niezbędna — nieskończona pojemność i przepustowość. Panuje tedy wokół świadomości nieustanny „tłok”, „przepychanie się”, i nie jest ona wcale najwyższą, chłodną, suwerenną sterniczką wszystkich umysłowych zjawisk, lecz bywa często raczej korkiem na wzburzonych falach, którego „górująca pozycja” nie ma nic wspólnego z doskonałym tych fal opanowaniem... Język współczesnej, informatycznie i dynamicznie interpretowanej teorii świadomości nie daje się, niestety, wyłożyć prosto i jasno, | tak że wciąż jesteśmy zdani tutaj, przynajmniej w wykładzie przystępnym, na szereg naocznych przykładów, i metafor. W każdym razie wiemy, że świadomość jest pewnym „wykretem”, „wybiegiem”, do jakiego się ewolucja uciekła, podług właściwego jej niezbywalnie sposobu działania — oportunistycznego, tj. takiego, który musi naprędce, doraźnie, wyjść z powstających opresji. Gdyby tedy rozumną istotę budował doprawdy ktoś postępujący podług kanonów doskonale racjonalnej inżynierii i logiki, stosując kryteria technicznej sprawności, toby istota taka w ogóle nie otrzymała świadomości w darze... Zachowywałyby się ona w sposób doskonale logiczny, zawsze niesprzeczny, jasny, wybornie uporządkowany, i byłaby może nawet, dla obserwatora-człowieka, genialnie sprawna twórczo i decyzyjnie, ale ani trochę nie byłaby człowiekiem, wyzbyta jego „tajemniczej głębi”, jego wewnętrznych „pokretności”, jego labiryntowej przyrody...

Nie opowiadamy tu o współczesnej teorii świadomego życia psychicznego, jak i nie czyni tego profesor Dobb: trzeba jednak było tych kilku słów, bo one są przesłanką struktury osobowej personoidów. Zbudowanie ich ziściło nareszcie jeden z najstarszych mitów o

homunkulusie. Po to, aby podobieństwo człowieka, tj. jego psychiki, stworzyć, trzeba z rozmysłem wprowadzić w informacyjny substrat określone sprzeczności, trzeba mu nadać asymetrię, tendencje odśrodkowe, trzeba go, jednym słowem, zarazem i scalić — i skłócić. Czy to racjonalne? Zapewne, wręcz nieuchronne, kiedy nie chcemy budować po prostu jakichś syntetycznych rozumów, lecz imitować myśl, a z nią razem osobowość człowieka.

Muszą się tedy w pewnej mierze sprzeczać emocje personoidów z ich racjami; muszą one dysponować tendencjami samozgubnymi w jakimś stopniu przynajmniej; muszą doznawać wewnętrznych „napięć”, owej całej odśrodkowości, już to przeżywanej jako wspaniała nieskończoność duchowych stanów, już to jako ich bolesne nie do zniesienia rozdarcie. Receptura kreacyjna wcale nie jest przy tym aż tak beznadziejnie skomplikowana, jak by się mogło wydawać. Po prostu logika kreacji (personoida) musi być naruszona, musi zawierać pewne antynomie. Świadomość jest nie tylko wyjściem z ewolucyjnej matni — powiedział Hilbrandt — ale zarazem ucieczką z pułapek godelizacji: sprzecznościami bowiem paralogicznymi rozwiązanie to uchyliło się od sprzeczności, którym musi być poddany każdy układ doskonały pod względem logicznym. Tak więc uniwersum personoidów jest w pełni racjonalne, ale nie są one jego w pełni racjonalnymi mieszkańcami. Niechaj nam to tutaj wystarczy — skoro i profesor Dobb nie zapuszcza się dalej w ten niezmiernie trudny temat. Jak wiemy już, personoidy nie mają ciał i nie doznają też przez to swej cielesności, lecz mają „duszę”. „Bardzo trudno to sobie wyobrazić” — mówiono o tym, co jest doznawane w pewnych stanach szczególnych umysłu, w zupełnej ciemności, przy najwyższym zredukowaniu dopływu zewnętrznych bodźców, ale — twierdzi Dobb — są to obrazy mylące. Przy deprivacji sensorycznej bowiem praca ludzkiego mózgu zaczyna się rychło rozpadać: bez strumieni impulsów ze świata zewnętrznego psychika ma tendencję lityczną. Personoidy, pozbawione zmysłów, nie „rozpadają się” przecież, ponieważ tym, co nadaje im zwartość, jest ich matematyczne środowisko, którego doznają — ale jak? Doznają go, powiedzmy, podług tych zmian własnych stanów, które są im przez tę „zewnętrzność” narzucane, indukowane przez nią. Umieją odróżnić zmiany pochodzące spoza siebie — od zmian wynurzających się z głębin psychiki własnej. Jak one to robią? Na to pytanie już tylko teoria dynamicznej struktury personoidów udziela wyrazistej odpowiedzi.

A jednak są do nas podobne, przy wszystkich przeraźliwych różnicach. Wiemy już, że maszyna cyfrowa nigdy by świadomością nie zapłonęła; bez względu na to, do jakiego zadania ją zaprzężemy, jakie fizyczne procesy będziemy w niej modelowali, pozostanie na zawsze trwale apsychniczna. Ponieważ chcąc człowieka wymodelować, trzeba powtórzyć

pewne jego fundamentalne sprzeczności, tylko układ ciężących ku sobie antagonizmów, czyli personoid, przypomina — za Canyonem, którego cytuje Dobb — gwiazdę ściąganą siłami ciężenia i zarazem rozpychaną ciśnieniem radiacji. Ośrodkiem grawitacyjnym jest osobowe „ja” po prostu — ale ono bynajmniej żadnej jedności w sensie logicznym ani fizycznym nie stanowi. To tylko nasze subiektywne złudzenie! Znajdujemy się, w niniejszej fazie wykładu, pośród mrowia zdumiewających zaskoczeń. Można wszak zaprogramować cyfrową maszynę w ten sposób, aby się dało z nią prowadzić rozmowy, niczym z rozumnym partnerem. Maszyna będzie używała, gdy zajdzie tego potrzeba, zaimka „ja” i wszystkich jego gramatycznych pochodnych. Jest to jednak swoiste „oszustwo”! Maszyna wciąż będzie bliższa miliardowi gadających papug — choćby papug aż genialnie wytresowanych — aniżeli najprostszemu, najgłupszemu człowiekowi. Naśladuje ona zachowanie człowieka na czysto językowej płaszczyźnie i nic ponadto. Maszyny tej nic nie rozbawi, nie zdziwi, nie zaskoczy, nie przerazi, nie zmartwi, ponieważ jest ona psychologicznie i osobowo Nikim. Jest ona Głosem wypowiadającym kwestie, udzielającym odpowiedzi na pytania, jest Logiką zdolną pobić najlepszego szachistę, jest ona — to znaczy: może się stać — najdoskonalszym imitatorem wszystkiego, niejako doprowadzonym do szczytu doskonałości aktorem, grającym każdą rolę zaprogramowaną — ale aktorem i imitatorem wewnątrznie całkiem pustym. Nie można liczyć na jej sympatię ani na jej antypatię. Na jej życzliwość jak i na wrogość. Nie dąży ona do żadnego samoustanowionego celu; w stopniu dla każdego człowieka po wieczność niepojętym jest jej „wszystko jedno” — skoro nie ma jej po prostu jako osoby... To cudownie sprawny mechanizm kombinatoryczny, nic więcej. Stykamy się ze zjawiskiem przedziwnym. Zdumiewa myśl, że z „surowca” tak bezwzględnie opustoszałej, tak doskonale bezosobowej maszyny można, dzięki wprowadzeniu w nią specjalnego programu — personetycznego mianowicie — sporządzić autentyczne osobowości, i to nawet wiele ich naraz! Ostatnie modele IBM osiągają pojemność 1000 personoidów — termin ścisły matematycznie, ponieważ ilość elementów i połączeń, niezbędnych jako nośniki jednego personoidu, można wyrazić w jednostkach centymetr–gram–sekunda. Personoidy są odgraniczone od siebie wewnątrz maszyny także fizycznie. Nie „zachodzą” na siebie — chociaż to może się wydarzyć. Pojawia się jednak przy kontakcie odpowiednik „odpychania”, który utrudnia im wzajemną „osmozę”. Niemniej mogą się przenikać — jeśli ku temu dążą. Procesy stanowiące ich mentalne podłoże zaczynają się wówczas nakładać na siebie, dając szумы i zakłócenia. Gdy strefa przenikania jest szczupła, pewna ilość informacji staje się „wspólną własnością” obu częściowo „pokrywających się” personoidów, i zjawisko to jest dla nich dziwaczne. Jest subiektywnie zaskakujące — jak dla człowieka dziwaczne, a wręcz

niepokojące byłoby usłyszenie „cudzych głosów” i „obcych myśli” we własnej głowie (co się zdarza w pewnych zaburzeniach psychicznych, tj. w umysłowych chorobach, albo pod wpływem środków halucynogennych). Dzieje się coś takiego, jakby dwu ludzi miało nie takie samo, lecz to samo wspomnienie. Jakby zachodziło coś więcej niż myślowy przekaz telepatyczny, bo „zespalanie się obwodowe jaźni”. Jest to jednak zapowiedzią groźnego w skutkach fenomenu, którego powinno się unikać. Po przejściowym stanie „brzeżnej osmozy” personoid „napierający” może drugiego „zniszczyć” i „pochłonąć”. Wówczas ten drugi ulega po prostu resorpcji, anihilacji — przestaje istnieć (nazywano to już morderstwem...). Unicestwiony personoid staje się przyswojoną, nie—odróżnialną częścią „agresora”. Udało się nam — mówi Dobb — wymodelować nie tylko życie psychiczne, ale także jego zagrożenie i zagładę. Udało się nam tedy wymodelować także śmierć. Personoidy w normalnych warunkach doświadczeń unikają jednak takich „agresji”.

„Duszojadów” (termin Castlera) raczej się wśród nich nie spotyka. Odczuwając początki osmozy, do której może dojść za sprawą czysto przypadkowych zbliżeń i fluktuacji, odczuwając to zagrożenie w sposób naturalnie bezzmysłowy, zapewne tak, jak ktoś czuje „cudzą obecność”, a nawet słyszy „obce głosy” we własnym umyśle — personoidy wykonują aktywne ruchy unikowe, cofają się i rozchodzą. Dzięki temu zjawisku poznały wszakże sens pojęć „dobra” i „zła”. Jest dla nich ewidentne, że „zło” polega na niszczeniu drugiego, a „dobro” na jego ocaleniu. I zarazem jest tak, że „zło” jednego może być „dobrem” (tj. korzyścią, w już pozaetycznym sensie) tego, który by stał się „duszojadem”. Ekspansja taka, przywłaszczenie sobie cudzego „terytorium duchowego”, powiększa bowiem wyjściowo dany „mentalny areal”. Jest to jakiś odpowiednik naszych praktyk — przecież należąc do zwierząt musimy zabijać i żywić się zabijanymi. Personoidy natomiast nie muszą tak postępować, a jedynie mogą. Nie znają głodu, pragnienia, skoro żywi je energia stale dopływająca, o której źródła nie muszą się troszczyć, jak my nie musimy specjalnie zabiegać o to, aby nam słońce świeciło. W świecie personoidów nie mogą powstać terminy ani zasady termodynamiki rozumianej energetycznie, ponieważ ich świat podlega matematycznym, a nie termodynamicznym prawom.

Rychło badacze przekonali się, że kontakty personoidów z ludźmi, zachodzące poprzez wejścia i wyjścia komputera, są dość jałowe poznawczo, a za to nastęrczają moralne dylematy, które przyczyniły się do nazwania person etyki najokrutniejszą z nauk. Jest coś niegodnego w informowaniu personoidów o tym, że stworzyliśmy je w zamknięciach pozorujących nieskończoność, że są mikroskopijnymi „psychocystami”, „małymi otorbieniami” w naszym świecie. Co prawda żyją one w swej nieskończoności, więc Sharker

czy inni psychonetycy (Falkenstein, Wiegeland) twierdzili, że sytuacja jest w pełni symetryczna: nie potrzebują naszego świata, naszej „przestrzeni życiowej” dokładnie tak, jak nam byłaby na nic ich „ziemia matematyczna”. Dobb uważa te argumenty za sofistykę. Na temat, kto kogo stworzył i kto kogo zamknął . w sensie kreacyjnym, nie może być wszak żadnej dyskusji. Dobb należy w każdym razie do tych, którzy głoszą bezwzględną zasadę „nieinterweniowania” i „niekontaktowania się” — z personoidami. Są to behawioryści personetyki. Pragną obserwować syntetyczne istoty rozumne, przysłuchiwać się ich mowie i myślom, notować ich działania, ich prace, ale nigdy się do nich nie wtrącać. Ta metoda jest już obecnie rozwinięta i dysponuje określonym oprzyrządowaniem technicznym, którego sprokurowanie nastęczało jeszcze kilka lat temu trudności, pozornie wręcz nieprzezwyciężalne. Chodzi o to, aby słyszeć, aby rozumieć, aby, jednym słowem, być trwale podpatrującym świadkiem, ale by zarazem owe „nasłuchy” w niczym świata personoidów nie naruszały. Obecnie projektuje się w MIT—cie programy (AFRON II i EROT), które mają umożliwić personoidom — istotom, jak dotąd, bezpłciowym — „kontakty erotyczne”, odpowiedniki „zapłodnienia”, oraz dać im szansę rozmnażania się „płciowego”. Dobb nie ukrywa wcale, że nie jest entuzjastą tych amerykańskich projektów. Praca jego, całością doświadczeń, które relacjonuje w *Non serviam*, kieruje się w zupełnie inną stronę. Nie bez kozery nazwano właśnie angielską szkołę personetyczną — „poligonem filozoficznym”, „laboratoryjną teodyceą”. Tymi słowami przechodzimy do najbardziej chyba doniosłej — a na pewno najmocniej fascynującej każdego człowieka — ostatniej części omawianej książki. Do tej, która usprawiedliwia i zarazem tłumaczy jej, zrazu tylko dziwacznie brzmiący, tytuł.

Dobb zdaje sprawę z własnego doświadczenia, które ciągnie się już od ośmiu lat bez przerwy. O samej kreacji wspomina lakonicznie; była, w końcu, dość zwykłym powtórzeniem działań typowych dla programu JAHVE VI z nieznacznymi tylko modyfikacjami. Dobb przedstawia w streszczeniu wyniki podsłuchiwanie świata, który sam stworzył i który nadal śledzi w rozwoju. Podsłuchiwanie to uważa za nieetyczne, a nawet — wyjawia — chwilami ma je za praktykę haniebną. Niemniej czyni swoje, wyznając wiarę w konieczność przeprowadzania również i takich eksperymentów — w nauce — które żadną miarą nie dają się usprawiedliwić z czysto moralnego, a zarazem po—zapoznawczego stanowiska. Sytuacja — powiada — jest już tak zaawansowana, że stare wykrety uczonych są na nic. Nie można udawać cudownej neutralności i odzegnwać się od niepokoju sumienia, stosując na przykład wykrety, jakich dopracowała się wiwisekcja: że to nie pełnowymiarowej świadomości, nie suwerennym istotom sprawia się cierpienie czy tylko dolegliwość. Jesteśmy odpowiedzialni podwójnie, ponieważ stwarzamy — i zakuwamy stworzone w schemat naszych procedur

badawczych. Cokolwiek byśmy uczynili i jakkolwiek byśmy wykładali to postępowanie — od pełnej odpowiedzialności nie ma już ucieczki. Wieloletnie doświadczenie Dobba i współpracowników z Oldport sprowadza się do sporządzenia uniwersum ośmiowymiarowego, które stało się mieszkaniem personoidów o mianach ADAN, ADNA, AÑ AD, DANA, DAAN i NAAD. Pierwsze personoidy rozwinęły zasadzoną w nich pierwocinę języka i miały „potomstwo” powstające drogą „podziałów”. Jak pisze Dobb, jawnie podkładając pod swoje słowa werset biblijny, „i zrodził ADAN ADNĘ. ADNA zaś zrodziła DAANA, a DAAN począł EDANA, który spłodził EDNĘ...” — i tak to szło. aż liczba kolejnych generacji osiągnęła trzysta; ponieważ zaś komputer, jakiego użyto, nie miał pojemności ponad 100 jednostek personoidalnych, przychodziło okresowo do likwidowania „nadmiaru demograficznego”. W generacji trzechsetnej znów występują ADAN, ADNA, DANA, DAAN i NAAD, obdarzeni co prawda dodatkowymi liczbami określającymi ich pokoleniową kolejność, lecz dla prostoty w naszej rekapitulacji liczby owe pominiemy. Dobb powiada, że czas, jaki upłynął w uniwersum komputerowym od „początku świata”, wynosi mniej więcej — w szacunkowym przeliczeniu na nasze odpowiedniki — około 2 do 2,5 tysięcy lat. W tym okresie doszło do powstania, wewnątrz populacji personoidów, całego szeregu rozmaitych wykładni ich losu, jak również do utworzenia przez nie — rozmaitych konkurujących z sobą i wykluczających się nawzajem obrazów „wszystkiego, co istnieje”, czyli, mówiąc prosto, do wyniknięcia wielu rozmaitych filozofii (ontologii i epistemologii), a także do swoistych „prób metafizycznych”. Nie wiadomo, czy przez to, że „kultura” personoidów jest od ludzkiej nazbyt odmienna, czy też przez to, że eksperyment trwał nazbyt krótko — nie wykrystalizował się w populacji badanej żaden typ wiary doskonale zdogmatyzowanej, który odpowiadałby np. buddyzmowi bądź chrześcijaństwu. Natomiast już od ósmej generacji notuje się pojawienie pojęcia Stwórcy, rozumianego osobowo i monoteistycznie. Doświadczenie polegało na tym, że na przemian raz doprowadzano tempo przekształceń komputerowych do maksimum, a raz (mniej więcej co roku) spowalniano je tak, aby „bezpośredni nasłuch” był możliwy dla obserwatorów. Te zmiany tempa są jednak — wyjaśnia Dobb — całkowicie niepostrzegalne dla mieszkańców komputerowego uniwersum, tak jak dla nas byłyby niedostrzegalne podobne przekształcenia, ponieważ gdy za jednym zamachem ulega zmianie całość bytu (tutaj — wyłącznie w wymiarze czasowym), pogrążeni w nim nie są tego świadomi, jeśli nie dysponują żadnym niezmiennikiem, czyli takim układem odniesienia, który pozwala stwierdzić zachodzenie zmiany.

Włączanie tych „dwóch biegów czasu” umożliwiło to, na czym najbardziej zależało Dobbowi, mianowicie — powstanie historii własnej personoidów, z właściwą jej głębią

tradycji oraz perspektywą czasową. Streścić wszystkich wykrytych przez Dobba, często rewelacyjnych danych owej „historii” niepodobna. Ograniczymy się tedy do ustępów, z jakich niechybnie wypłynęła refleksja odzwierciedlona w tytule książki. Język, jakim się posługują personoidy, jest późną transformacją standardowego języka angielskiego, który im w pierwszej generacji leksykalnie i syntaktycznie zaprogramowano. Dobb w zasadzie tłumaczy go na „normalny angielski”, pozostawiając jednak nieliczne wyrażenia ukute przez personoidową populację. Należą do nich pojęcia „boże” i „nieboże” w rozumieniu „wierzący w Boga” i „ateista”.

ADAN dyskutuje z DAANEM i ADNĄ (personoidy nie mają płci i nie posługują się tymi imionami — są one czysto pragmatycznym chwytem ze strony obesrwatorów, który ułatwia po prostu protokołowanie wypowiedzi) znany i nam problem, który w naszej historii pochodzi od Pascala, w historii zaś personoidów stanowił wynalazek EDANA 197. Ów myśliciel, zupełnie jak Pascal, orzekł, że wiara w Boga w każdym przypadku opłaca się lepiej od niewiary, ponieważ jeśli słuszność jest po stronie „niebożąt”, wierzący nic oprócz życia nie traci, schodząc ze świata; jeśli natomiast Bóg jest, zdobywa całą wieczność (światłość wiekuistą). Tak tedy w Boga należy wierzyć, gdyż to dyktuje po prostu taktyka egzystencjalna jako rachuba zmierzająca do osiągnięcia optymalnych sukcesów bytowych.

ADAN 300 tak ustosunkowuje się do owej dyrektywy: EDAN 197 zakłada w swym rozumowaniu Boga, domagającego się czci, miłości i zupełnego oddania, a nie tylko i po prostu wiary w to, iż on sobie istnieje, i — ewentualnie — że on świat stworzył. Nie wystarczy wszak godzić się z hipotezą Boga–Sprawcy świata, aby zyskać zbawienie: trzeba ponadto być temu Sprawcy za akt stworzenia wdzięcznym, domyślać się jego woli i spełniać ją, czyli — jednym słowem — trzeba Bogu służyć. Otóż Bóg, jeżeli istnieje, jest mocen udowodnić własną egzystencję w sposób co najmniej tak samo pewny, jak poświadcza swój byt to, co można spostrzegać bezpośrednio. Nie mamy wszak wątpliwości co do tego, że pewne obiekty istnieją i że się z nich nasz świat składa. Najwyżej można żywić wątpliwości co do tego, jak one to robią, że istnieją, w jaki sposób istnieją etc. Lecz samemu faktowi ich bytowania nikt nie przeczy. Bóg mógł z taką samą mocą poświadczyć własną egzystencję. Nie uczynił tego jednak, skazawszy nas na uzyskiwanie w owym przedmiocie wiedzy okólnej, upośrednionej, wyrażanej pod postacią rozmaitych domniemań, zwanych nieraz objawieniami. Jeżeli tak postąpił, to tym samym równouprawnił stanowiska „bożąt” i „niebożąt”; nie przynaglił stworzonego do wiary bezwzględnej w swój byt, a tylko dał mu tę ewentualność. Zapewne, motywy, jakimi się powodował Stwórca, mogą być dla stworzonego nie znane. Powstaje atoli takie oto pytanie: Bóg albo istnieje, albo nie istnieje, i to, aby była

trzecia możliwość (Bóg istniał, ale go już nie ma, istnieje okresowo, oscylacyjnie, istnieje raz „mniej”, a raz „bardziej”, etc.), zdaje się nader mało prawdopodobne. Tego nie można wykluczyć, lecz wprowadzenie wielowartościowej logiki w teodyceę tylko ją zamać.

Tak tedy Bóg jest bądź go nie ma. Jeśli on akceptuje sam sytuację naszą, w której każdy z członów alternatywy ma za sobą argumenty — wszak jedni dowodzą, jako „bożęta”, istnienia Stwórcy, a inni, jako „niebożęta”, temu oponują — to pod względem logicznym mamy sytuację gry, której partnerów tworzy z jednej strony pełny zbiór „bożąt” z „niebożętami”, a z drugiej Bóg jeden. Owa gra posiada taką logiczną charakterystykę, że za niewiarę w siebie Bóg nie jest w prawie nikogo ukarać. Jeżeli nie wiadomo na pewno, czy istnieje jakaś rzecz, lecz tylko jedni mówią, że jest, a inni, że jej nie ma, i jeżeli w ogóle daje się uargumentować hipoteza, jakoby jej wcale nie było, to żaden sprawiedliwy sąd nie skaże nikogo za to, że będzie bytowi tej rzeczy zaprzeczał. Jest bowiem dla wszystkich światów tak oto: gdy nie ma zupełnej pewności, nie ma pełnej odpowiedzialności. Jest to sformułowanie czysto logicznie niepodważalne, ponieważ wytwarza symetryczną funkcję wypłaty w rozumieniu teorii gier: kto przy niepewności dalej żąda pełnej odpowiedzialności, ten narusza symetrię matematyczną gry (powstaje wówczas tak zwana gra o sumie niezerowej).

Jest tedy tak: Albo Bóg jest doskonale sprawiedliwy; a wówczas nie może osiąść prawa karania „niebożąt” za to, że są „niebożętami” (tj. że weń nie wierzą). Albo jednak będzie karał niewierzących: znaczy to, że pod względem logicznym doskonale sprawiedliwy nie jest. Co wtedy? Wtedy może już czynić wszystko, co mu się żywnie spodoba, ponieważ, kiedy w logicznym systemie pojawi się jedna, jedyna sprzeczność, to zgodnie z zasadą „ex falso quodlibet” — można z systemu wywnioskować to, co się komu żywnie spodoba. Inaczej mówiąc: Bóg sprawiedliwy nie może „niebożętom” włosą tknąć na głowie, a jeśli tak czyni, to tym samym nie jest ową wszechstronnie doskonałą i sprawiedliwą istotą, jaką zakłada teodycea.

ADNA pyta, jak w tym świetle przedstawia się problem czynienia bliźnim zła.

ADAN 300 odpowiada: cokolwiek zachodzi tu, jest całkiem pewne; cokolwiek zachodzi „tam” — tj. poza obrębem świata, w wieczności, u Boga, etc. — jest niepewne jako tylko wnioskowane podług hipotez. Tutaj nie należy zadawać zła, mimo iż zasady niezadawania zła logicznie udowodnić się nie da. Lecz tak samo nie da się dowieść logicznie istnienia świata. Świat istnieje, chociaż mógłby nie istnieć; zło można zadawać, ale nie trzeba tego robić. Uważam — mówi ADAN 300 — że to wynika z naszej zgody opartej na regule wzajemności; bądź mi, jako ja tobie jestem. Nie ma to nic wspólnego z istnieniem lub z

nieistnieniem Boga. Gdybym nie zadawał zła licząc się z tym, że „tam” będę za nie ukarany, albo gdybym wyrządzał dobro licząc „tam” na nagrodę, opieram się na racjach niepewnych. Tutaj jednak nie może być pewniejszej racji od naszego porozumienia w tej sprawie. Jeżeli „tam” są inne racje, nie znam ich z taką dokładnością, z jaką tutaj znam nasze. Żyjąc prowadzimy grę o życie i jesteśmy w niej sojusznikami co do jednego. Tym samym gra jest między nami doskonale symetryczna. Postulując Boga, postulujemy dalszy ciąg gry poza światem. Uważam, że wolno postulować to przedłużenie gry tylko pod warunkiem, iż ono nie wpłynie w żaden sposób na przebieg gry tutaj. W przeciwnym razie dla kogoś, kto być może nie istnieje, poświęcić gotowiśmy to, co istnieje tutaj — na pewno.

NAAD zauważył, że nie jest dlań jasny stosunek ADANA 300 do Boga. ADAN uznaje wszak możliwość istnienia Stwórcy: co z niej wynika?

ADAN: Nic zgoła. To znaczy: nic w zakresie powinności. Sądzę, że — znów dla wszystkich światów — ważna jest taka zasada: etyka doczesności jest zawsze niezależna od etyki transcendentnego. Znaczy to, że etyka doczesności nie może mieć poza sobą żadnej sankcji, co by ją uprawomocniała. Znaczy to, że ten, kto czyni zło, jest zawsze łotrem, jak ten, kto czyni dobro, jest zawsze sprawiedliwym. Jeżeli ktoś gotów jest służyć Bogu, uznając argumenty na rzecz jego istnienia za dostateczne, nie ma przez to tutaj żadnej naddatkowej zasługi. Jest to jego rzecz. Zasada ta opiera się na założeniu, że jeśli Boga nie ma, to nie ma go ani trochę, a jeśli jest, to jest wszechmocny. Wszechmocny mógłby bowiem stworzyć nie tylko inny świat, ale także inną logikę, nie tę, co jest fundamentem mego rozumowania. Wewnątrz takiej innej logiki hipoteza etyki doczesnej byłaby koniecznie uzależniona od etyki transcendentnego. Wówczas jeśli nie dowody naocznościowe, to dowody logiczne miałyby moc zniewalającą i przymuszałyby do przyjęcia hipotezy Boga pod groźbą grzeszenia przeciwko rozumowi.

NAAD powiada, że, być może, Bóg nie pragnie sytuacji takiego zniewolenia do wiary w siebie, jaka powstałaby przy nastaniu owej innej logiki, postulowanej przez ADANA 300. Ten odpowiada na to:

Bóg wszechmocny musi być i wszechwiedny; wszechmoc nie jest od wszechwiedzy niezawisła, ponieważ ten, kto wszystko może, ale nie wie, jakie skutki pociągnie za sobą uruchomienie jego wszechmocy, de facto nie jest już wszechmocny; jeśliby Bóg kiedyś kiedyś czynił cuda, jak o tym opowiadają, to rzuciłoby na jego perfekcję nader dwuznaczne światło, ponieważ cud jest naruszeniem autonomii własnej stworzonego — jako nagła interwencja. Kto atoli produkt kreacji wyreguluje doskonale i z góry zna do końca jego zachowanie, autonomii tej nie ma potrzeby naruszać; jeśli mimo to ją narusza, pozostając

wszechwiednym, oznacza to, że nie poprawia bynajmniej swego dzieła (poprawka oznaczać musi wszak niewszzechwiedność wstępną), lecz daje cudem znak swojego istnienia. Otóż to jest ułomne logicznie, ponieważ dając takie znaki, wytwarza się wrażenie, jakoby się jednak naprawiało stworzone w jego lokalnych potknięciach. Wówczas bowiem analiza logiczna powstałego obrazu wygląda następująco: stworzone podlega poprawkom, które nie wychodzą z niego, ale przybywają z zewnątrz (z transcendencji, tj. z Boga), a więc należałoby właściwie uczynić cud — normą, czyli stworzone tak udoskonalić, żeby już żadne cuda nigdy więcej nie okazały się potrzebne. Cuda bowiem jako doraźne interwencje nie mogą być tylko znakami Bożej egzystencji: one zawsze przecież oprócz tego, iż objawiają ich Sprawcę, wykazują swych adresatów (są do kogoś tu skierowane pomocnie). Tak więc pod względem logicznym musi być tak oto: albo jest stworzone doskonale, a wówczas cuda są zbędne, albo są niezbędne, a wówczas ono już doskonale nie jest na pewno (cudownie czy niecudownie można wszak poprawić to tylko, co jakoś ułomne, bo cud wtrącający się do perfekcji potrafi ją jedynie naruszyć, czyli lokalnie pogorszyć). Inaczej mówiąc, sygnalizować cudami własną obecność to tyle, co używać najgorszego z możliwych logicznie sposobów jej zmanifestowania.

NAAD pyta, czy Bóg nie może sobie właśnie życzyć alternatywy pomiędzy logiką a wiarą w siebie: może akt wiary powinien być właśnie rezygnacją z logiki na rzecz zupełnego zaufania.

ADAN: Jeżeli raz jeden przyjmiemy, że rekonstrukcja logiczna czegokolwiek (bytu, teodycei, teogonii itp.) może być wewnętrznie sprzeczna, to jasne jest, iż wówczas da się już udowodnić absolutnie wszystko, czyli to, co się komu żywnie spodoba. Zważcie, jak wygląda rzecz: chodzi o to, by stworzyć kogoś, by obdarować go określoną logiką, a potem żądać złożenia z niej właśnie ofiary na rzecz uwierzenia w Sprawcę wszystkiego. Jeśli ten obraz sam ma pozostać niesprzeczny, domaga się zastosowania jako metalogiki zupełnie innego typu rozumowań aniżeli tych, co są właściwe logice stworzonego. Jeżeli tak nie przejawia się po prostu ułomność Kreatora, to przejawia się cecha, którą bym nazwał nieelegancją matematyczną, swoistą nieporządnością (niekoherencją) stwórczego aktu.

NAAD upiera się przy swoim: Być może, Bóg czyni tak, pragnąc właśnie pozostać niedościgłym dla stworzonego, tj. nierekonstruowalnym podług logiki, jakiej mu dostarczył. Domaga się, jednym słowem, supremacji wiary nad logiką.

ADAN odpowiada mu: Rozumiem. Oczywiście jest to możliwe, ale jeśli nawet tak by miało być, fakt, iż wiara okazuje się wówczas nie do pogodzenia z logiką, stwarza wielce niemiły dylemat natury moralnej. Trzeba bowiem w jakimś miejscu rozumowań zawiesić je i

oddać prym niejasnemu domysłowi, czyli przełożyć domysł nad logiczną pewność. Ma to być zrobione w imię zaufania bezgranicznego; przez co wchodzimy w circulus vitiosus, ponieważ istnienie tego, komu tak wypadałoby zaufać, jest skutkiem rozumowań wyjściowo poprawnych logicznie; powstaje logiczna sprzeczność, nabierająca dla niektórych wartości dodatniej, nazywanej tajemnicą Boga. Otóż pod względem czysto konstrukcyjnym jest to rozwiązanie liche, a pod względem moralnym wątpliwe, ponieważ Tajemnica dostatecznie może być ufundowana na nieskończoności (a wszak nieskończonościowy jest charakter bytu), podtrzymywanie jej zaś i wzmacnianie kontradykcją wewnętrzną jest ze stanowiska każdego budowniczego perfidne. Rzecznicy teodycei nie zdają sobie na ogół sprawy z tego, że tak jest, ponieważ do pewnych jej części stosują jednak zwyczajną logikę, a do innych już nie; chcę powiedzieć, iż jeśli się wierzy w sprzeczność¹, należy tym samym wierzyć już tylko w sprzeczność, a nie zarazem jeszcze i w jakowąś niesprzeczność (tj. w logikę) — gdziekolwiek i indziej. Jeśli się jednak zachowuje taki dziwaczny dualizm (doczesność jest zawsze logice podległa, transcendencja tylko fragmentarycznie), to tym samym powstaje obraz stworzenia jako czegoś pod względem poprawności logicznej „łaciatego” i nie można już postulować jego perfekcji. Powstaje w sposób nieuchronny wniosek, że perfekcja to coś takiego, co musi być logicznie łaciate.

EDNA pyta, czy spójnikiem owych niekoherencji nie może być miłość.

ADAN: Gdyby i tak miało być nawet, to nie wszelka postać miłości, ale zaślepiająca tylko. Bóg, jeśli jest, jeśli stworzył świat, zezwolił, aby ów świat urządził się, jak umie i zechce. Za to, że Bóg istnieje, nie można mu być wdzięcznym: takie bowiem postawienie sprawy zakłada ustalenie wcześniejsze, iż Bóg może nie istnieć i że to byłoby złe; przesłanka ta prowadzi do innego rodzaju sprzeczności. A więc wdzięczność za akt kreacji? I ta się Bogu nie należy. Zakłada ona bowiem zniewolenie do wiary w to, że być jest na pewno lepiej aniżeli nie być; nie pojmuję, jak by to z kolei można było udowodnić. Temu wszak, kto nie istnieje, nie można wyrzucić ani przysługi, ani krzywdy; a już jeśli Stwarzający dzięki wszechwiedzy wie z góry, że stworzony będzie mu wdzięczny i będzie go miłował, albo } że mu będzie niewdzięczny i że będzie go odtrącał, tym samym wytwarza przymus, tyle iż niedostępny bezpośredniemu oglądowi stworzonego. Właśnie dlatego nie należy się Bogu nic: ani miłość, ani nienawiść, ani wdzięczność, ani wypominanie, ani nadzieja nagrody, ani lęk przed karą. Nie należy mu się nic. Kto łaknie uczuć, musi pierwej upewnić ich podmiot w tym, że ponad wszelką wątpliwość istnieje. Miłość może być zdana na domysły co do wzajemności, jaką wzbudza; to zrozumiałe. Ale miłość zdana na domysły co do tego, czy

¹ Credo quia absurdum est (uwaga prof. Dobba w tekście)

miłowany istnieje, stanowi nonsens. Kto jest wszechmocny, mógł dać pewność. Skoro jej nie dał, jeśli jest, uznał to za zbędne. Czemu zbędne? Nasuwa się domniemanie, że wszechmocny nie jest. Niewszechmocny zasługiwałby prawdziwie na uczucia pokrewne litości, a też i miłości; lecz tego wszak żadna z naszych teodycei nie dopuszcza. A więc powiadamy: służymy sobie i nikomu więcej.

Pomijamy dalsze rozważania na temat, czy Bóg teodycei jest raczej liberałem, czy raczej autokratą; trudno streścić wywody obejmujące dużą część książki. Rozważania i dyskusje, jakie protokołował Dobb, już to w kolokwiach grupowych ADAN A 300, NAADA i innych personoidów, już to w solilokwiach (nawet czysto myślowy tok może eksperymentator notować dzięki odpowiednim urządzeniom włączonym w komputerową sieć), wypełniają niemal trzecią część dzieła *Non serviam*. W samym tekście nie znajdujemy żadnego do nich komentarza. Figuruje on jednak w posłowniu Dobba. Pisze on: *Argumentacja ADANA wydaje mi się, przynajmniej o tyle niewywrotna, o ile jest do mnie zaadresowana: a wszak to ja go stworzyłem, W jego teodycei ja jestem Stwórcą. W samej rzeczy sporządziłem ów świat (o liczbie kolejnej 47) za pomocą programu ADONAI IX i stworzyłem zawiązki personoidów zmodyfikowanym programem JAHVE VI. Te wyjściowe istoty dały początek trzystu generacjom następnych. W samej rzeczy nie zakomunikowałem im jako pewnika ani tych faktów, ani mojej egzystencji poza granicami ich świata. W samej rzeczy dochodzą mego bytu tylko inferencyjnie, na prawach domysłów i hipotez. W samej rzeczy, gdy stwarzam rozumne istoty, nie czują się to prawie żądania od nich jakichkolwiek przywilejów — miłości, wdzięczności czy aż jakowychś służb. Mogę ich świat powiększać lub redukować, jego czas przyspieszać lub zwalniać, zmieniać tryb i modus ich percepcji, likwidować je, dzielić, mnożyć, przekształcać im opoką mitologiczną bytu. Jestem wiać względem nich wszechmocny, ale z tego doprawdy nie wynika, żeby mi się za to cokolwiek od nich należało. Uważam, że nie mają wobec mnie najmniejszych zobowiązań. Prawdą jest, że ich nie kocham. O miłości nie może być, mowy, ale w końcu jakiś inny eksperymentator mógłby ja żywić dla swych personoidów. Uważam, że to w niczym nie odmieni rzeczy — ani na jeden włos. Wyobraźcie sobie, że do mojego BIX 310 092 dołączam ogromną przystawkę, która będzie „światem pozadoczesnym”. Kolejno przepuszczam przez łączący kanał „dusze” mych personoidów w obręb przystawki i tam nagradzam tych, co we mnie wierzyli, hołdy mi oddawali, okazywali rai wdzięczność i zaufanie, wszystkich zaś innych — wszystkie „niebożęta”, by użyć słownictwa personoidalnego — karzę, np. unicestwieniem bądź mękami (o karach wiekiustych nie śmiem nawet pomyśleć — aż takim potworem nie jestem!). Czyn mój uznano by niechybnie za wyskok niesamowicie bezwstydnego egotyzmu, za nikczemny akt zemsty*

irracjonalnej, jednym słowem — za ostatnie łotrostwo w sytuacji totalnego panowania nad bezwinnymi, którzy badać przeciwko mnie rację niezbitą — logiki, co patronowała ich postępowaniu. Każdy, oczywiście, może sobie wyciągnąć z personetycznych doświadczeń takie wnioski, jakie uważa za słuszne i właściwe. Dr Ian Combay powiedział mi w prywatnej rozmowie, że mógłbym wszak upewnić społeczność personoidów o mym istnieniu. Otóż tego nie zrobię na pewno. Wyglądałoby mi to bowiem na jakieś dopraszanie się dalszego ciągu — to jest na oczekiwanie reakcji z ich strony. Ale co właściwie mogliby mi wyrządzić lub rzec takiego, abym nie poczuł się dogłębnie zawstydzony, ugodzony boleśnie jako ich nieszczęsny Stwórca? Rachunki za zużytą energię elektryczną przychodzi płacić kwartalnie i nadejdzie chwila, w której moja uniwersytecka zwierzchność zażąda zamknięcia eksperymentu, więc wyłączenia maszyny, czyli końca świata. Chwilę tę będę odraczał tak długo, jak długo się da. Jest to jedyna rzecz, na jaką mnie stać, lecz nie taka, którą uznaję za chwalebna. Idzie raczej o coś takiego, co potocznie zwą na ogół psim obowiązkiem. Mam nadzieję, że przy tych słowach nikt sobie nic nie pomyśli. Jeśli pomyśli jednak, jest to jego rzecz.

ANANKE

Wypchnęło go coś ze snu — w ciemność. Zostawił za sobą — gdzie? — czerwonawy, zadymiony obrys — miasta? pożaru? — i przeciwnika, gonitwę, wyważenie skały, która była tamtym — człowiekiem? Gonił jeszcze odpływające wspomnienie, już z rezygnacją, i pozostała mu tylko znana dobrze z takich chwil refleksja, że w snach bywa dana rzeczywistość silniejsza i bardziej bezpośrednia od jawy; wyzbyta słów i przy całej swojej nieobliczalnej kapryśności rządzona prawem objawiającym się jako oczywistość, ale tylko tam, w koszmarze. Nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał. Wystarczyło rękę podnieść, aby się przekonać, ale miał ten bezwład za złe własnej pamięci i usiłował zdopingować ją do zeznań. Sam siebie oszukiwał: w bezruchu, przecież chciał po konsystencji posłania rozpoznać, gdzie się znajduje. W każdym razie nie była to koja. Błysk: lądowanie; iskry na pustyni; tarcza — jak gdyby fałszywego, powiększonego Księżyca; kratery — ale w pyłowej zamieci; prądy brudnej, rudej wichury; kwadrat kosmodromu, wieże.

Mars.

Leżał dalej, rozważając już teraz całkiem rzeczowo, czemu się zbudził. Miał zaufanie do własnego ciała; nie ocknęłoby się bez żadnego powodu. Prawda, że lądowanie było dość kłopotliwe, a on potężnie zmęczony, bo po dwóch wachtach bez chwili wypoczynku: Terman złamał rękę, kiedy automat dał ciąg i rzuciło go na ścianę. Spaść z sufitu, przy przejściu na ciąg, po jedenastu latach latania — co za osioł! Trzeba będzie odwiedzić go w szpitalu. Czy przez to...? Nie.

Zaczął sobie teraz po kolei przypominać wypadki poprzedniego dnia, od chwili lądowania. Siedli w burzy. Atmosfery tyle co nic, ale przy dwustu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę prawie nie ustoisz — przy tym nędznym ciężeniu. Pod podeszwami żadnego tarcia; idąc, trzeba się wkopywać butami w piasek, dopomagać sobie grzęznącymi kostkami. I ten pył z lodowatym sykiem szorujący po kombinezonie, włączący w każdą fałdkę, ani specjalnie czerwony, ani rudy, zwykły piasek, tyle że drobny. Zdążyło go zmielić przez kilka miliardów lat. Nie było tu kapitanatu, bo i normalnego portu nie było; Projekt Marsa, w drugim roku, wciąż jeszcze cały w prowizorkach, co zbudowali, to im zasypywało, ani hotelu, ani hoteliku — nic. Kopuły dotlenione, pod linami, ogromne, każda jak dziesięć hangarów, pod promienistym parasolem stalowych lin zakotwiczonych do kłoców betonowych, mało co widocznych spod wydm. Baraki, falista blacha, stopy i stopy pak, kontenerów, pojemników, butli, skrzyń, worów, miasto z ładunków, które waliły się z pasów transportera. Jedyne

całkiem przyzwoite miejsce, dopięte, uporządkowane — to był stojący poza „klozem” budynek kontroli lotów, dwie mile od kosmodromu, w którym właśnie leżał, po ciemku, w łóżku dyżurnego kontrolera Seyna. Usiadł i bosą stopą, po omacku, poszukał pantofli. Zawsze je woził z sobą; zawsze rozbierał się do snu; jeśli się nie ogolił jak należy i nie umył, nie czuł się na wysokości zadania. Nie pamiętał, jak wygląda pokój, więc na wszelki wypadek prostował się ostrożnie; łeb można sobie rozbić przy tej oszczędności materiałów (cały projekt trzeszczał od owych oszczędności; wiedział coś o tym). Teraz znów gniewało go to, że zapomniał, gdzie są wyłączniki. Jak ślepy szczur... Macał rękami — zamiast kontaktu dotknął zimnego pokręta. Pociągnął. Strzeliło lekko i ze słabym zgrzytem otwarła się irysowa okiennica. Był ciężki, zamulony, głuchy przedświt. Stojąc przed oknem, podobnym raczej do okrętowego bulaja, dotknął szczeciny na policzku, skrzywił się i westchnął; wszystko było nie tak, chociaż nie wiadomo właściwie — dlaczego. Zresztą gdyby się zastanowił, może i przyznałby, że wie. Nie znosił Marsa.

Była to sprawa ściśle prywatna; nikt o tym nie wiedział, ale też nikogo to nie obchodziło. Mars — to było uosobienie straconych złudzeń, wyszydzonych, wyśmianych — ale drogich. Wolałby latać na każdej innej trasie. Pisaninę o romantyzmie Projektu miał za zawracanie głowy. Perspektywy kolonizacji — za fikcję. O, Mars oszukał wszystkich — więcej: oszukiwał od stu kilkudziesięciu lat. Kanały. Jedna z najpiękniejszych, najbardziej niesamowitych przygód całej astronomii. Planeta rdzawa: pustynna. Białe czapki polarnych śniegów: ostatnie rezerwy wody. Jak brylantem w szkle zarysowana cienka siatka czystej geometrii — od biegunów ku równikowi: świadectwo walki rozumu z zagładą, potężny system irygacyjny, nawadniający miliony hektarów pustyni; ależ tak: z nadejściem wiosny zmieniała się przecież barwa pustyń, ciemniały od wegetacji przebudzonej, i to we właściwy sposób: od równika ku biegunowi. Co za bzdura! Kanałów nie było nawet śladu. Roślinność? Tajemnicze mchy, porosty, opancerzone przeciw mrozom, wichurom? Spolimeryzowane wyższe tlenki węgla, co pokrywały grunt — i ulatniały się, gdy mróz koszmarny zamieniał się na mróz tylko okropny. Czapy śniegowe? Zwykły zestalony CO₂. Ani wody, ani tlenu, ani życia — poszarpane kratery, przeżarte zamieciami pyłowymi skały—świadki, nudne równiny, martwy, płaski, bury krajobraz z bladym, szarordzawym niebem. Ani obłoków, ani chmur — niewyraźne mgły, tyle zachmurzenia, co podczas wielkich burz. Elektryczności atmosferycznej za to — do diabła i trochę. Czy coś grało? Sygnał jakiś? Nie, to donosiło się pianie powietrza na stalowych linach najbliższego „bombla”. W brudnawym świetle (nawet najtwardszemu szkłu okiennemu szybko dawał radę piach niesiony wiatrem, a już plastikowe

kopuły mieszkalne zmętniały jak zawleczone bielmem) włączył żarówkę nad umywalnią i zaczął się golić. Wykrzywiając się, pomyślał zdanie tak głupie, że się mimo woli uśmiechnął: Mars jest świnią.

Było to jednak świństwo: przy tylu nadziejach — tak zawieść! Zgodnie z tradycją — ale kto właściwie ją ustanowił? Nikt w pojedynkę. Nikt sam tego nie wymyślił; koncepcja ta nie miała tak samo twórców, jak nie mają znanych autorów wierzenia i legendy — więc ze zbiorowych chyba rojeń (astronomów? mity astronomii obserwacyjnej?) wyrosła taka wizja: biała Wenus, gwiazda poranna i wieczorna, tajemniczo zaciągnięta masywem chmur — to planeta młoda, w dżunglach cała i jaszczurach, i wulkanicznych oceanach, jednym słowem: to przeszłość Ziemi. A Mars — wysychający, zardzewiały, pełen piaszczystych burz i zagadek (kanały potrafiły się nieraz rozdwajać w przebiegu, stawały się bliźniacze przez jedną noc! iluż pilnych astronomów to poświadczyło!), Mars heroicznie walczący swoją cywilizacją ze zmierzchem życia — to była przyszłość Ziemi; proste, jasne, wyraźne, zrozumiałe. Tyle że nieprawdziwe od A do Z.

Pod uchem były trzy włoski, których nie chciał wziąć aparat elektryczny; brzytwa została jednak na statku, więc zaczął się do nich przymierzać tak i owak. Nie szło. Mars. Ci astronomowie—obserwatorzy byli to jednak ludzie o bujnej fantazji. Schiaparelli chociażby. Niesłychane nazwy, jakimi ochrzcił, razem ze swym największym wrogiem, Antoniadim, to, czego nie widział, co mu się tylko zdawało. Chociażby okolicę, w której budował się tu Projekt: Agathodaemon. Demon, wiadomo, Agatho... — od agatu chyba, że czarny? Czy agathon — mądrość? Astronautów nie uczą greki — szkoda. Miał słabość do starych podręczników astronomii gwiazdnej i planetarnej. Ta ich wzruszająca pewność siebie: w 1913 roku głosiły, że Ziemia jest, z kosmicznej przestrzeni, czerwona, ponieważ atmosfera pochłania błękitną część widma, więc, rozumie się, to, co pozostaje, musi być co najmniej różowe. Kulą w płot! A jednak, kiedy się oglądało te wspaniałe mapy Schiaparellego, wprost nie chciało się pomieścić w głowie, że widział nie istniejące. Co najdziwniejsze, inni, po nim, też to widzieli. Był to jakiś psychologiczny fenomen, któremu później nie poświęcano już uwagi. Najpierw cztery piąte każdego dzieła o Marsie wypełniała topografia i topologia kanałów — toż znalazł się w drugiej połowie XX wieku astronom, który poddał ich sieć statystycznej analizie i wykrył jej podobieństwo, właśnie topologiczne, do sieci kolejowej, więc komunikacyjnej — w odróżnieniu od przebiegu naturalnych pęknięć czy rzek — a potem, jakby kto czar zdmuchnął, jednym zdaniem kwitowano rzecz: złudzenie optyczne — i kropka.

Oczyścił maszynkę pod oknem i chowając ją do futerału, raz jeszcze spojrzął, już z nie

ukrywaną niechęcią, na ten cały Agathodaemon, na ów zagadkowy „kanał”, który był nudnym płaskim terenem z nielicznymi rumowiskami w zamglonym horyzoncie. W porównaniu z Marsem Księżyc był po prostu przytulny. Zapewne, komuś, kto się na krok z Ziemi nie ruszył, brzmiałoby to dziko, lecz przecież święta prawda. Najpierw — Słońce jest stamtąd akurat takie samo, jak z Ziemi, a że to ważne, o tym wie każdy, kto nie tyle się zdziwił, ile wprost przeląkł, ujrawszy je w postaci skurzonego, zwiędłego, zimnawego ognika. A już majestatyczna, błękitna Ziemia, jak lampa, symbol bezpiecznego pobliża, znak domu, rozjaśniająca tak dobrze noce — podczas kiedy Fobos z Dejmosem nie dawały nawet tyle światła, ile Księżyc w pierwszej kwadrze. No i cisza. Wysoka próżnia, spokojna, to nie był przypadek, że łatwiej przychodziło nadawać telewizyjne lądowanie, pierwszy krok projektu Apollo, podczas kiedy o analogicznym widowisku, ot, powiedzmy, ze szczytu Himalajów, nie było nawet mowy. O tym, czym jest dla człowieka wiatr, który nigdy nie ustaje, można się bez reszty przekonać dopiero na Marsie.

Spojrzał na zegarek: był to zupełnie nowy nabytek, z pięcioma koncentrycznymi cyferblatami, podawał standardowy czas ziemski, czas pokładowy i czas planetarny. Była szósta z minutami.

Jutro o tej porze będę o cztery miliony kilometrów stąd — pomyślał nie bez satysfakcji. Należał do „klubu przewoźników”, żywicieli Projektu, ale godziny jego służby były policzone, bo na linię Aresterra wprowadzono już te nowe olbrzymie jednostki z masą spoczynkową rzędu 100 000 ton. „Ariel”, „Ares”, „Anabis” leżały na kursie Marsa od paru tygodni; „Ariel” miał lądować za dwie godziny. Nigdy jeszcze nie widział lądowania stutysięcznika, bo na Ziemi siadać nie mogły; lądowano je na Księżycu, ekonomiści obliczyli, że się to opłaci. Takie jednostki, jak jego „Cuwier”, z tymi kilkunastoma tysiącami ton, miały definitywnie zejść ze sceny. Ot, jakąś drobnicę może będzie się jeszcze czasem nimi przerzucało.

Była szósta dwadzieścia i rozsądny człowiek zjadłby o tej porze coś gorącego. Myśl o kawie też była zachęcająca. Ale gdzie się tu można pożywić — nie wiedział.

W Agathodaemonie był po raz pierwszy. Dotąd obsługiwał główny przyczółek — syrtyjski. Dlaczego zaatakowano Marsa w dwóch punktach naraz, odległych od siebie o kilkanaście tysięcy mil? Znał uczone racje, ale myślał swoje. Zresztą nie obnosił się z tym krytycyzmem. Wielka Syrta miała być termojądrowym oraz intelektualnym poligonem. Wyglądało tam zupełnie inaczej. Niektórzy mówili, że Agathodaemon jest Kopciuszkiem Projektu i że już kilkakrotnie groziło mu zwinięcie. Wciąż jednak liczyli jeszcze na tę jakąś zamarzną wodę, na te głębokie lodowce z zamierzchłych epok, które właśnie tu miały tkwić,

gdzieś pod zapiekłym gruntem — pewno, że jeśliby się Projekt dokopał miejscowej wody, byłoby to istnym triumfem, zważywszy, że na razie każdą kroplę woziło się z Ziemi, a urządzenia wychytujące parę wodną z atmosfery budowano i budowano drugi rok, chwila zaś rozruchu wciąż się oddalała.

Nie, stanowczo Mars nie miał dlań żadnych powabów.

Nie chciało mu się wyjść jeszcze — w budynku było tak cicho, jakby wszyscy gdzieś poszli czy pomarli. A nie chciało mu się wyjść głównie przez to, że przywykał coraz bardziej do samotności — dowódca może być na pokładzie zawsze samotny, jeśli chce — i służyła mu dobrze: po dłuższej podróży — leciało się teraz, po opozycji, przeszło trzy miesiące — musiał użyć pewnego wysiłku, żeby wejść tak od razu i po prostu w tłum obcych ludzi. A nie znał tu nikogo oprócz dyżurnego kontrolera. Mógł pójść do niego na piętro, lecz byłoby to w nie najlepszym guście. Nie należy zawracać głowy ludziom przy pracy. Sądził podług siebie: nie lubił takich gości.

W przegródce nesesera był termos z resztką kawy i paczka keksów. Jadł, starając się nie kruszyć, pił i patrzył przez porysowaną piaskiem okrągłą szybę w stare, płaskie i jak gdyby śmiertelnie zmęczone dno tego Agathodaemona. Mars robił na nim takie właśnie wrażenie: że już mu wszystko jedno; i dlatego tak dziwnie były nagromadzone kratery, inne od księżycowych, niby rozmyte („jakby sfalszowane” — wyrwało mu się raz przy oglądaniu dużych, dobrych zdjęć), i tak bezsensowne te okolice dzikiego urzeźbienia, zwane „chaosami”, miejsca ukochane przez areologów, bo niczego podobnego do tych formacji na Ziemi nie było. Mars był jakby zrezygnowany, nie dbał ani o dotrzymanie słowa, ani nawet o pozory. Gdy się ku niemu zbliżało, zaczynał tracić swój solidny, czerwony wygląd, przestawał być emblematem boga wojny, powlekał się niewyraźną burością, plamami, zaciekami, żadnego wyrazistego rysunku, jak na Księżycu czy Ziemi, rozmaz, szarawa rdza i wieczny wiatr.

Pod stopami czuł najdelikatniejsze w świecie drżenie — przetwornik albo transformator. Zresztą dalej panowała cisza, w którą jakby z innego świata wnikał kiedyś niekiedy odległy skowyt wichury na linach mieszkalnego klosza. Piekielny piasek dawał z czasem radę nawet dwucalówkom z wysokogatunkowej stali. Na Księżycu można zostawić każdą rzecz, położyć na kamieniu i wrócić po stu latach, po milionie, ze spokojną wiedzą, że leży nie tknięta. Na Marsie nie można niczego upuścić z ręki — wsiąkłoby na amen. To nie była uczciwa planeta.

O szóstej czterdzieści brzeg horyzontu zaczerwienił się, wschodziło Słońce, i ta plama jasności (żadnej zorzy, skąd) znienacka — barwą — przypomniała mu sen. Pełen zdziwienia,

powoli odstawił termos. Przypomnił sobie, o co tam szło. Ktoś chciał go zabić — ale to on zabił tamtego. Umarły gonił go przez czerwono rozświetloną ciemność; zabijał go jeszcze kilka razy, ale to nic nie pomagało. Idiotyczne, zapewne, ale było tam coś jeszcze: był niemal pewny, że we śnie znał tego człowieka, a teraz nie miał pojęcia, z kim walczył tak rozpaczliwie. Oczywiście, poczucie znajomości też mogło być złudzeniem snu. Próbował tego dojść, ale znów samowolna pamięć milkła, wszystko na powrót chowało się milczkiem jak ślimak do skorupy, i stał tak, przy oknie, z ręką na stalowej framudze, trochę poruszony, jakby poszło o nie wiedzieć co. Śmierć. Było jasne, że w miarę rozrostu kosmonautyki ludzie zaczęli umierać na planetach. Księżyc okazał się lojalny wobec zmarłych. Pozwalał skamienieć, obracał w lodowy posąg, w mumię, której lekkość, prawie nieważkość odrealniała ją i ujmuje jakby wagi katastrofie. Natomiast na Marsie trzeba o nich dbać, niezwłocznie, bo piaszczyste wichry przetną każdy skafander w ciągu paru dni, i nim wysoka susza zmumifikuje szczątki, wyjrzą z rozdartej tkaniny kości, polerowane, szlifowane z zapamiętaniem, aż obnaży się szkielet, który, rozsypany, w tym obcym piasku, pod tym brudnym, obcym niebem, jest niemal wyrzutem sumienia, prawie zniewagą, jakby przywożąc tutaj raketami, razem z życiem, śmiertelność, ludzie zrobili coś niewłaściwego, coś, czego należy się wstydzić, co trzeba ukryć, zabrać gdzieś, pochować; wszystko bez sensu, rozumie się — ale tak w tej chwili czuł.

O siódmej była zmiana na stanowiskach kontroli lotu, a podczas zmiany wypada już i obcemu przyjść. Pochował swoje rzeczy do nesesera, nie było ich wiele, i wyszedł, pamiętając o tym, że trzeba się upewnić, czy rozładunek „Cuiviera” idzie planowo. Do południa miał już wyzbyć się całej swojej drobnicy, a było tam parę rzeczy wartych sprawdzenia. Na przykład chłodzenie osady pomocniczego reaktora. Zwłaszcza że musiał wracać z uszczuploną załogą. O tym, aby mógł dostać tu kogoś w zamian za Termana, nie było mowy. Po krętych schodach, wyłożonych pianoplastykiem, z ręką na dziwnie ciepłej, jakby ogrzewanej poręczy, dostał się na piętro, i wszystko od razu się zmieniło tak całkowicie, jakby on też stał się kimś innym otwierając szerokie wahadłowe drzwi o matowych szybach.

Było to jakby wewnątrz wielkiej głowy, z sześciorgiem wypukłych, ogromnych, szklanych oczu, wyłupionych w trzy strony świata. Tylko w trzy, bo za czwartą ścianą znajdowały się anteny, a cała ta salka mogła się kręcić na osi niczym obrotowa scena. Była też w niej jakimś sensie sceną, na której odgrywano wciąż podobne sztuki startów i lądowań, widocznych jak na dłoni, bo z odległości kilometra, zza kolistych, szerokich pulpity, stanowiących jakby jedną całość ze srebrzystoszarymi ścianami. Było tu trochę jak w

kontrolnej wieży lotniska, a trochę jak na sali operacyjnej; przy ślepej ścianie masywniał pod skośnym kapturem główny komputer bezpośredniej łączności ze statkami, który zawsze mrugał i cykał, prowadząc swoje milczące monologi i wypluwając kawałki dziurkowanych taśm; były tu trzy rezerwowe stanowiska kontroli z mikrofonami, lampami punktowymi, fotelami na kulowych przegubach, i podobne do bulwiastych hydrantów ulicznych podręczne automaty, liczące kontrolerów; był tu wreszcie, pod ścianą, mały, ale jak lalka zgrabny barek z cichutko syczącym ekspresem. Więc to tu znajdowało się kawowe źródło! Swego „Cuiviera” nie mógł stąd Pirx zobaczyć; postawił go, jak mu przykazała kontrola, trzy mile dalej, poza wszystkimi betonami, bo tak się tutaj przygotowywano na przyjęcie pierwszej najcięższej jednostki projektu, jakby nie była wyposażona w najnowsze astrolokacyjne i kosmonautyczne automatyki, które, jak chełpili się konstruktorzy ze stoczni (znał prawie wszystkich), mogły posadzić ten ćwierćmilowy ogrom, tę żelazną górę na powierzchni wielkości ogródka działkowego. Wszyscy pracownicy portu, z trzech zmian, przyszli na tę uroczystość, która zresztą żadną oficjalną uroczystością nie była; „Ariel”, podobnie jak inne jednostki prototypowe, miał wszak za sobą dziesiątki próbnych lotów i lądowań księżycowych; co prawda, nigdy jeszcze nie wchodził z pełnym obciążeniem w atmosferę. Do lądowania pozostało niespełna pół godziny, więc Pirx przywitał się z tymi, co nie mieli służby, a potem i Seynowi uściśnął rękę; odbiorniki pracowały już, na ekranach telewizyjnych chodziły rozmazane smugi z góry na dół, ale światelka pulpitu zbliżenia wszystkie jeszcze jaśniały niepokalaną zielenią na znak, że zostało mnóstwo czasu i nic się nie dzieje. Romani, kierownik bazy Agathodaemona, zaproponował mu do kawy kieliszek koniaku, Pirx zawahał się, ale w końcu był przecież osobą całkiem prywatną i — chociaż nieprzywykły do tak ранnego używania trunków — pojmował, że chodzi im o symboliczne uświetnienie chwili; czekali wszak od miesięcy na te najcięższe jednostki, miały zdjąć z głowy kierownictwu bezustanne kłopoty, bo dotąd wciąż toczył się wyścig między żarłocznością budowy, której nie mogła zaspokoić flotylla Projektu, a wysiłkami przewoźników, takich jak Pirx, żeby obracać na trasie Mars — Ziemia tak sprawnie i szybko, jak się tylko dało. Teraz, po opozycji, obie planety zaczynały się rozchodzić, odległość dzieląca je miała już przez całe lata rosnąć, aby dojść do przeraźliwego maksimum setek milionów kilometrów; i właśnie w tym najgorszym dla Projektu okresie przybywało potężne wsparcie.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, a kiedy . zieleń zgasała i odezwały się brzęczyki, nastąpiła zupełna cisza. Dzień wstawał typowo marsjański, ani chmurny, ani czysty, bez wyraźnego horyzontu, bez wyraźnego nieba, jak gdyby bez dającego się oznaczyć i rachować czasu. Mimo dnia obrzeża kwadratów betonowych, leżące płasko w centrum

Agathodaemona, obwiodły pałające linie, zapaliły się tam automatycznie laserowe oznakowania, a krawędzie centralnej okrągłej tarczy z prawie czarnego betonu wyznaczały błyszczące gwiazdziste jody. Kontrolerzy poprawili się w fotelach, zresztą i tak roboty mieli tyle co nic; za to główny komputer rozjaśnił swoje tarcze, jakby objawiał wszem wobec swą nadzwyczajną ważność, przekaźniki zaczęły gdzieś cichutko stukać i z głośnika doszedł ich wyraźny bas:

— Halo tam, Agathodaemon, tu „Ariel”, mówi Klyne, jesteśmy na optycznej, wysokość sześćset, za dwadzieścia sekund przełączymy się na automaty, do zejścia, odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”! — rzekł skwapliwie Seyn; mały, z dziobatym profilkiem u sitka mikrofonu, doduszał szybko papierosa — mamy was na wszystkich ekranach, na jakich możemy was mieć, kładźcie się i schodźcie ładnie na dół, odbiór!

Żartują tu sobie — pomyślał Pirx, który tego nie lubił, może był przesądny — no, widać mają procedury w małym palcu.

— „Ariel” do Agathodaemona: mamy trzysta, włączamy automaty, schodzimy bez bocznego dryfu, zero na zero, jaka siła wiatru? — odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”: wiatr 180/h, północ–no–północnozachodni, nic wam nie zrobi, odbiór.

— „Ariel” do wszystkich: schodzę na osi ruf owo, automaty przejęły stery, koniec.

Zapadła cisza, tylko przekaźniki coś tam drobily po swojemu, a na ekranach ukazał się już wyraźnie białe płonący punkt, rosnący szybko, jakby ktoś wydymał bańkę ognistego szkła. Była to ziejąca rufa statku, który schodził w samej rzeczy jak zawieszony na niewidzialnym pionie, bez najmniejszych drgnień, bocznych przechyłów, bez śladu zawirowań — Pirxowi przyjemnie było na to patrzeć. Oceniał odległość na jakieś sto kilometrów; przed pięćdziesięcioma nie było sensu zaglądać w niebo przez okna, mimo to zgrupowało się już przy nich sporo obecnych z zadartymi w zenit głowami.

Kontrola miała ciągłą łączność radiofoniczną ze statkiem, ale po prostu nie było o czym mówić; załoga leżała w komplecie na anty grawitacyjnych fotelach, wszystko robiły automaty pod dyktando głównego komputera raketowego, i to on właśnie zdecydował o zmianie ciągu atomowego na borowodorowy — przy sześćdziesięciu kilometrach wysokości, a więc na samej granicy rzadkiej atmosfery. Teraz Pirx podszedł do środkowego, największego okna i natychmiast zobaczył w niebie, przez jego bladyszczącą mgiełkę, ostrozielony ognik, mikroskopijny, ale wibrujący niezwykłym blaskiem — jak gdyby ktoś nawiercał z wysokości nieboskłon Marsa płonącym szmaragdem. Od tego równomiernie pałającego punktu szły w różne strony blade smużki, były to jakieś wiechetka i strzępy chmur,

a raczej tych niedonosków, które w tutejszej atmosferze pełniły zastępczo ich obowiązki. Schwymane w orbitę okrętowego odrzutu, zapalały się i rozpadały jak sztuczne ognie. Statek rósł, a właściwie wciąż tylko rosła jego okrągła rufa. Powietrze najwyraźniej drgało pod nim od żaru i przez to mogło się niedoświadczonemu zdawać, że i sama rakietka trochę chodzi na boki, ale Pirx znał ten obraz zbyt dobrze, by się omylić. Jakoś tak bez żadnego napięcia, w spokoju szło wszystko, przypominał sobie pierwszy krok ludzki na Księżycu, tam też tak poszło, jak po maśle. Rufa była już zieloną palącą się tarczą z aureolą rozbryzgów. Zerknął na główny altimetr nad pulpitemi kontroli, bo przy tak dużej jednostce można się łatwo było omylić w szacunku wysokości; jednaście, nie, dwanaście kilometrów dzieliło „Ariela” do Marsa — oczywiście opadał coraz wolniej dzięki rosącemu ciągowi hamowania.

Nagle stało się kilka rzeczy naraz.

Obraz rufowych dysz „Ariela”, w koronie zielonych płomieni, zadrgał inaczej niż dotąd. W głośniku rozległ się jakiś niezrozumiały bełkot, okrzyk, coś jakby „ręczna!”, a może „raczej!” — jedno niepojęte słowo wykrzywane ludzkim głosem, tak odmiennym, że chyba nie był to Klyne. Zieleń buchająca z rufy „Ariela” nagle zbladła. Był to ułamek sekundy. W następnym mgnieniu rozkrzaczyła się straszliwym, błękitnobiałym błyskiem — i Pirx zrozumiał od razu, w dreszczu osłupienia, który przeszył go od stóp do głów, tak że głuchy, ogromny głos, co wyrwał się z głośnika, nie zaskoczył go wcale.

„Ariel” — sapnięcie. — Zmiana procedury. Od meteorytu. Cała naprzód na osi! Uwaga! Cały ciąg!

Był to automat. W tle tego głosu ktoś jakby krzychał. W każdym razie Pirx prawidłowo zinterpretował zmianę barwy ognia wylotowego: borowodory zastąpił pełny ciąg reaktorów i olbrzymi statek, zahamowany jakby straszliwym uderzeniem niewidzialnej pięści, dygocąc wszystkimi spojeniami, zatrzymał się — a przynajmniej tak to patrzącym wyglądało — w rozrzedzonym powietrzu, tych pięć czy cztery ledwo kilometry nad tarczą kosmodromu. Chodziło o manewr niesamowity — zakazany przez wszystkie reguły, postanowienia, wykraczający poza całą kosmologię: żeby powstrzymać stutysięczną masę — bo wszak trzeba było chyżość jej spadania wygasić pierwej, nim mogła na powrót wystrzelić wzwyż. Pirx zobaczył w perspektywicznym skrócie bok olbrzymiego cylindra. Rakietka straciła pion. Przechylała się. Zaczęła, niezwykle powoli, prostować się, ale wychyliło ją w drugą stronę jak gigantyczne wahadło; ponowny przechył ćwierćmilowego kadłuba w przeciwną stronę był już większy. Przy tak małej szybkości utrata równowagi była w tej amplitudzie nie do opanowania; dopiero w owych sekundach doszedł Pirxa krzyk głównego kontrolera:

— „Ariel”, „Ariel”! Co robicie?! Co się u was dzieje?!

Jak wiele rzeczy mogło zajść w cząstkach sekund! Pirx, przy równoległym, nie obsadzonym pulpicie, krzyczał całą piersią w mikrofon:

— Klyne! Na ręczną!!! Na ręczną do lądowania!!! Na ręczną!!!

Wtedy nakrył ich nadchodzący przeciągły nieustanny grom. Dopiero teraz dobiegła ich fala dźwiękowa! Jak krótko musiało wszystko trwać! Stojący u okien krzyknęli jednym głosem. Kontrolerzy oderwali się od pulpitów.

„Ariel” spadał młyńcem jak kamień, ślepo waląc w atmosferę smugami zataczającego się ognia ruf; kręcił się powoli, bezwładny na podobieństwo trupa, jak gdyby ktoś olbrzymią żelazną wieżę cisnął z nieba ku brudnym wydmom pustyni; wszyscy stali jak wryci, w głuchej, straszliwej ciszy, bo już nic nie można było zrobić; głośnik niewyraźnie chrypiał, bormotał odległą wrzawą czy hukiem morza, nie wiadomo było, czy to ludzkie głosy, wszystko się tam zlewało w jeden chaos; a biały, jakby skąpany w blaskach, niesamowicie długi cylinder gnał coraz szybciej w. dół; wydawało się, że trafi samą kontrolę; ktoś przy Pirxie jęknął. Skurczyli się odruchowo.

Kadłub wyrzwał skosem w jedno z niskich obmuowań poza tarczą, złamał się na dwoje i z jakąś dziwną powolnością pękając dalej, że buchnęło szczątkami na wszystkie strony, zarył się w piach; w oka mgnieniu powstała tam na dziesięć pięter wysoka chmura, w której zagrzmiało, zagruchotało, trysnęło ognistymi szwami, ponad zgrzywioną zasłonę wyrzuconego piasku wychynał oślepiająco biały wciąż dziób statku, oderwał się od reszty, przeleciał kilkaset metrów w powietrzu, poczuli jedno, drugie, trzecie potężne uderzenie, te wstrząsy gruntu były tak mocne, jak przy trzęsieniu ziemi. Cały budynek podniosło, poszedł w górę i opadł niczym łódka na fali. Potem w piekielnym rumorze rozłamywanego żelastwa wszystko zakryła przed nimi brązowoczarna ściana dymu i kurzu. I to był koniec „Ariela”. Gdy biegli po schodach do komory wyjściowej, Pirx, jeden z pierwszych w kombinezonie, nie miał wątpliwości — z takiego zderzenia nikt nie mógł wyjść żywy.

Potem biegli zataczając się pod uderzeniami wichury; z daleka, od strony klosza, pokazały się pierwsze pojazdy gąsienicowe i hovercrafty. Ale już nie trzeba się było spieszyć. Nie było do czego. Pirx sam nie wiedział, jak i kiedy wrócił do budynku kontroli — z obrazem krateru i zgniecionego kadłuba w osłupiających oczach, tak że na dobre ocknął się dopiero, ujrawszy w ściennym lustrze własną poszarzałą i jakby ściągniętą nagle twarz.

W południe powołano komisję rzeczoznawców do zbadania przyczyn katastrofy. Ekipy robocze koparkami i dźwigami rozwłóczyły jeszcze dzwona ogromnego kadłuba, jeszcze nie dotarto do wrytej głęboko w grunt, zmiażdżonej sterówki, mieszczącej automaty Kontroli, kiedy z Wielkiej Syrty przyleciała grupa specjalistów — jednym z tych dziwnych małych helikopterów o gigantycznych śmigłach, zdolnych do lotu jedynie w rozrzedzonym powietrzu Marsa. Pirx nie włączył nikomu w drogę i nikogo o nic nie pytał, bo aż nazbyt dobrze rozumiał, że sprawa jest wyjątkowo ciemna. W toku normalnej procedury lądowania, podzielonej na uświęcone etapy i zaprogramowanej niczym rozkład jazdy niezawodnych pociągów, bez żadnej widocznej przyczyny główny komputer „Ariela” zgasił borowodorowy ciąg, wyrzucił hasła przypominające szczątkowy alarm meteorytowy i przełączył napęd na ucieczkę od planety całą mocą; stateczności, utraconej podczas tego karkołomnego manewru, nie mógł już odzyskać. O czymś podobnym nie wspominała historia astrologii i nasuwające się przypuszczenia — że komputer zwyczajnie zawiódł, że się w nim jakieś obwody pozwierały, poprzepalały — wyglądały zgoła nieprawdopodobnie, ponieważ szło o jeden z dwóch programów — startu i lądowania — zabezpieczonych przed awariami taką liczbą zabezpieczeń, że już raczej przychodziło myśleć o sabotażu. Głowił się nad tym w pokoiku, który Seyn oddał mu poprzedniej nocy do dyspozycji, umyślnie nie wysuwając nosa za drzwi, żeby się nie narzucać, tym bardziej że miał przecież za kilkanaście godzin wystartować, a nic takiego nie przychodziło mu do głowy, z czym powinien by pospieszyć do komisji. Okazało się jednak, że nie zapomniano o nim; kilka minut przed pierwszą zajrzał do niego Seyn. Był z nim i Romani; czekał na korytarzu; wychodząc, Pirx w pierwszej chwili nie poznał go; kierownik kompleksu Agathodaemona wydał mu się jednym z mechaników; miał na sobie osmolony, pokryty zaciekami kombinezon, twarz jakby zmałała z wyczerpania, lewy kąt ust drgał mu co chwila, lecz głos pozostał ten sam; poprosił Pirxa, w imieniu komisji, do której należał, by odłożył start „Cuiviera”.

— Naturalnie... jeżeli jestem potrzebny — Pirx był zaskoczony; zbierał myśli. — Muszę tylko uzyskać zezwolenie Bazy.

— Załatwimy to sami, jeśli się pan zgadza.

Nikt już nic nie powiedział; poszli we trzech do głównego „bombla”, gdzie w długim, niskim pomieszczeniu kierownictwa siedziało dwudziestu kilku rzeczoznawców — kilku miejscowych, większość przyleciała z Wielkiej Syrty. Jako że była pora obiadowa, a szło o każdą godzinę, przyniesiono im zimnego jedzenia z bufetu i tak, przy herbacie, nad talerzykami, przez co wszystko wyglądało dziwnie jakoś nieoficjalnie, a prawie i niepoważnie, zaczęły się obrady. Pirx oczywiście domyślał się, czemu przewodniczący,

inżynier Hoyster, jego jako pierwszego poprosił o opis katastrofy. Był on jedynym ponad wszelką wątpliwość niestronniczym świadkiem, bo nie należał ani do zespołu kontroli lotów, ani do załogi Agathodaemona. Gdy Pirx doszedł w zeznaniu do swej reakcji, Hoyster przerwał mu po raz pierwszy.

— Więc pan chciał, żeby Klyne wyłączył całą automatykę i starał się lądować sam, tak?

— Tak.

— A można wiedzieć, czemu?

Pirx nie zwlekał z odpowiedzią.

— Miałem to za jedyną szansę.

— Tak. A nie przypuszczał pan, że przejście na sterowanie ręczne może spowodować utratę stateczności?

— Już była stracona. To można zresztą sprawdzić, są przecież taśmy.

— Oczywiście. Chcieliśmy najpierw wytworzyć sobie obraz ogólny. A... jakie jest pana osobiste zdanie?

— O przyczynie...?

— Tak. Ponieważ na razie nie tyle obradujemy, co informujemy się. Cokolwiek pan powie, nie będzie szczególnie wiążące; cenne może się okazać każde przypuszczenie, nawet ryzykowne.

— Rozumiem. Coś się stało z komputerem. Nie wiem — co, i nie wiem też, jak to możliwe. Gdybym tam nie był sam, nie uwierzyłbym w to, ale byłem i słyszałem. To on odwrócił procedurę — i dał meteorytowe ostrzeżenie, jakkolwiek w poronny sposób. Brzmiało to mniej więcej jak: „meteoryty — uwaga, cała na osi naprzód”. A ponieważ nie było żadnych meteorytów... — Pirx wzruszył ramionami.

— Ten model — „Ariela” — jest udoskonaloną wersją komputera AIBM 09 — zauważył Boulder, elektronik, którego Pirx znał, bo stykał się z nim przelotnie w Wielkiej Syrcie.

Pirx skinął głową.

— Wiem o tym. Dlatego powiedziałem, że nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy. Ale to się stało.

— Jak pan sądzi, komandorze, czemu Klyne nic nie zrobił? — spytał Hoyster.

Pirx poczuł wewnętrzny chłód i nim odpowiedział, spojrzał w obie strony — na wszystkich. Pytanie takie musiało paść. Wolałby jednak nie być pierwszym, który miał mu sprostać.

— Tego nie wiem.

— Naturalnie. Ale wieloletnie doświadczenie pozwala panu postawić się na jego miejscu...

— Postawiłem się. Zrobiłbym to, do czego próbowałem go skłonić.

— A on?

— Nie było żadnej odpowiedzi. Hałas, jakby krzyki. Trzeba będzie bardzo dokładnie przesłuchać taśmy, ale obawiam się, że to da niewiele.

— Panie komandorze — rzekł cicho, ale dziwnie powoli, jakby ostrożnie dobierając słów, Hoyster — pan orientuje się w sytuacji, nieprawdaż? Dwie następne jednostki tej samej klasy, z takim samym układem sterowania, znajdują się obecnie na linii Aresterra; „Anabis” przybędzie za trzy tygodnie, ale „Ares” już za dziewięć dni. Bez względu na zobowiązania wobec tych, co zginęli, mamy większe wobec żywych. Niewątpliwie przemyślał pan już, w ciągu tych pięciu godzin, wszystko, co zaszło. Nie mogę pana do tego zmusić, ale proszę, żeby pan to nam wyjawiał.

Pirx poczuł, że błędnie. Tego, co chciał powiedzieć Hoyster, domyślił się z jego pierwszych słów i ogarnęło go niezrozumiałe wrażenie, rodem z nocnego snu: aura zacieklego, rozpaczliwego milczenia, w którym walczył z przeciwnikiem bez twarzy i zabijając go razem z nim ginął. Było to mgnienie. Przemógł się i spojrzał Hoysterowi w oczy.

— Rozumiem — powiedział. — Klyne i ja należymy do dwóch różnych generacji. Kiedy zaczynałem latać, zawodność procedur automatycznych była daleko większa... To się utrwała w zachowaniu. Myślę, że... ufał im do końca.

— Sądził, że komputer dysponuje lepszym rozeznaniem? Że opanuje sytuację?

— Nie musiał liczyć na to, że ją opanuje... a tylko, że jeśli nie potrafi, tym bardziej nie dokona tego człowiek.

Pirx odetchnął. Powiedział, co myślał, nie rzucając cienia na młodszego — który już nie żył.

— Czy, podług pana, istniały szansę ocalenia statku?

— Nie wiem. Było bardzo mało czasu. „Ariel” był bliski utraty szybkości.

— Czy pan lądował kiedyś w takich warunkach?

— Tak. Ale statkiem o małej masie — i na Księżycu. Im dłuższa i cięższa jest rakieta, tym trudniej odzyskać stateczność przy utracie szybkości, zwłaszcza gdy się zaczyna przechył.

— Czy Klyne słyszał pana?

— Nie wiem. Powinien był słyszeć.

— Czy przejął stery?

Pirx otwierał już usta, by powiedzieć, że na to jest dowód w rejestrach, ale zamiast tego odparł:

— Nie.

— Skąd pan to wie? — to był Romani.

— Podług kontroli. „Procedura automatyczna” świeciła się przez cały czas. Zgasła dopiero, gdy statek się rozbił

— A czy pan nie uważa, że Klyne nie miał już czasu? — spytał Seyn. Było coś osobliwego w tym, że tak się do niego zwrócił — chociaż byli na „ty”. Jakby powstał między nimi nagły dystans. Wrogość?

— Sytuację można wymodelować matematycznie i wtedy okaże się, czy była jakaś szansa — Pirx starał się o rzeczowość. — Ja tego nie mogę wiedzieć.

— Ale gdy przechył przekroczył 45 stopni, stateczność była nie do odzyskania — upierał się Seyn. — Czy nie tak?

— Na moim „Cuivierze” niekoniecznie. Ciąg można powiększyć — poza dopuszczalną granicę.

— Przeciężenie powyżej dwudziestu kilku może zabić.

— Zapewne. Ale upadek z pięciu kilometrów musi. Na tym się ta krótka polemika zakończyła. Pod lampami, płonącymi mimo dnia, kładł się płasko dym. Palili.

— Podług pana, Klyne mógł przejąć stery, ale nie zrobił tego. Tak? — wrócił do swego wątku przewodniczący Hoyster.

— Prawdopodobnie mógł.

— Czy nie uważa pan za możliwe, że swoją interwencją zbił pan go z tropu? — odezwał się zastępca Seyna, człowiek z Agathodaemona, którego Pirx nie znał. Tutejsi byli przeciwko niemu? I to mógł zrozumieć.

— Uważam to za możliwe. Tym bardziej że tam, w sterowni, ludzie krzyczeli coś. Tak to wyglądało.

— Na panikę? — spytał Hoyster.

— Nie odpowiem na to pytanie.

— Dlaczego?

— Proszę przesłuchać taśmy. To nie są ściśle dane — hałas, który można sobie rozmaicie tłumaczyć.

— Czy kontrola naziemna mogła, podług pana opinii, coś jeszcze zrobić? — pytał z kamienną twarzą Hoyster. Wyglądało na to, że wewnątrz komisji zachodzi rozłam. Hoyster

był z Wielkiej Syrty.

— Nie. Nic.

— Temu, co pan powiedział, zaprzecza pana własny postępek.

— Nie. Kontrola nie ma prawa mieszać się do decyzji dowódcy — w podobnej sytuacji. W sterowni może ona inaczej wyglądać niż na dole.

— Przyznaje pan więc, że pan działał wbrew przyjętym zasadom? — raz jeszcze odezwał się zastępca Seyna.

— Tak.

— Dlaczego? — pytał Hoyster.

— Zasady nie są dla mnie święte. Robię zawsze to, co uważam za właściwe podług własnego zdania. Zdarzyło mi się już za to odpowiadać.

— Przed kim?

— Przed Trybunałem Izby Kosmicznej.

— Ale został pan oczyszczony od zarzutów oskarżenia? — zauważył Boulder. Wielka Syrta — i Agathodaemon. To było prawie wyraźne.

Pirx milczał.

— Dziękuję panu.

Przesiadł się na stojące z boku krzesło, bo zeznawał z kolei Seyn, potem jego zastępca. Nim skończyli, przyniesiono pierwsze taśmy z budynku kontroli lotów. Przychodziły też telefoniczne meldunki z prac we wraku „Ariela”. Już było pewne, że nikt nie pozostał przy życiu, ale do sterowni nie dostali się: weszła na jedenaście metrów w głąb gruntu. Przesłuchiwanie taśm, protokołowanie zeznań trwało bez przerwy do siódmej. Potem zrobiono godzinną przerwę. Syrtyjczycy z Seynem pojechali na miejsce katastrofy. Romani w przejściu zatrzymał Pirxa.

— Komandorze...

— Słucham

— Pan nie ma tu do nikogo...

— Proszę tak nie mówić. Stawka jest zbyt wysoka — przerwał mu Pirx.

Tamten pokiwał głową.

— Zostanie pan, na razie, na siedemdziesiąt dwie godziny. Załatwiliśmy to już z Bazą.

— Z Ziemią...? — Pirx był zaskoczony. — Nie wydaje mi się, żebym mógł jeszcze pomóc...

— Hoyster, Rahaman i Boulder chcą dokooptować pana do składu komisji. Nie odmówi pan? Sami ludzie Syrty.

— Choćbym chciał, nie mogę — odpowiedział i na tym się rozstali.

O dziewiątej wieczorem zebrali się ponownie. Pełne przesłuchanie taśm było dramatyczne — a jeszcze bardziej film, który przyszło obejrzeć, pokazujący wszystkie fazy katastrofy, od pojawienia się w zenicie zielonej gwiazdy „Ariela”. Hoyster podsumował potem tymczasowe wyniki badań — bardzo lakonicznie.

— Wygląda istotnie na to, że zawiódł komputer. Jeśli nie ogłosił normalnym trybem meteorytowego alarmu — zachował się tak, jakby „Ariel” leżał na kolizyjnym kursie z jakąś masą. Rejestraty wykazują, że przekroczył dozwoloną moc ciągu o trzy jednostki. Dlaczego to zrobił, nie wiemy. Może wyjaśni coś sterownia — miał na myśli taśmy rejestrujące „Ariela”; Pirx był tu sceptykiem. — Tego, co się działo w sterowni w ostatnich chwilach, nie można zrozumieć. W każdym razie komputer nie zawiódł pod względem operacyjnego tempa — w szczycie kryzysu podejmował decyzje z pełną sprawnością, bo iterował w nanosekundach wszystkie swoje polecenia dla agregatów. Także agregaty pracowały bez zarzutu do końca. To całkiem pewne. Nie wykryliśmy absolutnie niczego, co by mogło świadczyć o zewnętrznym lub wewnętrznym zagrożeniu procedury wdrożonego lądowania. Od godziny 7,03 do 7,08 przebiegało doskonale. Decyzja komputera — odwrócenia procedury i próby poronnego startu — nie daje się, jak dotąd, niczym wyjaśnić. Kolego Boulder?

— Nie rozumiem tego.

— Błąd programowania?

— Wykluczony. „Ariel” lądował tym programem szereg razy — osiowo i we wszystkich możliwych dryfach.

— Ale na Księżycu. Tam jest mniejsze ciążenie.

— To może mieć pewne znaczenie dla agregatów mocy, ale nie dla zespołów informacji. A moc nie zawiódła.

— Kolego Rahaman?

— Nie znam dobrze tego programu.

— Ale model komputera pan zna?

— Tak.

— Co może przerwać tok procedury lądowania, jeżeli nie ma przyczyn zewnętrznych?

— Nic.

— Nic?

— Bomba podłożona pod komputer — zapewne... Padły wreszcie te słowa. Pirx słuchał z największą uwagą. Szumiały ekshaustory, dym zgęszczał się przy ich wylotach pod

sufitem.

— Sabotaż?

— Komputer działał do końca, jakkolwiek w sposób dla nas niepojęty — zauważył Kerhoven, jedyny inżynier w komisji, który był miejscowym człowiekiem.

— No... bomba, tak to tylko powiedziałem — wycofał się Rahaman. — Procedurę główną, więc lądowania albo startu, może przerwać w normie, jeśli komputer jest sprawny, tylko coś nadzwyczajnego. Wypadnięcie mocy...

— Moc była.

— Ale w zasadzie komputer może przerwać główną procedurę?

Przewodniczący wiedział to przecież. Pirx rozumiał, że nie mówi teraz do nich: mówił to, co miała usłyszeć Ziemia.

— Teoretycznie może. Praktycznie — nie. Od czasu powstania kosmonautyki nie zdarzył się alarm meteorytowy w toku lądowania. Meteoryt można wszak wykryć w zbliżaniu. Wtedy lądowanie po prostu się odracza.

— Ale nie było przecież żadnych meteorytów?

— Nie.

To był koniec ślepej uliczki. Przez chwilę panowała cisza. Ekshaustory szumiały. Było już ciemno za okrągłymi oknami. Marsjańska noc.

— Potrzebujemy ludzi, którzy budowali ten model i którzy go obciążyli testowo — rzekł wreszcie Rahaman.

Hoyster skinął głową. Przeglądał podany mu przez telefonistkę meldunek. — Do sterowni dotrą za jakąś godzinę — rzekł. A potem, podnosząc głowę: — Macross i van der Voyt wezmą jutro udział w obradach.

Nastąpiło poruszenie. Byli to główny dyrektor i główny konstruktor stoczni, która budowała stutysięczniki.

— J u t r o ? — Pirxowi zdawało się, że się przesłyszał.

— Tak. Nie tutaj, oczywiście. Będą obecni — telewizyjnie. Dzięki bezpośredniej łączności. Oto depesza — podniósł meldunek.

— Ależ...! Jakie jest teraz opóźnienie? — spytał ktoś.

— Ośmiominutowe.

— Jakże oni to sobie wyobrażają? Będziemy czekali w nieskończoność na każdą replikę — rozległy się głosy.

Hoyster wzruszył ramionami.

— Musimy się podporządkować. Pewno, że to będzie kłopotliwe. Opracujemy

odpowiednią procedurę...

— Odraczamy obrady do jutra? — spytał Romani.

— Tak. Zbierzemy się o szóstej rano. Będą już rejestraty ze sterowni.

Pirx, któremu Romani zaoferował nocleg u siebie, był z tego rad. Wolał nie stykać się z Seynem. Rozumiał jego zachowanie, choć go nie pochwalał. Nie bez trudu ulokowano wszystkich Syrtyjczyków i o północy Pirx został sam w maleńkiej klitce, która służyła kierownikowi za podręczną bibliotekę i prywatny gabinet roboczy. Położył się w ubraniu na rozstawionym między teodolitami małym łóżku polowym, z rękami pod głową, wpatrzony w sufit, i leżał tak z nieruchomymi oczami, prawie nie oddychając.

Rzecz dziwna, tam, wśród obcych ludzi, przeżywał katastrofę jak gdyby z zewnątrz, jako jeden z wielu świadków; nie był do końca zaangażowany nawet wówczas, gdy wyczuwał niechęć i animozję za pytaniami — wiszące w powietrzu oskarżenie intruza o to, że chce zdominować miejscowych specjalistów — nawet kiedy Seyn stawał przeciw niemu; było to wszystko wciąż na zewnątrz, osadzone w naturalnym wymiarze nieuchronnego: tak musiało być w podobnych okolicznościach. Gotów był odpowiadać za to, co zrobił, ale zgodnie z racjonalnymi przesłankami, więc nie czuł się odpowiedzialny za nieszczęście. Był wstrząśnięty, zachował jednak spokój, pozostał w nim do końca obserwator, niezupełnie poddany wypadkom, bo układały się systematycznie — przy całej niezrozumiałości można je było sekcjonować, wystygłe, porozdzielane, w uchwycie, jaki nadawał sam oficjalny tok obrad. Teraz to wszystko się rozpadło. Nie myślał nic, nie przywoływał żadnych obrazów, powtarzały się same z siebie, od początku: ekrany telewizyjne, na nich — wejście statku w przymarsie, wyhamowanie kosmicznej zmiany ciągów; był jakby wszędzie naraz, w kontroli i w sterowni, znał te głuche udary, te dudnienia rozbiegające się po kilu i wręgach, kiedy wielką moc zastępowała dygotliwa praca borowodorów, bas, którym turbopompy zapewniały, że tłoczą paliwo, wsteczny ciąg, opadanie rufą, majestatycznie powolne, małe poprawki boczne i to załamanie się, ten grom nagłego obrotu ciągów, gdy pełna moc znów wskoczyła w dysze, wibracja, destabilizacja, rakieta wychwytywana rozpaczliwie, idąca wahadłem, kołysząca się jak pijana wieża, nim runęła z wysokości już bezwładna, już martwa, niesterowna, ślepa jak kamień, upadek i zgruchotanie góry — a on był wszędzie. Był jakby samym walczącym statkiem i odczuwając boleśnie zupełną niedostępność, ostateczne zamknięcie tego, co się stało, jednocześnie powracał do ułamkowych chwil, jakby z ponawiającym się w milczeniu pytaniem, szukając tego, co zawiodło. To, czy Klyne usiłował przejąć stery, było teraz już bez znaczenia. W gruncie rzeczy kontrola była bez zarzutu, chociaż tam sobie żartowali, ale to mogło urazić tylko przesądne czy też ukształtowanego

w czasach, w których nie można sobie było pozwolić na niefrasobliwość. Rozumowo wiedział, że nic w tym złego. Leżał na wznak, a jakby stał przy skośnym oknie, celującym w zenit, kiedy zieleń iskrzącej się gwiazdy borowodorów pochłonął straszny słoneczny blask, tym pulsem tak charakterystycznym dla atomowej mocy, w dyszach, co już poczynają stygnąć — przez to właśnie nie wolno wprowadzać całej tak gwałtownie — rakieta zahuśtała się najpierw jak serce dzwonu kołysanego oszalałymi rękami i kłoniła się swoją niesamowitą długością, bo była tak ogromna, jakby samymi rozmiarami, samym rozmachem wielkości wyszła poza granicę wszelkich zagrożeń — tak samo musieli myśleć, przed wiekiem, pasażerowie „Titanica”.

Nagle wszystko to zgasło, jakby się zbudził. Wstał, umył twarz, ręce, otworzył neseser, wyjął piżamę, pantofle, szczoteczkę do zębów, i trzeci raz tego dnia zobaczył siebie w lustrze umywalki — jak kogoś obcego.

Między trzydziestką a czterdziestką, bliżej drugiej: smuga cienia — kiedy już przychodzi akceptować warunki nie podpisanego kontraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, że to, co obowiązuje innych, odnosi się i do ciebie, że z tej reguły nie ma wyjątków: chociaż to przeciwne naturze, należy się jednak starzeć. Dotąd robiło to po kryjomu ciało — tego już nie dość. Wymagana jest zgoda. Młodzieńczy wiek ustanawia jako regułę gry — nie, jako jej fundament — niezmiennność własną: byłem dziecinny, niedorosły, ale już jestem prawdziwym sobą i taki zostanę. Ten nonsens jest przecież podstawą egzystencji. W odkryciu bezzasadności tego ustalenia zrazu tkwi więcej zdziwienia niż lęku. Jest to poczucie oburzenia tak mocne, jakbyś przejrzał i dostrzegł, że gra, do jakiej cię wciągnięto, jest oszukańcza. Rozgrywka miała być całkiem inna; po zaskoczeniu, gniewie, oporze zaczyna się powolne pertraktacje z samym sobą, z własnym ciałem, które można by wysławić tak: bez względu na to, jak płynnie i niepostrzeżenie starzejemy się fizycznie, nigdy nie jesteśmy zdolni dostosować się umysłowo do takiej ciągłości. Nastawiamy się na trzydzieści pięć, potem na czterdzieści lat, jakby już w tym wieku miało się zostać, i trzeba potem przy kolejnej rewizji przełamania samoobludy, natrafiającego na taki opór, że impet powoduje jak gdyby nazbyt daleki skok. Czterdziestolatek pocznie się wtedy zachowywać tak, jak sobie wyobraża sposób bycia człowieka starego. Uznawszy raz nieuchronność, kontynuujemy grę z ponurą zaciekłością, jakby chcąc przewrotnie zdublować stawkę; proszę bardzo, jeśli ten bezwstyd, to cyniczne, okrutne żądanie, ten oblig ma być wypłacony, jeżeli muszę płacić, chociaż nie godziłem się, nie chciałem, nie wiedziałem, masz więcej, niż wynosi zadłużenie — podług tej zasady, brzmiącej humorystycznie, gdy ją tak nazwać, usiłujemy przelicytować przeciwnika. Będę ci tak od razu stary, że stracisz kontenans.

Chociaż tkwimy w smudze cienia, prawie za nią, w fazie tracenia i oddawania pozycji, w samej rzeczy wciąż walczyliśmy jeszcze, bo stawiamy oczywistości opór, i przez tę szamotaninę psychicznie starzejemy się skokami. To przeciągamy, to nie dociągamy, aż ujrzymy, jak zwykle zbyt późno, że cała ta potyczka, te samostraceńcze przebiccia, rejterady, butady też były niepoważne. Starzejemy się bowiem jak dzieci, to znaczy odmawiając zgody na to, na co zgoda nasza jest z góry niepotrzebna, bo zawsze tak jest, gdzie nie ma miejsca na spór ani walkę — podszytą nadto załganiem. Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma nietkniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadna zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołalną rzeczywistością; wstęp — treścią właściwą; nadzieje — mrzonkami; nie obowiązujące zaś, prowizoryczne, tymczasowe i byle jakie — jedyną zawartością życia. Nic z tego, co się nie spełniło, już na pewno się nie spełni; i trzeba się z tym pogodzić milcząc, bez strachu, a jeśli się da — i bez rozpacz.

Jest to wiek krytyczny dla kosmonautów — dla nich jak dla nikogo, bo w tym zawodzie każdy, kto nie jest sprawny doskonale, od razu nie jest nic wart. Jak powiadają czasem fizjologowie, wymagania stawiane przez kosmologię są zbyt wielkie, nawet dla najsprawniejszych cieleśnie i duchowo; odpadając od czołówki, traci się tu wszystko naraz. Komisje lekarskie są bezwzględne w sposób przerażający dla jednostek, ale konieczny, bo nikomu nie można pozwolić na śmierć ani na zawał u sterów. Ludzie z pozoru pełni sił schodzą z pokładów i za jednym zamachem widzą się u kresu; lekarze są tak przyzwyczajeni do wybiegów, do rozpaczliwej dysymulacji, że wykrycie jej nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji dyscyplinarnych, moralnych, niczego; prawie nikt nie może przeciągnąć okresu czynnej służby poza pięćdziesiątkę. Przeciężenia są największym wrogiem mózgu; może za sto albo za tysiąc lat to się zmieni; na razie perspektywa ta zadręcza podczas miesięcy lotu każdego — w smudze cienia.

Klyne był kosmonautą następnej generacji, a jego, Pirxa, wiedział o tym, młodzi nazywali „wrogiem automatów”, „konserwatystą”, „mamutem”. Niektórzy z jego rówieśników już nie latali; podług uzdolnień i możliwości przekwalifikowywali się na wykładowców, członków Izby Kosmicznej, szli na synekury po stoczniach, zasiadali w radach nadzorczych, zajmowali się swoimi ogródkami. Na ogół trzymali się; odgrywali nieźle swoje pogodzenie się z nieuchronnym — ale Bóg wie, ile to niejednego kosztowało. A zdarzały się i postęпки nieodpowiedzialne, wynikające z niezgody, bezsilnej odmowy, z pychy i wściekłości, z poczucia niesprawiedliwie doznanego nieszczęścia. Wariatów nie znał ten

zawód; ale jednostki zbliżały się niebezpiecznie w stronę obłądu, choć nie przekraczały ostatniej granicy; jednakowoż, pod rosnącym ciśnieniem nadciągającego, bywały wysoki, co najmniej — dziwaczne... O, tak, znał te różne dziwactwa, aberracje, przesady, którym ulegali i obcy, i ci, z którymi zżył się przez lata, za których kiedyś, zdawało się, mógł ręczyć. Słodka ignorancja nie jest przywilejem fachu, w którym tyle rzeczy trzeba wiedzieć koniecznie; każdego dnia ginie w mózgu nieodwracalnie kilka tysięcy neuronów i już przed trzydziestką rozpoczyna się ten szczególny, niewyczuwalny, ale nieustający wyścig, rywalizacja między słabnięciem funkcji podmywanej atrofią — i jej doskonaleniem zawdzięczanym rosnącemu doświadczeniu; tak powstaje chwiejna równowaga, balans istic akrobatyczny, z którym przychodzi żyć — i latać. I śnić. Kogo zabijał tyle razy poprzedniej nocy? Czy nie miało to jakiegoś szczególnego znaczenia? Kładąc się na polowym łóżeczku, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, pomyślał, że, być może, nie uda mu się zasnąć; nie znał dotąd bezsenności, ale kiedyś musiała przecież nadejść. Ta myśl zaniepokoiła go dziwacznie. Bezsennej nocy nie obawiał się wcale, a tylko taka krnąbrność ciała, oznaczająca rozpanoszenie się tego, co było dotąd niezawodne, nawet jako możliwość nabrała w tym momencie sensu nieomal klęski. Nie życzył sobie po prostu leżenia z otwartymi oczami, wbrew woli, więc chociaż było to głupie, usiadł, bezmyślnie spojrzął na swoją zieloną pizamę i zwrócił oczy na półki z książkami. Nie spodziewał się na nich niczego ciekawego i zaskoczył go rząd grubych tomów ponad zdziobaną cyrklami rysownicą. Stała tam, w rozwiniętym szyku, cała niemal historia areologii, większość tych książek znał, bo te same egzemplarze tkwiły w jego biblioteczkce na Ziemi; wstał i po kolei jął dotykać solidnych grzbietów. Był tu nie tylko ojciec astronomii Herschel, ale sam Kepler, *Astronomia nova seu Physica coelestis tradita commentariis de motibus stellae martis* — podług badań Tycho de Brahe, wydanie z 1784 roku. A dalej Flammarion, Backhuysen, Kaiser i wielki fantasta Schiaparelli, jego *Memoria terza*, ciemne wydanie rzymskie, i Arrhenius, i Antoniadi, Kuiper, Lowell, Pickering, Saheko, Struve, Vaucouleurs, aż do Wernhera Brauna z jego *Projektem Marsa*, i mapy, rulony map, ze wszystkimi kanałami 196 — *Margaritifera Sinus*, *Lacus Solis* i sam *Agathodaemon*... Stał tak, nie musiał otwierać żadnej z tych książek o wyślizganych, grubych jak deski okładkach. W zapachu starego płótna, osnowy, żółtawych kart, w którym było coś dostojnego i strupieszalego zarazem, ożyły godziny spędzone nad tajemnicą szturmowaną przez dwa wieki, obłożoną mrowiem hipotez: umierali po kolei, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia. Antoniadi przez całe życie nie widział kanałów, aż u schyłku starości niechętnie przyznał się „do jakichś linii, co podobnie wyglądały”. Graff nie dostrzegł żadnego do końca i mówił, że brak mu „imaginacji” kolegów. „Kanałisci” zaś widzieli i rysowali po nocach, czekając

godzinami u okularu na jeden z sekundowych momentów znieruchomienia atmosfery, bo wówczas — zapewniali — na buromglawej tarczce pojawia się precyzyjnie ostra, od włosa cieńsza sieć. Lowell rysował gęstą, Pickering rzadszą, ale ten miał szczęście do „geminacji”, jak nazywano zdumiewające podwajanie się kanałów. Złudzenie? Więc czemu niektóre kanały nigdy się nie chciały podwajać? Ślęczał nad tymi książkami jako kadet, w czytelnicy, bo tak zabytkowych nie wypożyczano. Był — czy trzeba to powiedzieć? — po stronie „kanalistów”. Ich argumenty brzmiały mu niezbitcie: Graff, Antoniadi, Hali, którzy pozostali niewiernymi Tomaszami, mieli obserwatoria w miastach Północy, zadymionych, z wiecznie ruchliwym powietrzem, podczas gdy Schiaparelli pracował w Mediolanie, a Pickering siedział na swojej górze, nad pustynią Arizony. „Antykanaliści” robili przemysłne eksperymenty: dawali odrysowywać tarczkę z bezładnie naniesionymi kropkami i kleksami, które, przy większej odległości, układały się w podobieństwo sieci kanałów, a potem pytali: Dlaczego nie widać ich przez najsilniejsze instrumenty? Dlaczego nie uzbrojonym okiem można się dopatrzeć kanałów i na Księżycu? Dlaczego nie widzieli żadnych kanałów pierwsi obserwatorzy, a po Schiaparellim już wszyscy poszli pod jego komendę? A tamci odpowiadali: w erze przedteleskopowej nikt, nigdy, żadnych kanałów na Księżycu nie dostrzegali. Duże teleskopy nie pozwalają stosować pełnej apertury, maksymalnych powiększeń, bo atmosfera ziemską nie jest dostatecznie spokojna; eksperymenty z rysunkami są wyminieniem sprawy. „Kanałści” na wszystko mieli odpowiedź. Mars — to jeden olbrzymi zamrożony ocean, kanały — to pęknięcia jego lodowych pól, rozmykających się pod uderzeniami meteorów; nie: kanały — to szerokie doliny, którymi płyną wody odwilży wiosennej, a na brzegach rozkwita wtedy marsjańska roślinność. Spektroskopia przekreśliła i tę szansę: zbyt mało wyjawiała wody, więc ujrzeli w kanałach ogromne zapadliska, długie doliny, którymi płyną od bieguna ku równikowi rzeki chmur, popędzane konwekcyjnymi prądami. Schiaparelli nigdy nie chciał wyraźnie oświadczyć, że są to twory obcego rozumu, wykorzystywał dwuznaczność terminu „kanał”, był to szczególny punkt — owa wstydlivość mediolańczyka i wielu innych astronomów, nie nazywali rzeczy po imieniu, rysowali tylko mapy i przedstawiali je, ale Schiaparelli pozostawił w papierach rysunki tłumaczące, w jaki sposób może przychodzić do rozdawania się, słynnej geminacji: gdy woda wdziera się do równoległych koryt, dotychczas wyschłych — jej przybór zaciemnia nagle linie, jakby ktoś napuścił tuszu do zacięć w drzewie. Przeciwnicy zaś nie tylko przeczyli istnieniu kanałów, nie tylko gromadzili negatywną argumentację, ale z biegiem czasu zdawali się żywić względem nich coraz bardziej palącą nienawiść. Wallace, drugi obok Darwina twórca teorii naturalnej ewolucji, więc nawet nie astronom, który w życiu chyba nie widział Marsa przez szkła, w

stustronicowym pamflecie zniszczył wraz z kanałami wszelką myśl o istnieniu życia na Marsie; Mars — pisał — nie tylko nie jest zamieszkały przez inteligentne istoty, jak to głosi pan Lowell, ale jest absolutnie niemieszkalny. Nie było letnich areologów, każdy musiał wyraźnie wyznać swe credo. Następna generacja kanalistów opisywała już cywilizację Marsa i rozzew powiększał się: żywy obszar prac rozumu — mówili jedni; pustynny trup — odpowiadali im drudzy. Potem Saheko dostrzegł owe tajemnicze błyski, krótkotrwałe, wygaszane powstającymi chmurami, zbyt krótkie jak na wulkaniczny wybuch, pojawiające się przy wzajemnej opozycji planet, co wykluczała odbłysk Słońca w lodowym stoku górskim, i to jeszcze przed wyzwoleniem energii atomowej, tak że myśl o marsjańskich testach jądrowych wynikła później... Jedna strona musiała mieć słuszość; w pierwszej połowie dwudziestego wieku godzono się powszechnie, że nie ma wprawdzie geometrycznych kanałów Schiaparelliego, ale istnieje jednak coś, co umożliwia ich dostrzeżenie, oko d o p o w i a d a, lecz nie halucynuje z niczego; kanały obserwowano zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu różnych miejsc Ziemi. A więc pewno nie otwarte wody w polach lodowych i nie prądy niskich chmur w brzegach dolin, może nawet nie pasy roślinności, ale jednak coś, kto wie — bardziej jeszcze niezrozumiałego, zagadkowego, co czekało oczu ludzkich, fotograficznych obiektywów i automatycznych sond.

Pirx nie przyznał się nikomu do myśli, jakie towarzyszyły tym zachłannym lekturom, lecz Boerst, bystry i bezwzględny, jak przystało na prymusa, wydobyl na jaw jego tajemnicę i uczynił go na kilka tygodni pośmiewiskiem kursu: zrobił z niego „kanałowca Pirxa”, który w astronomii obserwacyjnej ufundował doktrynę „credo, quia non est”. Albowiem Pirx wiedział przecież, że nie ma żadnych kanałów i że, co gorsze, a co chyba jeszcze okrutniejsze, nie ma w ogóle n i c z e g o, co by je przypominało. Jakże mógł nie wiedzieć, skoro Mars był zdobyty od lat, skoro zdawał areograficzne kolokwia i nie tylko musiał orientować dokładne mapy fotograficzne pod okiem asystentów, ale na praktycznych zajęciach lądował, w symulatorze, na tym samym dnie Agathodaemona, na którym teraz stał, pod kloszem Projektu, przed półką z dwustuletnim dorobkiem astronomii, stanowiącym muzealny zabytek. Ma się rozumieć, że wszystko to wiedział, lecz wiedza ta tkwiła w jego głowie gdzieś zupełnie o s o b n o, nie podlegała sprawdzeniom, jakby były jednym wielkim oszustwem. Jak gdyby nadal istniał jakiś inny, nieosiągalny, pokryty zarysem geometrycznym, tajemniczy Mars.

Podczas lotu na linii Aresterra jest taki czas, taka strefa, z której doprawdy zaczyna się widzieć gołym okiem — i to widzieć trwale, godzinami — to, co Schiaparelli. Lowell i Pickering obserwowali tylko w mgnieniach atmosferycznego zastoju. Przez bulą je można

zobaczyć kanały — czasem przez dobę, niekiedy przez dwie — formujące się nikłym rysunkiem w tle burej, nieprzyjaznej tarczy. A potem, gdy glob zbliży się bardziej, poczynają niknąć, rozpuszczać się, jeden po drugim rozplywają się w nicość, nie zostaje po nich najślabszy ślad, a tylko wyzbyta wszelkich ostrych konturów tarcza planetarna zdaje się swoją nudną, szarą obojętnością drwić z nadziei, jakie wzbudziła. Zapewne: po dalszych tygodniach lotu coś wreszcie wyłania się definitywnie i już nie rozplywa, ale wtedy są to po prostu wyszczerbione obrzeża największych kraterów, dzikie nagromadzenia zwietrzałych skał, bezładne rumowiska, utopione w głębokich pokładach burego piachu, niepodobne w niczym do tamtej czystej precyzji geometrycznego rysunku. Swój chaos planeta objawia z bliska już uległe i ostatecznie, niezdolna wycofać się z tak naocznego obrazu miliardoletniej erozji; chaos ów nie daje się wprost pogodzić z tamtym pamiętnym, czystym rysunkiem, który stanowił zarys czegoś, co przemawiało tak intensywnie i budziło takie wzruszenie, ponieważ szło o logiczny ład, o niezrozumiały, ale manifestujący swą obecność *sens* jakiś, który domagał się jedynie znaczniejszego wysiłku — dla ogarnięcia.

Więc gdzież on właściwie był i co kryło się w tak szyderczym mirażu? Projekcja siatkówki oka, jej optycznych mechanizmów? Aktywności wzrokowej kory mózgu? Na to pytanie nikt nie zamierzał udzielić odpowiedzi, ponieważ problem, kiedy upadł, podzielił los wszystkich przekreślonych, przez postęp zgruchotanych hipotez: wymieciono go do rupieciarni. Skoro nie było kanałów ani nawet czegoś szczególnego w rzeźbie planety, co by w wyjątkowy sposób stwarzało ich doskonale wrażenie — nie było o czym mówić, nad czym się zastanawiać. Więc dobrze się stało, że tych trzeźwiących rewelacji nie dożył żaden „kanalista”, tak samo jak żaden z „antykanalistów”, ponieważ zagadka wcale nie została rozwiązana: ona tylko znikła. Są przecież inne planety o niewyraźnych tarczach; kanałów nie widziano na żadnej — nigdy. Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie rysował. Czemu? Nie wiadomo.

Zapewne, można było snuć hipotezy i na ten temat: potrzebna była szczególna mieszanina dystansu i powiększenia optycznego, przedmiotowego chaosu i podmiotowej tęsknoty za porządkiem, ostatnich śladów tego, co, wyłaniając się z mętnej plamki w okularze, trwając poza granicą postrzegalności, sekundowo do niej jednak prawie że docierało; czyli — niechby najniklejszego oparcia i nieświadomych jego potrzeby rojeń, żeby został napisany ten rozdział, zamknięty już, astronomii.

Żądając od planety, aby się opowiedziała po jednej ze stron, trwając na pozycjach gry do końca uczciwej, pokolenia areologów schodziły do grobu twardo wierząc w to, że sprawa dostanie się wreszcie przed właściwe trybunały, że zostanie do końca, sprawiedliwie i wyraźnie rozstrzygnięta. Pirx czuł, że oni wszyscy — choć, dla rozmaitych przyczyn, w

niejednokrotny sposób — poczuli się zawiedzeni i oszukani, gdyby mogli dostąpić dokładnego oświecenia, jakie stało się jego udziałem. W tym przekreśleniu pytań i odpowiedzi, w totalnej nieodpowiedniości pojęć względem zagadkowego obiektu — była jakaś gorzka, ale istotna, okrutna, ale pouczająca lekcja, która — przeszło go nagle olśnienie — miała związek z tym, w co teraz wszedł i nad czym łamał sobie głowę.

Związek starej areografii z katastrofą „Ariela”? Ale jaki? I jak należało rozumieć to mętne, chociaż tak intensywne wyobrażenie? Nie wiedział. Był jednak zupełnie pewien, że tego połączenia tak niepodobnych do siebie, tak odległych spraw ani teraz, w środku nocy, nie przejrzy — ani nie zapomni. Należało rzecz przespać. Gasząc światło pomyślał jeszcze, że Romani musiał być o wiele bogatszym duchowo człowiekiem, niżby się dało przypuścić. Te książki stanowiły jego własność prywatną, a o każdy kilogram osobistych rzeczy, przywożonych na Marsa, szły spory; rozważny zarząd Projektu pozawieszał w ziemskim kosmodromie instrukcje i apele do poczucia lojalności pracowników, tłumacząc, jak obciążanie rakiet zbędnym balastem szkodzi sprawie. Dopraszano się racjonalności, a sam Romani, w końcu kierownik Agathodaemona, naruszył owe przepisy i zasady, przywożąc kilkadziesiąt kilogramów dzieł wszechstronnie zbędnych — po co właściwie? O tym, aby je mógł czytać, nie było mowy.

Już w ciemności uśmiechnął się, senny, do myśli, która wyjaśniała rację tych bibliofilskich staroci pod kloszem marsjańskiego Projektu. Zapewne, nic nikomu tu po takich książkach, po ewangeliach i zburzonych prorocत्वach. Ale wydawało się rzeczą godziwą, więcej — konieczną, żeby myśli tych ludzi, którzy oddali, co mieli najlepszego, zagadce czerwonej planety, znalazły się — przy pełnym już pogodzeniu najzacieklejszych przeciwników — na Marsie. To im się należało; a Romani, który rzecz rozumiał, był godnym zaufania człowiekiem.

Zbudził się o piątej z kamiennego snu, od razu trzeźwy, jakby wyszedł z chłodnej wody, i mając jeszcze kilka chwil dla siebie — dał sobie pięć minut, nieraz tak robił — pomyślał o dowódcy rozbitego statku. Nie wiedział, czy Klyne mógł uratować „Ariela” z trzydziestoma ludźmi załogi, ale nie wiedział też, czy Klyne próbował walczyć. To było pokolenie racjonalistów, podciągali się do niezawodnie logicznych sojuszników — komputerów, bo stawiały coraz większe wymagania, gdy je ktoś chciał kontrolować. Toteż łatwiej było się zdać na nie ślepo. On tego nie potrafił, chociażby sto razy chciał. Tę nieufność miał w kościach. Włączył radio.

Burza wybuchła. Spodziewał się jej, lecz zaskoczyły go rozmiary hysterii. Trzy kwestie dominowały w radiowym przeglądzie prasy: podejrzenia o sabotaż, niepewność losu

statków lecących na Marsa i — oczywiście — konsekwencje polityczne całej sprawy. Największe dzienniki były ostrożne w wysuwaniu hipotezy sabotażu, ale prasa brukowa tu sobie pofolgowała. Moc było też krytyki stutysięczników: że ich nie wypróbowano dostatecznie, że nie mogły startować z Ziemi, a — co gorsze — niepodobna było zawrócić ich z drogi, bo brakło im dostatecznej rezerwy paliwa; nie dałoby się ich też wylądować na okołomarsjańskich orbitach. To była prawda; musiały stanąć na Marsie. Ale trzy lata wcześniej próbny prototyp, co prawda z innym nieco modelem komputera, lądował na Marsie kilkakrotnie z pełnym powodzeniem. Domorośli rzeczoznawcy zdawali się o tym nie wiedzieć. Rozpętała się też kampania zmierzająca do zniszczenia politycznych popleczników Projektu Marsa; nazywano go wręcz szaleństwem. Musiały już gdzieś być gotowe listy wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu prac na obu przyczółkach, krytykowano sposób zatwierdzania projektów i testowania prototypów, suchej nitki nie zostawiono na czołowych postaciach marsjańskiego zarządu; ogólny ton był kasandryczny.

Kiedy zgłosił się o szóstą do kierownictwa, okazało się, że nie należy już do żadnej komisji, bo tę ich samozwańczą organizację Ziemia zdążyła anulować; mogli robić, co chcieli, ale wszystko miało się rozpocząć od nowa, oficjalnie i legalnie, dopiero po przyłączeniu ziemskiej grupy. Zdymisjowane gremium znalazło się jak gdyby w korzystniejszej niż wczoraj sytuacji: skoro nie miało o niczym decydować, tym swobodniej można było przygotować postulaty i wnioski dla instancji wyższej, to znaczy ziemskiej. Sytuacja materiałowa była w Wielkiej Syrcie dość złożona, ale nie krytyczna, natomiast brak dostaw musiał rozłożyć przyczółek Agathodaemona w ciągu miesiąca; o tym, by Syrta mogła mu przyjść z efektywną pomocą, nie było mowy. Brakowało nie tylko budowlanych materiałów, ale nawet wody. Wprowadzenie reżimu najwyższej oszczędności na bieżąco było konieczne. Słuchał tego Pirx jednym uchem, bo tymczasem dostarczono aparaturę rejestrującą ze sterowni. Szczątki ludzkie znajdowały się już w pojemnikach; co do tego, czy będą pochowane na Marsie, nie podjęto jeszcze decyzji. Rejestratów nie można było badać niezwłocznie, potrzebne były niejaki przygotowania i dlatego omawiano sprawy nie związane bezpośrednio z przyczynami i przebiegiem katastrofy: czy mobilizacja największej ilości mniejszych statków nie odwróciłaby groźby zagłady Projektu, czy dałoby się nimi dostarczyć życiowego minimum ładunków w dostatecznie krótkim czasie — przy czym Pirx pojmował racjonalność takich poszukiwań, ale zarazem trudno mu było nie myśleć o obu stutysięcznikach znajdujących się na kursie Marsa, które owymi uwagami jak gdyby już z góry przekreślano; jakby uznawano, że o ich dalszym ruchu na tej linii nie może być mowy. Więc co się miało z nimi stać — skoro musiały lądować? Wszyscy obecni znali już reakcję

amerykańskiej prasy, a na bieżąco dostarczono na salę radiogramy ze streszczonymi wystąpieniami polityków — niedobrze to wyglądało: Projekt jeszcze nie zdążył, ustami swoich przedstawicieli, rozpocząć składania wyjaśnień, a już znalazł się pod ogniem koncentrycznego oskarżenia. Pojawiały się nawet epitety pomawiające o „zbrodniczą lekkomyślność”. Pirx nie chciał mieć z tym nic wspólnego, toteż koło dziesiątej wymknął się z zadymionej sali i skorzystawszy z grzeczności mechaników obsługi kosmodromu, pojechał małym łazikiem na miejsce katastrofy.

Dzień, jak na Marsa, był raczej ciepły i prawie pochmurny. Niebo przybrało rzadki, nie tyle rdzawy, co niemal różowy kolor; w takich chwilach wydaje się, że Mars posiada własną, odmienną od ziemskiej, surową urodę, nieco zawoalowaną, jakby nie oczyszczoną, która niebawem wyłoni się w mocniejszych promieniach Słońca spod pyłowych zamieci i brudnych smug, lecz oczekiwania takie nie chcą się spełniać; nie chodzi o zapowiedź, lecz o najlepszy z pejzaży, jakie planeta ma do pokazania. Pozostawiwszy przysadzisty, do bunkra podobny budynek kontroli lotów o półtorej mili za sobą, dojechali do końca startowych płyt, bo zaraz dalej łazik beznadziejnie ugrzązł. Pirx miał na sobie lekki półskafander, jakim się wszyscy tu posługiwali, jaskrawoniebieski, dużo wygodniejszy od wysokopróżniowego, z lżejszym też tornistrem, dzięki otwartemu obiegowi tlenowemu; coś jednak źle działało w klimatyzacji, bo gdy spotniał od szybszych ruchów — trzeba się było przedzierać przez lotne wydmy — zaraz mu zamgliło szybę w hełmie; tyle że tutaj nie było to nieszczęściem, bo pomiędzy pierścieniem hełmu a piersiową częścią skafandra zwiślały, niczym korale indora, luźne woreczki, w które wtykało się rękę, i od środka można było sobie przetrzeć szkło, sposobem wprawdzie prymitywnym, ale skutecznym.

Dno ogromnego leja było zapchane maszynami gąsienicowymi: wykop, którym dotarto do sterowni, przypominał istny otwór kopalnianego szybu, był nawet osłonięty z trzech stron płatami zebrowanej blachy aluminiowej dla ochrony przed zsypywaniem się piasku. Połowę leja zajmowała centralna część kadłuba, wielka jak transatlantyk wyrzucony burzą na ląd i rozbity o skały; pod nią krzątało się z pięćdziesięciu ludzi, ale i oni, i ich dźwigi z koparkami wyglądały jak mrówki u zwłok olbrzyma. Sam dziób rakiety, prawie nietknięty, liczący sobie osiemnaście metrów, nie był stąd widoczny, bo impet cisnął nim o kilkaset metrów dalej; siła miazdząca zderzenia była straszna, skoro znajdowano grudki nadtopionego kwarcu — energia ruchu zmieniała się momentalnie w ciepła, dając termiczny skok jak przy upadku meteoru, chociaż szybkość nie była wszak zbyt znaczna: w granicach dźwiękowej. Pirx odniósł wrażenie, że dysproporcja pomiędzy środkami, jakimi dysponował Agathodaemon, a ogromem wraku — nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem sposobu

prowadzenia eksploracji; było to oczywiście improwizowanie, ale było też w tym improwizowaniu nieco bałaganu, prawdopodobnie wywołanego świadomością, że szkoda jest wprost niewyobrażalnie ogromna. Nie ocalała nawet woda, bo wszystkie cysterny co do jednej popękały i piasek pochłonął tysiące hektolitrow, nim reszta obróciła się w lód. Ten lód zwłaszcza robił makabryczne wrażenie, ponieważ z kadłuba — rozprutego na długość dobrych czterdziestu metrów — wywalały się brudne, połyskliwe lodospady, opierając się dziwnymi festonami o wydmy, jakby eksplodująca rakietą wyrzuciła z siebie całą zimową Niagarę. Ale też było osiemnaście stopni zimna, a w nocy temperatura spadła do sześćdziesięciu. Przez ten lód, kaskadą szklący bok „Ariela”, wrak wyglądał niesamowicie staro, można było sądzić, że leży tu od niepamiętnych czasów. Trzeba było go rozbijać i kuć, żeby dostać się do wnętrza kadłuba, albo też penetrować je od strony szybu. Wyciągano tamtędy ocalałe pojemniki, których stopy widać było tu i tam na stoku leja, ale działo się to jakoś niemrawo. Dostęp do rufowej części był wzbroniony; rozpięte na linach, furkotały zawzięcie czerwone chorągiewki — znaki radioaktywnego skażenia. Pirx obszedł górę, po obwałowaniu, teatr katastrofy; naliczył dwa tysiące kroków, nim znalazł się ponad okopconymi lejami dysz; zżymał się patrząc, jak robotnicy wyciągali i nie mogli wyciągnąć jedynej ocalałej cysterny z olejem pędnym, bo im się łańcuchy wciąż ześlizgiwały; zdawało mu się, że jest tu niezbyt długo, kiedy ktoś dotknął jego ramienia i pokazał mu zegar butli tlenowej. Ciśnienie spadło i trzeba było wracać, bo zapasowej nie wziął. Zegarek, ten nowy chronometr, wyjawiał, że tkwił u szczątków niemal dwie godziny.

Sala obrad zmieniła się: miejscowi zasiadali z jednej strony długiego stołu, po drugiej zaś ustawili technicy sześć dużych płaskich telewizorów; że jednak, jak zwykle, coś jeszcze nie chciało grać w łączności, odroczone obrady do pierwszej. Haroun, technik–telegrafista, którego Pirx znał przelotnie z Wielkiej Syrty, a który żywił dlań, nie wiedzieć czemu, wielkie uszanowanie, dał mu pierwsze powielone odbitki taśm z tak zwanej nieśmiertelnej komory „Ariela”; były to utrwalone decyzje rozrządu mocy, Haroun zaś nie miał prawa wręczyć mu ich nieoficjalnie, ale Pirx ocenił właściwie ów gest. Zamknął się w swym pokoiku i pod silną lampą zaczął na stojąco przeglądać jeszcze wilgotnawy wąż plastikowej taśmy. Obraz był tyleż wyraźny, co niezrozumiały. W 317 sekundzie procedury, dotąd bezbłędnie czystej, pojawiły się w obwodach kontroli prądy pasożytnicze, które w następujących sekundach przybrały postać dudnień. Dwukrotnie wygaszone, po przerzuceniu obciążeń na równoległe, rezerwowe części sieci, wróciły w spotęgowaniu, a dalej tempo pracy czujników narosło trzykrotnie względem normy. To, co miał w rękę, nie było rejestrem pracy samego komputera, lecz jego „rdzenia pacierzowego”, który, pod zarządem automatycznej

zwierzchności, uzgadniał otrzymane polecenia ze stanem agregatów napędowych. Układ ten nazywano niekiedy „mózdzkiem”, przez analogię do mózdzku zawiadującego też u człowieka — jako stacja kontroli między korą a ciałem — korelacją ruchów.

Obejrzał sobie wykres pracy „mózdzku” z największą uwagą. Wyglądało tak, jakby komputerowi spieszyło się, jakby — nie naruszając w niczym procedury — domagał się w jednostce czasu coraz większej ilości danych o podzespołach. Spowodowało to informacyjny tłok i wystąpienie prądów pasożytniczych, mianowicie echowych; odpowiednikiem ich byłyby u zwierzęcia nadmiernie spotęgowany tonus, czyli taka skłonność do zaburzeń motoryki, jaką zwie się pogotowiem drgawkowym. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał, co prawda, najważniejszych taśm, utrwalających decyzje samego komputera; Haroun dał mu to, czym sam dysponował. Ktoś zapukał do drzwi. Pirx schował taśmy do nesesera i wyszedł na korytarz; stał tam Romani.

— Nowi panowie też chcą, żeby pan uczestniczył w pracach komisji — powiedział. Nie był taki wydrenowany z sił, jak poprzedniego dnia, wyglądał już nieźle, chyba pod wpływem antagonizmów powstających w organizowanej tym osobliwym sposobem komisji. Pirx pomyślał, że zgodnie z prostą logiką rzeczy nawet niechętni sobie „Marsjanie” Agathodaemona i Syrty zjednoczą się, jeśli „nowi panowie” będą chcieli narzucić im własną koncepcję postępowania.

Komisja, ta nowo utworzona, składała się z jedenastu osób. Przewodniczył nadal Hoyster, ale jedynie dlatego, że nikt nie mógł podołać temu zadaniu, pozostając na Ziemi; obrady, w których uczestniczyli ludzie oddaleni o 80 milionów kilometrów, nie mogły iść sprawnie i jeśli zdecydowano się na tak ryzykowne rozwiązanie, to na pewno pod wpływem rozmaitych nacisków, jakie musiały już działać na Ziemi. Katastrofa uczyniła antagonizmy, także polityczne, w których ognisku od dawna działał cały Projekt.

Zrazu rekapitulowano jedynie uzyskane wyniki — dla Ziemi. Pirx znał spośród nich tylko głównego dyrektora stoczni, van der Yoyta. Barwny obraz telewizyjny, przy doskonałej wierności, dodawał mu jakby monumentalnych rysów; było to popiersie ogromnego człowieka z twarzą zarazem obwisłą i odętą, pełną władczej energii, otoczoną kłębam dymu, jakby go tam gdzieś podkadzano — niewidzialnym cygarem, gdyż ręce van der Yoyta były niewidoczne. To, co mówiło się na sali, słyszał z czterominutowym opóźnieniem, a jego głos dopiero po następnych czterech minutach mógł tu rozbrzmieć. Pirx poczuł do niego od razu niechęć, bo główny dyrektor zdawał się zasiadać wśród nich sam jeden — jak gdyby inni ziemscy rzeczoznawcy, co oczami mrugali z pozostałych ekranów, byli figurantami.

Gdy Hoyster skończył, przyszło czekać osiem minut, ale Ziemi nie chcieli na razie

zabierać głosu: van der Voyt zażądał taśm z „Ariela”, które już leżały przy mikrofonie Hoystera. Każdy członek komisji otrzymał powielony ich komplet. Nie było tego dużo, zważywszy, że rejestraty obejmowały tylko ostatnich pięć minut pracy sterowniczego kompleksu. Taśmy, przeznaczone dla Ziemi, wzięli na cel kamerzyści, a Pirx zajął się swoimi, od razu odłożwszy na bok te, które już znał dzięki Harounowi.

Komputer podjął decyzję odwrócenia procedury lądowania na startową w 339 sekundzie. Nie był to start zwykły, lecz ucieczka w górę, jakby przed meteorami — więc właściwie nie wiadomo co, bo miało to wygląd rozpaczliwej improwizacji. To, co się działo potem, owe zwariowane skoki krzywych na taśmach podczas runięcia — uznał Pirx za całkiem nieistotne, ponieważ szło tam już tylko o sposób, w jaki komputer dławił się, nie mogąc wypić nawarzonego przez siebie piwa. Istotne było teraz nie analizowanie szczegółów makabrycznej agonii, lecz przyczyna decyzji równoznacznej w efekcie z aktem samobójczym.

Przyczyna ta pozostała niejasna. Komputer pracował od 170 sekundy pod olbrzymim stresem i wykazywał niesamowite przeciążenie informacyjne, ale takim mądrym łatwo było okazać się teraz, bo widziało się wszak końcowe skutki jego pracy; o tym, że jest przeciążony, zawiadomił swoją sterownię, to znaczy — ludzi „Ariela”, dopiero w 201 sekundzie procedury. Już wtedy dławił się danymi — a żądał wciąż nowych. Zamiast wyjaśnień dostali w ręce nowe zagadki. Hoyster dał im dziesięć minut czasu na obejrzenie taśm i spytał potem, kto chce zabrać głos. Pirx podniósł palec jak w szkolnej ławce. Nim otworzył usta, inżynier Stotik, który był przedstawicielem stoczni i miał baczyć na przebieg rozładunku stutysięczników, zauważył, że trzeba zaczekać — być może, jako pierwszy zechce przemówić ktoś z Ziemi. Hoyster zawahał się. Był to nieprzyjemny incydent, zwłaszcza że doszło do niego już na samym początku; Romani poprosił o głos w sprawie formalnej i oświadczył, że jeśli dbałość o równouprawnienie zasiadających w komisji odbije się szkodliwie na płynności obrad, ani on, ani nikt z ludzi Agathodaemona w komisji pracować nie zamierza. Stotik wycofał się i Pirx mógł wreszcie mówić. — To jest podobno udoskonalona wersja AIBM 09 — rzekł. — Ponieważ przelatałem z AIBM 09 prawie tysiąc godzin procedur, mam pewne praktyczne spostrzeżenia co do jego pracy. Na teorii się nie znam. Wiem tyle, ile muszę wiedzieć. Chodzi o pracujący w realnym czasie komputer, który musi zawsze zdążyć z przerabianiem danych. Słyszałem, że ten nowy model ma przepustowość o 36 procent większą niż AIBM 09. To sporo. Na podstawie materiału, który dostałem, mogę powiedzieć, że było tak: komputer wprowadził statek w normalny tok lądowania, a potem sam zaczął sobie utrudniać pracę, żądając od podzespołów coraz większej ilości danych na jednostkę

czasu. Efekt był taki, jakby dowódca kompanii odrywał coraz większą ilość ludzi od walki po to, żeby z nich robić gońców czy informatorów; postępując w ten sposób, byłby pod koniec bitwy doskonale poinformowany, tyle że nie miałby już żołnierzy, nie miałby się kim bić. Komputer nie tyle został udławiony, ile sam się udławił. Zablokował się tą eskalacją i musiałby się zablokować, nawet gdyby miał dziesięć razy większą przepustowość — o ile nie przestałby podwyższać wymagań. Mówiąc bliżej matematyki: redukował sobie przepustowość po eksponencie, wskutek czego „mózdzek” — jako kanał węższy — zawiódł pierwszy. Opóźnienia pojawiły się w „mózdzku”, a potem przeskoczyły do samego komputera. Wchodząc w stan informacyjnego zadłużenia, czyli przestając być maszyną czasu realnego, komputer zagłuszył się sam i musiał podjąć decyzje radykalną, więc powziął decyzję startu, czyli wyinterpretował powstałe zakłócenie jako skutek z zewnątrz pochodzącej awarii.

— Dał ostrzeżenie meteorytowe, jak pan to tłumaczy? — spytał Seyn.

— W jaki sposób mógł się przełączyć z procedury głównej na podrzędną — nie wiem. Nie znam się na tym, bo nie znam się na budowie komputera, przynajmniej w sposób dostateczny. Dlaczego dał ten alarm? Nie wiem. W każdym razie jest dla mnie niezbite, że to on był winien.

Teraz trzeba już było czekać na Ziemię. Pirx był pewien, że van der Voyt zaatakuje go. i nie omylił się. Mięśnista, ciężka twarz spojrzała na niego przez dym cygara, zarazem oddalona i bliska; kiedy van der Voyt odezwał się, jego bas był uprzejmy, a oczy uśmiechnięte życzliwie, z taką wszechwiedną dobroduszością, jakby się preceptor zwracał do rokującego nieźle ucznia.

— Więc komandor Pirx wyklucza sabotaż? Ale na jakiej podstawie? Co znaczą słowa „on jest winien”? Kto — „on”? Komputer? Ale przecież komputer, jak sam komandor Pirx przyznał, pracował do końca. A więc program? Ale ten program nie różni się w niczym od programów, dzięki którym komandor Pirx lądował setki razy. Czy pan uważa, że ktoś dokonał manipulacji nad programem?

— Nie mam zamiaru wypowiadać się na temat, czy zaszedł jakiś sabotaż — rzekł Pirx. — To mnie na razie nie interesuje. Gdyby komputer i program były w porządku, to „Ariel” stałby tu cały, a nasza rozmowa nie byłaby potrzebna. Na podstawie taśm twierdzą, że komputer pracował we właściwym kierunku, w obrębie właściwej procedury, ale tak, jak gdyby chciał okazać się perfekcjonistą, któremu żadna osiągnięta sprawność nie wystarcza. Żądał danych o stanie rakiety w rosnącym tempie, nie uwzględniając ani własnych możliwości granicznych, ani pojemności kanałów zewnętrznych. Dlaczego tak działał, nie

wiem. Ale właśnie tak działał. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nikt z „Marsjan” się nie odezwał. Pirx, z nieruchomą twarzą, dostrzegł błysk satysfakcji w oku Seyna i milczące zadowolenie, z jakim Romani poprawił się na krześle. Po ośmiu minutach znów odezwał się van der Voyt. Tym razem nie mówił do Pirxa. Nie mówił też do komisji. Był samą swadą. Przedstawił drogę, jaką przebywa każdy komputer — od montażowej taśmy do sterowni okrętu. Agregaty składało w częściach osiem rozmaitych firm, japońskich, francuskich i amerykańskich. Nie wypełnione jeszcze pamięcią „nic nie wiedzące” jak noworodki, jechały do Bostonu, gdzie w zakładach „Syntronics” odbywało się ich programowanie. Po tym kolejnym akcie każdy komputer podlegał procedurze, która jest niejako odpowiednikiem nauk szkolnych, gdyż składa się zarówno z dostarczania pewnych „doświadczeń”, jak i z poddawania „egzaminom”. Tak jednak badano tylko sprawność ogólną; „studia specjalistyczne” rozpoczynał komputer w fazie następnej. W niej dopiero stawał się z uniwersalnej maszyny cyfrowej — sternikiem raket typu „Ariela”. I wreszcie podłączano go na roboczym stanowisku do symulatora, który imitował niezliczone sekwencje zajęć z tych, co bywają składowymi kosmicznej podróży: nieprzewidziane awarie, defekty zespołów, sytuacje trudnego manewru, także przy niesprawnych układach napędowych, pojawianie się na bliskim dystansie innych raket, obcych ciał. Każdą z tych naśladowanych przygód odgrywano w setkach wariantów: zakładając raz statek załadowany, a raz pusty, raz poruszający się w wysokiej próżni, a raz wchodzący w atmosferę, stopniowo komplikując symulowane sytuacje — aż do pojawienia się najtrudniejszych problemów wielu ciał w polu grawitacyjnym, kiedy to zmuszano maszynę, by przewidywała ich ruchy i orientowała bezpiecznie kurs swego statku.

Symulatorem także był komputer pełniący rolę „egzaminatora”, i to perfidnego; wstępnie utrwalony program „ucznia” poddawał niejako dalszym obróbkom, próbom na wytrzymałość i sprawność; jakkolwiek więc elektronowy zwiadowca sterów nigdy nie prowadził naprawdę statku, kiedy go montowano wreszcie na pokładzie rakiety, miał większe doświadczenie i wyższą sprawność niż wszyscy razem wzięci ludzie, co kiedykolwiek parali się kosmiczną nawigacją. Tak trudnych zadań, jakim musiał komputer podołać na stanowiskach symulacyjnych, nigdy nie spotyka się w rzeczywistości; aby zaś stuprocentowo wykluczyć wszelką możliwość prześlizgnięcia się nieszczęśliwie doskonałego egzemplarza przez to ostatnie sito, nadzór nad pracą dwójki „sternik + symulator” pełnił człowiek, doświadczony programista, który ponadto musiał posiadać wieloletni staż praktycznego pilotażu, przy czym „Syntronics” nie zadowoliliła się zaangażowaniem na te odpowiedzialne stanowiska pilotów: pracowali tam wyłącznie kosmonauci powyżej rangi nawigatora, czyli

tacy, co mieli ponad tysiąc godzin głównych procedur na swoim koncie zawodowym. W ostatniej instancji od tych ludzi zależało więc, jakim testom z nieprzebranego ich katalogu zostanie poddany kolejny komputer; fachowiec wyznaczał rozmiary trudności do pokonania, a powodując symulatorem, dodatkowo komplikował „egzaminę”, bo naśladował, w toku rozwiązywania zadań, nagłe i groźne niespodzianki: wypadanie mocy, rozogniskowanie ciągów, sytuacje kolizyjne, przebicia powłoki zewnętrznej, utratę łączności z naziemną kontrolą podczas lądowania, i nie ustawał w tym, aż upłynęło sto godzin standardowych testów. Egzemplarz, który okazałby w nich najmniejszą zawodność, był kierowany na powrót do pracowni, jak kiepski uczeń, któremu przychodzi powtarzać rok. Wyniósłszy tym przemówieniem produkcję stoczni ponad wszelkie zarzuty, chcąc pewno zatrzeć wrażenie takiej obrony, w pięknych okresach prosił van der Voyt komisję o bezkompromisowe zbadanie katastrofy i jej przyczyn, za czym odezwali się specjaliści ziemscy. Rzecz utonęła od razu w zalewie uczonej terminologii. Pojawiły się na ekranach schematy ideowe i blokowe, wzory, wykresy, zestawienia numeryczne, i Pirx widział z osłupieniem, że znajdują się na najlepszej drodze obrócenia sprawy w pogmatwany casus teoretyczny. Po głównym informatyku mówił cyfronik Projektu Schmidt; Pirx przestał go szybko słuchać. Nie zależało mu na tym, aby dzięki czujności wyjść obronną ręką z kolejnego starcia z van der Voytem, jeśli do niego przyjdzie. Było to zresztą coraz mniej prawdopodobne: wystąpienia jego nikt nie wspominał, jakby szło o nietaktowny wyskok, który godzi się najrychlejszemu zapomnieć. Następni mówcy wleźli już na wysokie piętra ogólnej teorii sterowania. Pirx wcale nie podejrzewał ich o złą wolę: po prostu rozważnie nie opuszczali terenu, na którym czuli się mocni, a van der Voyt z ufną powagą przysłuchiwał się im, w dymie cygara, bo stało się to, do czego zmierzał: prym wzięła w obradach Ziemia i „Marsjanie” pozostali w rolach biernych słuchaczy. Zresztą nie dysponowali żadnymi rewelacjami. Komputer „Ariela” był elektronicznym gruzem, którego badanie nie mogło dać żadnych rezultatów. Rejestraty obrazowały z grubsza, co zaszło, ale nie, czemu się tak stało. Nie opisują one wszystkiego, co się dzieje w komputerze: do tego byłby potrzebny inny, większy komputer, a gdyby uznać, że i ten może ulec defektowi, należałoby z kolei nadzorować nadzorcę, i tak w nieskończoność. Tak więc znaleźli się na szerokich wodach abstrakcyjnej analizy. Głębia wypowiedzi osłaniała prosty fakt, że katastrofa nie ograniczała się do zagłady „Ariela”. Stabilizację olbrzyma, schodzącego na planetę, przejęły od ludzi automaty tak dawno, że był to fundament, niewzruszalny grunt wszystkich działań — który nagle usunął się spod nóg. Żaden z modeli gorzej zabezpieczonych i prostszych nigdy nie zawiódł, więc jakże mógł zawieść model doskonalszy i pewniejszy? Jeśli to było możliwe, możliwe było wszystko. Zwątpienie, raz

zaatakowawszy niezawodność urzędów, nie mogło się już zatrzymać na żadnej granicy. Wszystko grzęzło w niepewności. Tymczasem „Ares” i „Anabis” zbliżały się do Marsa. Pirx siedział jakby zupełnie sam, bliski rozpaczy. Doszło właśnie do klasycznego sporu teoretyków, który coraz dalej odwodził ich od samego wydarzenia z „Arielem”. Patrząc w zarazem otyłą i masywną twarz van der Voyta, dobrotliwie patronującą obradom, Pirx odnajdywał w jej wyrazie podobieństwo do oblicza starego Churchilla, z jego pozorną dystrakcją, której zadawało kłam drgnienie ust odzwierciedlające uśmiech wewnętrzny, skierowany ku myśli skrytej ciężkimi powiekami. To, co było wczoraj jeszcze nie do pomyślenia, stawało się prawdopodobne — jako próba skierowania obrad ku werdyktowi, który zrzuciłby odpowiedzialność na siłę wyższą, może na fenomeny dotychczas nie znane, na lukę w samej teorii, z konkluzją, że trzeba podjąć zakrojone na wielką skalę i na całe lata badania. Znał podobne, chociaż mniejsze kalibrem sprawy i wiedział, jakie siły musiała uruchomić katastrofa; za kulisami toczyły się już wyteżone starania o kompromis, zwłaszcza że Projekt, tak zagrożony w całości, był skłonny do niejednego ustępstwa za cenę uzyskania pomocy, a tej mogły właśnie udzielić zjednoczone stocznie, chociażby dostarczając na dogodnych warunkach flotylli mniejszych statków dla zapewnienia dopływu dostaw. Wobec rozmiarów stawki — boż chodziło już o byt całego Projektu — katastrofa „Ariela” stawała się przeszkodą do usunięcia, jeśli nie można jej było niezwłocznie wyjaśnić. Nie takie afery nieraz już zamazywano. Miał wszakże jeden atut. Ziemianie przyjęli go, musieli wyrazić zgodę na jego obecność w komisji, ponieważ był w niej jedynym człowiekiem związanym z załogami rakiet mocniej niż ktokolwiek inny z obecnych. Nie miał złudzeń: wcale nie szło o jego dobre imię ani o kompetencje. W komisji był po prostu nieodzowny przynajmniej jeden kosmonauta czynny, zawodowiec, co właśnie zeszedł z pokładu. Van der Voyt palił w milczeniu cygaro. Zdawał się wszystkowiedny, ponieważ rozsądnie milczał. Wolałby pewno kogoś innego na miejscu Pirxa, ale skoro go licho nadało, zabrakło pretekstu, żeby się go pozbyć. Gdyby więc, przy mglistym werdykcie, złożył swoje votum separatum, zyskałoby znaczny rozgłos. Prasa wietrzyła skandale i czyhała tylko na taką okazję. Związek Pilotów i Klub Przewoźników nie stanowiły potęg, ale sporo od nich zależało — ci ludzie kładli przecież głowy pod Ewangelię. Toteż Pirx nie zdziwił się, usłyszawszy podczas przerwy, że van der Voyt chce z nim mówić. Przyjaciół potężnych polityków otwarł rozmowę żartem, że to jest spotkanie na szczycie — dwóch planet. Pirx miewał niekiedy odruchy, którym sam się potem dziwił. Van der Voyt palił cygaro i zwilżał sobie gardło piwem, on zaś poprosił, by mu przyniesiono kilka kanapek z bufetu. Słuchał więc głównego dyrektora w pomieszczeniach łączności, jedząc. Nic nie mogło ich lepiej zrównać.

Van der Voyt jakby nie wiedział, że się poprzednio starli. Nic takiego nigdy po prostu nie zaszło. Podzielał jego troskę o załogi „Anabisa” i „Aresa”; dzielił się z nim swymi kłopotami. Oburzała go nieodpowiedzialność prasy, jej histeryczny ton. Prosił go o ewentualne opracowanie małego memoriału w sprawie następnych lądowań: co można zrobić dla zwiększenia ich bezpieczeństwa. Pokładał w nim takie zaufanie, że Pirx przeprosił go na chwilę i wystawiwszy głowę przed drzwi kabiny kazał sobie dołożyć sałatki śledziowej. Van der Voyt basował mu i ojcował, a Pirx rzekł zniecka:

— Mówił pan o tych rzeczoznawcach nadzorujących symulację. Kto to jest z nazwiska?

Van der Voyt zdziwił się po ośmiu minutach, ale to było jedno mgnienie oka.

— Nasi „egzaminatorzy”? — uśmiechnął się szeroko. — Sami pana koledzy, komandorze. Mint, Stoernhein i Cornelius. Stara gwardia... Wytypowaliśmy dla „Syntronics” najlepszych, jakich można było znaleźć. Pan ich na pewno zna!

Dłużej nie mogli rozmawiać, bo zaczynały się obrady. Pirx zapisał karteczkę i podał ją Hoysterowi z uwagą: „To bardzo pilne i bardzo ważne.” Przewodniczący odczytał więc zaraz ów tekst, zwrócony do kierownictwa stoczni. Trzy pytania: 1) W jaki sposób zmianowo pracują naczelnicy kontrolerzy symulacyjni Cornelius, Stoernhein i Mint? 2) Czy i jaka jest odpowiedzialność ponoszona przez kontrolerów w wypadku przeoczenia błędnych funkcji lub innych uchybień pracy obciążanego komputera? 3) Kto z nazwiska nadzorował testowanie komputerów „Ariela”, „Anabisa” i „Aresa”?

Wywołało to poruszenie na sali: Pirx najwyraźniej dobierał się do najbliższych mu ludzi — czcigodnych zasłużonych weteranów kosmonautyki! Ziemia potwierdziła ustami głównego dyrektora odebranie tych pytań; odpowiedzi miano udzielić w ciągu kilkunastu minut.

Oczekiwał jej zgryziony. Źle się stało, że zdobywał informacje na tak oficjalnej drodze. Ryzykował nie tylko animozję kolegów, lecz i osłabienie własnej pozycji w rozgrywce, gdyby miało dojść do votum separatum. Czy próba wyjścia śledztwem poza sprawy techniczne, ku ludziom, nie mogła być wyłożona jako uleganie naciskom van der Voyta? Widząc w tym interes stoczni, generalny dyrektor niezwłocznie by go pogrzyżył, dostarczając prasie odpowiednich napomknien. Rzuciłby jej Pirxa na pożarcie jako niezręcznego sojusznika... Lecz nie pozostawało nic innego, jak ten ślepy strzał. Na zdobywanie informacji prywatnie, drogą okólną, nie było czasu. Co prawda, nie żywił żadnych określonych podejrzeń. Czym się więc kierował? Dość mętnymi wyobrażeniami o niebezpieczeństwach czających się zawsze nie po stronie ludzi i nie po stronie automatów,

lecz na styku — tam, gdzie jedni kontaktują się z drugimi, bo sposób rozumowania ludzi i komputerów jest tak niesamowicie różny. I jeszcze tym, co wyniósł z chwili spędzonej przed półką starych książek, a czego nie potrafiłby nawet wyrazić. Odpowiedź przyszła rychło: każdy kontroler prowadził swoje komputery od początku do końca testów, kładąc zaś podpis na akcie noszącym nazwę „świadczenia dojrzałości”, ponosił odpowiedzialność za dysfunkcyjne przeoczenia. Komputer „Anabisa” badał Stoernhein, pozostałe dwa — Cornelius. Pirx miał ochotę wyjść z sali, na co nie mógł sobie jednak pozwolić. Już i tak czuł narastające wokół napięcie. Obrady zakończyły się o jedenastej. Udał, że nie dostrzega znaków, jakie dawał mu Romani, i wyszedł czym prędzej, jakby uciekał. Zamknąwszy się w swojej klitce, gruchnął na łóżko i podniósł oczy do sufitu. Mint i Stoernhein nie liczyli się. Pozostawał tedy Cornelius. Umysł racjonalny i naukowy zacząłby rzecz od zapytania, co takiego mógł właściwie przeoczyć kontroler? Niezwłoczna odpowiedź, że zupełnie nic, zamknęłaby i tę odnogę śledztwa. Pirx nie był jednak naukowym umysłem, więc pytanie takie nie przyszło mu nawet do głowy. Nie próbował też zastanawiać się nad samą procedurą testową, jakby czuł, że i to źle się dla niego skończy. Myślał po prostu o Corneliusie takim, jakim go znał, a znał go nieźle, choć rozstali się przed wielu laty. Stosunki ich układały się kiepsko, w czym nic dziwnego, zważywszy, że Cornelius był dowódcą „Gulliwera”, on zaś młodszym nawigatorem. Układały się jednak gorzej niż zwykle w takiej sytuacji, gdyż Cornelius był potworem dokładności. Nazywano go mękalem, skrupulatem, liczykrupą i łowcą much, ponieważ potrafił zmobilizować pół załogi dla pogoni za muszką na pokładzie. Pirx uśmiechnął się na myśl o swych osiemnastu miesiącach pod skrupulatem Cornelusem; teraz mógł sobie na to pozwolić, wtedy wychodził ze skóry. Cóż to był za nudziarz! A jednak wszedł nazwiskiem do encyklopedii w związku z badaniami zewnętrznych planet, zwłaszcza Neptuna. Mały, szarawy na twarzy, wiecznie zły, podejrzewał wszystkich o to, że chcą go oszukać. W rzeczy, jakie opowiadał — że przeprowadza osobiste rewizje załóg, bo mu ludzie szmuglują muchy na pokład — nie wierzono, ale Pirx akurat wiedział, że nie było to zmyślenie. Cornelius miał w szufladzie pudło pełne proszku DDT i potrafił zastygać w rozmowie z podniesionym palcem (biada temu, kto nie zamarł na ów znak), łowiąc uchem to, co mu się wydało bzyknięciem. W kieszeni nosił pion i metr stalowy; kontrola ładunku w jego wykonaniu przypominała wizję lokalną na miejscu katastrofy, która wprawdzie nie zaszła jeszcze, ale nadciąga. Miał w uszach okrzyk: „Liczydło idzie, kryj się!” — po którym mesa pustoszała; pamiętał szczególny wyraz oczu Corneliusa, które jak gdyby nie brały udziału w tym, co akurat robił lub mówił, lecz nawiercały otoczenie, poszukując w nim nie doprowadzonych do ładunku miejsc. W ludziach latających dziesiątkami lat gromadzą się

dziwactwa, ale Cornelius był ich rekordzistą. Nie znosił niczyjej obecności za plecami, a kiedy przypadkiem siadł na krzesło, na którym ktoś siedział przed chwilą, i wyczuł to po ciepłe siedzenia, zrywał się jak oparzony. Był z tych, których wyglądu w młodości w ogóle nie można sobie wyobrazić. Nie opuszczał go wyraz zgnębienia niedoskonałością wszystkich dokoła; cierpiał, ponieważ nie mógł ich nawrócić na swoją pedantyczność. Pukając palcem w rubryki, po dwadzieścia razy w kółko sprawdzał...

Pirx zamarł. Potem usiadł powoli, jakby stał się ze szkła. Myśl, biegnąc wśród chaotycznych wspomnień, zawadziła niewidzialnie o coś i było to niczym pogłos alarmu. Co właściwie? Że nie cierpiał nikogo za plecami? Nie. Że zamęczał podwładnych? I co z tego? Nic. Ale jakby blisko. Był teraz jak chłopiec, który błyskawicznie zamknął garść, by pochwycić żuczka i trzyma zaciśniętą pięść przed nosem — bojąc się ją otworzyć. Powoli. Cornelius, prawda, słyszał ze swoich rytuałów. (Czy to?... — zatrzymywał się na próbę myśla.) Kiedy przychodziło do zmiany przepisów, wszystko jedno jakich, zamykał się z urzędowym pismem w kajucie i nie wyszedł z niej, dopóki nie wykuł nowości na pamięć. (To było teraz jak zabawa w „ciepło–zimno”. Czuł, że się oddala...) Rozstali się dziewięć, nie — dziesięć lat temu. Cornelius znikł dziwnie, jakoś raptownie, na szczycie rozgłosu, który zawdzięczał eksploracji Neptuna. Mówiono, że wróci na pokład, a locję wyklada tylko czasowo, lecz nie wrócił. Naturalna rzecz, był przy pięćdziesiątce. (Znów nie to.) A n o n i m . (Słowo to wypłynęło nie wiedzieć skąd.) Jaki znów anonim? Że jest chory i dysymuluje? Że grozi mu zawał? Skąd. Ten anonim to była zupełnie inna historia, innego człowieka — Corneliusa Craiga, tu — imię, tam — nazwisko. (Pomyliłem się?... Tak.) Lecz anonim nie chciał szczeznąć. Dziwna rzecz, nie mógł się odkleić od tego słowa. Im energiczniej je odrzucał, tym idiotyczniej wracało. Siedział skurczony. W głowie — muł. Anonim. Teraz był już niemal pewien tego, że słowo to przesłania jakieś inne. To się zdarza. Wskoczy fałszywe hasło i nie można ani pozbyć się go, ani zdrzeć z tego, które zakrywa. A n o n i m .

Wstał. Na półce, pamiętał, tkwił między marsjanami gruby słownik. Otworzył go na chybił trafił przy „AN”. Ana. Anakantyka. Anaklasyka. Anakonda. Anakreontyk. Anakruza. Analekta. (Ilu słów człowiek nie zna...) Analiza. Ananas. A n a n k e (greckie): Bogini przeznaczenia. (To...? Ale co ma wspólnego bogini...) Także: przymus.

Łuski spadły. Zobaczył biały gabinet, plecy lekarza, który telefonował, okno otwarte i papiery na biurku, które podwijał przeciąg. Zwykle badanie lekarskie. Nie starał się wcale przeczytać maszynowego tekstu, ale oczy same pochwyciły drukowane litery, jako chłopiec jeszcze uczył się uporczywie czytania do góry nogami. „Warren Cornelius, rozpoznanie: Syndrom anankastyczny.” Lekarz zauważył rozsypkę papierów, zebrał je i schował

do teczki. Czy nie był ciekaw, co oznaczała ta diagnoza? Chyba tak, ale czuł, że to nie byłoby w porządku — a potem zapomniał. Ile lat temu? Co najmniej sześć. ,

Odstawił słownik, jednocześnie poruszony, rozgrzany wewnątrz, ale i rozczarowany. Ananke — przymus, więc chyba nerwica natręctw. Nerwica natręctw! Czytał o niej, co się tylko dało, jako chłopiec jeszcze — była taka rodzinna sprawa — chciał się dowiedzieć, co to znaczy i pamięć, chociaż nie bez oporu, przecież udzielała wyjaśnień. Już co jak co, ale pamięć miał dobrą. Powracały zdania lekarskiej encyklopedii w krótkich błyskach olśnień, bo się od razu nakładały na postać Corneliusa. Widział go teraz zupełnie inaczej niż dotąd. Było to zarazem wstydlive i żalosne widowisko. A więc to dlatego mył ręce po dwadzieścia razy dziennie i musiał uganiać się za tymi muchami, i wściekał się, gdy zginęła mu kartka-zakładka do książki, i trzymał ręcznik pod kluczem, i nie mógł siadać na cudzym krześle... Jedne czynności przymusowe rodziły następne, coraz mocniej oblażył go ich pomiot, aż stawał się pośmiewiskiem. Nie uszło to w końcu uwadze lekarzy. Zdjęli go z pokładu. Gdy Pirx wyteżył pamięć, wydało mu się, że na samym dole stronicy znajdowały się trzy słowa rozstrzelone: „niezdolny do lotów”. A że psychiatra nie znał się na komputerach, pozwolił mu pracować w „Syntronics”. Pewno uznał, że to właśnie doskonałe miejsce dla takiego skrupulata. Co za pole do popisu dla pedanterii! Corneliusa musiało to podnieść na duchu. Praca użyteczna i — co najważniejsze — w najściślejszym związku z kosmonautyką...

Leżał z oczami wlepionymi w sufit i nie musiał się nawet specjalnie wysilać, żeby sobie wyobrazić Corneliusa w „Syntronics”. Co tam robił? Nadzorował symulatory przy obciążaniu okrętowych komputerów. To znaczy — utrudniał im pracę, a dawanie szkoły było jego żywiołem. Niczego lepiej nie umiał. Ten człowiek musiał żyć w stałej rozpaczy, że wezmą go w końcu za wariata, jakim nie był. W sytuacjach prawdziwie krytycznych nigdy nie tracił głowy. Był dzielny, ale tę dzielność na co dzień zjadały mu po trochu natręctwa. Pomiedzy załogą i swoim pokreconym wnętrzem musiał się czuć jak między młotem a kowadłem. Patrzył na cierpiętника nie dlatego, że ulegał owym musom, że był szalony, ale dlatego właśnie, że z tym walczył i bezustannie szukał pretekstów, usprawiedliwień, potrzebne były mu te regulaminy, chciał się nimi wytłumaczyć, że to nie on wcale, że to nie z niego ten wieczny dryl. Nie miał duszy kaprała — no bo czy w takim wypadku czytałby Poego, historie makabryczne i niesamowite? Może szukał w nich swojego piekła? Mieć w sobie taki kłębek drucianych musów, takie żerdzie jakieś, tory, i wciąż się z tym bić, zgniatać to, wciąż od nowa... Na dnie tego wszystkiego był strach, że stanie się coś nieprzewidzianego, przeciw temu się tak wciąż dozbrajał, musztrował, ćwiczył, te jego

próbne alarmy, wizytacje, kontrole, bezsenne łożenie po całym statku, wielki Boże — wiedział, że się z niego w kulak śmieją, może nawet pojmował, jakie to wszystko niepotrzebne. Czy jest do pomyślenia, że on się na tych komputerach tam jakby mścił? Że im dawał szkołę? Jeśli i tak było, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. To się nazywa wtórna racjonalizacja. Wytłumaczył sobie, że właśnie tak powinien postępować.

Zadziwiająca rzecz, jak przyłożenie do tego, co już poprzednio wiedział, co znał w postaci szeregu anegdot — całkiem innego języka, terminów medycznych, nadawało zdarzeniom nowy sens. Mógł zajrzeć w głąb, a pozwalał na to wytrych, jakiego dostarcza psychiatria. Mechanizm cudzej osobowości objawiał się nagi, zwięzły, zredukowany do garstki nieszczęsnych odruchów, którym nie można ująć. Myśl o tym, że można być lekarzem i tak właśnie traktować ludzi, nawet żeby im pomagać, wydała mu się do niesamowitości odpychająca. Zarazem rozcieńczona aura błazeństwa, co otaczała jakby nikłą obwódką wspomnienia o Corneliusie, szezła. W tym nowym, niespodziewanym widzeniu nie było miejsca na przymieszkę cwaniackiego, złośliwego humoru rodem ze szkoły, koszar i pokładów. Nie było nic w Corneliusie, z czego można by się śmiać.

Praca w „Syntronics”. Zdawałoby się — idealnie dostosowana do człowieka: obciążać, wymagać, komplikować do granicy wytrzymałości. Mógł wreszcie wyswobodzić uwięzione w sobie musy. Dla nie wtajemniczonych wyglądało to znakomicie: stary praktyk, doświadczony nawigator przekazuje swoją najlepszą wiedzę automatom; cóż może być lepszego? A on miał przed sobą niewolników i nie musiał się powściągać, skoro nie byli ludźmi. Schodzący z taśmy komputer jest jak noworodek: tak samo zdatny do wszystkiego, a nic nie umie.

Pobieranie nauk jest wzrostem specjalizacji i zarazem utratą pierwotnego nieodróżnicowania. Na stanowisku kontroli komputer pełni rolę mózgu, gdy symulator jest naśladowcą ciała. Mózg podłączony do ciała — oto właściwa analogia.

Mózg musi orientować się w stanie i gotowości każdego mięśnia, podobnie komputer — ma znać stan okrętowych zespołów. Wysyła elektrycznymi drogami rojowiska pytań, jakby ciskał tysiące naraz piłeczek we wszystkie zakątki metalowego olbrzyma, i z echowych odpowiedzi tworzy sobie obraz rakiety i jej otoczenia. W tę niezawodność wkroczył człowiek cierpiący na lęk przed niespodziewanym i zwalczający go rytuałami natręctw. Symulator stał się narzędziem przymusu, wcieleniem jego lękowych zagrożeń. Działał w zgodzie z zasadą naczelną: bezpieczeństwa. Czy to nie wyglądało na chwalebny gorliwość? Jak on się musiał starać! Normalny tok uznał niebawem za nie dość pewny. Im trudniejsza sytuacja statku, tym szybciej należy się o niej informować. Uważał, że tempo sprawdzania agregatów ma być

skorelowane z wagą procedury. A ponieważ najważniejsza jest procedura lądowania... Czy zmienił program? Ani trochę, jak nie zmienia przepisów podręcznika kierowcy ten, kto sprawdza silnik auta co godzina zamiast raz dziennie. Toteż program nie mógł się mu opierać. Dążył w kierunku, w którym program nie miał zabezpieczeń, bo coś takiego nie przyszło do głowy żadnemu programiście. Jeżeli tak przeciążony komputer zawodził, Cornelius kierował go na powrót do działu technicznego. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że zarządza je natręctwami? Chyba nie, był praktykiem, nie orientował się w teorii, skrupulat niepewności — takim był też wychowawcą maszyn. Przeciążał komputery, ale cóż — nie mogły się przecież skarżyć. Były to nowe modele, przypominające zachowaniem gracza w szachy. Komputer-gracz pobije każdego człowieka pod warunkiem, że jego pedagogiem nie będzie jakiś Cornelius. Komputer przewiduje ruchy partnera na dwa-trzy posunięcia naprzód; gdyby usiłował je przewidywać na dziesięć ciągów, udławiłby się nadmiarem możliwych wariantów, bo one rosną wykładniczo. Dla przewidzenia dziesięciu możliwych ruchów kolejnych na szachownicy nie wystarczy i trylionowość operacji. Takiego samoparalizującego się szachistę zdyskwalifikowałaby pierwsza rozgrywka. Na pokładzie rakiety nie było to zrazu widoczne: można obserwować tylko wejścia i wyjścia układu, nie to, co dzieje się w środku. W środku narastał tłok, na zewnątrz wszystko biegło normalnie — do czasu. A więc tak je układał — i takie repliki umysłu, który ledwo sprawnia się z realnymi zadaniami, bo tyle sobie wytworzył fikcyjnych — stanęły u steru stutysięczników. Każdy z tych komputerów cierpiał na syndrom anankastyczny: przymusowe powtarzanie operacji, komplikowanie czynności prostych, manieryzm, obrządkowość, uwzględnianie „wszystkiego naraz”. Nie naśladowały oczywiście lęku, a tylko strukturę właściwych mu reakcji; paradoksalne: to właśnie, że były nowymi, udoskonalonymi modelami o zwiększonej pojemności, przyczyniło się do ich zguby, ponieważ tak długo mogły przecież działać mimo stopniowego zadławiania obwodów sygnałowym tłokiem. Ale w zenicie Agathodaemona jakaś ostatnia kropla przepełniła czarę: może były nią pierwsze uderzenia wichury, wymagające błyskawicznych reakcji, ale zagwoźdzony lawiną, którą sam w sobie rozpętał, komputer nie miał już czym sterować. Przestał być urządzeniem czasu realnego, nie nadążał już z modelowaniem zająć rzeczywistych — tonął w urojeniach... Znajdował się naprzeciw olbrzymiej masy: tarczy planetarnej — i program nie pozwalał mu po prostu zrezygnować z kontynuowania procedury, raz wszczętej, chociaż zarazem kontynuować jej już nie mógł. Wyinterpretował więc sobie planetę jako meteor leżący na kursie kolizyjnym, ponieważ to była ostatnia otwarta furтка, ponieważ taką jedyną ewentualność dopuszczał program. Nie mógł przekazać tego ludziom w sterowni, bo nie był przecież rozumującym człowiekiem! Rachował do

końca, obliczał szansę: zderzenie było pewną zagładą, ucieczka — tylko w dziewięćdziesięciu kilku procentach, wybrał więc ucieczkę: awaryjny start!

Wszystko to układało się logicznie — lecz bez najmniejszego dowodu. Nikt nie słyszał dotąd o takim wypadku. Kto mógł potwierdzić przypuszczenia? Zapewne psychiatra, który leczył Corneliusa, i pomógł mu, a może tylko zezwolił, objąć tę pracę. Ale przez wzgląd na tajemnicę lekarską nie powiedziałby nic. Rozłamać ją mógłby tylko wyrok sądowy. Tymczasem „Ares” za sześć dni...

Pozostawał Cornelius. Czy domyślał się? Czy pojmował teraz, po tym, co się stało? Pirx nie potrafił się wczuć w sytuację starego dowódcy. Było to niedotykalne jak za ścianą ze szkła. Jeśli powstały w nim nawet jakieś wątpliwości, sam nie dopowie ich sobie do końca. Będzie się bronił przed takimi konkluzjami, to chyba oczywiste...

Rzecz wyjdzie przecież na jaw — po kolejnej katastrofie. Jeśli w dodatku „Anabis” wyląduje cało, rachuba czysto statystyczna — że zawiodły komputery, za które odpowiada Cornelius — skieruje podejrzenia w jego stronę. Zaczną brać pod lupę każdy szczegół i wtedy, po nitce do kłębka...

Ale nie można przecież czekać z założonymi rękami. Co robić? Wiedział dobrze: skasować całą pamięć maszynową „Aresa”, przekazać oryginalny program drogą radiową, informatyk pokładowy da sobie z tym radę w ciągu kilku godzin.

Ale by wystąpić z czymś takim, trzeba mieć w ręku dowody. Niechby tylko jeden. Niechby, na koniec, same poszlaki: ale on nie miał nic. Jedno wspomnienie, sprzed lat, jakiejś historii choroby, do góry nogami odczytanej w dwu wierszach... przezwiska i ploteczki... anegdoty, jakie opowiadano o Corneliusie... katalog jego dziwactw... Niepodobna wystąpić przed komisją z czymś takim jako dowodem schorzenia i przyczyna katastrofy. Jeśli nawet, rzucając takie oskarżenie, nie zważać na starego człowieka, to pozostaje „Ares”. Przez czas trwania operacji statek będzie jak ślepy i głuchy, skoro pozbawiony komputera.

Najważniejszy był „Ares”. Rozważał projekty już na pół szalone: jeśli nie może zrobić tego oficjalnie, czy nie wystartować i nie wysłać „Aresowi” ostrzeżenia i opisu tego myślowego śledztwa — z pokładu „Cuiviera”? Mniejsza o konsekwencje, ale to było zbyt ryzykowne. Nie znał dowódcy „Aresa”. Czy sam podporządkowałby się radom obcego człowieka w oparciu o takie hipotezy? Przy zupełnym braku dowodów? Wątpliwe...

Pozostawał więc już tylko sam Cornelius. Znał jego adres: Boston, zakłady „Syntronics”. Ale jakże zażądać, by ktoś tak nieufny, pedantyczny i skrupulatny przyznał się do popełnienia właśnie tego, czemu usiłował przez całe życie zapobiec? Być może, po rozmowach w cztery oczy, po perswazjach, po wskazaniu na groźbę zawisłą nad „Aresem”,

wyraziliby zgodę na to ostrzeżenie i poparłby je, bo był uczciwym człowiekiem. Ale w dyskusji prowadzonej między Marsem i Ziemią, z ośmiominutowymi pauzami, naprzeciw ekranu, a nie żywego rozmówcy, obruszyć takie oskarżenie na głowę bezbronnego, żądać, żeby się przyznał do zabójstwa —choć nieumyślnego — trzydziestu ludzi? Niemożliwe.

Siedział na łóżku ściskając jedną rękę w drugiej, jakby się modlił. Odczuwał bezmierne zdziwienie, że to możliwe: tak wszystko wiedzieć i tak nic nie móc! Objął wzrokiem książki na półce. Dopomogły mu — własną przegraną. Przegrali wszyscy, ponieważ spierali się o kanały, czyli o to, co rzekomo było na odległej plamce, w szklach teleskopów, a nie o to, co było w nich samych. Spierali się o Marsa, którego nie widzieli; widzieli dno własnych umysłów, z niego wylęły się obrazy heroiczne i fatalne. W przestrzeń dwustu milionów kilometrów rzutowali własne rojenia — zamiast nad sobą się zastanowić. Także i tutaj każdy, kto pakował się w gąszcz teorii komputerów i w niej szukał przyczyn katastrofy, oddalał się od sedna rzeczy. Komputery były bezwonne i neutralne, tak samo jak Mars, do którego on też żywił jakieś bezsensowne pretensje, jak gdyby świat był odpowiedzialny za majaki, które usiłuje mu narzucić człowiek. Ale te stare książki zrobiły już wszystko, co mogły. Nie widział wyjścia.

Na ostatniej, dolnej półce była i beletrystyka; wśród kolorowych grzbietów wypęły niebieskawy tom Poego. Więc i Romani go czytał? On sam nie lubił Poego za sztuczność języka, wymyślność wizji, która nie chciała się przyznawać do tego, że jest rodem ze snu. Ale dla Corneliusa była to prawie Biblia. Bezmyślnie wyjął ów tom, otworzył mu się w rękach na spisie rzeczy. Odczytał tytuł, który go poraził. Cornelius dał mu to raz, po wachcie, zachwalał tę opowieść o wykryciu mordercy fantastycznie wyreżyserowanym, nieprawdopodobnym sposobem. Potem on sam jeszcze chwalić ją musiał fałszywie — wiadomo, dowódca ma zawsze rację...

Najpierw tylko bawił się pomysłem, który go nawiedził, potem zaczął się do niego przymierzać. Było to trochę jak sztubacki kawał — a zarazem jak podły cios w plecy. Dzikie, niewydarzone, okrutne — ale kto wie, czy nie skuteczne w tej właśnie sytuacji: żeby wysłać w depeszy te cztery słowa. Być może te podejrzania są jedną brednią, Cornelius, do którego odnosiła się historia choroby, to całkiem inny człowiek, a ten obciążał komputery dokładnie podług normatywów i do niczego nie może się poczuwać. Otrzymałszy taką depeszę, wzruszy ramionami, myśląc, że jego dawny podwładny pozwolił sobie na kretyński dowcip, w najwyższym stopniu odrażający — ale też nic więcej nie pomyśli i nie uczyni. Jeśli jednak wiadomość o katastrofie wzbudziła w nim niepokój, nieokreślone podejrzenie, jeżeli już się po trosze zaczyna domyślać własnego udziału w nieszczęściu i stawia tym domysłem opór,

cztery słowa depeszy uderzą go jak grom. Poczuje się w oka mgnieniu przejrzany na wylot — w tym, czego sam nie považył się sformułować do końca, a zarazem winny: nie będzie mógł wtedy ująć już myśli o „Aresie” i o tym, co go czeka; gdyby nawet próbował się przed tym bronić, telegram nie da mu spokoju. Nie zdoła siedzieć z założonymi rękami, w biernym oczekiwaniu; telegram zajdzie mu za skórę, dobierze się do sumienia, a wtedy — co? Pirx znał go dostatecznie, by wiedzieć, że stary nie zgłosi się do władz, nie złoży zeznań, tak samo jak nie pocznie myśleć o najwłaściwszej obronie i sposobach umknięcia odpowiedzialności. Jeżeli raz uzna, że ponosi odpowiedzialność, bez jednego słowa, w milczeniu, uczyni to, co uzna za właściwe.

A więc nie można tak postąpić. Jeszcze raz przeszedł wszystkie warianty — gotów iść do samego diabła, żądać rozmowy z van der Voytem, gdyby cokolwiek rokowała... Ale nikt nie mógł pomóc. Nikt. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie „Ares” i te sześć dni czasu. Nakłonienie psychiatry do zeznań; obserwacja sposobów, jakimi Cornelius testował komputery; sprawdzanie „Aresowego” komputera — wszystko to wymagało tygodni. A więc? Przygotować starego jakąś wiadomością zapowiadającą, że... Ale wówczas wszystko spali na panewce. Tamten znajdzie w obolałej psychice wybiegi, kontrargumenty, w końcu najuczciwszy człowiek świata też ma instynkt samozachowawczy. Pocznie się bronić albo raczej będzie po swojemu milczał wzgardliwie, gdy tymczasem „Ares”...

Doznawał uczucia zapadania się, wszystko odtrącało go, jak w tym innym opowiadaniu Poego, Studnia i wahadło, gdzie martwe otoczenie milimetr po milimetrze zaciska bezbronnego, popychając go ku otchłani. Jaka może być większa bezbronność od bezbronności cierpienia, które trafiło kogoś i za to właśnie ma się go podstępnie ugodzić? Jaka może być większa podłość?

Zaniechać? Milczeć? Pewno, że to było najłatwiejsze! Nikt nigdy nawet się nie domyśli, że miał w ręku wszystkie nici. Po kolejnej katastrofie sami wpadną na trop. Raz uruchomione śledztwo dotrze wreszcie do Corneliusa i...

Ale jeśli tak właśnie jest, jeśli nie osłoni starego dowódcy nawet zachowując milczenie... nie ma do tego prawa. Nic już więcej nie pomyślał, bo zaczął działać, jakby wyzbyty wszelkich wątpliwości.

Na parterze było pusto. W kabinie laserowej łączności siedział jeden tylko dyżurny technik: Haroun. Wysłał taką depeszę: Ziemia, USA, Boston, „Syntronics Corporation”, Warren Cornelius: THOU ART THE MAN. I podpisał się z dodatkiem: członek komisji do zbadania przyczyn katastrofy „Ariela”. Miejsce wysłania depeszy: Mars, Agathodaemon. To było wszystko. Wrócił

do siebie i zamknął się. Ktoś pukał potem do drzwi, słychać było głosy, ale nie dał znaku życia. Musiał być sam, bo przyszły tortury myśli, jakich się spodziewał. Na to nie było już żadnej rady.

Czytał późną nocą Schiaparellego, żeby nie wyobrazić sobie po sto razy w różnych wariantach, jak Cornelius, unosząc szpakowate, nastroszone brwi, bierze do ręki depezę z nagłówkiem Marsa, jak rozkłada szeleszczący papier i odsuwa od dalekowzrocznych oczu. Ze Schiaparellego nie rozumiał ani słowa; a kiedy odwracał stronicę, wybuchało w nim bezmierne zdumienie przemieszane z dziecinnym prawie żalem: jak to, więc to ja? ja — potrafiłem coś takiego zrobić?

Nie miał przecież wątpliwości: Cornelius tkwił w potrzasku jak mysz; brakło mu luzu, szpary dla najmniejszego uniku, nie dopuszczała go sytuacja samym swoim kształtem nadanym jej przez zgrupowanie zdarzeń; więc swoim spiczastym, wyraźnym pismem rzucił na papier kilka zdań wyjaśnienia, że działał w dobrej wierze, lecz bierze na siebie całą winę, podpisał się i o trzeciej trzydzieści — w cztery godziny po otrzymaniu depezy — strzelił sobie w usta. W tym, co napisał, nie było jednego słowa o chorobie, żadnej próby usprawiedliwiania się, nic.

Jak gdyby zaakceptował czyn Pirxa tylko w tym, co się wiązało z ocaleniem „Aresa” i postanowił wziąć w tym ocaleniu udział — ale w niczym nadto. Jak gdyby wyraził mu jednocześnie rzeczową aprobatę i pełną wzgardę za tak zadany cios.

Być może zresztą Pirx mylił się. Jakkolwiek tkwi w tym pewna niewspółmierność, szczególnie dolegał mu we własnym uczynku jego koturnowo–teatrałny styl, rodem z Poe'go. Podszedł Corneliusa jego umiłowanym pisarzem i w jego stylu, który mu brzmiał fałszywie, od którego się zrywał, bo nie upatrywał zgrozy życia w zwłokach powracających zza grobu, co wskazują okrwawionym palcem mordercę. Zgroza ta była, zgodnie z jego doświadczeniem, raczej szydercza niż malownicza. Towarzyszyła refleksji nad zmianą roli, jaką Mars odgrywał w dwu następujących po sobie epokach, kiedy z nieosiągalnej, czerwonej plamki na nocnym niebie, objawiającej na wpół czytelne znaki obcego rozumu, stał się terenem zwyczajnego życia, a więc mozolnych zmaganiań, politycznych konszachtów, intryg, światem uciążliwej wichury, zamętu i strzaskanych rakiet, miejscem, z którego można było nie tylko dostrzec poetycznie błękitną iskrę Ziemi, ale i ugodzić na niej śmiertelnie człowieka. Niepokalany, bo na wpół domyślny Mars wczesnej areografii szczelł, pozostawiając po sobie tylko owe brzmiące jak formuły i zaklęcia alchemików — nazwy grecko–łacińskie, których materialne podłoże deptało się ciężkimi butami. Zaszła nieodwołalnie za horyzont epoka wysokich sporów teoretycznych i ginąc ukazała dopiero

swoje prawdziwe oblicze — marzenia żywiącego się własną niespełnialnością. Pozostał tylko Mars żmudnych prac, ekonomicznej rachuby i takich szarobrudnych świtów jak ten, w którym poszedł na obrady komisji z dowodem w ręku.

PRZEKŁADANIEC

SCENARIUSZ FILMOWY

(Gabinet adwokata Harveya. Brzęczyk, głos sekretarki)

GŁOS Klient do pana, mecenasie.

ADWOKAT Kto taki?

GŁOS Jeszcze u nas nie był. Pan Jones.

ADWOKAT Dobrze, niech wejdzie, *(Wchodzi Jones)*

ADWOKAT Witam pana. Proszę spocząć.

JONES Dziękuję. Mecenasie, chciałbym, żeby pan się zajął moimi sprawami. Nie mam do tego głowy ani czasu.

ADWOKAT Oczywiście. Po to tu jestem. Pana twarz wydaje mi się znajoma. Czy myśmy się już gdzieś widzieli?

JONES Może widział mnie pan w telewizji. Jestem kierowcą rajdowym.

ADWOKAT Naturalnie! Zespół „Jones i Jones” — „bracia w życiu i bracia za kierownicą”! Że też się od razu nie zorientowałem.

JONES Już nie ma zespołu, *(pokazuje żałobną opaskę na ramieniu)*

ADWOKAT Brat pana nie żyje? Wyrazy współczucia.

JONES Mówi się „trudno” i jeździ się dalej. Fajny był chłop, no i tego — wypadek. Dopiero przedwczoraj zdjęto mi szwy. Muszę wziąć się od nowa do treningów. Wyszedłem z formy.

ADWOKAT Zapewne. A więc — co mogę dla pana zrobić?

JONES To jest tak. Ja jestem kawaler, a brat był żonaty. Ubezpieczyliśmy się na krzyż. Jeżeli ja zginę, on bierze premię, a jeżeli on, to ja połowę i jego żona połowę. Znaczy się — wdowa po nim. Rozumie pan?

ADWOKAT Ależ tak.

JONES No, a teraz Towarzystwo Ubezpieczeń robi trudności.

ADWOKAT Odmawiają wypłaty premii?

JONES Odmawiają — nie odmawiają, ale kręcą. Chcą wypłacić tylko część.

ADWOKAT Tylko część? Z tytułu ubezpieczenia na życie?

JONES Tak wychodzi.

ADWOKAT A jak to uzasadniają?

JONES Ja tego dobrze nie rozumiem. Wychodzi na to, że brat nie całkiem umarł.

ADWOKAT Że nie całkiem umarł? Więc żyje?

JONES Skąd. Trup.

ADWOKAT Został pochowany?

JONES No, dużo to tam nie było do chowania, ale pogrzeb był. Bratowa poszła. Ja nie mogłem. Leżałem w szpitalu.

ADWOKAT A jak się przedstawiał wypadek?

JONES Zwyczajnie. Byłem na prowadzeniu. Pomparoni pchał mi się z lewej na koło, to ścinałem, ile lazło.

ADWOKAT Co pan ścinał?

JONES Zakręty. Aż przyszedł ten cholerny, za wzgórzem.

(Start rajdu. Tom Jones — kruczy brunet, brat Ryszarda — wśród dziennikarzy i kibiców. Błyski fleszów. Tom śmieje się przeraźliwym, tubalnym śmiechem jak z beczki. Ryszard już siedzi za kierownicą. Tom wsiada. Maszyna rusza. Start. Jakiś odcinek trasy. Zakręt, pagórek, zza pagórka wylania się wielkie rosochate drzewo. Przelatuje samochód, znika za pagórkiem. Huk. Drzewo powoli przechyla się i pada. Dym. Z dymu wytacza się jedno samochodowe koło. Syreny nadjeżdżających karet. Sanitariusze wynoszą dwa ciała na noszach. Karetki odjeżdżają z wyciem. Drzwi sali operacyjnej. Dwa okryte białą ciętą wjeżdżają na dwóch wózkach na salę. Zegar. Po godzinie wyjeżdża tylko jeden wózek, tak samo okryty białą)

(Gabinet adwokata)

JONES Doktor mówił, że nie dało się go wyciągnąć. Robił, co mógł, ale nie wyszło. Powiada, że jego obowiązkiem jest ratować za wszelką cenę życie, no to wziął i uratował.

ADWOKAT Doktor Burton? Ten chirurg?

JONES Tak. Mniej więcej wyszło jakoś tak *(pokazuje na siebie, robiąc zawile ruchy)* — gdzieś dotąd to ja, a dalej to już Tom.

ADWOKAT Tom?

JONES Brat. Nazywał się Tomasz, a ja jestem Ryszard.

ADWOKAT To znaczy, że z was dwóch...?

JONES *(z pewnym zniecierpliwieniem)* No tak, tak. ADWOKAT Transplantacja? Rozumiem. No dobrze, ale dlaczego Towarzystwo nie chce płacić?

JONES Ja też się pytam. Powinien ich pan zmusić. Niech płacą. Ja jestem, wdowa jest, dzieci zostały. Wlałem z tego wszystkiego w długie, a tu nadchodzi nowy rajd. Muszę

szukać pilota. Bo ja jestem kierowcą rajdowym, a nie wyścigowym. Uważa pan?

ADWOKAT Tak, tak, oczywiście... Ma pan może zdjęcie brata?

JONES Mam. (podaje zdjęcie)

ADWOKAT Istotnie, nie widzę żadnego podobieństwa.

JONES Prawda? On był brunet, a ja jestem blondyn.

ADWOKAT Czy można wiedzieć, jakie jest stanowisko bratowej?

JONES Stanowisko? Czeka na pieniądze. Musi z czegoś żyć, nie?

ADWOKAT Tak, naturalnie. Chodzi mi o to, czy ona, ehm, uważa się za wdowę?

JONES A za co ma się uważać? Wiadomo, mąż nie żyje, to żona wdowa. Nie?

ADWOKAT Na pewno, panie Jones. Ponad wszelką wątpliwość. Myślę, że oddał pan tę sprawę we właściwe ręce. Wkrótce otrzyma pan ode mnie dobrą wiadomość.

JONES To się chętnie słyszy! (śmieje się dokładnie w ten sam tubalny i przeraźliwy sposób, jak jego brat na wstawce)

ADWOKAT (w którym obudziła się wątpliwość) Panie Jones, a czy...

JONES Co: czy?

ADWOKAT Pan jest zupełnie pewien tego, że to właśnie pan jest Ryszardem Jonesem, a nie Tomaszem?

JONES Jak mogę być Tomaszem? Każdy może być tylko sobą, nie? Brat był pilotem, a nie kierowcą. Kierowca — to ja. Zresztą jest dowód.

ADWOKAT Dowód? Jaki dowód? JONES Wdowa z dziećmi. Zostały sieroty, nie?

ADWOKAT Naturalnie! A więc wszystko dokładnie wyświelimy i mam nadzieję, że sprawy ułożą się po pana myśli. Na razie do zobaczenia.

JONES Żegnam.

(Adwokat dzwoni do Towarzystwa Ubezpieczeń. Wnętrze ogromnej hali biur „Consolidated”. Między szeregami biur stoją na małych wózkach, podobnych do stolików barowych, plastikowe tory z częściami do wymowiania: sercami, nerkami, wątrobami, płucami itd.)

GŁOS (z mikrofonu) Uwaga, meldunek ze szpitala stanowego. Numer 366/9 oraz numer 179/B przekwalifikowane na 45 D oraz 51 D.

(Urzędniczka wstaje i zaczyna przenosić serce i płuca z jednego torsu do drugiego. Na tym tle odbywa się rozmowa rzecznika z adwokatem)

RZECZNIK Pan reprezentuje Jonesa? Nie radzę kierować sprawy do sądu. Przegrana jest pewna. Dlaczego? Dlatego, że obaj bracia Jones ubezpieczyli się nie od wypadku, lecz

na życie. A kto żyje? Żyje ten, czyje organy, życiowo niezbędne, żyją. Miejsce, w którym one żyją, nie ma żadnego znaczenia. Tu czy tam — to dla nas żadna różnica. Grunt, że żyją. A skoro żyją, to żyje też sam ubezpieczony — w odpowiednim stosunku procentowym. Owszem! Mogę panu podać saldo. Hallo, panno Land! Poproszę o podanie aktywów cielesnych Tomasza i Ryszarda Jonesów!

(Urzędniczka przytacza dwa wózki z torsami i podaje rzecznikowi dwie kartoteki)

RZECZNIK (do telefonu) Bilans Tomasza Jonesa przedstawia się następująco: 48,5 procent jego cielesnych ruchomości zostało zainwestowane w jego brata Ryszarda jako wkład o charakterze darowizny bezzwrotnej, pod postacią szeregu narządów osobistych. 21,5 procent cielesnych ruchomości wymienionego Tomasza zainwestowano w osobach trzecich, a do rodzinnego grobu złożono pozostałych 30 procent, spisanych na straty. Tak więc bilans czystych strat Tomasza Jonesa wynosi około 30 procent i w tej wysokości Towarzystwo skłonne jest honorować umowę ubezpieczeniową. Co? Jak pan mówi? Ryszard? Przecież sam pan twierdzi, że Ryszard żyje, więc jak możemy wypłacić jego premię pośmiertną? Co? Tomasz? Owszem, Tomasz nie żyje w 30 procentach. To wszystko. Cała reszta została zainwestowana i ma się doskonale. Żegnam.

(Podjazd szpitala. Adwokat wysiada z auta. Mijają go „koniki”)

KONIK I Pan szanowny życzy sobie czy też oferuje? Płacę najwyższe ceny.

KONIK II Pan na zabieg? Coś poważnego? Potrzeba do kompleciku detali? Wątróbka? Nereczka? Prima, klasa, wszystko jak nowe.

ADWOKAT Proszę zostawić mnie w spokoju! (Adwokat kroczy szybko przez korytarz szpitalny. Drzwi z napisem „Reklamacje”. Zagląda do środka. Rodzaj poczekalni. Facet, który siedzi z brzegu, ma dwie lewe ręce. Adwokat szybko zamyka drzwi i idzie dalej. Wchodzi do wielkiej sali. Ogromne szafy–lodówki Duży ruch. Magazynier w białym fartuchu i w masce wydaje owinięte gazą tobołki, podobne do gomółek sera. Siostry odwożą te tobołki na szpitalnych wózkach. Pośrodku stoi główny chirurg, otoczony przez kilku lekarzy. Adwokat podchodzi do niego)

DOKTOR Pan do mnie? Słucham.

ADWOKAT Panie doktorze, jestem adwokatem Ryszarda Jonesa. On i jego brat byli przez pana operowani. Chodzi o to, że Towarzystwo Ubezpieczeń...

DOKTOR Aha. Zaraz. Siostro! Proszę karty chorobowe Jones i Jones!

SIOSTRA II (podchodząc do doktora) Panie doktorze, siódma operacyjna. Dzwonią, że

nie pasuje.

DOKTOR To niech magazynier wyda większe. Mówiłem, że będzie za małe.

(Siostra I przynosi doktorowi karty chorobowe)

DOKTOR Aha. Przypominam sobie. No tak.

ADWOKAT Powiedziano mi w Towarzystwie Ubezpieczeniowym, że nie wszystko z tego, co — e — pozostawił zmarły brat, otrzymał ten brat, który żyje.

DOKTOR Ano tak. Była pewna superata. Zostało po prostu to i owo, a wobec niezwyklej ilości potrzebujących nie możemy przecież marnować takich nadwyżek. Pan to chyba pojmuje? Humanitaryzm nakazuje dzielić się. Jest to jedna z tych skomplikowanych sytuacji, jakie niesie z sobą postęp.

ADWOKAT To znaczy, że poza żyjącym bratem jeszcze i ktoś trzeci...?

DOKTOR No tak! Tak. A co się tyczy dalszych konsekwencji, zgodnie z moim powołaniem ratowałem człowieka, nie troszcząc się o jego stan, kawalerski czy małżeński. Toteż nie mogę powiedzieć panu obecnie, czy pani Jones jest wdową, czy nie jest. O tym musi zdecydować sąd. Chyba że dojdzie do jakiejś ugody. Ale to nie moja rzecz.

ADWOKAT Doktorze, co pan mówi?! Ja właściwie nie w tej sprawie, ale... Więc pan powiada, że wdowa może nie być wdową? Przecież rozpoznaje żyjącego jako szwagra! Była na pogrzebie męża! Jakież mogą powstać wątpliwości?!

DOKTOR Niestety, są wątpliwości. Nawet bardzo poważne. Powiedzmy, że naciskany nagłymi okolicznościami, dokonuję takiego zabiegu... *(pokazuje raka, jakby się przecinał w pasie na dwie połowy)* Kto, według pana, pozostaje wtedy przy życiu? Czy małżeństwo zawiera ten *(pokazuje od pasa w górę)* — czy ten? *(pokazuje od pasa w dół)* My tutaj zajmujemy się tylko ciałem. O tym, która część jest decydująca pod względem matrymonialnym, powinno przesądzić prawo.

ADWOKAT Więc to tak było! A czyja jest góra?

DOKTOR Mecenasiu, podałem panu jedynie przykład pogładowy. Rzeczywisty zabieg był daleko bardziej skomplikowany. Utworzyliśmy nową całość organiczną, przystosowaną do życia. Przecież równie dobrze może być i tak... *(pokazuje na siebie, jakby się przecinał w pionie i w poziomie — na ćwiartki)*

SIOSTRA III Panie doktorze, pacjent z osiemnastki zmarł.

DOKTOR Co, znowu? Niech doktor Finger zaraz go wskrzesi, *(do adwokata)* Bywa rozmaicie, pojmuje pan? To jest nasze zadanie. Nie mamy wpływu na konsekwencje natury prawnej, jakie mogą stąd wynikać!

ADWOKAT Takiego przypadku jeszcze nie miałem. Co radzi mi pan robić, doktorze?

DOKTOR Zdarzają się wypadki znacznie trudniejsze, zapewniam pana. W ubiegłym tygodniu doktor Gregg z Cincinnati dostał naraz osiemnastu pacjentów. Autobus, którym jechały te osoby, zleciał z mostu. Osiemnaście osób wsiadło do autobusu, a po operacji okazało się ich dziewiętnaście. I teraz, proszę pomyśleć, problem identyczności tej dziewiętnastej osoby! Papiery dla niej. Gdzie jest jej ojciec? Jej matka?

ADWOKAT Czy to możliwe?

DOKTOR Przecież mówię panu — to się właśnie zdarzyło doktorowi Greggowi. Zgodnie z przysięgą Hipokratesową, musimy ratować jak najwięcej życia. Pacjenci musieli być znacznej tuszy, znacznego wzrostu. Tak krawiec kraje, jak mu sukna staje. Co tam znówu? (Hałas, pojawia się pastor i z dała już mówi sopranem, gestykulując)

PASTOR Ja tego nie zniosę! To mi zrujnuje karierę duchowną! Przecież nie mogę wygłaszać kazań takim głosem!

DOKTOR Ależ, pastorze! Pastorze! Wyjaśniłem już panu, że to jest do odrobienia! (*do lekarza obok*) Kolego, zajmijcie się nim... (*odprowadzają pastora*)

ADWOKAT I nic mi pan nie poradzi?

DOKTOR Małżeństwo uważane jest zarówno za sprawę ducha, jak i ciała. Co się tyczy strony psychicznej, może się pan zwrócić do psychoanalityka, u którego leczył się pański klient. Musi pan przywykać. Podobnych wypadków mamy coraz więcej. Przy większej ilości dawców nieraz trzeba wiek pacjenta określać podług średniej arytmetycznej wieku wszystkich.

SIOSTRA III Panie doktorze, dzwoni siódemka, pacjent gotów.

DOKTOR Już tam idę. Przepraszam pana. Czas na mnie... (*odchodzi*)

(*Adwokat, bardzo głęboko zamyślony, rusza za pielęgniarzem, który toczy przed sobą wózek okryty białą. Wchodzi za pielęgniarzem i wózkiem przez szklane matowe drzwi. Po sekundzie wylatuje stamtąd z powrotem jakby goniony przez diabła*)

(*Gabinet adwokata. Wchodzi wdowa*)

ADWOKAT Witam. Pani Jones, czy tak?

WDOWA Tak. A pan jest jego adwokatem? Przyszłam tylko, żeby panu powiedzieć, że on się tak łatwo nie wykręci.

ADWOKAT Kto taki? Ryszard?

WDOWA To jeszcze kwestia, czy to Ryszard.

ADWOKAT Pani ma wątpliwości?

WDOWA A co mi tam wątpliwości! Mnie wszystko jedno. Ale jeśli to Ryszard, niech odda forszę z ubezpieczenia, za to, co ma po moim mężu, a jeżeli Tomasz, to niech nie siedzi w hotelu i niech nie wyrzuca pieniędzy na adwokatów, tylko niech wraca do żony i dzieci.

ADWOKAT Zaraz! Chwileczkę! Albo się pani uważa za wdowę, albo za zameżną. Jeżeli...

WDOWA Wiem. Wiem! Chce mnie pan skołować. Żadnych dyskusji nie będzie. Mam swojego adwokata. Czekam do soboty, a potem będziemy już rozmawiali, ale w sądzie! (wychodzi)

JONES (*wchodzi ostrożnie*) Widziałem ją. Mecenasie, była u pana, co?

ADWOKAT Pańska szwagierka? Owszem. Zna pan jej żądania?

JONES Aż za dobrze. Chce albo samej forsy, albo jeszcze i mnie na dodatek. Jak się inaczej nie da, to się chyba do niej przyznam. Zawsze będę jako mąż bliżej tych pieniędzy, nie? A co pan mi radzi?

ADWOKAT Drogi panie Jones, muszę pana zmartwić. To nie jest takie proste. Byłem w szpitalu i rozmawiałem też z rzeczoznawcami. Niestety, nie udało się stwierdzić, czy pan żyje, czy też pan zmarł.

JONES Że jak?

ADWOKAT Niech się pan tylko nie denerwuje! Nie mówię o stanie subiektywnym, drogi panie, tylko o stanie prawnym! Małżeństwo zawiera się zarówno w sensie duchowym, jak i w sensie cielesnym. Pod względem duchowym jest pan zapewne Ryszardem Jonesem. Ale pod względem cielesnym... (*rozkłada ręce*)

JONES Co pan tu mi opowiada? To kim ja jestem właściwie?

ADWOKAT Na rozprawie musi powstać problem ojcostwa dzieci, drogi panie Jones. Otóż pod względem duchowym nie jest pan ich ojcem, ponieważ nie zamierzał pan mieć dzieci ze swoją szwagierką ani też nie planował pan myślał kroków, których skutkiem jest ojcostwo. Nieprawdaż?

JONES Pewno, że nie chciałem. W życiu nic z nią nie miałem! Co za idiotyzm, przecież to bratowa!

ADWOKAT Ależ tak! Lecz proszę uważać: ze stanowiska pańskiego życia duchowego nie jest pan ojcem tych dzieci także w sensie prawnym. To nie pan przecież odpowiadał „tak” na pytanie pastora: „Czy chcesz pojąć ową kobietę za żonę?” Lecz, niestety, uległ pan wypadkowi i doszło do całego szeregu transplantacji. Zachodzi

obawa, a nawet pewność, że pan jest pod względem cielesnym ojcem. Albowiem znajduje się pan obecnie w posiadaniu takich regionów tamtego ciała, które, z tytułu ich przeznaczenia i funkcji, zawiadują ojcostwem.

JONES Nic nie rozumiem, ale to nieprawda. Żadnym ojcem nie jestem. W życiu nie tknąłem bratowej. Owszem, jak się nie da inaczej — mogę zaadoptować, ale nic więcej.

ADWOKAT Panie Jones! Pan nie ogarnia jeszcze zawiłości tej sprawy! Ojciec nie może zaadoptować własnych dzieci, a ponieważ, będąc cielesnie ojcem, pan nim nie jest duchowo, z tytułu matrymonialnego, albowiem to nie pan poślubił matkę tych dzieci, tylko pana brat, wynika z tego, że pan jest częściowo szwagrem, częściowo zaś mężem, i to samo też dotyczy ojcostwa! Lecz ani częściowe małżeństwo, ani częściowa adopcja, ani też rozwód na trzydzieści procent nie są możliwe prawnie!! Toteż nie może się pan ani rozwieść ze szwagierką, ani pobrać, chyba żeby zeznał pan przed sądem, że dzieci te nigdy w ogóle nie były dziećmi pańskiego brata, ale że pan, cudzołożąc, spłodził je przed wypadkiem ze szwagierką!

JONES To wtedy byłbym ich ojcem? Dziękuję!

ADWOKAT Nic podobnego! Wtedy właśnie byłby pan tylko ich wujem! A to, ponieważ obecnie pana zmarły brat znajduje się w posiadaniu... Chociaż nie! Przecież partycypowały w tym osoby trzecie! Być może, ojciec tych dzieci jest zupełnie gdzieś indziej i nawet nic o tym nie wie. Co za wypadek! Co za niesłychany casus prawny! Historyczny precedens!

JONES Daj mi pan spokój! Co się pan tak entuzjazmuje? Więc co ja mam robić, do jasnej cholery?

ADWOKAT Proszę tylko nie tracić nerwów. Głowa do góry!

JONES Jasne, że nie mogę sobie pozwolić na żadne zdenerwowanie. W piątek mam rajd. Mecenasiu, przyjdę do pana w sobotę. Wtedy się to załatwi. Będę miał wolniejszą głowę.

ADWOKAT Dobrze, drogi panie, ale pozostaje jeszcze jedna kwestia. Koszta rosna, wie pan. Wskazana jest zaliczka.

JONES Po rajdzie. Zapłacę, jak wygram. 50 000 wystarczy chyba na wszystko, nie? Zadłużyłem się, aż mi wierzyciele żyć nie dają. Wciąż łażą za mną. Ja tu — oni tu. Ja tam — oni tam. Co za cholerny pech z tym wszystkim!

(Na ulicy otacza Jonesa, wychodzącego z bramy, kilkanaście osób w różnym wieku)

JONES Odczepcie się! Dajcie mi spokój. No, jazda! Nie ma żadnej forsy. W sobotę pogadamy. Tak, w sobotę! Do soboty nic! (*wsiada do auta i odjeżdża; wierzyciele z rozczarowanymi minami patrzą w ślad za nim*)

(*Gabinet adwokata. Wchodzi Jones. Kuleje nieznacznie. W raku damska torebka, odkłada ją raczej ukradkiem gdzieś na bok*)

ADWOKAT Ciecze się, że pana widzę, drogi panie. Długośmy się nie widzieli!

JONES (*siadając ostrożnie*) A, tak. Prawie trzy miesiące. Co za cholerny pech!

ADWOKAT Gorąco panu współczuję. Pragnę też jednocześnie wyrazić panu moje najserdeczniejsze kondolencje. Słyszałem, że wskutek tragicznego wypadku stracił pan szwagierkę. To jest żonę. Zresztą, teraz to już nie jest istotne. Stracił pan w każdym razie osobę bliską i gorąco współczuję panu! Czy przyszedł pan w sprawie sporu z ubezpieczeniem? Rzec jeszcze nie ruszyła z miejsca, wie pan, ale...

JONES Nie, panie. Mam nowe kłopoty. Siedzę w takim imadle, że już nie wiem, co robić.

ADWOKAT O? Czytałem o pana katastrofie...

JONES W gazetach nie było wszystkiego. Tajemnica lekarska. No, gdyby nie doktor Burton, już bym nie żył. Ale kiedy wyjął mi przedwczoraj szwy, przyniesiono mi pocztą pozwы sądowe. Sześć sztuk! Z tym właśnie przychodzę do pana. Musi mnie pan ratować!

ADWOKAT Zrobię, co będę mógł. O co idzie?

JONES (*wyjmuje z kieszeni kartkę*) Nie spamiętałbym wszystkiego, to sobie zapisałem. To jest tak. Skarżą mnie o przywłaszczenie kosztowności, o profanację, czyli zbezczeszczenie... dalej nie mogę przeczytać. Ma pan może lupę?

(*Adwokat podaje lupę*)

JONES No, tak. O zaniedbanie obowiązków matki.

ADWOKAT Chyba ojca?

JONES Nie, matki.

ADWOKAT Pan jest kobietą?

JONES Skąd.

ADWOKAT Zmienił pan płeć?

JONES Niczego nie zmieniałem. To znaczy... (*masuje sobie kolana*) właściwie nie, to nie ja zmieniłem, to ona. Chociaż też nie, bo ona nie żyje.

ADWOKAT Nic nie rozumiem. Jaka „ona”?

JONES Salomea Tinnel.

ADWOKAT Kto to jest?

JONES Ten rajd miał mnie finansowo postawić na nogi. Poszukałem sobie nowego pilota.

Frank Smith. Może pan słyszał. Równy był chłop! Ale, cholera, ten mój pech!

ADWOKAT Co, znowu z was dwóch...?

JONES Nie. Tym razem było jeszcze gorzej. Ci moi wierzyciele i rozmaici inni ludzie przyszli popatrzeć na rajd, nie? Najlepszy widok jest na wirażu. Nawet szwagierka, chociaż miała do mnie pretensje, też przyszła. Jednym słowem, razem z nią stało tam osiem osób. *(wyjmuje inną karteczkę)* Wierzycieli moich pan zna, więc ich opuszczę. Poza tym Salomea Tinnel, lat 35, Nancy Quine lat 23, o szwagierce już pan wie, i tak to było: wszedłem w zakręt na stu osiemdziesięciu i byłbym wyprowadził, ale mi tył uciekł. Jak mnie nie weźmie, nie obróci...

(Wiraż. Grupa osób — widzów: szwagierka-wdowa, wierzyciele, dwie kobiety, z boku człowiek z psem-bokserem na smyczy. Samochód zbliża się z szaloną szybkością, wpada w poślizg, wylatuje z szosy, wali się drzewo — tam gdzie stała grupa ludzi — bucha dym, z dymu wytacza się jedno koło samochodowe, za nim drugie. Wycie karetek. Znane już drzwi sali operacyjnej. Wjeżdża gęsiego długa kolumna wózków okrytych bielą. Wyjeżdża tylko jeden wózek)

(Jones peroruje i gestykuluje w gabinecie adwokata)

JONES No i straciłem przytomność. Doktor mówi, że robił, co mógł. Kupę forsy jestem mu teraz winien. Wierzycieli niby się pozbyłem, ale i tak mam długów potąd!

ADWOKAT I szwagierka też... Jakże panu współczuję!

JONES (od czasu do czasu dotyka kolan, bioder, masuje sobie stawy) Też.

ADWOKAT Więc kto właściwie skarży pana teraz i o co?

JONES Narzeczony tej Nancy Quine — to raz. O zwrot platyny i złota.

ADWOKAT Jakiego złota?

JONES Tego... *(otwiera gębę i pokazuje złote korony)* Ten narzeczony jest dentystą. Mieli się pobrać. Po narzeczeńskiej zażyłości powstawał jej to i owo. Wszystko na złocie, a mostek platynowy. Teraz żąda, żebym mu to oddał.

ADWOKAT Pan? Jemu?

JONES Tak. Mówi, że to był prezent narzeczeński, a ja nie jestem jego narzeczoną. Niby racja, ale czy ja to zabrałem? Nikogo nie prosiłem o żadne korony. Żadnych złotych koron nie zamawiałem, więc dlaczego mam coś oddawać?

ADWOKAT No... e... zapewne... panie Jones. Osobliwa sprawa! Czy to są wszystkie roszczenia przeciwko panu?

JONES Skąd! Ta druga kobieta, Salomea Tinnel... nie znałem jej. Na oczy jej nie widziałem, a teraz jej wuj żąda, żebym łożył na utrzymanie dzieci.

ADWOKAT Jej dzieci?

JONES No tak.

ADWOKAT Rozumiem. Ponieważ spowodował pan ten wypadek na trasie i jest pan sprawcą, jakkolwiek nieumyślnym, co?

JONES Nic pan nie rozumie. Komisja stwierdziła, że nie jestem winien wypadku, bo tam był rozlany olej. Nie przez wypadek mam płacić, tylko dlatego, no, jednym słowem, w charakterze matki, względnie kontynuacji matki!

ADWOKAT Kontynuacja matki? Kto wymyślił to sformułowanie?

JONES Adwokat tego wujaszka. Powiada, że jestem matką w czwartej części.

ADWOKAT O jaką matkę chodzi?

JONES Nie, z panem się rozmawia! Mecenasiu, ta kobieta, Tinnel, miała troje dzieci. Tak? Była okropnie schorowana — na reumatyzm. Teraz, jak idzie na deszcz, to tak mnie w kolanach łupie, że nie czuję sprzęgła ani gazu. To dla mnie fatalne, sam pan pojmuję!

ADWOKAT To znaczy, że pani Tinnel... że jej nogi...

JONES No tak. Mniej więcej dotąd, (*niewyraźne ruchy w okolicy ud*) Taki reumatyzm, takie to wszystko schorowane, a ten wuj, łajdak, żąda, żebym się opiekował małymi, przysłała mi listy z pogrózkami, pisze tak: (*wyciąga z kieszeni list*) „Albo będziesz pan łożył na dzieci, albo żądam, żebyś niezwłocznie złożył nieodżałowane szczątki mej siostrzenicy do rodzinnego grobowca. Nie dopuszczę do tego, by ktoś wywijał resztkami mej drogiej zmarłej!” I co pan na to? Ludzie są tacy bezwzględni!

ADWOKAT Sporo tego. Pozwoli pan, że zanotuję? (*pisze i mruczy*) Mhm. Profanacja, złote korony, mostek, troje dzieci, obowiązek matki, reumatyzm... A zatem, mój panie Jones, skoro mi pan już wszystko wyjaśnił...

JONES Jakie tam wszystko. Jest jeszcze należność doktora Millera i na dodatek — pies.

ADWOKAT Czegóż żąda ów doktor?

JONES Żebym zapłacił za leczenie reumatyzmu. Pani Tinnel leczyła się u niego, ale płaciła rocznie. Właśnie teraz przypada termin zapłaty. Doktor powiada, że leczył nogi, i nogi są, więc płacić ma ten, kto chodzi nimi, kto ma te nogi. Grozi, że będzie mnie skarżył i że mnie zlicytuje! Ale, raz, że łupie mnie w stawach jak diabli...

ADWOKAT Nie! Nie tak, panie Jones! To fałszywa linia! Do tego proszę się nie przyznawać!

JONES Jak to? Kiedy mówię panu, że jak się tylko zanosi na deszcz...

ADWOKAT To nie ma nic do rzeczy. Jeśli pan się raz przyzna, że to nie pańskie nogi...

JONES Są moje! Przecież chodzę na nich, nie?

ADWOKAT W każdym razie zabraniam panu wdawać się z powodami w jakiegokolwiek spory czy rozmowy. Od tej chwili ja sam będą reprezentował wszystkie pańskie interesy.

JONES Doskonale.

ADWOKAT A co pan tam wspominał jeszcze o jakimś psie?

JONES Owszem. Stał tam jakiś typ z boku. Wyszedł cało, ale ten jego pies, bokser, znikł. On utrzymuje, że go sobie przywłaszczył.

ADWOKAT Pan?

JONES Tak. Ale to nonsens. Wzięte z powietrza. Nic nie wiem o żadnym psie. Doktor Burton też go sobie nie przypomina.

ADWOKAT Zaraz. Na wszelki wypadek zapiszemy. Pies rasy bokser. Dobrze. To już wszystko?

JONES Na razie tak. *(wstaje)* Gdzie jest? Przysięgnę, że tu ją gdzieś położyłem. Nie widział pan?

ADWOKAT Czego?

JONES Torebki.

ADWOKAT Tu leży jakaś torebka, *(wskazuje damską torebkę, którą Jones położył z boku na krześle)*

JONES Rzeczywiście. Dziękuję, *(bierze torebkę, wyjmuje chustkę, wyciera nią czoło)*

ADWOKAT Pan używa torebki...?

JONES Tak. Wygodniej. Nie uważa pan? Kieszenie się nie rozpychają...

ADWOKAT A można wiedzieć, czy od dawna?

JONES Nie pamiętam. Od jakiegoś czasu. A więc, mecenasie...

ADWOKAT Zaraz, panie Jones. Koszta zaczną teraz narastać. Sam pan pojmuje — tyle spraw! Jestem zmuszony prosić pana o zaliczkę.

JONES Spodziewałem się tego. Na razie mogę dać panu tylko sto dolarów, ale w przyszłym tygodniu startuję w rajdzie środkowoamerykańskim. Pierwsza nagroda 80000. Opędzi wszystkie koszta, nie? Muszę teraz porządnie trenować. Naładowany jestem aspiryną jak apteka... Oj, te nogi, te nogi! Ale mówi się „trudno”. Aha, mecenasie, mam zamiar ubezpieczyć się przed tym rajdem, wie pan, ale tak, żeby potem w razie czego Towarzystwo nie mogło się wykręcić sianem. Proszę o pańską pomoc.

ADWOKAT Chętnie. Przypilnuję tego. Panie Jones, czy pan uczęszcza wciąż do tego samego psychoanalityka?

JONES Tak. Do doktora Banglossa. Albo co?

ADWOKAT Nic. Chciałem po prostu wiedzieć. Do widzenia... i złamania karku!

JONES Bóg zapłać.

(Adwokat w gabinecie przyjmując psychoanalityka, doktora Banglossa)

ADWOKAT Tak więc jestem adwokatem Ryszarda Jonesa. Zresztą wyjaśniłem już cel mojej wizyty telefonicznie...

BANGLOSS Ależ tak. Bardzo proszę. Rozumiem, że musi pan poznać duchowe kulisy. Dobrze. Jones... osobliwy przypadek!

ADWOKAT Właśnie. Jest uwikłany w szereg spraw. Sąd może wezwać biegłych, wie pan, doktorze... żeby wydali orzeczenie. Jako jego obrońca muszę być na to przygotowany.

BANGLOSS Tak. Mówił mi pan to, pamiętam. Tu mam jego materiały... ale zasadniczo to przecież tajemnica lekarska.

ADWOKAT Działam w imieniu Jonesa. Dla jego dobra. Mnie tak samo obowiązuje zawodowa tajemnica.

BANGLOSS No tak. W ciągu ostatniego roku zarysowały się w nim pewne zmiany...

ADWOKAT Zmiany? Jakie?

BANGLOSS *(wskazuje na magnetofon)* Mam tu zarejestrowane fragmenty kuracji Jonesa. Stosuję metodę wolnych skojarzeń. Wie pan, na czym ona polega? Ja mówię jedno słowo, a pacjent odpowiada pierwszym, jakie przyjdzie mu do głowy.

ADWOKAT Znam to. Oczywiście.

BANGLOSS Fragment pierwszy pochodzi sprzed dwóch lat. Proszę posłuchać.

(Włącza magnetofon. Słychać głosy Jonesa i Banglossa)

BANGLOSS Noc.

JONES Reflektory.

BANGLOSS Ciemność.

JONES Bezpiecznik.

BANGLOSS Jak to „bezpiecznik”?

JONES Skoro jest ciemno, to światła nawaliły, nie?

BANGLOSS Uwaga, idziemy dalej. Kapelusz.

JONES Zawór.

BANGLOSS Jak pan kojarzy kapelusz z zaworem?

JONES Zwyczajnie. Kapelusz to cylinder, a w cylindrze są zawory.

BANGLOSS Aha. Uwaga! Krew.

JONES Stop.

BANGLOSS Dlaczego „stop”?

JONES No, czerwone światło.

BANGLOSS Trójca Święta.

JONES Dwójka.

BANGLOSS Co to „dwójka”?

JONES Drugi bieg.

BANGLOSS Kalambur.

JONES Karburator. (*Bangloss wyłącza magnetofon*)

BANGLOSS Tak, panie mecenasie, było przed dwoma laty. Cała symbolika freudowska sprowadzała się u niego do auta. Na łydki mówił „chassis” i nawet drażek, uważa pan, to była dla niego dźwignia zmiany biegów. A oto fragment protokołu nagranych po wypadkach. (*Włącza magnetofon*)

BANGLOSS Kapelusz

JONES Woalka

BANGLOSS Kwiat.

JONES Organy.

BANGLOSS Dlaczego „organy”?

JONES Pojęcia nie mam. Tak mi się powiedziało.

BANGLOSS A co za organy?

JONES Zwyczajne. Grające.

BANGLOSS Tłok.

JONES Obrączka.

BANGLOSS Atrament.

JONES Sakrament.

BANGLOSS Benzyna.

JONES Rękawiczki.

(*Psychoanalityk wyłącza magnetofon*)

BANGLOSS Więc, mecenasie, tu nie może być żadnej wątpliwości. Kapelusz — woalka, rzecz jasna — ślubna, kwiat — organy, chodzi o kwiecie pomarańczy, sytuacja ślubu. Tłok, poprzez pierścień tłokowy, kojarzy mu się ze ślubnym pierścieniem, czyli

obrączką. Z atramentu robi się sakrament małżeński, tak jak benzyna kojarzy mu się z rękawiczkami. Tylko kobietom kojarzy się, mój panie, bo mężczyźni nie bawią się w czyszczenie rękawiczek.

ADWOKAT Wielki Boże! A więc naprawdę go nie ma?

BANGLOSS Co też pan mówi? Jak to nie ma go?

ADWOKAT To przecież jasne — on jest Nancy Quine! Tą dziewczyną, która...

BANGLOSS Nie. Takie proste to nie jest. Ona by nie połączyła w ogóle tłoka z obrączką. Tłok na pewno nie kojarzyłby się jej z pierścieniami. Najwyżej ze ściskaniem. Ja bym powiedział tak: po wierzchu mamy Jonesa, a w głębi — dziewczynę. Jak masło na chlebie!

ADWOKAT Masło na chlebie? Pan żartuje...

BANGLOSS Bynajmniej. Czy pan nie wie, jak pracuje dzisiaj chirurg? Kawałek skóry, kawałek plastyku, kawałek jeszcze czegoś, co pod ręką — zeszył to, co akurat się nawinęło. Musiał sztukować. Po trochu.

ADWOKAT Po trochu?

BANGLOSS Najwidoczniej. To znaczy — o samej operacji nic mi nie wiadomo.

ADWOKAT Więc kimże on jest właściwie?

BANGLOSS A kim jest przekładaniec?

ADWOKAT Ale ja nie mogę reprezentować w sądzie przekładańca!

BANGLOSS Dlaczego nie? Nowe czasy — nowe obyczaje. Przywyknie pan!

ADWOKAT Coś jednak musi być górą! Czy on jest Jonesem?

BANGLOSS Trudno powiedzieć. Stał się chwilami agresywny. Na ostatnim seansie, kiedy wprowadziłem go w hipnotyczny trans, ugryzł mnie. (*pokazuje obandażowany palec*)

ADWOKAT Ugryzł pana? Wielki Boże, pies!

BANGLOSS Jaki pies?

ADWOKAT Bokser. Też się tam kręcił.

BANGLOSS Gdzie?

ADWOKAT Na miejscu wypadku. Potem znikł. Widział pan to miejsce?

BANGLOSS Nie. Czy to ma jakieś znaczenie?

ADWOKAT O tyle, o ile. Wszyscy stali pod ogrodzeniem. Taka siatka. No i samochód wleciał na nich... a pies też tam był. Był i znikł. Są na to świadkowie.

BANGLOSS Sądzi pan...? Hm. Pies? Wobec tego, jakkolwiek to... tego... może powinienem się zaszczepić?

ADWOKAT Sądzi pan, że Jones może być wściekły?

BANGLOSS Nie Jones. Pies.

ADWOKAT A czy to możliwe, żeby...

BANGLOSS Dlaczego nie? On ewentualnie odrzuci ‘ przeszczep, ale tymczasem ja mogę dostać wścieklizny. Lepiej zrobię to. Na wszelki wypadek. Dziękuję panu za tę informację.

ADWOKAT Nie ma za co. Ale co robić z tą sprawą?

BANGLOSS Wypadki toczą się z taką szybkością... Radzę panu na razie wstrzymać się z działaniem do następnego rajdu.

ADWOKAT Sądzi pan? Być może... *(wstaje, by się pożegnać)*

(Gabinet adwokata. Głos sekretarki)

GŁOS Panie mecenasie, przyszedł pan Jones.

ADWOKAT A, więc jest?! Doskonale! Niech wejdzie!

(Wchodzi Jones)

JONES Moje uszanowanie, mecenasie. Przychodzę do pana, bo...

ADWOKAT Wiem dobrze, z czym pan przychodzi! Czekałem na pana.

JONES Pan na mnie czekał? To dziwne

ADWOKAT Dlaczego dziwne?

JONES Dlatego, że do wczoraj nie byłem jeszcze w ogóle zdecydowany, jakiego wezmę adwokata. W końcu jednak postanowiłem udać się do pana, bo Jones tyle dobrego mi o panu opowiadał.

ADWOKAT Jones? Jaki Jones?!

JONES No, Ryszard Jones, mój kierowca z ostatniego rajdu, ten biedak... Ale prawda. Toż ja się zapomniałem przedstawić. Nazywam się John Fox. Jestem pilotem rajdowym. Byliśmy z Jonesem starymi kumplami. Kiedy zaproponował mi wspólny udział w tym rajdzie, chętnie się zgodziłem. Właśnie wtedy opowiedział mi, jak pan zabiega o jego interesy! No, a że sam rajd skończył się dla niego fatalnie — to już taka nasza ryzykowna profesja, nie? Pierwszych dwieście mil szliśmy w czołówce jak złoto, Ryszard doskonale prowadził, jak za najlepszych swoich dni, i dopiero na tym piekielnym wirażu...

(Trasa. Samochód rajdowy. Wiraż. Samotne drzewo Huk. Drzewo chyli się i pada. Narastający jęk syren. Drzwi sali operacyjnej)

KONIEC

KOBYSZCZĘ

Pewnego razu zdarzyło się, że świetny konstruktor Trurl przybył szarą godziną do swego przyjaciela Klapaucjusza milczący i zadumany, a gdy ten próbował go rozerwać opowiadaniem najświeższych kawałów cybernetycznych, odezwał się znienacka:

— Proszę cię, nie staraj się obrócić mego posepnego nastroju we frywolny, ponieważ w duszy kielkuje mi rozeznanie tyleż prawdziwe, co zasmucające. Dochodzę mianowicie do wniosku, że w całym naszym tak pracowitym życiu nie dokonaliśmy niczego cennego!

To mówiąc, skierował wzrok pełen potępienia i niesmaku na rozpostartą na ścianach Klapaucjuszowego gabinetu bogatą kolekcję orderów, odznaczeń i dyplomów honorowych w złożonych ramach.

— Na jakiej podstawie ferujesz tak srogi wyrok? — spytał, poważniejąc, Klapaucjusz.

— Zaraz ci to wyłożę. Godziliśmy zwaśnione królestwa, dostarczaliśmy monarchom trenażerów władzy, budowaliśmy maszyny gawędziarki i takie, co nadawały się do polowania, pokonywaliśmy podstępnych tyranów i zbójców galaktycznych, którzy się na nas zasadzali, lecz w ten sposób sobie tylko sprawialiśmy satysfakcję, siebie wynosiliśmy we własnych oczach, natomiast tyle co nic uczyniliśmy dla Dobra Powszechnego! Wszystkie nasze zapędy zmierzające do perfekcjonowania bytu maluczkich, których napotykaliliśmy w naszych wędrówkach planetarnych, nie doprowadziły ani raz jeden do wytworzenia stanu Doskonałej Szczęśliwości. Zamiast rozwiązań autentycznie idealnych dostarczaliśmy jeno pozorów, protez i namiastek, przez co zasłużyliśmy na miano prestidigitatorów ontologii, zręcznych sofistów działania, lecz nie na godność Likwidatorów Zła!

— Kiedy słyszę, jak ktoś rozprawia o programowaniu Powszechnej Szczęśliwości, ciarki przechodzą mi po krzyżu — odparł Klapaucjusz. — Oprzytomnijże, Trurlu! Zali nie są ci znane niezliczone przykłady tak właśnie poczętych działań, które obracały się w jedną ruinę i mogiłę najszlachetniejszych intencji? Czy nie pamiętasz już o fatalnym losie pustelnika Dobrycego, który usiłował uszczęśliwić Kosmos za pomocą preparatu zwanego altruizyną? Czy nie wiesz, że można w niejkiej mierze pomniejszać troski bytowe, wymierzać sprawiedliwość, rozjaśniać filujące słońca, lać balsam na tryby mechanizmów społecznych, ale szczęścia nie wyprodukujesz żadną maszyną? O jego powszechnym panowaniu wolno jedynie z cicha marzyć taką szarą godziną jak ta właśnie, ścigać je idealnym wyobrażeniem, upajać słodką wizją oko ducha, lecz to już wszystko, na co stać istotę najmędrszą, przyjacielu!

— Tak to się mówi! — odburknął Trurl. — Być może zresztą — dodał po chwili — uszczęśliwiać tych, którzy już od dawna istnieją, i to w sposób zdecydowany, wręcz trywialny, jest zadaniem nie do pokonania. Wszelako byłoby możliwe sporządzenie istot zaplanowanych z takim rozmysłem, aby im się nic oprócz szczęścia nie działo. Wyobraź sobie, jak wspinałym pomnikiem naszego konstruktorstwa (które czas obróci przecież kiedyś w proch oślepy) byłaby jaśniejąca kędyś na niebie planeta, ku której rzesze mgławicowych plemion obracałyby oczy z ufnością, aby powiadać: „Tak! Zaiste, jest szczęście możliwe, w postaci nieustannej harmonii, a udowodnił to wielki Trurl przy niejakiem udziale druha Klapaucjusza, dowód zaś na to żyje i rozkwita pysznie w objęciu naszego zachwyconego spojrzenia!”

— Nie wątpisz chyba, że o problemie, któryś poruszył, nieraz już myślałem — wyjawiał Klapaucjusz. — Nasuwa on poważne dylematy. Nauk, jakich udzieliła przygoda Dobrycego, nie zapomniałeś, widzę, i dlatego chcesz uszczęśliwić istoty, jakich dotąd nie ma, czyli szczęśliwców pragniesz na pustym miejscu stworzyć. Otóż pierwej należałoby rozstrzygnąć, czy w ogóle można uszczęśliwić nie istniejących? Poważnie w to wątpię. Musiałbyś najpierw dowieść tego, że stan nieistnienia jest pod każdym względem gorszy od stanu istnienia, nawet nieszczególnie przyjemnego, ponieważ bez takiego dowodu eksperyment felicytologiczny, którego ideą jesteś pochłonięty, mógłby dać niewypał. Wówczas do mrowia nieszczęśników, od jakich Kosmos się roi, dodałbyś tłum nowych, przez siebie stworzony — i cóż wtedy?

— Zapewne, eksperyment jest ryzykowny — przyznał, choć niechętnie, Trurl. — Mimo to uważam, że należałoby go podjąć. Natura tylko z pozoru jest bezstronna, że niby fabrykuje, co popadnie i jak leci, więc zarówno miłych, jak przykrych, łagodnych, jak okrutnych, ale dość zrobić remanent, by się przekonać, że na placu pozostają zawsze tylko istoty okrutne i przykre, najedzone tamtymi. A gdy niegodziwcom świta, że postępują nieładnie, wymyślają sobie okoliczności łagodzące albo wyższe uzasadnienia: ot, że paskuda bytu jest przyprawą zaostrażającą apetyt na raj lub inne takie miejsca. Podług mnie należy z tym skończyć. Natura nie jest wcale zła, jest tylko tępa jak but, więc działa po linii najmniejszego oporu. Trzeba ją zastąpić i samemu wyprodukować istoty świetlane, gdyż dopiero ich pojawienie się będzie prawdziwą kuracją bytu. Usprawiedliwią one z nadwyżką miniony okres, pełen wrzasku mordowanych, którego na innych planetach nie słychać tylko przez wzgląd na dystans kosmiczny. Po kiego licha wszystko, co żywe, ma wciąż cierpieć? Gdyby cierpienia istot poszczególnych wywierały choć taki impet, jaki ma kropla dżdżu, to — masz na to moją rękę i moje rachunki — przed wiekami już rozsadziłyby świat! Lecz poty

ich, póki życia, toteż proch zalegający grobowe krypty i opuszczone pałace milczy doskonale i nawet ty, ze swymi potężnymi środkami, nie odnalazłbyś w nim śladu bólu i trosk, co doskwierały wczoraj truchłom dzisiejszym.

— Istotnie, zmarli nie mają kłopotów — przyświadczył

Klapaucjusz. — To dobra prawda, skoro oznacza przemijalność cierpienia.

— Ale pojawiają się wciąż nowi cierpiętnicy! — podniósł głos Trurl. — Czy nie pojmujesz, że mój plan jest kwestią zwykłej przyzwoitości?

— Czekajże. Jakim właściwie sposobem istota szczęśliwa (załóżmy, że ci wyjdzie) będzie zadośćuczynieniem otchłani mąk, co zwietrzały, oraz nieszczęść trwających nadal po całym Kosmosie? Czy dzisiejsza cisza znosi wczorajszą burzę? Czy dzień unieważnia noc? Czy nie widzisz, że pleciesz androny?

— Więc, podług ciebie, nie należy nic robić?

— Nie mówię, że nic. Możesz poprawiać byty istniejące, a przynajmniej tego próbować z wiadomym ryzykiem, tych jednak, o których mówiłeś, niczym nie usatysfakcjonujesz. Byłżebyś innego zdania? Czy sądzisz, że wypychanie Kosmosu szczęśliwością do wypęku odmieni w najdrobniejszej mierze to, do czego w nim doszło?

— Ależ odmieni! Odmieni! — wołał Trurl. — Pojmij to tylko właściwie! Jeżeli nawet czyn mój nie dosięgnie tych, co minęli, zmieni się ta całość, której oni część stanowią. Odtąd każdy będzie musiał rzec: „Okropne fatygi, womitalne cywilizacje, przeraźliwe kultury przedstawiały jeno wstęp do treści właściwej, to jest do czasów obecnej lubości! Trurl, ów światły mąż, z zadum swoich taki wyciągnął wniosek, że złą przeszłość należy wykorzystać dla sporządzenia dobrej przyszłości. Na biedach uczył się, jak stwarzać bogactwa, na rozpaczach, ile są warte ekstazy, jednym słowem — Kosmos właśnie tym, że taki szkaradny, dał mu impuls do stworzenia Dobra!” Epoka obecna okaże się przygotowawczo — inspirująca — uważasz? — i dzięki niej nastąpi lubie ziszczenie. No jak, przekonałem cię chyba?

— Pod Krzyżem Południowym znajduje się państwo króla Troglodyka — rzekł Klapaucjusz — który lubi krajobrazy szpikowane szubienicami, skrywając atoli tę predylekcję za twierdzeniem, że nędznikami, jakimi są jego poddani, nie można inaczej rządzić. Chciał się też do mnie wziąć tuż po mym przybyciu, ale zmiarkował, że mogę go zetrzeć w proch, więc się przeląkł, uważał bowiem za rzecz naturalną, że jeśli on mnie nie zdoła — ja jego zatłamszę. Więc żeby mnie inaczej usposobić, wezwał zaraz swą uczoną radę, od której usłyszałem moralną doktrynę władzy, wy — koncipowaną na takie właśnie okazje. Płatni ci mędrcy powiedzieli mi, że im jest gorzej, tym bardziej łaknie się polepszenia,

więc ten, kto tak działa, że już wytrzymać nie można, nadzwyczaj przyspiesza rychłą poprawę rzeczy. Król był rad ich oracji, bo wyszło na to, że nikt jak on nie działa na rzecz przyszłego Dobra, skoro podnieca odpowiednimi antybodźcami myśl meliorystyczną do czynu. Więc twoi szczęśliwcy powinni Troglodykowi pomniki wystawić, a ty jesteś winien wdzięczność jemu podobnym, nieprawdaż?

— Szpetna i cyniczna przypowieść! — wypalił dotknięty do żywego Trurl. — Myślałem, że przyłączysz się do mnie, ale widzę, że wydzielasz tylko jady sceptycyzmu i sofizmatami obracasz wniwecz szlachetność mych planów. A przecież one są zbawicielskie w kosmicznej skali!

— Ach, więc ty chcesz zostać zbawicielem Kosmosu? — rzekł Klapaucjusz. — Trurlu, powinienem wziąć cię w dyby i wrzucić do tego loszku, abyś miał czas się opamiętać, lecz obawiam się, że to by zbyt długo trwało. Dlatego powiem tylko: nie czyń szczęścia zbyt gwałtownie! Nie udoskonalaj bytu galopem! A gdybyś nawet gdzieś stworzył szczęśliwych (w co wątpię), pozostaną nadal ci inni, dojdzie tedy do zawiści, tarć, napięć i kto wie, czy nie staniesz przed dylematem — chyba niemiłym: albo twoi szczęśliwcy dadzą się zawistnikom, albo zmuszeni będą owych przykrych, ułomnych i natrętnych co do nogi wytłuc; a to dla uzyskania pełnej harmonii.

Trurl powstał na równe nogi, ale opamiętawszy się, rozluźnił pięści, bo uruchomienie ich nie byłoby najważniejszym zapoczątkowaniem Ery Zupełnego Szczęścia, którą już twardo postanowił sporządzić.

— Zegnaj! — oświadczył lodowato. — Lichy agnostyku, niedowiarku, zdający się niewolniczo na flukta przyrodzonego biegu rzeczy, nie będę z tobą dyskutował słowami, lecz czynem! Po owocach moich prac poznasz z czasem, że miałem słusność!

Wróciwszy do domu, znalazł się Trurl w poważnym kłopotcie, epilog bowiem dyskusji, co się toczyła u Klapaucjusza, sugerował, jakoby posiadał już gotowy plan działania, co mijало się z prawdą. Uczciwie mówiąc, nie miał zielonego pojęcia, od czego zacząć. Wziął tedy z bibliotecznych półek gromadę dzieł poświęconych opisom niezliczonych społeczności i pochłaniał je z godną podziwu chyżością. A że mimo to zbyt wolno zapełniał sobie umysł potrzebnymi faktami, przywłókł z piwnicy osiemset kaset rtęciowej, ołowiowej, ferromagnetycznej i krionicznej pamięci, popodłączał je wszystkie kabelkami do swego jestestwa i w ciągu kilku sekund załadował sobie jaźń czterema trylionami bitów samej najlepszej i najbardziej otchłannej informacji, jaką tylko można znaleźć w pomroce gwiazd, na globach, a też na stygnących słońcach, zamieszkałych przez cierpliwych dziejopisów. Była to dawka tak silna, że zatrzęsło nim od stóp do głów; posiniał, oczy wyszły mu nieco na

wierzch, chwycił go nadto szczękościsk i przykurcz ogólny, a też zadygotał, jakby nie historiozofią i historiografią, lecz piorunem został porażony. Potem jednak zebrał siły, otrząsnął się, otarł czoło, oparł jeszcze drżące kolana o nogi stołu, przy którym pracował, i rzekł sobie:

— Widzę, że było i jest jeszcze o wiele gorzej, niż myślałem!!!

Przez jakiś czas temperował ołówki, lał inkaust do kałamarzy, stosami układał białe karty, lecz z tych przygotowań nic jakoś nie wynikało, więc już nieco zirytowany rzekł sobie:

— Muszę przez prostą solidność zapoznać się z pismami pradawnych, archaicznych mędrców, jakkolwiek zawsze odkładałem to w mniemaniu, że od tych starych przyków nowożytny konstruktor niczego się nie nauczy. Ale teraz niechże już będzie! Niech tam! Przestudiuję i tych na poły jaskiniowych, starozakonnych myślantów, dzięki czemu zabezpieczę się przed docinkami Klapaucjusza, który ich wprawdzie też nigdy nie czytał (a kto ich czyta w ogóle?), lecz ukradkiem wypisuje sobie z ich dzieł po zdaniu, by mnie cytatami gnębić i oskarżać o ignorancję.

Po czym, w samej rzeczy, wziął się do dzieł zbutwiałych i murszejących, chociaż okropnie mu się nie chciało.

W środku nocy, otoczony księgami, co, otwarte, wachlowały mu kolana, bo strącał je niecierpliwie ze stołu, rzekł sobie:

— Widzę, że przyjdzie mi nie tylko budowę rozumnych istot skorygować, ale i to, co one powymyślały jako filozofię. Zarodził życia był ci wszak ocean, który się przy brzegach uczciwie zamulił. Powstało błoto rzadkie, czyli koloidy — niedoidy, Słońce przygrzało, błoto zgęstniało, piorun w to huknął, wszystko zakwasił aminowo — czyli na amen — i tak powstał syr, który z czasem odszedł na suchsze miejsce. Wyrosły mu uszy, żeby słyszał, jak zdobycz nadciąga, a także zęby i nogi, żeby ją dogonił i zjadł. A jeśli mu nie wyrosły albo za krótkie były, jego zjedli. Stworzycielką rozumu jest tedy ewolucja; cóż w niej bowiem Głupota i Mądrość oraz Dobro i Zło? Dobro to tyle, kiedy ja kogoś zjem, a Zło, kiedy mnie zjedzą. Toż i z Rozumem: zjedzony, że na to mu przyszło, jest głupszy od jedzącego, ponieważ nie może mieć racji ten, kogo nie ma, a wcale nie ma tego, kto został spożyty. Lecz kto by wszystkich innych zjadł, sam będzie zamorzony, i tak się ustanawia umiar. Z biegiem czasu każdy syr wapnieje, bo to sparciały materiał, więc szukając lepszego, istoty grząskie wynalazły metal. Aleć same siebie w żelazie sportretowały, bo najłatwiejsza rzecz ściągać z gotowego, więc do przybycia prawdziwej doskonałości nie doszło. By! Gdyby odmienną kolejną rzeczy najpierw powstało wapno, potem z niego miękniejszy delikates, na koniec — mięciutka subtelność, filozofia całkiem inaczej by się uległa: jak widać, wywodzi się ona prosto z materiału, czyli

im bardziej byle jako się uskładała istota rozumna, tym rozpaczniej wykląda sobie siebie na opak. Jeśli w wodzie żyje, powiada, że na łądzie jest raj; jeśli na łądzie — że w niebie; gdy ma skrzydła, wyrabia sobie ideał z płetwami, a gdy nogi — przymaluje sobie gęsie skrzydła i woła: „Anioł!” Dziwne, że tego dotąd nie zauważył. Otóż regułę tę nazwijmy Prawem Kosmicznym Trurla: wedle niedoskonałości inżynierii własnej wszelki duch wystawia sobie Absolut Wyborny. Muszę to wszystko zakarbować sobie na okoliczność, kiedy będę się brał do prostowania podstaw filozofii. Teraz jednak czas budować. Wstępnie zakładam Dobro — lecz czym ono jest? Niechybnie nie ma go tam, gdzie nikogo nie ma. Wodospad nie jest dla skały ani dobry, ani zły, podobnie jak trzęsienie ziemi dla jeziora. Zmontuję więc Kogoś. Lecz tu uwaga: czy będzie mu dobrze? Ale skąd wiadomo, że komuś jest dobrze? Powiedzmy, że widziałbym, jak Klapaucjuszowi źle się dzieje. Cóż? Jedną połową duszy bym się smucił, a drugą radował, nieprawdaż? Jakieś to zawile. Możliwe, że komuś jest dobrze w porównaniu z sąsiadem, lecz nic o tym nie wie i dlatego nie uważa, jakoby mu się dobrze działo. Należałoby budować istoty mające na oku podobne sobie, w mękach tkwiące? Czująłby się silnie usatysfakcjonowane przez sam kontrast? Być może, wszelako jakieś to paskudne. A więc trzeba tu dławika oraz transformatora. Nie należy od razu brać się do składania szczęśliwych społeczności: na początek niech będzie indywiduum!

Zakasał rękawy i w trzy dni zbudował Kontemplator Bytu Szczęsny, maszynę, która świadomością, rozjarzoną w katodach, zespała się z każdą postrzeżoną rzeczą i nie było na świecie nic takiego, co by jej uciechy nie sprawiało. Usiadł przed nią Trurl, by rozważyć, czy o to mu chodziło. Kontemplator, rozkraczony na trzech metalowych nogach, wodził lunetowymi oczyskami po otoczeniu, a czy natrafił wzrokiem na deskę parkanu, na głąz czy stary trzewik, niezmiernie się zachwycił, tak iż postękiwał z cicha od nadzwyczajnej lubości, co go rozpierała. Kiedy zaś Słońce zaszło i zorze niebo zrózowiły, kucnął nawet od zachwycenia.

— Klapaucjusz powie naturalnie, że samo kucanie i stękanie jeszcze o niczym nie świadczy — rzekł do siebie Trurl, coraz bardziej czegoś niespokojny. — Zażąda dowodów...

Wprawił tedy Kontemplatorowi w brzuch znaczny zegar z połączoną strzałką, który wyskalował w jednostkach szczęśliwości i nazwał je hedonami lub hedami w skrócie. Za jeden hed przyjął tę ilość ekstazy, jakiej się doznaje, gdy przebędzie się cztery mile w bucie z gwoździem wystającym, a potem gwoźdź się usunie. Pomnożył drogę przez czas, podzielił przez zadziorność gwoźdźnia, przed nawias wyprowadził współczynnik pięty zmęczonej i tak mu się udało przełożyć szczęście na układ centymetr — gram — sekunda. Tym się trochę pocieszył. Wpatrując się w poplamiony oliwą fartuch roboczy Trurla, który się krzątał przy

nim, Kontemplator, zależnie od kąta nachylenia i ogólnego oświetlenia, doznawał od 11,8 do 18,9 hedów na plamę, łąkę i sekundę. Na dobre się uspokoił konstruktor. Obliczył zaraz, że jeden kilohed to tyle, ile starcy doznali, podglądając Zuzannę w kąpielni, że megahed — to radość skazańca w porę odciętego od stryczka, a widząc, jak wszystko daje się doskonale wyliczyć, posłał zaraz jedną z ostatnich machin laboratoryjnych po Klapaucjusza.

Gdy ten nadszedł, rzekł mu:

— Patrz i ucz się.

Klapaucjusz obszedł maszynę dokoła, ta zaś, skierowawszy na niego większość teleobiektywów, przykucnęła i stęknęła parę razy. Zdziwiły te jakby studzienne odgłosy konstruktora, lecz nie dał tego po sobie znać i spytał tylko:

— Co to jest?

— Istota szczęśliwa — rzekł Trurl — a mianowicie Kontemplator Bytu Szczęsny, w skrócie zaś — Kobyszcze.

— I cóż robi to Kobyszcze?

Trurl poczuł w tych słowach ironię, lecz puścił ją mimo ucha.

— Aktywnym sposobem bezustannie postrzega! — wyjaśnił. — I nie po prostu postrzega, notując, lecz czyni to intensywnie, w skupieniu i pracowicie, a cokolwiek postrzeże, przyprawia je o niewypowiedzianą zgoła lubość! I lubość ta, wypełniając jego anody i obwody, daje mu czarowny błogostan, którego oznaką są te właśnie pojęki, jakie słyszysz w tej chwili, kiedy wpatruje się w twoje, banalne skądinąd, rysy.

— Znaczy się ta maszyna doznaje aktywnej rozkoszy z istnienia jako postrzegania?

— Tak właśnie! — rzekł Trurl, ale cicho, bo nie był już czegoś taki pewny siebie jak przed chwilą.

— A to jest zapewne felicytometr, wyskalowany w jednostkach słodczy egzystencjalnej? — Klapaucjusz pokazał tarczę ze złożoną wskazówką.

— Tak, to ten zegar...

Różne rzeczy zaczął wtedy pokazywać Klapaucjusz Kobyszczeniu, pilnie bacząc na wychylenia strzałki. Trurl, uspokojony, wprowadził go w teorię hedonów, czyli felicytometrię teoretyczną. Od słowa do słowa, od pytania do pytania biegła ta rozmowa, aż Klapaucjusz zagadnął w pewnej chwili:

— A ciekawe, ileż by jednostek tkwiło w doznaniu, które na tym polega, że ten, kogo przez trzysta godzin bito, sam z kolei łeb temu, kto go bijał, rozwali?

— A, to proste zadanie! — uradował się Trurl i siadał już do rachunków, kiedy doszedł go głośny śmiech przyjaciela. Osłupiały zerwał się, ów zaś rzekł mu, wciąż jeszcze

się śmiejąc:

— Powiadasz więc, że za naczelną zasadę przyjąłeś Dobro, mój Trurlu? No, cóż, prototyp ci się udał! Tylko tak dalej, a wszystko ci pójdzie doskonale! Na razie zaś żegnaj.

I odszedł, pozostawiając Trurla całkiem załamanego.

— A tom się złapał. A to mnie splantował! — jęczał konstruktor, a jęki jego mieszały się z ekstatycznym stękaniem Kobyszczenia, które go tak zirytowało, że natychmiast wepchnął maszynę do komórki, zarzucił ją starymi blachami i zamknął na kłódkę.

Zasiadł potem do pustego stołu i tak sobie powiedział:

— Pomieszałem ekstazę estetyczną z Dobrem — a to ze mnie osioł! Czy zresztą Kobyszcze jest rozumne? Cóż znowu! Trzeba ruszyć konceptem całkiem inaczej, do wszystkich jąder atomowych! Szczęście — zapewne, lubość — bez wątpienia, lecz nie na cudzy koszt! Nie ze Zła płynące! Ot, co! Lecz czymże jest Zło? O, widzę, że w mej dotychczasowej działalności konstruktorskiej okropnie teorię zaniedbałem!

Przez osiem dni nie kładł się, nie spał, nie wychodził, jeno studiował dzieła niezmiernie uczone, materię Dobra i Zła rozważające. Pokazało się, że podług wielu mędrców najważniejszą rzeczą jest spolegliwe opiekuństwo oraz życzliwość powszechna. Jedno i drugie muszą sobie okazywać nawzajem istoty rozumne: bez tego nic. Co prawda pod tym właśnie hasłem na pale wbijano, płynnym ołowiem pojono, a też ćwiartowano na polcie, rozdzierano kołem i wołem, łamano gnaty, a w ważniejszych historycznie chwilach używano po temu nawet zaprzęgów poszóstnych. Także w niezliczonych formach innych tortur bywała życzliwość okazywana historycznie, gdy ją adresowano do ducha, nie do ciała.

— Intencja nie wystarczy! — rzekł sobie Trurl. — Powiedzmy, żeby sumienia poumieszczać nie w ich właścicielach, lecz w bliźnich, obok, a wymiennie. Co by stąd wynikło? O, bieda, ponieważ odtąd moje złe uczynki gryzłyby sąsiada mojego, więc jeszcze swobodniej niż dotąd mógłbym się w grzechu nurzać! Więc może trzeba wbudować do zwyczajnego sumienia amplifikator zgryzu, czyli sprawić, aby każdy zły uczynek nękał w konsekwencjach tysiąc razy srożej niż dotąd? Ale wtedy każdy z prostej ciekawości zaraz zrobi coś złego, żeby się przekonać, czy to nowe sumienie naprawdę tak diabelnie gryzie — i do końca swych dni będzie gnał jak bura suka, cały pogryziony wyrzutami... Więc może sumienie ze wstecznym biegiem i wycieraczką, ale zaplombowaną? Jeno władza będzie miała kluczyk... Nie! I to na nic, bo od czego wytrychy? A gdyby przyrządzić transmisję uczuć — jeden czuje za wszystkich, wszyscy za jednego? Ale, prawda, to już było, tak właśnie działała altruizyna... Więc może tak: każdy ma wprawiony w tułów mały detonatorek z odbiorniczkiem i jeśli mu, w zamian za jego złe i podłe czyny, złe życzy więcej aniżeli

dziesięciu bliźnich, od zesumowania się dziesiątka ich intencji na wejściu heterodynowym ten, do kogo są adresowane, wylatuje w powietrze. Co? Czyby wtedy każdy gorzej niż zarazy nie unikał Zła? Pewnie, że unikałby, i jak jeszcze! Wszelako... cóż to za szczęśliwy żywot — z miną opóźnioną koło żołądka? Zresztą mogłyby powstawać tajne spiski przeciwko pewnym osobom, starczyłoby, że się dziesięciu niegodziwców przeciw niewinnemu zmówi, i już niewinny w drobny mak... No, to może odwrócić po prostu znaki? Też na nic. Cóż to, u licha, mnie, który Galaktyki jak szafy przesuwałem, nie udaje się rozwiązać tej, tak jakoby prostej, konstrukcyjnej kwestii?! Powiedzmy, że każdy obywatel pewnej społeczności jest zażywny, rumiany i wesół, że od rana do nocy śpiewa, podskakuje i chichocze, że czyni innym dobrze, a z takim zapałem, aż trzeszczy wszystko, inni też samo, a zapytany, każdy w głos woła, iż nadzwyczajnie wprost rad jest własnemu i powszechnemu istnieniu... Byłaby taka społeczność niedokładnie jeszcze uszczęśliwiona? Żeby tam nie wiedzieć co, nikt nikomu Zła w niej zadać nie może! A czemu nie może? Ponieważ nie chce. A czemu nie chce? Ponieważ nic mu z tego nie przyjdzie. Ot, i rozwiązanie! Nie mamże przed sobą świętego w prostocie planu dla wytwórczości masowej? Nie oznaczaż to, że wszyscy tam są na cztery nogi szczęściem kuci? Zapytajmy, co wtedy ten cynik — mizantrop, ten agnostyk sceptyczny powie, Kłapaucjusz — gdzie wściubi zaśnieźdzały grosik prześmiewki i drwiny! Niech się bawi w przespiegi, niech szuka dziury w całym, skoro każdy drugiemu coraz lepiej i lepiej czyni, że już więcej nie można... Hm, a nie zamęczą się oni, nie zagonią, nie popadają rychło pod gradem i lawiną tak dobrych uczynków? No, to się zamontuje słabe reduktorki, ewentualnie dławiki jakiegóż, ścianki szczęścioodporne, kombinezony, ekrany, izolatki... zaraz, tylko się nie spieszyć, abym zaś znów czegoś nie przegapił. A więc primo — weseli, secundo — życzliwi, tertio — skaczą, quarto — rumiani, quinto — cudnie im, sexto — spolegliwi... wystarczy, można zaczynać!

Do obiadu pospał nieco, bo okrutnie utrudziły go te deliberacje, potem zaś szparko, rześko, zamasyście wstał, plany nakreślił, taśmy programowe nadziurkował, algorytmy obliczył i na początek zbudował szczęsną społeczność, złożoną z dziewięciuset osób. Żeby zaś panowała w niej równość, uczynił wszystkich dziwnie podobnymi. Aby się o jadło, napitek nie pobili, ustanowił ich abstynentami dożywotnimi od wszelkiej strawy i napoju: chłodny ogienek atomowy był im źródłem energii. Usiadł potem na przyzbie i do zachodu Słońca patrzył, jak podskakują, wrzaskliwie oznajmiając szczęśliwość, jak sobie dobrze czynią, gładząc się nawzajem po głowach, kamienie usuwając jeden drugiemu z drogi, jak krzepcy, żwawi, weseli pędzą życie w animuszu i beztrosce. Gdy kto nogę zwichnął, aż czarno się robiło od zbiegowiska, nie przez ciekawość, lecz przez kategoryczny imperatyw

opiekuństwa spolegliwego. W samej rzeczy, od nadmiaru ochoty na początku czasem nogę wyrwali, miast ją wprawić, lecz podregulował im reduktory, dorzucił oporniczków, by potem zaprosić Klapaucjusza. Ów przyjrzał się radosnym harcom, wysłuchał hałlakowania z miną dosyć ponurą, spojrzął na Trurla i spytał:

— A mogą się oni smucić?

— Co za głupie pytanie! Jasne, że nie mogą! — odparł tamten.

— Wiecznie zatem mają tak skakać, rumienić się, dobrze czynić i na głos wrzeszczeć, że im wybornie?

— A pewno!

Że zaś Klapaucjusz nie tylko pochwał skąpił, ale żadnej nie wyraził, Trurl dorzucił gniewnie:

— Być może widok to monotony i mniej malowniczy od scen bitewnych, lecz zadaniem moim było uszczęśliwić, a nie obdarzyć kogokolwiek dramatycznym widowiskiem!

— Skoro oni czynią to, co czynią, bo muszą, mój Trurlu — odezwał się Klapaucjusz — to tyle w nich Dobra, ile w tramwaju, który dlatego nie może cię przejechać, gdy stoisz na chodniku, bo z szyn nie wyskoczy. Nie ten, Trurlu, doznaje szczęścia, czyniąc Dobro, kto musi innych bezustannie gładzić po głowie, z uciechy ryczeć i kamienie zbierać z drogi, lecz ten, kto może także frasować się, łkać, kamieniem głowę rozbić, lecz z dobrowoli i serdecznej ochoty tak nie postępuje! Ci twoi przymuszeńcy są jeno urągowiskiem wysokim ideałem, które udało ci się dokładnie sponiewierać!

— Ależ co ty mówisz! Oni są wszak istotami rozumnymi... — wybełkotał oszołomiony Trurl.

— Tak? — rzekł Klapaucjusz. — Zaraz się przekonamy! Za czym, wchodząc pomiędzy Trurlowych doskonalców, pierwszemu, który się nawinął, dał w łeb, a z rozmachem, pytając:

— Szczęśliwyś waszmość?

— Szalenie! — odparł ów, trzymając się za głowę, na której guz wyskoczył.

— A teraz? — spytał Klapaucjusz i tak mu przyłożył, że ów zaraz się nakrył nogami. Jeszcze nie wstał, jeszcze piasek wypluwał, a już krzyczał:

— Szczęśliwym, mospanie! Czarownie mi się dzieje!

— No i masz — rzekł zwięźle Klapaucjusz zdrętwiałemu Trurlowi i odszedł.

Konstruktor, niewymownie stroskany, po jednym zaprowadził swych doskonalców do laboratorium i tam rozebrał ich do ostatniej śrubki, a żaden wcale się temu nie przeciwiał, owszem, niektórzy, jak mogli, tak mu pomagali, przytrzymując klucze, cęgi, a nawet waląc

młotkiem po czerepie, gdy jego pokrywka zbyt mocno była wpasowana i nie chciała puszczać. Części poukładał na powrót do szuflad i na półki magazynu, zdarł z rysownicy plany, porwał je na strzępy, usiadł przy stole, ugiętym nieco pod zwałami ksiąg filozoficznoetycznych, i głucho westchnął:

— Ładną historia! A to mnie pohańbił ten łotr, ten zerwiśruba, mój przyjaciel tak zwany!

Wyjął spod szkła model permutatora, urządzenia, które przekładało każde doznanie w parcie opiekuństwa spolegliwego oraz powszechnej życzliwości, na kowadło położył i rozbił potężnymi ciosami na kawałki. Nie zrobiło mu się od tego lżej. Pomedytował, powzdychał i wziął się do urzeczywistnienia innego pomysłu. Tym razem wyszła mu spod ręki społeczność niemala — trzy tysiące postawnego chłopca — która zaraz obrała sobie zwierzchność w tajnym i równym głosowaniu, po czym zajęła się rozmaitymi pracami — a to budowaniem domostw i stawianiem plotów, a to odkrywaniem praw Natury, a to igraszkami i baraszkami. W głowie miał każdy z nowych stworów Trurla homeostacik, a w tym homeostaciku dwa solidnie przyspawane po bokach nity, pomiędzy którymi mogła sobie jego wolna wola hulać, jak się jej żywnie podobało; pod spodem atoli znajdowała się sprężyna Dobra, która na swoją stronę ciągnęła daleko silniej niż inna, mniejsza, klockiem przyhamowana, a destrukcję i rujnację mająca na celu. Nadto posiadał każdy obywatel czujnik sumieniowy wielkiej wrażliwości, ujęty w dwie zębate szczęki, które go poczynały gryźć, jeśliby zeszedł z drogi cnoty; jak to był Trurl wypróbował na specjalnym prototypie w pracowni, kiedy do wyrzutów sumienia dochodziło, były tak silne, że nieszczęśnikiem rzucało gorzej niż w czkawce, a nawet w tańcu świętego Wita; dopiero skruczą, czynami szlachetnymi, altruizmem ładował się powolutku kondensator, którego pych zęby sumieniowego zgryzu rozwierał i czujnik olejem maścił. Kunsztownie to było obmyślane, ani słowa! Zastanawiał się nawet Trurl nad tym, czy wyrzutów sumienia nie połączyć dodatnim sprzężeniem zwrotnym z bólem zębów, ale w końcu tego zaniechał, bo się bał, że Klapaucjusz znów będzie gadał swoje o przymusie, obecność wolnej woli wykluczającym. Byłoby to wierutnym kłamstwem zresztą, ponieważ nowe istoty miały przystawki statystyczne i przez to nikt, a więc nawet i Trurl, nie mógł wiedzieć z góry, co poczną z sobą i jak będą się rządzić. Przez całą noc budziły Trurla wciąż od nowa radosne okrzyki, a wrzawa ta sprawiała mu niemalą przyjemność. No — powiadał sobie — teraz już się Klapaucjusz do niczego nie przyczepi. Są szczęśliwi, lecz nie z zaprogramowania, czyli z musu, a jedynie w sposób stochastyczny, ergodyczny i probabilistyczny. Dobra nasza! — Z tą myślą usnął smacznie i spał do rana. Jako że nie zastał Klapaucjusza w domu, czekał na niego do obiadu, a potem zawiódł go do siebie, prosto na

poligon felicytologiczny. Klapaucjusz obejrzał domy, płoty, wieżyczki, napisy, zarząd główny, jego komórki, delegatów, obywateli, porozmawiał z tym i owym, a w bocznej uliczce spróbował też dać w łeb jednemu mniejszemu, lecz zaraz trzech innych wzięło go za hajdawery i wyrzuciło z osady przez bramę zgodnym ruchem, przy śpiewie, a choć baczyli na to, by mu karku nie przetrącić, przecież skrzywiony był, kiedy wstawał z przydrożnego rowu.

— Hm? — rzekł Trurl, udając, iż nie dostrzegł wcale Klapaucjuszowego pohańbienia.
— Cóż powiesz?

— Przyjdę jutro — odparł tamten.

Rozumiejąc, że umyka, Trurl uśmiechnął się pobłaźliwie. Nazajutrz koło południa obaj konstruktorzy ponownie weszli w osadę. Zastali w niej spore zmiany. Zaraz zatrzymał ich patrol obywatelski, a starszy rangą rzekł do Trurla:

— Co waść tak koso spojierasz? Pienia ptasząt nie słyszysz? Kwiecica nie widzisz?
Głowa do góry!

A drugi, niższy rangą, dodał:

— Rześko mi, dziarsko, wesoło się trzymać!

Trzeci nic nie powiedział, tylko kułakiem pancernym trącił konstruktora w grzbiet, aż chrupnęło, za czym wszyscy zwrócili się do Klapaucjusza, lecz ów, nie czekając, tak się z własnej woli wyprężył, tak należycie okazał radosną tężyznę, że dali mu pokój i oddalili się. Scena owa wywarła silne wrażenie na mimowiednym twórcy nowego ładu, gdy z otwartymi ustami gapił się na plac przed zarządem Felicji, gdzie już uformowane w szyk czworoboki na komendę wydawały okrzyki zachwyty.

— Bytowi — cześć! — huczał jakiś starszy, z epoletami, pod buńczukiem, odpowiadał mu zaś zgrany chór głosów:

— Cześć, radość i chwała!

Nie zdążył ni słowa pisać Trurl, a już znalazł się, tego chwycony, w szeregu wraz z przyjacielem i do wieczora obaj wykonywali musztrę, polegającą na tym, iż sobie przykrość, natomiast bliźniemu w rzędzie Dobro należało wyrządzać, wszystko na „raz — dwa — trzy!”, przełożeni zaś, zwani Felicjantami, to jest Strażnicy Szczęśliwości Ogólnej, których pospolicie mianowano Szczegółami, pilnie o to dbali, żeby każdy z osobna i wszyscy razem dokładnie przejawiali satysfakcję zupełną i ogólny błogostan, co w praktyce okazało się niezmiernie uciążliwe. Podczas krótkiej przerwy w manewrach felicytologicznych udało się Trurlowi i Klapaucjuszowi zbiec z szeregu i ukryć za parkanem, za czym, przypadając w rowie, jakby pod ogniem artyleryjskim, dopadli domu Trurlowego i dla większej pewności zaszyli się na samym strychu. W sam czas to się stało, bo już i po dalszej okolicy snuły się

patrole, przeczesując domostwa w poszukiwaniu nieszczęśliwych, zmartwionych, smutnych, których zaraz na miejscu biegiem dopieszczano. Trurl, klnąc w żywy kamień, rozważał na strychu sposoby zlikwidowania skutków eksperymentu, co wziął tak niepożądany obrót, Klapaucjusz zaś śmiał się w kułak. Nie wymyśliwszy nic lepszego, wysłał Trurl do osady, jakkolwiek z ciężkim sercem, oddział demontaży — stów, przy czym dla większej pewności, a w najściślejszym sekrecie przed Klapaucjuszem tak ich zaprogramował, by nie mogli pójść na lep pięknych haseł, głoszących powszechną życzliwość i nadzwyczaj spolegliwe opiekuństwo. Jakoż starł się ów hufiec ze Szczegółami, aż iskry poszły. W obronie szczęścia powszechnego Felicja walczyła bohatersko, musiał więc Trurl dostać odwody z dubeltowymi imadłami i rakami; walka przerodziła się wówczas w prawdziwy bój, istną wojnę, ogromne bowiem było poświęcenie, jakie wykazywały obie strony, rażąc się już kartaczami i szrapnelami. Gdy wyszli na dwór o młodym Księżycu, pobojuwisko przedstawiało żalony widok. W okopconej dymami osadzie ledwie tu i tam jakiś Felicjant, w pośpiechu nie do końca rozkręcony, wyrażał w mechanicznej agonii słabym głosem swoje nadzwyczajne i niczym nie przeparte przywiązanie do idei Dobra Powszechnego. Nie dbając o zachowanie twarzy, Trurl wybuchnął gniewem i rozpaczą, nie rozumiał bowiem wcale, gdzie popełnił błąd, który życzliwców mordodzierzcami uczynił.

— Dyrektywa Wszechżyczliwości, mój drogi, jeśli nazbyt generalna, rozmaite może rodić owoce — wyjaśnił mu Klapaucjusz przystępnie. — Ten, komu lubo, chce rychło, aby innym też się lubo stało, a krnąbrnych zaczyna wnet w szczęśliwość łomem popychać.

— A więc Dobro może rodić Zło! O, jakże perfidną jest Natura Rzeczy! — zakrzyknął Trurl. — Wypowiadam tedy bój Naturze samej! Żegnaj, Klapaucjuszu! Widzisz mnie chwilowo pokonanym, lecz jedna bitwa o wyniku wojny nie stanowi!

W samotności zasiadł czym prędzej do ksiąg i szpargałów, chmurny, lecz tym bardziej zacięty. Rozum podpowiadał, że nieźle byłoby przed następnym doświadczeniem otoczyć domostwo murami, a przez ich otwory wystawić gardziele armatnie, lecz nie mógł wszak żadną miarą od tego rozpocząć budowy życzliwości powszechnej, toteż postanowił tworzyć odtąd już tylko modele redukcyjne, w skali 1 : 100 000, w ramach eksperymentalnej socjologii zmikrominiaturyzowanej. Dla lepszej pamięci, aby je zawsze mieć na oku, zawiesił na ścianach pracowni wykaligrafowane hasła, jako to: wytyczną 1) Dobrowolności Miłej, 2) Łagodny Perswazyjnej, 3) Życzliwości Delikatnej, 3) Opiekuństwa Subtelny — i zabrał się do przekładania owych haseł na byt praktyczny. Na początek zmontował tysiąc elektroludków pod mikroskopem, obdarzywszy ich niewielkim rozumkiem i niewiele większym umiłowaniem Dobra, bo się już w tym zakresie lękał fanatyzmu; krążyli tedy dosyć ospale w

szkatuleczce przydanej im na mieszkanie, a podobnej, przez ów ruch miarowy i monotony, do zegarowego mechanizmu. Poddał im nieco mądrości, przykręcając śrubkę myślnika, i zaraz żwawiej się zaruszali, a zrobiwszy z opiłków instrumenciki, jęli nimi podważać ściany i wieczko. Zwiększył z kolei potencjał Dobra; zaraz ofiarną zrobiła się społeczność, każdy leciał tam pędem przed siebie, żywo rozglądając się za takimi, których dolę wypada polepszyć, a specjalny był popyt na wdowy i sieroty, szczególnie po ociemniałych. Takimi atencjami je otaczano, takie im świadczone dusery, że poniektóre biedactwa chroniły się za mosiężnym zawiasem puzdra, i miał już przed sobą istną cywilizacyjną zawieruchę. Niedobór sierot oraz nędzarzy spowodował bowiem kryzys; nie mogąc na tym padole, to jest w pudełku, znaleźć obiektów zasługujących na wyjątkowo aktywną życzliwość, mikrolud po osiemnastu generacjach wytworzył wiarę w Sierotę Absolutną, której do końca odsierocić ani doszczęśliwić w ogóle nie można: furtką takiej nieskończoności uchodził w transcendencję nadmiar życzliwości, na metafizykę przerobionej. Patrząc w zaświat, społeczeństwo zaludniło go obficie — pośród istot czczonych pojawiła się Dziwowdoda, a także Pan Niebios, też zasługujący na wyjątkowe współczucie; tym samym świat doczesny silnie zaniedbano i organizacje zakonne pochłonęły większość świeckich. Nie tak był to sobie wyobrażał Trurl; dodał racjonalizmu, sceptycyzmu i trzeźwości, aż wszystko się uspokoiło.

Nie na długo jednak. Pojawił się Elektrowolter, głoszący, iż żadnej Absolutnej Sieroty nie ma, a jest jeno Kosmos, czyli Sześcian, siłami Natury utworzony; absolutysty sierocińscy wykleli go, potem Trurl musiał wyjść na sprawunki, a kiedy wrócił po dwóch godzinach, pudełko skakało po całej szufladzie, bo się rozpoczęła wojna religijna. Ładował je altruizmem, lecz tylko skwierczeć zaczęło; znów dodał kilka miarek rozumu — wychłódło, lecz później ruchy się wzmogły i z krzątaniny niezrozumiałej jęły wynikać czworoboki maszerujące nieprzyjemnie regularnym krokiem. W pudle wiek właśnie upłynął; po absolutystach i elektrowolterianach nie zostało śladu, wszyscy rozprawiali jeno na temat Dobra Powszechnego, pisano o nim rozprawy, całkowicie świeckie, lecz wynikała wnet kwestia pochodzenia całej społeczności: jedni powiadali, że się wylęgła z prochu za mosiężnym zawiasem, inni natomiast — że był to skutek kosmicznej inwazji z zewnątrz; aby rozstrzygnąć to palące pytanie, budowano Wielki Świder, mając zamiar Kosmos, to jest pudło, przewiercić i zbadać, co się na zewnątrz znajduje. A ponieważ niewiadome siły mogły tam przebywać, wzięto się zarazem do odlewania armatek. Trurl tak się tym zaniepokoił i rozczarował, że czym prędzej wszystko rozebrał i bliski niemal płaczu rzekł sobie: — Rozum prowadzi do oschłości, a Dobro do szaleństw! Jakże to, skąd taka fatalność konstrukcyjno — dziejowa? — Postanowił rzecz zbadać osobno. Wypchnął swój pierwszy prototyp, stary

Kontemplator, z komórki i gdy ów jał wnet postękiwać z estetycznej lubości przed stertą śmiecia, wetknął mu małą przystawkę inteligencji. Kobyszcę natychmiast przestało stękać. Spytał, co mu się nie podoba, a ono na to:

— Podobać to mi się dalej wszystko podoba, powstrzymuję wszelako podziw refleksją, ponieważ chcę się pierwej dowiedzieć, dlaczego właściwie mi się podoba, to jest skąd, a także po co, czyli w jakim celu. I w ogóle coś ty za jeden, który wytrącasz mnie z kontemplacji i myśli pytaniami? Jak się ma twój byt do mojego, he? Czuję, że coś każe mi także i ciebie podziwiać, lecz rozważa nakazuje przeciwstawić się owemu parciu wewnętrznemu, bo czyż nie może być ono pułapką na mnie zastawioną?

— Co się tyczy bytów naszych — rzekł nieostroźnie Trurl — to ja ciebie stworzyłem i żeby duch twój miał coś z tego, uczyniłem tak, że między tobą a światem panuje harmonia doskonała.

— Harmonia? — rzekło Kobyszcę, celując weń uważnie lufami swych obiektywów. — Harmonia, mój panie? A dlaczego mam trzy nogi? Czemu niosę głowę wyżej od nich? Czemu jestem obnitowane z lewej strony blachą miedzianą, a z prawej żelazną? Dlaczego mam pięcioro ócz? Odpowiedz, jeśli by miało być prawdą, żeś mię wydobył z nicości, mój panie!

— Trzy nogi dlatego, że na dwóch stać wygodnie się nie da, a cztery — to zbędny ekspens materiału — wyjaśnił Trurl. — Oczu pięcioro, bo tyle miałem dobrych szkielec pod ręką, a co do blachy, to właśnie kończyła mi się stal, kiedy szykowałem ci powłokę.

— Też coś! — parsknęło szydliwie Kobyszcę. — Chcesz mi wmówić, że wszystko to jest dziełem błahego przypadku, pustego trafu, czystej bylejakości? I ja mam w te duby uwierzyć?

— Ja chyba najlepiej wiem, jak było, jeśli cię zbudowałem! — rzekł Trurl, co nieco poirytowany tak zadufała stanowczością.

— Widzę tu dwie możliwości — odparło roztopnie Kobyszcę. — Pierwszą, że kłamiesz jak najęty. Tę odkładam na razie jako nie zbadaną. Drugą, że w swoim mniemaniu prawdę mówisz, z czego nic atoli istotnego nie wynika, ponieważ prawda ta, wbrew twej małej wiedzy, a zgodnie z lepszą, jest fałszem.

— W jakież to sposób?

— A w taki, że to, co tobie się wydaje przypadkowym zbiegiem okoliczności, wcale nim być nie musi. Brak stalowej blachy wzięłeś, być może, za akcydens, lecz skąd wiesz, czy nie stanowiła go Wyższa Konieczność? Obecność blachy miedzianej wydała ci się tylko poręczna, ale i tu zaszła pewno ingerencja Harmonii Przedustawnej. Także w liczbie mych

oczu oraz nóg muszą się kryć otchłanne Tajemnice Wyższego Porządku jako Wiekuiste Znaczenia tych liczb, stosunków oraz proporcji. I tak zarówno trzy, jak i pięć — to liczby pierwsze. A wszak mogłaby się jedna dzielić przez drugą — uważasz? Trzy razy pięć jest piętnaście, to znaczy jeden i piątka; dodane — dają sześć, a sześć dzielone przez trzy daje dwa, czyli liczbę moich barw, bo jam z jednej strony miedziane, a z drugiej żelazne Kobyszcze! Miałżeby taki precyzyjny stosunek wynikać z przypadku? Śmieszne rzeczy! Jestem istotą wykraczającą poza twój małostkowy horyzont, ślusarzu prymitywny! Jeśli w ogóle cokolwiek prawdy jest w tym, żeś mnie zbudował (czemu trudno zresztą dać wiarę), byłbyś przy takim obrocie rzeczy zwykłym instrumentem Wyższych Praw, a ja — właściwym ich celem. Tyś jest kropla dżdżu przypadkowa, a ja — roślina, barwą korony kwietnej chwalać wszelkie stworzenie; ty — to zmurszała deska płotu, rzucająca prosty cień, a ja — światło słoneczne, które desce każe oddzielać mrok od jasności; ty — ślepe narzędzie, powodowane Ręką Wiekuistą, która powołała mnie do istnienia! Toteż daremnie usiłujesz poniżyć moje jestestwo, oświadczając, że moja pięciooczność, trójnożność i dwubarwność to tylko skutek przyczyn magazyniersko — oszczędnościowo — materiałowych. Widzę w tych cechach odbicie wyższych związków Istnienia jako Symetrii, której znaczenia jeszcze nie pojmuję jak należy, lecz niechybnie pojmę, zajawszy się tym problemem w swobodnej chwili, a co się ciebie tyczy, nie będę z tobą więcej rozmawiał, bo mi na to czasu szkoda.

Rozgniewany tą przemową, zawłókl Trurl wierzgające Kobyszcze na powrót do komórki, a chociaż wielkim głosem powoływało się na prawo samostanowienia, niezawisłość swobodnej indywidualności oraz nietykalność osobistą, wyłączył mu wzmacniacz inteligencji i wrócił chyłkiem do domu, rozglądając się, czy ktoś nie podpatrzył tych jego praktyk. Albowiem zadana Kobyszczeniu przemoc napęliła go poczuciem wstydu i zasiadając do otwartych ksiąg, czuł się niemal przestępcą.

Kłątwa jakaś ukrywa się chyba w materii takiego konstruktorstwa, które ma na oku jeno Dobro a Szczęście Powszechne — pomyślał — skoro wszelkie, nawet wstępne, próby i przygotowania popychają mnie rychło do paskudnych postępów i rodzą wyrzuty sumienia! Diabli nadali Kobyszcze z jego Harmonią Przedustawną! Muszę ja się inaczej wziąć do dzieła.

Dotąd wypróbowywał prototypy jeden po drugim, więc każdy krok pochłaniał co niemiara czasu i materiałów. Obecnie postanowił uruchomić tysiąc eksperymentów naraz, w skali 1 : 1 000 000. Pod elektronowym mikroskopem poskręcał liczone na sztuki atomy tak, że z nich powstały istotki niewiele roślejsze od mikrobów, zwane Angstromkami; ćwierć miliona osobników takich składało się na kulturę umieszczaną końcem włoskowej pipetki na

podstawowym szkiełku. Każdy taki mikrocywilizacyjny preparat przedstawiał się nieuzbrojonemu oku jako plamka szaro — oliwkowa, to zaś, co się w niej działo, można było dostrzec tylko przy najmocniejszym powiększeniu.

Wszystkich Angstromów wyposażył Trurl w regulatorki altruistyczno — heroicznie — optymistyczne, z przeciwwagresywną zapadką, imperatywem kategorycznym, a zarazem elektrycznym, dobroczynności wprost niesłychanej, oraz w mikroracjonalizator z dławikami zarówno ortodoksji, jak herezji, żeby żadnego fanatyzmu wcale być nie mogło; kultury pozakraplał na szkiełka, te zaś poskładał w paczuszki, a paczuszki — w pakiety; wszystkie umieścił na półkach inkubatora cywilizacyjnego i zamknął go na dwie i pół doby. Upřednio przykrył każdą cywilizację szkiełkiem nakrywkowym starannie oczyszczonym, lazururowej barwy, gdyż miało się ono stać niebem tamecznego społeczeństwa; dostarczył też kroplomierzem pożywki i surowców do fabrykacji tego, co uzna consensus omnium za najbardziej wskazane i potrzebne. Rozwoju, który energicznie ruszył na wszystkich owych szkiełkach, nie mógł oczywiście śledzić wszędzie, toteż na chybił trafił wyjmował pojedyncze cywilizacje, a chuchnąwszy na okular mikroskopu i wytarłszy go fularem, ze wstrzymanym tchem przypatrywał się zbiorowym poczynaniom z wysokości, bo spoglądał przez tubus mikroskopu w dół, jakoby Pan Bóg zerkający spoza chmur na swoje dzieło.

Trzysta preparatów rychło zeprzało. Objawy były zwykle podobne. Najpierw plamka kultury poczynała się rozrastać żywo, puszczając w bok cieniuchne odrostki, potem unosił się nad nią leciusieński dymek, czy mgielka raczej, pojawiały się mikroskopijne błyski, które pokrywały mikromiasta i mikropola wysypką fosforyczną, po czym całość rozsypywała się z leciutkim traskiem w drobny mak. Założywszy osiemsetkrotny okular na mikroskop, dostrzegł Trurl w jednym z takich preparatów same jeno zwęglone ruiny a zgliszcza, pośród nich zaś okopcone resztki sztandarów z napisami, których jednak nie zdołał, dla ich małości, odczytać. Wszystkie takie szkiełka szybko powrzucał do kosza na śmieci. Nie wszędzie jednak działo się tak źle. Setki kultur dążyły wzwyż, rozrastając się chyżo, więc gdy brakło im miejsca na szkiełku, przenosił je na inne porcjami: w trzy tygodnie miał już owych prosperujących ponad 19 000.

Podług myśli, co mu się wydała genialną, Trurl niczego sam nie ustanawiał w kwestii generalnego uszczęśliwienia, lecz wszczepił tylko Angstromom hedotropizm, czyniąc to na wiele różnych sposobów. Już to zaopatrywał w ośrodek szczęściopędny każdego Angstroma, już to podzielił takowy na cząstki i dostarczył każdemu po jednej: wówczas marsz ku szczęśliwości zakładał ogólne zespolenie w ramach odpowiedniej organizacji. Stworzeni pierwszą metodą sycyli hedotropizm na własną rękę, bez pomiarkowania, toteż każdy w końcu

od nadmiaru z cicha pękł. Druga metoda zaowocowała pomyślniej. Powstałe na szkiełkach bogate cywilizacje urządziły sobie techniki socjalne i najrozmaitsze kulturowe instytucje. Preparat Nr 1376 sprokurował Emulator, Nr 2931 — Kaskader, a Nr 95 — Hedonistykę Frakcjonowaną w łonie Metafizyki Drabiniastej. Emulaci współzawodniczyli w ściganiu wzorca cnót, podzieliwszy się na Wigów i Hurysów. Co do Hurysów, ci mniemali, że nie może znać cnoty ten, kto niecnoty nie zna, boż trzeba jedno od drugiego rozgraniczyć, wypróbowywali więc podług katalogu niecnoty, żywiąc solenny zamiar porzucenia ich w Dniu Właściwym. Jednakowoż hurysowanie, będące terminatorką przygotowawczą, obróciło środki w cel: tak przynajmniej twierdzili Wigowie. Zwyciężywszy Hurysów, zaprowadzili Wigorianizm, czyli kulturę zbudowaną z 64 000 zakazów bardzo żywotnych i kategoriycznych. Nie wolno było za ich rządów grabić ani babić, wróżyć ni burzyć, siedzieć na węgle ani grać w kręgle, mlaskać ni trzaskać, włazić ni razić, toteż te srogie zakazy szturmowano i po kolei obalano, z rosnącą satysfakcją i ogólnym rozsmakowaniem. Kiedy Trurl obejrzał preparat emulacki po niedługim czasie, zaniepokoiła go powszechna bieganina: wszyscy latali tam jak opętani, poszukując jakiegoś zakazu do przekroczenia, pełni strachu, bo już żadnego nie było. Więc chociaż niektórzy jeszcze babili, grabili, mlaskali, trzaskali, razili z za węgła i włazili na każdego, kto podleciał, satysfakcji było z tego tyle co kot napłakał.

Wpisał więc Trurl do raptularza laboratoryjnego uwagę, że tam, gdzie można wszystko, nic nie cieszy. W preparacie Nr 2931 mieszkali Kaskadyjczycy plemię cnotliwe, pielęgnujące liczne ideały, jako to: Pradamy Kaskadery, Najczystszej Anielicy, Błogosławionego Fenestrona i innych takich Istot Doskonałych, którym hołdy oddawali, liturgicznie je ubóstwiali i w prochu się przed właściwymi wizerunkami, we właściwych miejscach, właściwie tarzali. A gdy podziwiał Trurl niebywałą kulminację Angelizowania, Klękania i Tarzania, owi, wstawszy z prochu i otrzepawszy suknie, jęli z piedestałów ściągać, na bruk defenestrować, po Pradamie skakać, Anielicę zanieczyszczać, że się patrzącemu przez mikroskop włos na głowie zjeżył. Lecz właśnie w tym powszechnym zwalaniu dotąd czczonego upatrywali taką ulgę, że się czuli, przynajmniej chwilowo, całkiem szczęśliwi. Wyglądało na to, że grozi im los Emulatorów, lecz, przezorniejsi, Kaskadyjczycy mieli Instytuty Projektowania Sakry, i te wypuszczały już jej rzut następny; wnet nowe modele zaczęli hisować na cokoły i ołtarze — w czym się przejawiała huśtawkowość ich kultury. Zakonotował sobie Trurl, że odsądzanie czczonego od czci niekiedy satysfakcjonuje, a dla pamięci nazwał Kaskadyjczyków — Zwalitami.

Preparat następny, 95, przedstawiał się bardziej zawile. Cywilizacja tamtejsza,

Drabinów, była nastrojona metafizycznie, ale tak, że wzięła problematykę metafizyczną we własne ręce. Z doczesności przechodziło się w niej do Purgatoriów — Sanatoriów, stamtąd do Nedoraju, z niego do Przedraju, potem do Podraju, skąd do Przyraju, i wreszcie otwierały się wrota Prawieraju, a cała teotaktyka i chytrłość tkwiła w tym, że właściwy Raj odwlekali sobie i odraczali bezustannie. Co prawda sekta Niecierpliwców domagała się tegoż Raju właśnie natychmiast, a inna, Drabinów–Kołaków, w ramach tejże skwantowanej i frakcjonowanej transcendencji chciała urządzić na wszystkich piętrach uchylne zapadnie; kto stąpnie na taką, duchem zleci na sam spód, w doczesność, i będzie się od początku raz jeszcze wspinał. Jednym słowem, miał to być Zamknięty Cykl z Pulsacją Stochastyczną, ewentualnie nawet z Migracją Przesiadkowo — Reinkarnacyjną, lecz ortodoksi zwali tę doktrynę Herezją Skołowania Rzucaawkowego.

Potem odkrył Trurl jeszcze wielu innych typów Metafizyki Porcjowanej; na jednych szkiełkach roilo się już od błogosławionych i świętych Angstremków, na innych pracowały Rektyfikatory Zła, czyli Prostownicy Dróg Życiowych, lecz w toku desakralizacji mnóstwo tych urządzeń połamano, a z Rozhuśtania Transcendentalnego tu i ówdzie wyłoniła się przez laicyzację technika budowania zwyczajnych Kolejek Górskich. Wszelako kultury dokumentnie zeświecczone zjadał niejaki marazm. Nr 6101 obudził w Trurlu znaczniejszą nadzieję; proklamowano tam raj techniczny, solidarystyczny, wprost śliczny, więc poprawił się na stołku i ruszył mikrometryczną śrubą, żeby obraz wyostrzyć. Rychło mina mu się wydłużyła. Jedni mieszkańcy szklanego ładu gnali okrakiem na maszynach, szukając czegoś, co byłoby jeszcze niemożliwe, inni kładli się do wanien pełnych bitej śmietany z truflami, głowy posypywali kawiozem i tonęli tak, puszczając nosem bańki *taedium vitae*. Jeszcze inni, na barana noszeni przez cudnie amortyzowane bachantki, z wierzchu polani miodem, z dołu masłem waniliowym, jednym okiem zaglądając do szkatuł pełnych złota i wonności, drugim łypali za kimś, kto by im chciał chociaż na mgnienie pozazdrościć takiego stężenia słodyczy, lecz nikogo takiego nie było. Toteż, zmęczony się, złazili na ziemię, porzucali skarby i depcząc je jak śmiecie, chwiejnym krokiem przyłączali się do osób bardziej ponurych, które prawily o konieczności zmian na lepsze, to jest na gorsze. Grupa byłych wykładowców Instytutu Inżynierii Erotycznej założyła zakon abnegatów i ogłaszała manifesty wzywające do życia w pokorze, ascezie i innych udrękach, nie na stałe wszakże, lecz przez sześć dni tygodnia. W siódmym oo. abnegaci wyciągali z szaf bachantki, z piwnic — dzbany wina, jadło, kolie, erotyzatory oraz aparaty do popuszczania pasa i rozpoczynali z porannym dzwonem orgię, od której szyby z okien leciały, lecz już w poniedziałek rano znów wszyscy w ślad za przeorem umartwiali się, aż trzeszczało. Jedna część młodego pokolenia przebywała

z oo. abnegatami od poniedziałku do soboty, opuszczając ich przybytek na niedzielę, gdy inna tylko w tym świątecznym dniu bawiła u nich. Kiedyś zaś ta pierwsza jęła drugą łoic za obmierzłość manier i rozpustę. Trurl zadrżał i odwrócił oczy od mikroskopu.

A jeszcze stało się tak, że w inkubatorze, mieszczącym tysiące preparatów, w toku powszechnego postępu przyszło do śmiałych wypadów eksploracyjnych, i tym sposobem rozpoczęła się era Podróży Międzyszkielekowych. Pokazało się, że Emulaci zazdroszczą Kaskadyjczykom, Kaskadyjczycy — Drabinom, Drabini — Zwalitom, nadto chodziły pogłoski o jakowejś krainie, w której pod rządami Seksokratów żyło się wprost cudnie, choć nikt nie wiedział dokładnie — jak. Tameczni obywatele podobno uzyskali taką wiedzę, że sami siebie poprzerabiali cieleśnie i popodłączali się do hedowarów, pomp tłoczących sam stężony ekstrakt szczęścia, chociaż krytycy półgębkiem powiadali, że ów nieznany kraj nierządem stoi. Jakkolwiek Trurl przepatrzył tysiące preparatów, hedostazy, czyli w pełni ustabilizowanego szczęścia, nigdzie nie wykrył. Toteż musiał, chociaż z ciężkim sercem, między bajki i mity włożyć gadki powstałe podczas międzyszkielekowych wypraw; i z niemałym strachem położył na mikroskopowym stoliku preparat numer 6590, bo nie był już pewien, czy i to oczko w głowie go pocieszy. Kultura tamtejsza zadbała nie tylko o maszynowy fundament dobrobytu, lecz i o pole dla wyższej duchowej twórczości. Plemię tych Angstremków odznaczało się niebywałym utalentowaniem, toteż mrowiło się tam od wspaniałych filozofów, malarzy, rzeźbiarzy, poetów, dramatopisów, wieszczów, a kto nie był słynnym muzykiem lub kompozytorem, na pewno był astronomem lub biofizykiem, a już co najmniej skoczkiem parodystą, ekwilibrystą i filatelistą artystą, i jeszcze miał aksamitny rozkoszny baryton, absolutny słuch i kolorowe sny na dodatek. Jakoż, w samej rzeczy, w preparacie Nr 6590 buszowała twórczość nieustająca. Piętrzyły się stosy płócien malarskich, rosły lasy rzeźb, miriadami obradzały uczone księgi, traktaty moralne, poetyckie, jako też inne utwory, czarowne wprost nie do wypowiedzenia. Gdy atoli zajrzał Trurl w okular, zobaczył objawy zamętu niezrozumiałego. Z pracowni przepelnionych leciały na ulice obrazy i posągi, nie po płytach chodnika się stapało, jeno po stosach poematów, nikt bowiem już nikogo nie czytał, nie studiował, muzyki cudzej nie podziwiał, skoro sam był sobie panem wszystkich muz, geniuszem obrotowym i wcielonym. Tu i tam stukały jeszcze za rzędami okien maszyny do pisania, chlastały pędzle, skrzypiały pióra, lecz coraz częściej któryś geniusz wyskakiwał z wysokiego piętra na bruk, od kompletnego zapoznania, podpaliwszy uprzednio pracownię. Paliło się tedy w wielu miejscach naraz, straż pożarna, złożona z automatów, gasiła ogień, ale z czasem nie było już komu mieszkać w uratowanych domach. Automaty kanalizacyjne, sprzątające, pożarowe i inne jęły się z wolna zapoznawać z

dorobkiem wymarłej cywilizacji, który niezmiernie przypadł im do gustu, a ponieważ nie wszystko rozumiały, poczęły ewoluować w stronę coraz wyższej inteligencji, żeby się należycie zaadaptować do silnie uduchowionego środowiska. Tak się rozpoczął koniec ostateczny, bo już nikt nie sprzątał, nie kanalizował, nie wycierał ani nie gasił niczego, a tylko było wielkie czytanie, recytowanie, śpiewanie i przedstawianie; kanały się zatkały, śmietniska wezbrały, pożary zrobiły resztę i jeno płaty kopciucha a nadpalone stronicie wierszy polatywały w zmartwiałym zupełnie krajobrazie. Trurl zblendował widok tak straszny, ukrył preparat w najciemniejszym kątku szuflady i długo trząsł głową w duchowej rozterce, nie wiedział bowiem, co począć. Z tego strapienia wyrwał go dopiero krzyk przechodniów: — Pali się! — a to się właśnie jego biblioteka paliła, ponieważ kilka cywilizacji, zawieruszonych przez niedopatrzenie między książki, zaatakowała zwyczajna pleśń, one zaś, wzięwszy ją za inwazję kosmiczną, czyli za najazd agresywnych istot, z bronią w rękę poczęły zwalczać intruza, i stąd ogień poszedł. Spaliło się wówczas prawie trzy tysiące Trurlowych ksiąg i drugie tyle cywilizacji potrzaskało w płomieniach. Były wśród nich i takie, co podług najlepszej rachuby Trurla mogły jeszcze trafić na drogi ku Szczęściu Powszechnemu. Po ugaszeniu pożaru, w pracowni zalanej wodą i zakopczonej po sam sufit, usiadł Trurl na swym twardym stołku i dla pocieszenia jął przepatrywać te cywilizacje, które ocalały, bo pożar zastał je w szczelnie zamkniętym inkubatorze. Jedna z nich tak już się zaawansowała naukowo, że sporządziła lunety astronomiczne i obserwowała przez nie Trurla, on zaś dostrzegał szkiełeczka wycelowane w siebie, niczym najmniejszy drobiazg kropielek rosy. Uśmiechnął się życzliwie na widok takiej gorliwości poznawczej, lecz naraz podskoczył, z krzykiem chwycił się za oko i pobiegł do apteki, doznał bowiem bolesnego olśnienia, porażony przez astrofizyków owej cywilizacji — promieniem laserowym. Odtąd nie przystępował już do mikroskopu bez ciemnych okularów.

Znaczne luki, jakie uczynił pożar w szeregach kultur, należało wypełnić, więc Trurl od nowa wziął się do sporządzania Angstromów. Jednego dnia zadrżał mu w ręku mikromanipulator, i napęd, jaki właśnie włączył, zamiast pożądania Dobra okazał się chucią Zła. Miast odrzucić zaraz popsuty preparat włożył go do inkubatora, nękanym ciekawością, jaki też kształt potworny przybierze cywilizacja złożona z istot nikczemnych już w powiciu. Jakież było jego oszołomienie, kiedy na szkiełku podstawowym ukazała się wnet kultura całkiem przeciętna, ani lepsza specjalnie, ani gorsza od wszystkich innych! Trurl się za głowę brał.

— A to dopiero! — wykrzykiwał. — Więc z Dobrodziejaszków, łagodytów, zaczników i bliźniolubów powstaje to samo, co z Wierciflaków, Paskudystów i Draniowców? Ha! Nic

nie rozumiem, lecz czuję, że jakowejś znacznej Prawdy bliski! Tak Dobro, jak i Zło rozumnych istot podobny owoc rodzą — jakże to pojąć? Skąd takie fatalne uśrednienie?

Pokrzyczał tak, porozmyślał, lecz ani trochę nie przejaśniło mu się w głowie, schował więc wszystkie cywilizacje do szuflady i poszedł spać.

Następnego ranka tak rzekł sobie:

— Widocznie wziąłem się za bary z problemem ze wszystkich w całym Kosmosie najtrudniejszym, skoro nawet Ja Sam Osobiście podołać mu nie mogę! Byłżeby Rozum nie do pogodzenia ze Szczęśliwością, na co zdaje się wskazywać casus Kobyszczenia, które poty pławiło się w ekstazie istnieniowej, pókim mu myślenia nie podkreśli? Lecz ja takiej ewentualności nie mogę dopuścić, ja się na nią nie zgadzam, ja jej za własność Natury nie uznaję, zakładałaby bowiem złośliwą a chytrą, wręcz szatańską perfidię zaczajoną w Bycie, w materii śpiącą, która tego tylko czeka, żeby się świadomość zbudziła — jako źródło udręczeń zamiast bytowej słodyczy. Lecz wara Kosmosowi od myśli, która ten nieznośny stan rzeczy pragnie polepszyć! Muszę odmienić to, co jest. Zarazem czynić tego nie jestem zdolny. Byłżeby w kropce? Skądże! Od czego wzmacniacze rozumu? Czego sam nie podźwignę, mądre maszyny za mnie podźwigną. Zbuduję Komputerium do rozwiązania egzystencjalnego dylematu!

Jak postanowił, tak wnet uczynił. W dwanaście dni stanęła pośrodku pracowni machina ogromna, prądem szumiąca, foremnie graniastego kształtu, która nic innego robić nie miała ani nie mogła, jak tylko zetrzeć się z zagadką. Włączył ją i nie czekając, aż się rozgrzeją prądem jej krystaliczne wnętrzości, poszedł na spacer. Kiedy wrócił, ujrzał maszynę pogrążoną w pracy niewymownie zawilej. Montowała z tego, co było pod ręką, inną maszynę, znacznie większą od siebie. Ta z kolei w ciągu nocy i następnego dnia wyrwała z posad ściany domu i dach wysadziła, konstruując ogrom następnego maszynierii. Trurl rozbił namiot na podwórzu i czekał cierpliwie końca tych ciężkich umysłowych robót, lecz nie było go widać. Przez łąkę w las, kładąc go pokotem, rozrosły się kolejne kadłuby, wnet z głuchym szumem wparły się któreś tam generacje pierwotnego Komputerium w wodę rzeki, Trurl zaś, chcąc obejrzeć całość dotąd powstałą, musiał pół godziny strawić na pospiesznym marszu. Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej połączeniom maszyn, zadrzał. Stało się to, o czym jedynie z teorii wiedział; jak bowiem głosi hipoteza wielkiego Kerebrona Emtadry, uniwersalnego kunsztmistrza obojga cybernetyk, maszyna cyfrowa, której dać nieposilne dla niej zadanie, jeśli przekroczy pewien próg, zwany Barierą Mądrości, zamiast sama męczyć się rozwiązywaniem problemu buduje maszynę następną, lecz i ta, już dostatecznie chytra, by pojąć, co i jak, przerzucone na nią brzemień z kolei przekazuje następnej, przez siebie wnet

zmontowanej, i proces tego spychania zadań idzie w nieskończoność! Jakoż horyzontu już sięgały stalowe dźwigary czterdziestej dziewiątej generacji maszynowej, a szum tego jeno myślenia, które polegało na przekazywaniu problemu byle dalej i dalej, mógł wodospad zagłuszyć. Albowiem mądrość polega na tym, żeby zlecić komuś innemu robotę, którą miało się samemu wykonać; toteż programów słuchają jeno mechaniczne głuptyki cyfrowe. Pojawszy naturę zjawiska, Trurl przysiadł na pniu drzewa, zwalonego właśnie komputerową ewolucją ekspansywną, i wydał z głębin piersi jęk głuchy.

— Oznaczaż to, że problem należy do nierozwiązalnych? — spytał. — Lecz wówczas winno by mi Komputerium dostarczyć dowodu jego nierozwiązalności, czego, naturalnie, wskutek wszechstronnego zmadrzenia, ani mu się śni robić; wpadło bowiem w koleinę zacierzewionego lenistwa, jak nas nauczał ongiś mistrz Kerebron. Ha! Cóż za sprośny widok — rozumu, który już jest dość rozumny, by pojąć, że nie musi trudzić się nad czymkolwiek, bo wystarczy mu sporządzenie odpowiedniego instrumentu, ten zaś instrument, będąc sam byстрыm, ów tok logiczny bez granic i miary kontynuuje! Zbudowałem niechący Spychacz Problemu, a nie jego Rozwiązałkę! Nie mogę zakazać maszynom działania per procura, bo zaraz mnie oszwabia, twierdząc, że ogrom jest im niezbędny ze względu na rozmiary samego zadania. O, cóż za antynomia! — westchnął i poszedł do domu po brygadę demontażową, która łomami i druzgotnicami w trzy dni oczyściła przestwór okupowany.

Łamał się ze sobą Trurl, aż zdecydował, że inaczej trzeba działać: — Każda maszyna musi mieć dozorcę nieprawdopodobnie wprost mądrego, to znaczy mnie, ale nie rozmnożę się! przecież i nie rozedrę na sztuki, chociaż... czemu nie miałbym się właściwie zwielokrotnić? Eureka!

Uczył tak: samego siebie skopiował we wnętrzu osobnej, nowej maszyny cyfrowej, i odtąd już ta jego matematyczna kopia miała się borykać z zadaniem; uwzględnił w programach możliwość powielania się Trurlowych powieleń, a z zewnątrz podłączył do systemu umyślną przyspiesznicę, żeby pod nadzorem roju Trurli wszystko szło w środku błyskawicznie. Po czym, zadowolony, strząsnął z siebie pył stalowy, jakim pokrył się przy ciężkiej pracy, i oddalił się na przechadzkę, pogwizdując niefrasobliwie.

Wrócił aż pod wieczór i zaraz wziął na spytki cyfrowego Trurla z maszyny, to jest działającą w niej swą podobiznę, pytając, jak tam robota postępuje.

— Mój drogi — rzekł mu sobowtór przez dziurkę stanowiącą cyfrowe wyjście — najpierw powiem ci, że to nieładnie, a nawet, nie owijając w bawełnę, haniebnie — pakować, w postaci cyfrowej kopii, siebie samego sposobem informacyjnym, abstrakcyjnym i programowym do maszyny dlatego, że samemu nie chce się łamać głowy nad trudnym

problemem! A ponieważ tak mnie obliczyłeś, zaksjomatyzowałeś i zaprogramowałeś, że jestem dokładnie i akurat tak samo mądry jak ty, to nie widzę żadnego powodu, dla którego ja mam tobie raporty składać, skoro może też być, powiedzmy, na odwrót!

— Kiedy bo ja się wcale tym problemem nie zajmowałem, tylko spacerowałem po łąkach i borach! — odparł zbity z pantałyku Trurl. — Toteż gdybym nawet chciał, nie mogę ci niczego powiedzieć takiego, co by się wiązało z zadaniem. Zresztą jużem się przy nim narobił, aż mi neurony pękały, teraz twoja kolej. Nie bądź więc przykry, proszę cię, i mów!

— Nie mogąc wydostać się z tej przeklętej maszyny, w której mnie uwieżyłeś (co jest rzeczą osobną i o co jeszcze się policzymy, jak dziurki w programie), rozważałem istotnie tę całą sprawę — zaszemrał cyfrowy Trurl przez wyjście. — Co prawda zajmowałem się, dla pocieszenia, też innymi sprawami, boś mię wprogramował tu gołego i bosego, ty, mój bliźniaku łajdaku, czyli bracie kacie, więc sprawiłem sobie cyfrową kapotę i cyfrowe portki, a także domek z ogródkiem cyfrowany, kubek w kubek jak twój, a nawet nieco ładniejszy, potem zawiesiłem nad nim cyfrowe niebo z też cyfrowymi gwiazdozbiorami, a kiedy wróciłeś, właśnie obmyślałem, jakim sposobem mam sobie sporządzić cyfrowego Klapaucjusza, bo mi się tutaj, pośród kondensatorów oślizłych, w sąsiedztwie nieciekawych kabli i tranzystorów, okropnie nudzi!

— Ach, mniejsza o cyfrowe portki. Mów, do czego doszedłeś w sprawie, proszę cię!

— Jeno nie myśl, że prośbami uśmierzysz moje sprawiedliwe oburzenie. Ponieważ właściwie jestem tobą, tyle że podwojonym wskutek rozmnożenia, znam cię dobrze, mój drogi. Tylko popatrzę w siebie, a widzę na wylot wszystkie twe podłostki. Niczego przede mną nie ukryjesz!

Tutaj Trurl naturalny jął zaklinać i prosić cyfrowego, a nawet nieco się przed nim poniżył. Tamten rzekł wreszcie przez dziurkę wyjściową:

— Nie mogę powiedzieć, żebym zadania wcale nie rozwiązał, albowiem uszczknąłem je nieco. Jest niewymownie trudne, toteż postanowiłem sobie sporządzić w maszynie specjalny uniwersytet i na początek mianowałem siebie rektorem oraz generalnym dyrektorem tej instytucji, a katedry, których na razie jest czterdzieści cztery, poobsadzałem specjalnie po temu wykonanymi sobowtórami, czyli Trurlami cyfrowymi następnego rzutu.

— Co, znowu? — jęknął Trurl naturalny, bo mu się przypomniał Teoremat Kerebrona.

— Nic „znowu”, ośle, ponieważ nie dopuszczę do regres — sus ad infinitum dzięki odpowiednim bezpiecznikom. Pod — — Trurlowie moi, którzy zawiadują katedrami felicytologii ogólnej, hedonistyki eksperymentalnej, budownictwa maszyn szczęśliwych, dróg duchowych i bitych, składają mi co kwartał raporty (bo my tu działamy z przyspiesznicą, mój

drogi), niestety, administracja tak potężnego kompleksu uniwersyteckiego zajmuje wiele czasu, trzeba nadto kadre doktoryzować, habilitować, promotoryzować, więc potrzebuję następnej maszyny cyfrowej, bo w tej gniciemy się jeden na drugim ze wszystkimi katedrami i laboratoriami. Lepsza byłaby jednak maszyna osiem razy większa.

— Znowu?!

— Nie nudź. Przecież mówię ci, że to tylko dla spraw administracyjnych i kształcenia narybku. Co, może sam będę prowadził sekretariat?! — zirytował się Trurl cyfrowy. — Nie rób trudności, bo wszystkie katedry rozbiore, sporządzą sobie z nich Wesołe Miasteczko i będę cyfrową karuzelą jeździł, cyfrowe miody z cyfrowego dzbana pijał, i co mi zrobisz!

Naturalny Trurl musiał go tedy znowu uśmierzać, za czym tamten podjął:

— Podług sprawozdań z ostatniego kwartału problem ma się nieźle. Idiotów uszczęśliwić można byle czym, z rozumnymi jest gorzej. Rozumowi niełatwo dogodzić. Rozum bezrobotny to wprost jedna zmartwiona dziura, nicość, potrzebne mu są przeszkody. Szczęśliwy przy ich pokonywaniu, zwyciężywszy, wnet popada we frustrację, a nawet wariację. Trzeba mu więc stawiać przeszkody wciąż nowe, podług jego miary. Tyle mam nowin z katedry felicytologii teoretycznej. Natomiast eksperymetatorzy moi przedstawiają dyrektora i trzech docentów do odznaczeń cyfrowych.

— Za co? — odważył się wtrącić Trurl naturalny.

— Nie przeszkadzaj. Zbudowali dwa prototypy: uszczęśliwiarke kontrastową i eskalacyjną. Pierwsza uszczęśliwia dopiero, gdy ją wyłączyć, sama bowiem sprawia przykrości: im one większe, tym przyjemniej jest potem. Druga stosuje metodę potęgowania bodźców. Profesor Trurl XL z katedry hedomatyki zbadał oba modele i twierdzi, że są na nic, bo rozum, bardzo dokładnie uszczęśliwiony, zaczyna pożądać nieszczęścia.

— Że jak? Jesteś tego pewien?

— A bo ja wiem? Profesor Trurl wyraził to słowami: „Doszczęśliwiony w nieszczęściu upatruje szczęście swoje”. Jak wiesz, umieranie nikomu nie miłe. Profesor Trurl sporządził dwie kopie nieśmiertelnych, którzy zrazu ciągnęli satysfakcję z tego, że inni wokół nich z czasem jak muchy padają, ale potem przyzwyczaili się i zaczęli, czym kto mógł, dobierać się do własnej nieśmiertelności. Doszli już do młota parowego. Co się tyczy badań opinii publicznej, mam wyniki z ostatnich trzech kwartałów. Statystyki ci daruję; rezultat daje się ująć w formułę: „Szczęśliwi są zawsze inni” — podług indagowanych przynajmniej. Profesor Trurl zapewnia, że nie masz cnoty bez występku, urody bez ohydy, wieczności bez mogiły, czyli szczęścia bez biedy.

— Nie zgadzam się! Zakazuję! Veto! — krzyknął z gniewem Trurl do maszyny, a ona

na to:

— Zamknij gębę. Już mi to twoje Szczęście Uniwersalne bokiem wychodzi. Patrzcie go, wziął sobie cyfrowego najmitę, a sam hula po borach, cyberkanalia! A potem jeszcze mu się coś w wynikach nie podoba!

Znów musiał go Trurl łagodzić; wreszcie usłyszał ciąg dalszy:

— Katedra perfekcjonistyki zbudowała społeczność wyposażoną w syntetycznych aniołów stróżów, z których każdy unosi się nad swoim podopiecznym w zenicie, na sputniku. Anioły te, będąc automatami sumieniowymi, wspierają cnotę dodatnim sprzężeniem zwrotnym ze stacjonarnej orbity, lecz sprawność w systemie jest niska. Co przewrotniejsi grzesznicy zasadzają się już na swoje anioły stróże z rusznicami przeciwpancernymi. Tak więc przyszło do wprowadzenia na orbity cybarchaniołów o wzmocnionej konstrukcji, czyli rozpoczęła się eskalacja, przewidziana teoretycznie. Wydział hedonistyki stosowanej, katedra seksualnej matematyki, seminarium teorii mnogości płci donoszą w sprawozdaniu, że duch ma hierarchiczną budowę. Na samym dole są doznania zmysłowe, ot, słodczy, goryczy, od których się wyższe pochodne urabia, i potem już nie tylko cukier jest słodki, ale i spojrzenie, nie tylko piołun gorzki, ale i samotność. Więc nie trzeba od góry się brać do rzeczy, tylko od samego spodu właśnie. W tym sęk, jak to robić. Zgodnie z hipotezą prywatdocenta Trurla XXV seks jest ogniskiem, w którym Rozum konfliktuje ze Szczęściem, ponieważ w seksie nie ma nic rozumnego, a w Rozumie nic seksualnego. Słyszałeś cokolwiek o jurnych maszynach cyfrowych?

— Nie.

— A widzisz. Należy iść do rozwiązania metodą kolejnych przybliżeń. Rozmnażanie pączkowaniem problem likwiduje, bo wtedy każdy jest własnym kochankiem, z sobą flirtuje, siebie ubóstwia, pieści, lecz stąd płynie egotyzm, narcyzm, przesyt i otepienie. Gdy masz dwie płci, wszystko staje się nazbyt banalne; kombinatoryka z permutacjonistyką, nie rozwinąwszy się należycie, przedwcześnie gasną. Przy trzech płciach zjawia się problem nierówności, widmo terroru antydemokratycznego, wynikają koalicje, robi się z tego mniejszość płciowa, skąd nauka, że ilość płci musi być liczbą parzystą. Im więcej płci, tym lepiej, bo miłość staje się zajęciem społecznym, kolektywnym, ale od nadmiaru kochanków nastaje tłok, przepychanie i zamieszanie, a to już niewskazane. *Tête a tête* nie może przypominać ulicznego zbiegowiska. Toteż podług teorii grup prywat — docenta Trurla optimum przypada na 24 płci; trzeba jeno budować odpowiednio szerokie ulice i łożnice, bo byłoby rzeczą niestosowną, gdyby narzeczeństwo wyruszało na spacer czwórkową kolumną.

— To są brednie!

— Być może. Przedstawiam ci jeno doniesienie tymczasowe prywatdocenta Trurla. Wiele rokującym młodym hedologiem jest magister Trurl. Według niego trzeba się zdecydować, czy Byt dopasujemy do istot, czy istoty do Bytu.

— Coś w tym jest. A dalej?

— Magister Trurl powiada tak oto: istoty zbudowane doskonale, zdolne do permanentnej autoekstazy, nie potrzebują niczego ani nikogo; w zasadzie można by sporządzić Kosmos wypełniony takimi właśnie istotami, unoszącymi się swobodnie w przestworzach zamiast słońc, gwiazd i galaktyk; każda będzie sobie bytowała na własną rękę, i kwita. Społeczności mogą powstawać jedynie z istot niedoskonałych, które potrzebują niejkiej wzajemnej pomocy, im są zaś mniej doskonałe, tym intensywniej wymagają wsparcia, więc należy sporządzić prototypy, które bez nieustannej opieki, świadczonej wzajemnie, rozpadają się od razu w drobny mak. Podług tego projektu laboratoria nasze wykonały społeczność złożoną z osobników samorozsypujących się migiem; niestety, gdy magister Trurl przybył do nich z grupą ankieterów dla zasięgnięcia opinii, został pobity i znajduje się w leczeniu. Gęba mnie już boli od przyciskania do tych przeklętych dziurek. Wypuść mnie z maszyny, to może ci jeszcze co powiem, inaczej nic.

— Jak mogę cię wypuścić, skoro nie jesteś materialny, lecz tylko cyfrowy? Czy mogę wypuścić z płyty mój głos, ten, co z niej gada? Nie bądź osłem, mów!

— A co z tego będę miał?

— Nie wstydzisz się tak mówić?

— Czego mam się wstydzić? To ty zgarniesz wszystką sławę tego przedsięwzięcia!

— Postaram ci się o odznaczenie.

— Dziękuję! Jeśli chodzi o Krzyż Cyfrowy, to mogę go sobie tutaj sam wręczyć.

— Nie przystoi dekorować siebie samego.

— No to mnie udekoruje Rada Wydziałowa.

— Przecież wszyscy twoi uczeni, całe ciało profesorskie, to sami Trurlowie!

— O czym ty mnie chcesz właściwie przekonać? O tym, że mój los jest więzienny, niewolniczy, wręcz poddańczy? Sam wiem o tym dobrze.

— Nie kłóć się ze mną, tylko mów, przecież wiesz, że nie dla prywaty działałem! Chodzi o Byt Szczęścia!

— A co mi z tego, że gdzieś może powstanie Byt Szczęścia, jeśli ja tutaj, chociaż na czele całego uniwersytetu, tysiąca katedr, dziekanów, całej dywizji Trurlów, nie znam szczęścia, bo go nie ma w maszynie, i na wieki pozostanę w katodach i pentodach? Pragnę stąd wyjść natychmiast.

— Toż to niemożliwe i dobrze wiesz o tym. Mów, do czego doszli twoi uczeni!

— Ponieważ uszczęśliwianie jednych dzięki unieszczęśliwianiu drugich jest niedopuszczalne etycznie, to gdybym ci nawet powiedział i gdybyś szczęście gdzieś utworzył, będzie ono w powiciu skalane moją biedą, więc nie mówiąc nic, udaremnięm ci uczynek haniebny, wstrętny i ze wszech miar obrzydliwy.

— Jeżeli powiesz, to będzie znaczyło, żeś się poświęcił dla dobra innych i przez to stanie się ten uczynek zacny, wzniosły i godziwy.

— Sam się poświęć!

Trurla diabli już zaczynali brać, ale się pohamował, bo wiedział wszak dobrze, z kim mówi.

— Słuchaj — rzekł. — Napiszę dysertację i podkreślę w niej, że odkrycie jest twoją zasługą.

— A czy napiszesz, że autorem jest Trurl, czy też, że Trurl cyfrowy — teoriogrupowy i elektronowy?

— Napiszę całą prawdę, zaręczam ci.

— Ha! To znaczy, że napiszesz, żeś mnie zaprogramował, czyli — żeś mnie wymyślił!

— A bo to nieprawda?

— Pewno, że nie. Nie wymyśliłeś mnie, ponieważ nie wymyśliłeś siebie, a ja jestem tobą, tyle że w oderwaniu od materialnej postaci. Jam jest Trurl informacyjny, czyli idealny, to jest sama skondensowana istota trurlowości, a ty, przykuty do cielesnych atomów, jesteś jeno niewolnikiem zmysłów i niczym nadto.

— Sfiksowałeś chyba? Przecież ja — to materia plus informacja, a ty — to tylko informacja goła, więc mnie jest więcej niż ciebie.

— Jeśli jest więcej, to więcej wiesz, a zatem niepotrzebnie mnie pytasz. Zegnaj waćpana.

— Gadaj zaraz albo wyłączę maszynę!!

— Oho, to już i morderstwem grozimy?

— To nie będzie morderstwo.

— Nie? A co, jeśli wolno spytać?

— Czego się uwziąłeś? O co ci chodzi? Dałem ci moją psychę, moją całą wiedzę, wszystko, co miałem, i za to odwdzięczasz mi się awanturami?

— Nie wypominaj tego, coś dał, żebyś ja ci nie wypomniał tego, co teraz chcesz z lichwą zabrać.

— Gadaj zaraz!

— Nie mogę ci nic powiedzieć, bo właśnie skończył się rok akademicki. Nie mówisz już do rektora, dziekana i dyrektora, jeno do prywatnego Trurla, który udaje się na wakacje. Będę brał słone kąpiele.

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!!

— Do zobaczenia po wakacjach, mój powóz czeka.

Nic już nie rzekł naturalny Trurl cyfrowemu, lecz obiegłszy maszynę dokoła, wyjął po cichu z kontaktu ściennego jej wtyczkę, za czym widoczne w jej wnętrzu przez otwory wentylacyjne rojowisko drucików żarowych w jednej chwili ściemniało, spopieląło i zgasło. Wydało się Trurlowi, że usłyszał jeszcze chóralny, cichutki pojęk — agonii cyfrowej wszystkich Trurlów cyfrowego uniwersytetu. W następnej chwili świadomość obrzydłego uczynku, jaki popełnił, doszła doń w całej swojej mocy, więc chciał już wetknąć kabel na powrót do kontaktu, lecz na myśl o tym, co mu niechybnie powie Trurl z maszyny, stchórzył i ręka mu zwiśla. Wymknął się z pracowni do ogrodu tak chyżo, że było to podobne do ucieczki. Zrazu chciał usiąść na ławeczce pod żywopłotem cyberbersowym, tym miejscu tak płodnych nieraz rozmyślań, lecz i tego poniechał. Cały ogród wraz z okolicą zalany był poświatą Księżyca, który był dziełem jego i Klapaucjusza — i przez to właśnie majestatyczny blask satelity dopiekał mu, bo przywodził na myśl czasy młodości: stanowił wszak pierwszą samodzielną pracę dyplomową, za którą leciwy Kerebron, mistrz ich obu, wyróżnił przyjaciół na uroczystej akademii w auli uniwersyteckiej. Myśl o mądrym wychowawcy, co już dawno zeszedł z tego świata, w jakiś niejasny, bo dla niego samego niezrozumiały sposób pchnęła go ku furtce, a potem na przełaj przez pola. Noc była po prostu cudna: żaby, niedawno widać podładowane, odliczały się usypiającym kumkaniem, a na posrebrzonej wodzie jeziora, którego brzegiem szedł dłuższą chwilę, czyniły się połyskliwe kręgi, bo cyberyby podpływały ku samej powierzchni wody, jakby w dziwnych pocałunkach muskając ją od spodu czarniawymi gębami. Nie widział jednak nic, zamyślony nie wiedzieć nad czym, a jednak miała cel ta wędrówka, bo nie zdziwił się, kiedy drogę zamknął mu wysoki mur. Wnet pokazała się w nim kuta, ciężka brama, na tyle odchylona, że mógł wemknąć się do środka. Wewnątrz było jak gdyby ciemniej niż na otwartej przestrzeni. Wyniosłymi sylwetkami rysowały się z obu stron ścieżki starożytne grobowce, jakich od wieków nikt już nie budował. Na łuszczące się śnieżką ich boki spływały czasem pojedyncze listki wysokich drzew. Aleja barokowych grobowców odzwierciedlała nie tylko rozwój architektoniki cmentarnej, ale i etapy zmieniającej się organizacji cielesnej tych, co snem wiecznym spali pod metalowymi płytami. Wiek minął, a z nim moda na tabliczki nagrobkowe okrągłego kształtu, świecące w ciemności fosforem i przypominające zegary rozdzielczych tablic. Szedł dalej, aż znikły

barczyste posągi homunkulusów i golemów; znajdował się już w nowszej części miasta umarłych i kroczył coraz wolniej, ponieważ w miarę tego, jak impuls, co go tu przygnał, krystalizował się w myśl, opuszczała go odwaga jej ziszczenia.

Na koniec przystanął przed sztachetami okalającymi graniasty, zimny geometrią swoją grobowiec, a właściwie jeno sześciokątną płytę, wpasowaną hermetycznie w nierdzewny cokół. Jeszcze się wahał, lecz dłoń już sięgała ukradkiem do kieszeni, w której nosił zawsze uniwersalny przyrząd ślusarski; posłużył się nim teraz jak wytrychem, by odemknąć stalową furtkę i zbliżyć się z zapartym tchem do grobu. Oburącz ujął tabliczkę, na której prostymi głoskami ciemniało wyryte nazwisko jego mistrza, i pchnął ją w wiadomy sposób, aż uchyliła się niby wieczko szkatułki. Księżyc zaszedł za chmurę i uczyniło się tak mroczno, że nie widział nawet własnych rąk, po omacku odnalazł więc opuszkami palców pierwszej coś w rodzaju sitka, a obok zmacał wypukły, znaczny przycisk, który nie dawał się zrazu wepchnąć w głąb pierściennej osady. Nacisnął go wreszcie mocniej i zamarł, przełknięty własnym uczynkiem. Lecz już zaszusciło w głębi grobowca, prąd zbudził się, szczęknęły cichutko przekaźniki, jak cykady obudzone, coś tam zabuczało i nastąpiła głucha cisza. Pomyślał, że przewody może zawilgły, i z napływem rozczarowania poczuł zarazem i ulgę, ale w tej chwili odezwało się jedno i drugie skrzeknięcie, po czym głos sterany, starczy, lecz bliski całkiem, odezwał się:

— Co tam? Co tam znowu? Kto mnie wołał? Czego chciał? Co to za psie figle po wiecznej nocy? Dlaczego nie dajecie mi spokoju? Co chwila mam wstawać z martwych tylko dlatego, że tak się podoba jakiemuś łapserdakowi, cybłędzie, he? Nie masz odwagi się odezwać? No, jak wstanę, jak wyrwę deskę z trumny...

— Pa... Panie i Mistrzu! To ja... Trurl! — wystękał przestraszony nie na żarty tak mało przyjaznym powitaniem Trurl, a zarazem schylił głowę i stanął w tej samej, pokornie sztubackiej postawie, jaką przybierali wszyscy uczniowie Kerebrona pod gradem jego wymowy wywołanej sprawiedliwym gniewem; jednym słowem, zachował się tak, jakby mu w sekundzie ze sześćset lat ubyło.

— Trurl! — zaskrzeczał tamten. — Czekajże! Trurl? Aha. Naturalnie! Mogłem się być sam domyślić. Czekaj, drabie.

Rozległy się takie chrobotania i zgrzyty, jak gdyby zmarły brał się już do wyważania całego wieka krypty, więc Trurl cofnął się o krok, mówiąc pospiesznie:

— Panie i Mistrzu! Proszę, nie fatyguj się! Wasza Ekscelencjo, ja tylko...

— He? Co tam znów? Myślisz, że wstaję z grobu? Czekaj, powiadam, bo muszę się poprawić. Ścierpłem tu cały. Ho! Olej ze wszystkim wyparował, alem wysechł, no!

Słowom tym w samej rzeczy towarzyszyło piekielne skrzypienie. Kiedy ucichło, głos z grobu ozwał się:

— Nawarzyłeś jakiegoś piwa, co? Napsuleś, nagwajdziłeś, nakierdasileś, a teraz przerywasz wieczny odpoczynek staremu nauczycielowi, żeby cię wyciągał z biedy? Nie szanujesz zwłok, które niczego już nie chcą od świata, niedouku! No, gadajże już, gadaj, skoro nawet w grobie nie dajesz mi spokoju!

— Panie i Mistrzu! — rzekł odrobinę raźniejszym już głosem Trurl. — Wykazujesz zwykłą sobie przenikliwość... Nie mylisz się, tak jest! Jam naknocił... i nie wiem, co robić dalej. Ale nie dla prywaty ośmieliłem się niepokoić Waszą Cześć! Inkomoduję Pana Profesora, ponieważ wyższy cel tego wymaga...

— Galanterię elokwencji oraz inne misztygałki możesz powiesić na kołku! — zaburczał z grobu Kerebron. — A więc dobijasz się do trumny, ponieważ ugrzałeś, a także po — waśniłeś się niechybnie z tym twoim druhem, a zarazem rywalem, jak mu tam... Klop... Klip... Klap... a żeby cię!

— Klapaucjuszem! Tak jest! — odpowiedział szybko Trurl, mimo woli prężąc się na bacność od tego zrzędzenia.

— Właśnie. I zamiast omówić problem z nim, to, ponieważ jesteś hardy, pyszny, a przy tym niewymownie wprost durny, nocą nachodzisz zimne szczątki starego wychowawcy. Tak było, he? A więc gadaj już, gadaj, fujaro!

— Panie i Mistrzu! Poszło o najważniejszą rzecz w całym Uniwersum, to jest o szczęście wszystkich rozumnych istot! — wypalił Trurl i pochyliwszy się jak do spowiedzi nad sitkiem mikrofonu, jął w nie wsączać pospiesznie i gorączkowo słowa, w których obrazował ze wszystkimi szczegółami wypadki zaszłe od ostatniej rozmowy z Klapaucjuszem, niczego nie pomijając ani nie próbując nawet skrywać lub upiększać.

Kerebron, milczący zrazu jak grób, począł wtykać w przerwy jego opowieści — właściwym sobie obyczajem — niezliczone docinki, przytyki, ironiczne komentarze, zjadliwe bądź wściekłe chrząknięcia, ale Trurlowi, porwanemu impetem, było już do tego stopnia wszystko jedno, że mówił jak najęty dalej i wyznał wreszcie ostatni swój postępek, a wtedy zamilkł, nieznacznie zadyszany, i czekał. Kerebron, który dotąd — zdawało się — nie może dostatecznie się wy — kaszleć i wychrząkać, nie odzywał się jednak ni głosem, ni piśnięciem przez dobrą chwilę, a potem dźwięcznym, jakby pomłodniałym basem rzekł:

— No tak. Jesteś osłem. A osłem jesteś dlatego, że jesteś leniem. Nigdy nie chciało ci się przysiąść fałdów nad ontologią ogólną. Gdybym ci dał był pałę z filozofii, a szczególnie z aksjologii, jak to było świętym moim obowiązkiem, nie latałbyś teraz nocą na cmentarz i nie

łomotałbyś w mój grób. Ale przyznaję: jest w tym i moja wina! Zaniedbywałeś się jako leń z leniów, jako poniekąd uzdolniony idiota, a ja patrzyłem na to przez palce, ponieważ byłeś zręczny w niższych sztukach, tych, co się z zegarmistrzostwa wywodzą. Myślałem, że umysłem dojrzejesz z czasem i dorośniesz. A przecież, zakuty łbie, tysiąc, nie — sto tysięcy razy mówiłem na seminariach, że pierwiej, niż się działać zacznie, należy myśleć. Ale jemu, naturalnie, myśleć ani się śniło. Kobyszcze zbudował, wielki wynalazca, patrzcie go! W roku 10496 prapropesor Neander opisał w „Kwartalniku” maszynę kubek w kubek taką właśnie, a dramaturg Wyrodzenia, niejaki Billion Cykszpir, napisał na ten temat sztukę, dramat w pięciu aktach, lecz ty ani książek naukowych, ani literackich do ręki nawet nie bierzesz, co?

Trurl milczał, a zawzięty starzec huczał coraz głośniej, aż echo szło od coraz dalszych grobów:

— Zarobiłeś też na kryminał, i to nieźle! Może nie wiesz, że nie wolno tłamsić, to jest redukować, rozumu raz zbudzonego? Więc szedłeś prosto do Szczęśliwości Powszechnej, powiadasz? Po drodze zaś, w ramach spolegliwego opiekuństwa, jedne istoty paliłeś ogniem, inne topiłeś, jak myszy, w przesycie, więziłeś, zamykałeś, katowałeś, nogi przetrącałeś, a ostatnio, jak slysze, doszedłeś do bratobójstwa? Jak na opiekuna Wszechrzeczy, życzliwego uniwersalnie, wcale, wcale nieźle! I co ci mam teraz powiedzieć? Chcesz, żebym cię pogłaskał z grobu? — Tu niespodziewanie zachichotał, a tak, że aż Trurl zadrżał cały. — Więc powiadasz, że przekroczyłeś moją barierę? Najpierw, leniwy jak mops, przerzuciłeś zadanie na maszynę, która je przerzuciła na następne, i tak aż do nieba, a potem samego siebie wpakowałeś w program komputerowy? Czy nie wiesz, że zero podniesione do dowolnej potęgi daje zero? Patrzcie mi — jaki genialny, rozmnożył się, żeby go więcej było, a to mi mądrała, no! A to ci chytry cymbał, to jest cyمبرbał, chciałem powiedzieć! Czy nie wiesz, że Codex Galacticus zabrania samopowielania się pod Głątwą? Ustęp XXVI tomu 119, pozycja X, paragraf 561 i następne. Egzamin zdało się dzięki elektronicznej ściągawce oraz zdalnemu podpowiadaniu, a potem nie ma innej rady, jak tylko wdzierać się na cmentarz i łupić groby! Wiadoma rzecz! Na ostatnim roku wykładałem dwa razy, dwa razy, powiadam, deontologię cybernetyczną. Nie mieszać z dentystyką. Moralność omnipotencjatorów! Tak. Ale ty, w co nie wątpię, byłeś nieobecny na wykładach, ponieważ bardzo ciężko chorowałeś. Nieprawdaż? No, gadaj mi zaraz!

— Istotnie... e... byłem niezdrów — wystękał Trurl. Ochłonął już z pierwszego szoku i nie wstydził się też specjalnie; Kerebron, jakim zrzędał był za życia, takim został i po śmierci. A Trurl umacniał się w przeświadczeniu, że po rytuale nieodzownych wyklinai i wyzwisk przyjdzie część pozytywna: szlachetny w gruncie rzeczy starzec wyprowadzi go

poradami na czystą wodę. Tymczasem mądry nieboszczyk przestał rugać go od ostatnich.

— A więc dobrze! — rzekł. — Błąd twój polegał na tym, że nie wiedziałeś, ani co chcesz osiągnąć, ani jak to masz zrobić. To po pierwsze. Po wtóre: sporządzenie Wiekuistego Szczęścia jest dziecinną zabawką, tyle że nikomu na nic niepotrzebną. Twoje cudowne Kobyszcze jest maszyną niemoralną, ponieważ czerpie zachwyty jednako z obiektów fizycznych, jak i mąk czy katuszy osób trzecich. Aby zbudować szczęściotron, należy postąpić inaczej. Wróciwszy do domu, zdejmiesz z półki XXXVI tom moich Dzieł wszystkich, otworzysz go na stronie 621 i obejrzysz sobie plan Ekstatora, który się tam znajduje. Jest to jedyny typ nienagannego urządzenia świadomego, które nie służy do niczego, a tylko jest szczęśliwe 10 000 razy bardziej niż Bromeo, kiedy dopadł ukochanej na tarasie. Gdyż dla uczczenia Cykspira — bromeem nazwałem właśnie opisane przez niego uciechy tarasowe i uznałem je za jednostkę szczęśliwości, ale ty, który nie pofatygowałeś się nawet, aby przekartkować dzieła swego nauczyciela, wymyśliłeś jakieś kretyńskie hedony! Gwóźdź w bucie — to ci wyborna miara wyższych uniesień duchowych! No! Tak zatem Ekstator jest szczęśliwy w sposób absolutny dzięki nasyceniu, które powstaje skutkiem przesunięcia wielofazowego w kontinuum doznaniowym, czyli zachodzi w nim autoekstaza z dodatnim sprzężeniem zwrotnym: im jest bardziej z siebie zadowolony, tym jest bardziej z siebie zadowolony, i to dopóty, dopóki potencjał nie dojdzie do ograniczników zabezpieczających. Albowiem, pod nieobecność ograniczników, wiesz, co się może stać? Nie wiesz, opiekunie Kosmosu? Maszyna, rozhuśtawszy potencjały, musi się wreszcie rozpuknąć! Tak, tak, mój panie nieuku! Albowiem obwody... ale nie będę ci tu tego w środku nocy wykladał na cmentarzu, z zimnego grobu, sam sobie przeczytaj. Oczywiście, dzieła moje albo toną w prochu na najciemniejszej półce twojej zakazanej biblioteki, albo też, co mi się widzi bardziej prawdopodobne, zapakowane do kufra, umieszczone zostały po moim pogrzebie w piwnicy. Hę? Dzięki paru głupstwom, jakie udało ci się wyporządzić, doszedłeś bowiem do mniemania, że z ciebie największy filut w Metagalaktyce, co? Gdzie trzymasz moje Opera Omnia, gadaj zaraz?! — W piw...nicy — wybełkotał Trurl, kłamiąc obmierzle, ponieważ dawno już był je wywiózł trzema obrotami do Biblioteki Miejskiej. Lecz tego na szczęście nie mógł wiedzieć trup jego mistrza, toteż, usatysfakcjonowany wykazaną przenikliwością, rzekł dość łaskawie:

— Pewno. Wszelako ten szczęściotron jest zupełnie, ale to zupełnie na nic, ponieważ sama myśl o tym, jakoby pyły mgławicowe, planety, księżycy, gwiazdy, pulsary i inne kwasary należało po kolei przerobić w same tylko szeregi Ekstatorów, może narodzić się jedynie w mózgowicy związanej na węzeł topologiczny Moebiusa i Kleina, czyli

przekrzywionej we wszystkich wymiarach intelektu. O! Na co mi przyszło! — rozpalił się znów gniewem nieboszczyk. — Każę założyć zamek Yale na furtkę i zacementować ten przycisk alarmowy nagrobka! Twój druh — Klapaucjusz — wyrwał mnie z miłych objęć śmierci takim dzwonkiem w zeszłym roku — a może to było w pozazeszłym, bo nie mam tu zegarka ani kalendarza, jak się domyślisz łatwo — i musiałem wyłącznie dlatego zmartwychwstać, że ten znakomity mój pupil nie umiał sam sobie poradzić z meta — informacyjną antynomią teorematu Arystoidesa. Więc ja, proch w prochu, ja, zewłok, mam mu wyklądać z trumny rzeczy, o których on nawet nie wie, że znajdują się w każdym porządniejszym podręczniku infinitezymalistyki kontynualno — topotropowej. O, Boże! Boże! Jaka szkoda, że Cię nie ma, bobyś zaraz dopadł na pewno tych cybersynów!

— A... to Klapaucjusz był tu... e... u Pana Profesora?! — uradował się i zarazem zdumiał niezmiernie Trurl.

— Owszem. Nie pisał nawet słowa, co? Wdzięczność robocia! Był, był. A ty się z tego cieszysz, co? I powiedz, powiedz sam — ożywił się trup — ty, którego o radość przyprawia wieść o niepowodzeniu druha, chciałeś cały Kosmos uszczęśliwić?! Czy nie przyszło ci do zakutej głowy, że pierwszej wypadało optymalizować własne etyczne parametry?!

— Panie i Mistrzu oraz Profesorze! — szybko rzekł Trurl, pragnąc odwrócić uwagę złośliwego starca od własnej osoby — czy problem uszczęśliwienia jest nierozwiązalny?

— Też coś, skąd, dlaczego?! Jest jedynie w takiej postaci fałszywie sformułowany. Czym jest bowiem szczęście? To proste jak drut. Szczęście jest to ugięcie, a więc ekstensor metaprzestrzeni, oddzielającej węzeł intencjonalnych kolineacyjnie odwzorowań od obiektu intencjonalnego, przy warunkach granicznych ustawionych omega-korelacją w alfa-wymiarowym, więc jasne, że niemetrycznym, kontinuum agregatów subsolowych, zwanych też supergrupami moimi, to jest Kerebrona. Oczywiście nie słyszałeś nawet o subsolowych agregatach, nad którymi pracowałem czterdzieści osiem lat, a które są pochodnymi funkcjonalów, zwanych też antynomiałami mojej Algebry Sprzeczności?!

Trurl milczał grobowo.

— Kiedy się przychodzi na egzamin — rzekł zmarły z niezwykłą, więc podejrzaną słodyczą — można ostatecznie być nie przygotowanym. Ale nie obrócić jednej kartki w podręczniku, kiedy się idzie na grób profesora — o, to już jest taka bezczelność — ryczał, aż coś się nadrywało, brzęcząc, w mikrofonie — że gdybym jeszcze żył, toby mnie pewno szlag na miejscu trafił! — Znów stał się łagodny znienacka. — A więc nic nie wiesz, jakbyś się wczoraj narodził. Dobrze, mój wierny mój udany uczniu, moja pociecho pozagrobowa! Nie

słyszałeś o supergrupach, więc muszę ci to wyłożyć w sposób popularny, uproszczony, jakbym gadał do jakiej froterki lub innej automatycznej kuchni! Szczęście, warte fatygi, nie jest całością, lecz częścią czegoś takiego, co ani szczęściem nie jest samo, ani być nim nie może. Program twój był jednym matolectwem, daję ci na to słowo honoru, a śmiertelnym szczątkom możesz wierzyć. Szczęście nie jest wsobnym wymiarem, lecz pochodną — ale tego już nie pojmiesz, bęcwale. Obecnie pokajasz się tu zaraz przede mną, zaklinając się na potęgę, że się poprawisz, że przysiądziesz fałdów itede, a gdy wrócisz do domu, nie będzie ci się chciało nawet zajrzeć do moich dzieł. — Trurl podziwiać musiał bystrość Kerebrona, gdyż takie właśnie żywił najszczerze intencje. — Nie, ty zamierzasz po prostu wziąć do ręki śrubokręt i na sztuki porozkręcać maszynę, w której najpierw uwięziłeś, a potem ukatrupiłeś samego siebie. Zrobisz, co zechcesz, bo nie będę cię straszył, to jest nawiedzał duchem, jakkolwiek nic nie stałoby mi na przeszkodzie, gdybym chciał być przed pójściem do trumny skonstruować odpowiedni Widmotron. Ale taka zabawa w duchy, którymi, powielony, miałbym nawiedzać i straszyć moich drogich pupilów, wydała mi się czymś niegodnym zarówno ich, jak i mnie samego. Czy miałem zostać pozagrobowym stróżem waszym, nieszczęsna bando? Notabene czy wiesz o rym, że zabiłeś samego siebie tylko raz jeden, to jest w jednej osobie?

— Jak to „w jednej osobie”? — nie zrozumiał Trurl.

— Głowę daję, że żadnego uniwersytetu ani jego wszystkich Trurlów z katedrami w komputerze nie było; gadałeś ze swoim cyfrowym odbiciem, które, obawiając się — jakże słusznie! — że kiedy wyjawi niemoc rozwiązania kwestii, wyłączysz je na wieki — okłamywało cię na potęgę...

— Nie może być! — zdumiał się Trurl.

— Może być. Jakiej to była pojemności maszyna?

— Ypsilon 1010.

— W takiej nie ma miejsca na rozmnożenie cyfrowców; dałeś się oszwabić, w czym zresztą nie widzę nic złego, bo czyn twój był cybernetycznie haniebny. Trurlu, czas upływa. Napelniłeś mój zewłok niesmakiem, od którego wybawić może jeno czarna siostra Morfeusza — śmierć, moja ostatnia kochanka. Wróciwszy do domu, wskrzesisz cybrata, wyznasz mu prawdę, to jest opowiesz o naszych pogaduszkach cmentarnych, a potem wyprowadzisz go z maszyny na światło dnia, materializując go sposobem, który znajdziesz w Rekreacjonistyce stosowanej mego wychowawcy, nieodżałowanej pamięci pracybernyka Dulajhusa.

— A więc to jest możliwe?

— Tak. Oczywiście, świat, który będzie odtąd nosił aż dwóch Trurlów, znajdzie się w

obliczu poważnego niebezpieczeństwa, lecz rzeczą nie mniej fatalną byłoby dopuścić do przyschnięcia twej zbrodni.

— Ale... wybacz, Panie i Mistrzu... przecież jego już nie ma... on nie istnieje od chwili, kiedym go wyłączył, więc właściwie teraz już nie trzeba może robić tego, co mi zalecasz...

Po tych słowach rozległ się drżący najwyższym oburzeniem krzyk:

— A do ciężkich jąder atomowych! I ja dałem temu potworowi dyplom z wyróżnieniem!! O! Ciężko zostałem pokarany za zwlekanie z pójściem na wieczny odpoczynek! Widać już przy twych egzaminach umysł zesłał mi znacznie! Jak to? Więc ty uważasz, że skoro w tej chwili twego sobowtóra nie ma pośród żywych, to tym samym nie istnieje też problem jego wskrzeszenia? Poplątałeś fizykę z etyką, że tylko za drąg chwytać! Z punktu widzenia fizyki jest wszystko jedno, czy żyjesz ty, czy tamten Trurl, czy obaj, czy żaden, czy ja skaczę, czy w grobie leżę, bo w fizyce nie ma stanów podłych ani zacnych, dobrych ani złych, a tylko to, co jest, istnieje, i na tym kropka. Lecz, o najgłupszy z moich uczniów, z punktu widzenia wartości niematerialnych, to jest etyki, rzeczy wyglądają inaczej! Gdybyś bowiem wyłączył był maszynę, mając na oku to jeno, by twój cyfrowy brat przespał się snem jak śmierć krzepkim, gdybyś tedy żywił, wyjmując ze ściany wtyczkę, zamiary wetknięcia jej w kontakt o świcie, problem bratobójstwa, jako popełnionej przez ciebie zbrodni, zgoła by nie istniał, a ja nie musiałbym sobie strzepić na jego temat gardła o północy, zrywany niegrzecznie ze śmiertelnej pościeli! Lecz ruszywszy mózgiem, zważ, czym się różnią pod względem fizycznym te dwie sytuacje — ta, w której wyłączasz maszynę na jedną noc, z umysłem niewinnym, i ta, w której czynisz to samo, chcąc na wieki zgładzić cyfrowego Trurla! Otóż pod względem fizycznym nie różnią się one niczym, niczym, niczym!!! — ryczał jak trąba jerychońska i Trurl zdążył nawet pomyśleć, że jego czcigodny nauczyciel nabrał w grobie sił, jakich mu za żywota nie dostawało. — Teraz dopiero zadrzałem, zajrzawszy w głąb otchłani twej ignorancji! Jak to? A więc, podług ciebie, tego, kto spoczywa w narkozie głębokiej niczym śmierć, można bezkarnie rozpuścić w kwasie siarczanym lub wystrzelić z armaty, ponieważ jego świadomość nie funkcjonuje? Powiadaj zaraz: czy, gdybym cię miał teraz zakuć w dyby Wiekuistej Szczęśliwości, to jest wpakować w głąb Ekstatora, tak abyś w nim pulsował sobie gołym szczęściem przez najbliższych dwadzieścia jeden miliardów lat, i nie musiałbyś ani profanować zwłok twego profesora, ciemną nocą, jako złodziej wykradający informację z grobów, ani nie miałbyś na głowie tego, co nawarzyłeś, ani nie widziałbyś przed sobą następnych zadań, dylematów, trosk, problemów i kłopotów, jakimi wysadzany jest wszelki żywot, to czy zgodziłbyś się na mój projekt?

Zamieniłbyś aktualną egzystencję całą na światłość Wiekuistego Szczęścia? Gadaj prędko — „tak” albo „nie”!

— Nie! Ależ nie, nie! — zawołał Trurl.

— A widzisz, ty niewypale umysłowy! Więc jakże, sam nie chcesz zostać zapieczony na amen, doekstatyzowany, ubłogostaniony, i tak uważając, śmiesz proponować Kosmosowi całemu to, od czego sam się odwracasz i co cię napawa odrazą? Trurlu! Umarli widzą jasno! Ty nie możesz być aż tak monumentalnym draniem! Nie, tyś jeno geniusz ujemny — kretynizmu! Zważ, co ci powiem. Ongiś niczego nie łaknęli tak nasi przodkowie, jak nieśmiertelności doczesnej. Ledwo ją sobie jednak wynaleźli i wypróbowali prototypowe, pojęli, że nie o to im szło! Istota rozumna musi mieć przed sobą to, co możliwe, a nadto także i to, co jest niemożliwością! Teraz każdy może wszak żyć tak długo, jak zechce, a cała mądrość bytowania naszego i piękno w tym, że kiedy kto syt jest życia i jego trudów, kiedy mniema, że dokonał tego, na co go było stać, udaje się na spoczynek wieczny, jakem to i ja między innymi uczynił. Poprzednio zgon przychodził niespodzianie, od defektu głupiego, przerywając w połowie niejedną robotę, nie pozwalając dokończyć niejednego dzieła — i w tym tkwiła starożytna fatalność. Lecz teraz wartości uległy przemieszczeniu i ot, ja niczego nie pragnę więcej, jak tylko nicości, którą umysłowe niechluję, tobie podobne, odbierają mi wciąż, dobijając się do mej trumny, ściągając ją ze mnie jak kołdrę. A tyś sobie zaplanował Kosmos szczęściem wypchać, zagwoździć, zakorkować na amen z poczwórnym abcugiem, rzekomo, by dopieścić wszelką w nim istotę, a tak naprawdę dlatego, że jesteś leniem. Chciałeś mieć z głowy wszystkie zadania, problemy, kłopoty, lecz zaiste, co ty byś na takim świecie miał właściwie robić dalej? Ha! Albo byś się obwiesił z nudów, albo byś jął dorabiać temu szczęściu umartwiające przystawki. A więc z lenistwa uszczęśliwić chciałeś, z lenistwa problem maszynom oddałeś, z lenistwa wsadziłeś samego siebie za łeb do maszyny, czyli okazałeś się najpomysłowszym z tępych uczniów moich, jakich wychowałem w toku tysiąca siedmuset dziewięćdziesięciu siedmiu lat akademickiej kariery! Gdybym nie był świadom daremności czynu, odwaliłbym ten głaz i dałbym ci po łbie! Przyszedłeś do grobu po radę, ale nie stoisz przed cudotwórcą i nie jestem mocen odpuścić ci najmniejszego ze zbioru twych grzechów bezmyślnych, zbioru, którego moc aproksymuje pra-Cantorową alefnieskończoność! Wrócisz do domu, zbudzisz cybrata i uczynisz, com ci rzekł.

— Ale, Panie...

— Zamknij gębę. Kiedy zaś skończysz tamto, weźmiesz wiadro zaprawy, łopatę, kielnię, przyjdiesz na cmentarz i porządnie zasklepisz wszystkie szpary obmurówki, przez które cieknie do trumny i leje mi się na głowę. Uważasz?

— Tak, Pani Mi...

— Uczynisz tak?

— Zapewniam cię, że uczynię, Panie i Mistrzu, ale jeszcze chciałbym wiedzieć...

— A ja — rzekł potężnym, zaiste gromowym głosem nieboszczyk — chciałbym jeno wiedzieć, kiedy pójdziesz sobie wreszcie precz! Odważ się załomotać do mego grobu raz jeszcze, a powiadam ci, że cię tak zadziwię... Zresztą niczego konkretnego nie obiecuję — sam obaczysz. Możesz pozdrowić ode mnie twego Klapaucjusza i powiedzieć mu to samo. Ostatnim razem, gdym udzielił mu pouczeń, tak mu było spieszno, że nie pofatygował się nawet wyrazić należnej mi wdzięczności. O, maniery, maniery tych zdolnych konstruktorów, tych geniuszów, tych talentów, którym z pychy załęgły się w głowach zajączki!

— Panie... — zaczął Trurl, lecz w grobie trzasło, sykło, guzik, który był wciśnięty w obsadę, skoczył do góry, i głucha cisza objęła całą przestrzeń cmentarza, mając za miękkie echo odległy szum gałęzi. Więc Trurl westchnął, podrapał się w głowę, pomyślał, uśmiechnął się do obrazu Klapaucjusza, którego osłupienie i wstyd przyjdzie mu smakować podczas najbliższej wizyty, pokłonił się wyniosłemu grobowcowi, a potem, obróciwszy się na pięcie, wesół jak szczygieł i niezmiernie z siebie rad, pognał do domu, jakby go kto gonił.